

OLGA KOBYLAŃSKA

# Z I E M I A

Przełożył z ukraińskiego  
ST. EDWARD BURY

1	9	6	5
<hr/>			
INSTYTUT	WYDAWNICZY	• PAX •	

Tytuł oryginału ukraińskiego

ЗЕМЛЯ

Okladkę projektowała

DANUTA REWKIEWICZ NIEMIRSKA

INSTYTUT WYDAWNICZY • P A X • WARSZAWA 1965

Wydanie I. Nakład 3000 + 350 egz. Format 125 × 195. Ark. wyd. 17,6. Ark. druk. 22,25. Papier m/gł. kl. V, 65 g, 82 × 104 z fabryki papieru w Częstochowie. Oddano do składania 29.X.64 r. Podpisano do druku 6.III.65 r. Druk ukończono w marcu 1965 r. Zam. nr 4152. E-27-58.

Cena zł 15,—

Printed in Poland by Szczecińskie Zakłady Graficzne,  
Szczecin, Aleja Wojska Polskiego 128.

*Ojcu swemu  
Julianowi J. Kobylańskiemu  
poświęca autorka*





„Es liegt um uns herum gar mancher Abgrund,  
den das Schicksal grub, doch hier in unserem  
Herzen ist der tiefste.”

## I

Dwie godziny drogi od rzeki Seret na Bukowinie leży wieś D. Równinne jej pola przypominałyby step, gdyby nie to, że miejscami, jakby zniechęcone swym położeniem, zapadają się, tworząc płytkie, niewielkie kotliny, i gdyby nie ów duży las, co ciągnie się po zachodniej stronie wsi, zamykając przestrzeń zielonym murem.

Majestatyczny, bezbrzeżny, jak olbrzym, który zatrzymał się w swej wędrówce i zadumał nad cichymi polami; opodał, czując za sobą zielonego opiekuna, rozsiadły się wiejskie chaty. Tu i tam rozłożyła się wieś.

Las jest pański, prywatny. Cienkie, delikatne brzozy poprzepłatały się z poważnymi dębami, srebrząc się w poświacie letnich nocy; liście ich drżą niepokojem, a pełne gracji, lekko powyginane konary kuszą delikatnością i bielą jak rusałki.

Oprócz tego olbrzyma podnosi się jeszcze z pól kilka małych leśnych oaz. Zupełnie niezależne, jak rozrzucone czyjaś dłonią lub oderwane oddzielne kolonie, stoją samotnie, rozdzielone niwami, spoglądając dumnie na falujące wokół nich zboża. Wąziutkie, ledwie widoczne ścieżki wiją się między złocistą pszenicą i jedwabście szeleszczącą kukurydzą, umykając niepostrzeżenie do owych lasów.

Jest teraz zima.

Mieszkańcy tych chałup, które zwrócone są frontem do równiny, mają przed sobą smutny, jednostajny obraz.

Nic — prócz białej przestrzeni, rozciągającej się daleko, jak okiem sięgnąć, i niknącej dopiero na styku z niebem.

Garść chałup, które odsadziły się od wielkiego lasu i właściwej wsi, wrzynając się głęboko w pola, rozdzielone od siebie tylko małymi sadami, ma przed sobą rokrocznie ten sam jednostajny, blady widnokrąg. Widocznie lubują się w tej szerokiej przestrzeni, po której myśli mkną swobodnie... Ale kiedy nieszczęście rozsądzi już do kresu pierś ludzką, hula, szeroko rozkołysane wraz z kłosem zbóż.

W pobliżu oddzielnej gromadki chat, jakby pilnując swej służby, stoi mały pański dworek z wielkim, sztywnym, biało-czarnym trenem sadu, wtapiając się w monotonię krajobrazu. Mieszkańcy małych chatynek to stali robotnicy pracujący u „bojara”; i kiedy jedni chłopci rokrocznie ciągnęli gromadnie za robotą do Mołdawii, trwoniąc szybko zarobione pieniądze, inni szukali i szukają zarobku w swoich stronach.

I wcale źle na tym nie wychodzili.

Ot, jak chociażby zamożny gospodarz, Wasyl Czopiaka, którego żona Dokia służyła przez wiele lat we dworze; chata ich odbijała wyglądem od innych we wsi, zwłaszcza od chat tych gospodarzy, którzy szukali zarobku i szczęścia w Mołdawii. Jasne, czyste okna, nieduży sad ze szlachetnymi drzewami owocowymi, w ogródku piękne kwiaty, a w chacie wszędzie wzorowa czystość i ład. Pod oknem, w staromodnej komodzie, ulubionym meblu Dokii, wyproszonym u pana, i w takiej samej, całkiem ładnej jeszcze szafie, trzyma Dokia nie byle jakie odświętne swoje spódnice i drogie czarne kożuszki męża i córki. Na ścianach wiszą obrazy zgoła nie jarmarczne.

Dokia nie ulegała pustym pokusom i marzeniom o złotych górach gdzieś tam, w Mołdawii czy innych obcych krajach, wołała pracować na własnej ojcowiznie, ciesząc się wielkim poważaniem zarówno we wsi, jak i we dworze. I mimo że mąż jej, Wasyl, był wielkim pijakiem i niejeden worek najpiękniejszego żyta lub pszenicy wędrował

do Żyda Mendla na Hopplac<sup>1</sup>, potrafiła swoją pracowitością, swym rozumem i wytrwałością, swym upartym trudem naprawić każde zło i tak gospodarować, że w domu panował dobrobyt i nie mieli niemal żadnych długów. We dworze nauczyła się porządku i bardziej „pańskiego” sposobu gospodarowania, co rzucało się w oczy każdemu, kto przestąpił próg jej pięknego obejścia.

Dokia nie była jednak szczęśliwa. Wysoka, trzymała się zawsze prosto jak sosna; po pewnym chodzie i nieco sztywnej postawie można ją było momentalnie rozpoznać wśród innych, jednak jej piękna kiedyś twarz przedwcześnie się postarzała. Między ostro zarysowanymi, wysoko wzniesionymi czarnymi brwiami wyryte były chmurne zmarszczki, które nigdy się nie wygładzały. Miała zawsze posępne, zatroskane spojrzenie, a wokół ust rysowała się głęboka linia bólu.

Przywalała ją zgryzota. Mąż był pijakiem i marnotrawcą, był awanturnikiem, który w napadach złości chwycił i za siekiere, a ona czuła się coraz słabsza i z trwogą myślała o przyszłości swego jedyne go dziecka, Paraski.

Co by się stało z córką, gdyby ona teraz umarła? Była jeszcze prawie dzieckiem, miała za ledwie szesnaście lat. Nie potrafiła gospodarować, nie umiałaby znosić fanaberii swego nieszczęsnego ojca ani kaprysów innych ludzi. Tego wszystkiego uczy dopiero czas i niewola... Gołąbka słodka i dobra... jedyna matczy na pociecha... co by się z nią stało wtedy?... Jedyne, co dobrze umiała i chętnie robiła, to szycie i wyszywanie oraz pasienie bydła. Czas upływał jej na równinnym gromadzkim pastwisku, gdzie szyła, pilnowała krów i wołów, pasących się w zasięgu jej oczu, śpiewała pieśni lub rozmyślała o różnych zasłyszanych tu i ówdzie i dobrze zapamiętanych bajkach. Taka była jeszcze jej Paraska.

A cóż by się stało z ziemią Wasyla? Kto dbałby o to, żeby jej nie obdłużył, żeby ją na czas obsiać, żeby zebrać z niej na czas zboże i kukurydzę, żeby na czas ją okopać

---

<sup>1</sup> Hopplac — główny plac.

i zżąć? A jej piękne bydło, jej wspaniały koń — najdroższa sztuka w całej stajni? Mendel z Hopplacu już od dawna ma na niego chrapkę, bo to przecież nie koń, a furia, ogień, ta jej Szaga. Można było zwalić na nią dwanaście worków — zupełnie jej to nie przeszkadzało ciskać z oczu błyskawice, hardo wyginać szyję i gnać w szalonym tempie czy to w dół, czy pod górę. A już kiedy popuścić jej cugli — ziemia pod nią dudniła. Prawie zawsze nietrzeźwy Wasyl siedział na wozie i jak dzwon kołysał się na wszystkie strony, aż strach było patrzeć i dech zapierało: ino, ino, a wpadnie pod koła...

Strach? Ba! Jemu nigdy nic się z nią nie przydarzyło. Miał jakąś demoniczną władzę nad tym zwierzęciem; i choćby nie wiedzieć jak miał zaproszoną głowę, choć jak kłoda walił się po jarmarku na furę, ona zawsze przywoziła go do domu całego i żywego — precudna, przemądra jej Szaga!

Wasyl nigdy nie chorował. Czasem przyjdzie z karczmy obity, posiniaczony, pokrwawiony, i kiedy ona na jego widok aż jęknie, aż ręce załamie, on tylko splunie przed siebie, zaklnie pod nosem i wdrapie się na piec. Przeleży tam, skulony, dwa, trzy dni, a potem jak gdyby nigdy nic, złazi z pieca i bierze się na nowo do roboty albo idzie w pole lub do wsi.

Nie, jemu nic nie dolega, ale ona, ona czuje, że niewiele już pozostało w jej duszy strun łączących ją z życiem. Popękały bezlitośnie, jedna po drugiej... Teraz troška o pole i córkę targała nieustannie tymi strunami, wyganiała sen w czarne noce, a w dzień spędzała słowa i uśmiech z jej warg.

Miała też brata, tylko jednego. Petro miał na imię. Młodszy od niej, nieżonaty, koło czterdziestki, mieszkał u nich i pomagał w gospodarstwie. Ale i on przysparzał jej zgryzoty. Nie żenił się, a czasem też lubił popić. Z wrodzoną inteligencją, bystry, z sercem miękkim jak u dziecka, kiedy chciał — to robota paliła mu się w rękach; jednak pieniądze, zarobione furmanką lub w Mołdawii, trwonił i wracał do siostry z pustymi kieszeniami.

Miewał swoje żale. Wywodził je czasami, zwłaszcza kiedy jakaś magiczna siła ciągnęła go na Hopplac. Odstąpił swoje pole siostrze pod warunkiem, że ma przeżyć przy niej do końca życia. Ale upiwszy się twierdził, że ona wycygała od niego to pole, że czyha tylko na jego śmierć, że żałuje mu każdego kęsa chleba i tym podobne, i że z niego nigdy już nie będzie gospodarz jak inni ludzie. Żenić się nie chciał, bo — jak mawiał — swojej własnej chaty nie miał, a w wynajętej nie mógł przecież mieszkać. Honor nie pozwalał. Nie był przecie z takiego rodu, żeby, ożeniwszy się, iść na żonine lub na komorne. Pochodził przecie z popowskiego rodu. Pamiętał jeszcze dziadka...

W rzeczywistości nigdy o żeniacze nie myślał poważnie. W młodych latach rwał się do furmanienia, szalał — jak sam opowiadał — za końmi, najmując się to tu, to tam po dworach, a później wiejskie dziewczęta nie przypadały mu już do gustu — i najpiękniejszy jego wiek przeminął, nie wiadomo jak i kiedy. Uchodził wśród dziewcząt za kogoś niedostępnego, na którego nie miały odwagi podnieść oczu. Schlebiało im, kiedy swym dźwięcznym, junackim, donośnym głosem rzucał w ich stronę jakieś przypochlebne słówko lub w żartach objął którąś, przyciskając błyskawicznie do siebie, ale żadnej z nich nie przyszłoby do głowy myśleć o nim jako o mężu. Modlitw znał tyle, co sam diak, swoich zaś wiejskich towarzyszy, którzy mu nie odpowiadali, traktował z lekceważeniem.

Stroił się, żył beztrosko z dnia na dzień, mimo jednak swej junackiej natury byłby zginął marnie, gdyby nie siostra, która jak dobry duch strzegła wszystkich w swej chacie i nie dała nikomu przepaść ani duchem, ani ciałem.

Ponad wszystko kochał Paraskę. Swoje najlepsze uczucia przeniósł na młode, nieśmiałe dziewczętko, które, jak ptaszek beztroskie i szczebiotliwe, krążyło to tu, to tam wśród dorosłych.

Nie zmniejszało to jednak w niczym troski Dokii o przyszłość córki. Wiedziała, że była podwaliną tej budowli,

w której znaleźli schronienie mąż, brat i córka, czuła jednak, że nie na długo już sił jej starczy. Podupadała coraz częściej na zdrowiu, gdy tylko poddawała się smutnym myślom o przyszłości. Widziała jedyne wyjście z tej ponurej sytuacji: wydać córkę za mąż. Ale tu właśnie napotykała na zdecydowany opór Wasyla. Kochał córkę na swój sposób. Trząsł się nad nią i po prostu wpadał w szal, kiedy żona napomykała o małżeństwie. Po co pozbywać się dziecka tak wcześnie z domu? Czy nie miał jej czym wykarmić? Jej jednej? Czy był już taki stary i słaby, że nie mógł gospodarować, i ona musi iść na cudze? A dla kogo pysznią się łany, dla kogo wznoszą się stogi, jeśli ostatecznie nie dla niej? A jego było, połyskujące jak jedwab na pastwisku?

Że Dokia (miała już czterdzieści osiem lat) ciągle kwęka, to nie powód, żeby pozbywać się córki z domu. Jej, Dokii, ciągle coś nie w smak. Krąży jak chmura, ale nikt na to nie zwraca uwagi, nikt nie słucha jej gadaniny. Po to jest kobieta, aby jej język nie spoczywał za zębami i żeby dzień i noc stękała. Ale kiedyś, jak będzie miał tego dość i jeśli ona po dobroci nie stuli pyska, to już on jej go zamknie, że otworzy go znowu dopiero za sześć tygodni. Obiecuje jej to już dawno, aż wreszcie... W odpowiedzi na to Dokia wybuchała płaczem albo parskając gorzkim śmiechem, po czym milkła. Odzywać się było jeszcze gorzej. Już ona go znała. Uporem niczego nie mogła uzyskać. A prosto w oczy nie mogła mu powiedzieć, że to właśnie jego pijaństwo doprowadziło ją do tej desperackiej decyzji. Rzuciłby się na nią z siekierą. A bądź co bądź, bała się pijanego dzikusa. Raz pobił ją tak, że przez dwa tygodnie nie podnosiła się z łóżka. Po trzeźwemu też nie chciał jej słuchać.

— Zwariowałaś? — pytał i śmiał się, nawet nie odpowiadając na jej pytania i wypowiedane głośno myśli.

Gdyby Paraska miała już męża, wszystko poszłoby innym torem. Oczywiście gdyby jej już nie stało — tylko tego się bała. Zięć nie dopuściłby do tego, żeby stary puścił w dzierzawę pole Żydowi — byłby to jego pierw-

szy krok po jej śmierci — albo żeby zaciągnął dług na to pole. Wziąłby gospodarkę w swoje ręce i zmusiłby pijaka, aby siedział cicho na piecu.

Myślała wciąż o tym dzień i noc i po raz setny dokonywała przeglądu wszystkich chłopców we wsi. Rozmyślała, kto miałby przejąć jej gospodarstwo i zabrać od niej na zawsze jej skarb. Ale myśli na ten temat kończyły się za każdym razem ciężkim westchnieniem i głęboki smutek kładł się na jej duszy. We wsi było sporo chłopców, żaden jednak nie miał tyle ziemi, żeby ją zadowolić, i ani jeden nie wydał się jej dostatecznie pracowity, uczciwy i zapobiegliwy.

Był wprawdzie jeden, ale ten miał jeszcze przed sobą służbę wojskową... To Mychajło Fedorczyk, syn zamożnego i bardzo porządnego gospodarza. Miał kiedyś dostać po ojcu majątek i był najporządniejszym chłopcem we wsi. Pola jego ojca graniczyły z polami Wasyla, były urodzajne i dobrze obrobione, rokrocznie, jak złote morze, szumiała na nich pszenica. Aż miło było ją kosić, aż przyjemnie było pracować na takim polu! Tak, on jeden mógł wysłać swaty do jej Paraski, a z rozmów i napomknien starego Iwoniki, ojca Mychajła, przebijał ten sam zamiar. W poprzek ich zamiarów stanął jednak poborowy wiek Mychajła i w żaden sposób nie można było tego ominąć.

Mychajło, chłopiec zdrowy, silnej budowy, miał jeszcze jednego, równie zdrowego, młodszego brata. Rodzice też nie byli tacy starzy, mogli obejść się bez niego w gospodarce i trudno było nawet myśleć o uwolnieniu go z wojska. Od tej jesieni za rok miał pójść w rekruty. Ale nie koniec na tym. W wojsku trzeba służyć bez przerwy od jednego do trzech lat, a i potem od czasu do czasu wracać na pewien okres do koszar, wdziawać cesarski mundur i iść na ćwiczenia, zostawiając pole i chatę żonie i dzieciom. Prawdziwe nieszczęście! Los zwrócił ku niej pochmurną swą twarz i żadne modlitwy ni łyzy nie mogły go odmienić.

W jesieni Paraska kończyła szesnaście lat. Wzrostem

wdała się w matkę, wybujała jak palma, nie była jednak jeszcze rozwinięta. Była chuda, o niemal chłopięcych kształtach i szczupłej, dziecinnej twarzy z nie ukształtowanym jeszcze wyrazem.

Dokia szykowała już dla niej ręczniki, pościel i bieleznię. Tę ostatnią dziewczyna szyła sobie sama. A jak pięknie! Jak zawodowa szwaczka! Kiedy inne dziewczęta i kobiety wbijały i wyciągały igłę z płótna niby patyk, ona używała naparstka i szyła drobnym jak mak ścięgiem. A poza tym wyszywała na rękawach czerwonymi, żółtymi i czarnymi nićmi najpiękniejsze i najtrudniejsze wzory z pamięci, a potem składała z powrotem w skrzyni za haftowane płótno takie czyste i nie pomięte, jakby go nigdy nie dotykała rękami.

Dokia postanowiła wydać córkę za mąż nieodwołalnie w najbliższe zapusty. Musiała poniechać myśli o Mychajle. Realizacja jej była widać zupełnie niemożliwa, ułożyła jednak inny plan. Todoryka Żemczuk był również zamożnym chłopcem, jedynakiem, jak Paraska. Zwolniony był z wojska i mógł się żenić w każdej chwili. Co prawda, nie był takim ładnym chłopcem jak Mychajło, nie bardzo też był lubiany. Niskiego wzrostu, zawsze odwracał się całym ciałem, choć wystarczało nieraz odwrócić tylko głowę. Miał sztywny kark. W całości prezentował się dość marnie. Ale co to miało do rzeczy? Człowiek do wszystkiego przywyknie. Po prawdzie czy ona sama kochała Wasyla, kiedy szła z nim do ślubu? Szalała wówczas za pewnym przystojnym chłopcem, synem wdowy, który potem został nawet sołtysem. Ale mimo wszystko nie było tak źle, że wyszła za Wasyla. Co prawda, był pijakiem i marnotrawcą, duszą i ciałem zaprzedał się Mendłowi na Hopplacu, a w złości kilka razy podniósł na nią rękę, ale kiedy starał się o nią, miał pieniądze i pole i nie kradł cudzego dobra jak syn wdowy, kiedy został sołtysem, i nie wycierał kryminałów jak tamten!

Paraska przyzwyczai się do Todoryki. Jest pracowity i zapobiegliwy, a chociaż tylko dziesięć słów powie w ciągu dnia, to dziesięć razy zajrzy do bydła, dziesięć razy



pobiegnie w pole, a ani razu do Mendla na Hopplac. Paraska będzie z nim szczęśliwa. Początkowo zamieszka z jego rodzicami, by poznać ich zwyczaje, nauczyć się ich słuchać i przyjrzeć się, jak stara matka dba o syna, a potem zamieszkają z mężem oddzielnie. Będzie płakać za matką, mała córeczka jej najmiłsza, a matka dzień i noc za córką będzie łzy wylewać, aż szernieje z żalu za nią, ale ona przecież chce tylko dobra córki i jej szczęścia, chce widzieć ją jako „gospodynię na swoim” i mężatkę, kiedy upłyną jej dni i śmierć zmrozi jej ciało.

— Parasiu, córeczko — powiedziała pewnego dnia, wzdychając głęboko i unosząc w górę z troską czarne brwi. Siedziały na przyzbie i łupały kukurydzę. — Paraniu, serdeńko, jak Bóg da, to owiniemy twoją główkę ręcznikiem jeszcze tej zimy.<sup>1</sup>

Paraska przez chwilę popatrzyła bojaźliwie na matkę, po czym opuściła głowę, a po jej dziecinnej twarzyczce przemknął ciemny rumieniec. Milczała.

— Słyszysz, Paraniu? Ja nie żartuję, pójdiesz za mąż!

Paraska, nie podnosząc głowy, odwróciła się od matki i powiedziała:

— Ja nie chcę wychodzić za mąż, mamol

— Jesteś niemądra, serdeńko! Ty nie wiesz, dlaczego twoja matka chce cię wydać za mąż. Nie widzisz, że ja coraz bardziej opadam z sił, a ojciec — Boże, odpuść mu grzechy! — przesiaduje u Mendla jak u rodzzonego ojca, po cichu obdłuza — jak słyszałam — pole, traci pieniądze, i co z tobą będzie, jak ja zamknę oczy?

Paraska po kryjomu otarła rękawem łzy, które napłynęły jej nagle do oczu, i powtórzyła zdławionym głosem:

— Ja nie chcę iść za mąż, mamol

Dokia uśmiechnęła się gorzkim, przelotnym uśmiechem i po chwili milczenia mówiła dalej:

---

<sup>1</sup> Zgodnie z ludowym zwyczajem ukraińskim mężatki nakładały na głowę usztywnione ręczniki, na które dopiero zakładały chustkę. Ręcznik kojarzył się więc ze ślubem („staty na rusznyku” znaczy „wziąć ślub”).

— Wyjdiesz za mąż, Parasiu; wiesz przecież, że tylko ty trzymasz mnie jeszcze przy życiu, że tylko ty jesteś moją jedyną pociechą! Wiesz, że tylko dla ciebie pracuję od świtu do nocy i że chciałam zawsze tylko twojego dobra. Chcę, byś była szczęśliwa, i dlatego chcę cię wydać. W te zapusty Todoryka przyśle do ciebie swaty, ugodziłam się już z jego rodzicami. Są bardzo zadowoleni, że będziesz ich synową. Rodzice Todoryki mają dużo ziemi i on zostanie kiedyś bogatym gospodarzem.

— Todoryka, mamó? Ależ ja nie chcę Todoryki!

— A kogo chcesz?

— Bo ja wiem?

— Więc dlaczego nie chcesz Todoryki?

— Ma takie szerokie usta, że mógłby sam sobie szeptać na ucho, a oczy ma osadzone tak blisko, że prawie się schodzą. Nie chcę go! Kiedyś zobaczył mnie w polu, jak pasłam bydło, podszedł do mnie, stanął jak słup, wziął się pod boki i pyta:

„— Parasko, a umiesz ty barszcz gotować?”

— Tylko kawę gotuję — powiedziałam, nie spojrzawszy na niego.

— Patrzcie, patrzcie! — powiada. — A umiesz ty mieszać mamałygę<sup>1</sup>? Masz ręce jak patyczki, takie cienkie i chude!

— Jak zamieszam ją źle, to ty i tak jej jeść nie będziesz.

— Ojej! A któż ją będzie jadł, moja panno?

— Ten, dla kogo ją zgotuję.

— Mądrze mówisz — powiada i pyta jeszcze: — A potrafisz już wyszyć koszulę dla kawalera<sup>2</sup>? Ślubną, co? A umiesz chatę wybielić, ład w niej utrzymać, prać i tkać? A umiesz chłopców obejmować i całować?

— Jak nie będę tego wszystkiego umiała, to ty mnie nie nauczysz — odpowiedziałam i odwróciłam się od tego durnia.

---

<sup>1</sup> Mamałyga — grysik z kukurydzy, gotowany na gęsto.

<sup>2</sup> Na wsi ukraińskiej mężczyźni noszą barwnie wyszywane koszule, z wykładanym kołnierzem, wypuszczane na spodnie.

— Ja cię nauczę — powiedział rechocząc i uszczypnął mnie w rękę tak, że aż krzyknęłam i zakląłam. Wtedy on odskoczył i pobiegł śmiejąc się i wołając:

— Paraska, nauczę cię wszystkiego, czego nie umiesz! Słyszysz? Wszystkiego, żebyś wiedziała!...”

— Nie chcę Todoryki, mamó, nie chcę go! — zakończyła, wzburzona swym opowiadaniem, wydeła wargi i zamilkła.

Po słowach córki na twarzy matki odmalowało się jakieś wewnętrzne zadowolenie. Z zachowania Todoryki wywnioskowała, że postanowił nieodwołalnie zaręczyć się z jej córką i że można już szykować dla niej wyprawę.

— E, co tam! — powiedziała spokojnym głosem. — To dobry gospodarz, grzeczny chłopiec... Nie pije i nie bije się na tańcach jak inni. I ziemię ma!

— Tak, ale za to on z cygańskiego rodu — rzuciła wprost dziewczyna.

— Kto ci to mówił?

— Kto? Mychajło mówił o tym raz koło cerkwi.

Dokia zmarszczyła brwi.

— A Mychajło co tu ma do gadania? Czy był na chrzcinach jego dziadka i babki? Lepiej niech stuli pysk, bo choć to chłopiec porządny i pracowity, choć i o jego ojcu nie można nic powiedzieć, to za to jego mama na pewno nie z hrabiowskiego rodu. Taka skąpa, że... Poślesz do niej po byle głupstwo, to nigdy właśnie „tego” nie ma. A wszystkiego u niej pełno. I zaraz wylezie jak szydło z worka, że „to” miała. Brzydka, zakopcona ta jej chata, że nie daj, Boże! A ona sama też tak wygląda, jakby więcej w kominie przesiadywała niż w mieszkaniu i na dworze. Taka to z niej gospodyni. Tylko ciągle gromadzi wszystko w skrzyni i chowa przed ludźmi, jakby ludzie chcieli jej to zabrać. Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, co ona tam u siebie chowa. Żeby chociaż miała córki, a to tylko dwóch synów i taka skąpica!

— Ona powiada, że jak jakaś gospodyni sama czysto chodzi, to ma pstro w głowie i nie zna się na żadnej robocie — wtrąciła dziewczyna.

— A mówi tak, mówi! Co prawda, nie potrzebuje czesać codziennie włosów i wkładać co dnia czystej bielizny jak panna — odpowiedziała Dokia. — Ale raz na tydzień może to zrobić. No, jak kiedyś popadnie tam synowa, to będzie miała co do roboty, zanim oczyści chatę ze śmieci.

— Mówicie, mamó, że synowa miałaby tam dużo roboty? — spytała żywo Paraska. — Choćby i dziesięć razy więcej było tam roboty, każda by się zgodziła, żeby tylko mogła zostać jej synową. Mychajła łapać będzie każda obiema rękami. Drugiego takiego jak Mychajło nie ma we wsi. I zamożny, i przystojny, i grzeczny! Ale czy on zdecyduje się na którą, czy weźmie którą z naszej wsi?

— Będzie, jak Bóg da — odpowiedziała poważnie Dokia. — Śmierć i żona od Boga przeznaczona. Mychajło może się żenić dopiero za trzy lata. A póki co, będzie twoim družbą. Todoryka na pewno weźmie go na družbę. Tak, tak, córeczko — powiedziała pieszczotliwie, spojrzawszy z niewymowną miłością na córkę i pogładziła ją po twarzy i po głowie. — Jak Bóg da, będziesz jeszcze tej zimy piękną panną młodą... Takiej gospodyni w całej wsi nie będzie. A jak twój ojciec upije się i rozpocznie w chacie bójkę, jak zacznie się całować z wszystkimi złodziejami we wsi i będzie się wysypiał w karczmie pod ławami, wtedy przyjdę do ciebie, do twojej pięknej chaty — a zadbam o to, żebyś miała ją czym ozdobić — i wypłacę się u ciebie. Bóg tak chce... Sam Bóg już widocznie tak chce, moja córko. Słuchaj tylko matki, a wszystko będzie dobrze. Tobie będzie dobrze, a mnie lżej na duszy. Bóg jeden wie, jak ja się tym gryzę!

Zamilkła i westchnęła głęboko, a Paraska też milczała. Zaczęła znowu myśleć o Todoryce, o jego szerokich ustach, którymi mógłby sam sobie coś mówić do ucha. Potem zaczęła się zastanawiać, czy będzie jej do twarzy w białym ręczniku. Pomyślała, jak to inne dziewczęta, zwłaszcza te starsze, będą jej zazdrościć, że to ona jest już „mężatką”!

Nagle przypomniała sobie coś i poderwała się na równe nogi. Zostawiła w stodole na snopach włóczkę, podarowaną jej przez starszą od niej o kilka lat przyjaciółkę Annę, służącą ze dworu. Chciała schować tę włóczkę, aby się gdzieś nie zapodziała, a potem pobiec do Anny i opowiedzieć jej o rozmowie z mamą.

Co też Anna powie? Co powie Anna na to wszystko? E, pewno niewiele. Tak mało zawsze mówi... ciągle zamysłona.

Ale ona lubi Annę. I wujek. Nawet ojciec, który nie zwraca najmniejszej uwagi, wówczas gdy ona rozmawia z dziewczętami, odzywa się do Anny przyjaźnie. — Miła dziewczyna — powiada. — Warta dobrego męża.

Idąc lekkim, beztroskim krokiem do stodoły, zerwała po drodze listek wiśniowy i przytknąwszy go do warg, zagrała na nim jakąś rozlewną, monotonną melodię.

Było to zimą, w same zapusty. Pola i pastwiska leżały pokryte grubą warstwą śniegu; na jego powierzchni słońce rozsiewało codziennie swe złoto-czerwone światło, mienił się więc jak kryształ, zmuszając mimo woli oko do szukania jakiegoś ciemnego punktu, na którym odpoczęłoby od rozciągającej się wokół oślepiającej bieli. Ziemia rozpościerała się z południa na zachód jak nieruchome morze i tylko z jednej strony ciemniał las — potężny, wyciągnięty masyw, który, wędrując z dalekich stron szeroką płaszczyzną, zatrzymał się tu, aby obejrzeć idealną równinę, latem, kiedy pyszniła się ona jaśniejszą i ciemniejszą zielenią, i zimą, gdy stawała się samotną pustynią.

Zmierzchało. Pański dwór stał posepny. Z okien padało matowe światło, za nim ciągnął się leniwie długi sad. Przytykał do pastwiska, przez które biegła latem wąska dróżka. Ale niedługo panowała cisza na zewnątrz i wewnątrz domu. Brnąc w głębokim śniegu zmierzała do niego drogą gromadka ludzi. To pańscy sąsiedzi. Mieli dziś na sobie świąteczne stroje.

Dokia i Wasyl Czopiak wydawali za mąż swe jedyne dziecko, córkę Parasę — za Todorykę, syna Onufrego Żemczuka. Szli wraz z córką i jej narzeczoną oraz z rodzicami, matkami chrzestnymi i družbami do pana, żeby prosić go na wesele. Jutro miał odbyć się ślub, a pojutrze wesele. Zgodnie z dawnym zwyczajem nieśli w prezencie kołacz, kury i chustki. Szli z muzyką, aby zagrać panu i potać w jego pięknym domu, poczęstować jego i służbę dobrą wódką, zaprawioną miodem i korzeniami.

Wreszcie znaleźli się wszyscy w jasnych pokojach i podczas gdy stary Petro przemawiał do pana — on zawsze lubił przewodzić — raz po raz nisko kłaniając się z szacunkiem, inni stali z czapkami w ręku, poszeptując półgłosem lub rozglądając się ciekawie po mieszkaniu. Stary Petro mówił „od serca”. Bardzo lubił Parasę, więc głos mu się łamał ze wzruszenia, a jej ojciec, Wasyl, tylko mrugał w milczeniu oczami. Nie nadawał się dziś do niczego, więc Petro musiał przejąć jego obowiązki.

Panna młoda wzbudzała współczucie. Niezwykle płochliwa, nieśmiała i pełna dziecięcego zawstyżenia, poczuła się nagle sprawczynią i ośrodkiem tego całego zamieszania. Na nią właśnie spoglądali teraz pan i pani, panienka i całe otoczenie; musiała odpowiadać na wszystkie pytania, a nie można było schować się za mamine plecy lub chociażby zasłonić twarzy rękami.

Stała blada, spoglądając wokół półprzyciemnie i tylko z trudem wydobywała słowa, kiedy ktoś się do niej zwracał. Miała na sobie jedwabną riklę<sup>1</sup>, a na niej długi, nowy, bogato wyszywany kożuch ze zwisającymi chwastami. Na szyi miała naszyjnik z dużych srebrnych monet, a na głowie wianek z czerwonych i białych róż. Włosy jej były rozpuszczone, a spod wianka, zamiast welonu, spływały na nie długie złote nitki. Pan młody, odziany również w nowy kożuch i serdak, stał nieporadnie i od-

---

<sup>1</sup> Rikla — luźna, pasiasta suknia bez rękawów, o prostym kroju.

wracał się całym ciałem do każdego, kto go zagadnął, aż wreszcie schował się niepostrzeżenie za kilku starszych gospodarzy.

Wszyscy widzieli, że para nie była ani piękna, ani dobrana, że dziecinna jeszcze panna młoda nie miała dla narzeczonego ani odrobiny sympatii, że była tylko bezwolnym narzędziem innej woli; jednak wódka z miodem, krążąca bez przerwy z rąk do rąk, nie sprzyjała głębszym rozważaniom, a zmiękczywszy serca nastroiła wszystkich przyjaźnie. Jakieś powszechne zadowolenie przebijało z wszystkich twarzy i rozwiązywało nieśmiałe języki.

Pan i pani przyjęli zaproszenie na wesele, pobłogosławili młodych i cała weselna kompania udała się do pańskiej kuchni, gdzie rozpoczęły się huczne tańce.

Zapanował od razu inny nastrój, znikła bowiem wszelka sztywność i zmieszanie, wszelka nieśmiałość, które nie opuszczały gości w oświetlonych pokojach. Wszyscy zaczęli naraz rozmawiać głośno i żywo; ten i ów swobodnie podśpiewywał, a tańczący przytupywali tak mocno, że sami nie rozumieli swoich słów. Przebijał się przez to cienki, jęklivy dźwięk skrzypiec i harmonijne akordy cygańskich cymbałów. Cieniutkie tony przedzierały się z trudem przez harmider głosów, tupot i szuranie nóg, wibrowały rozpaczynymi, to znów wesołymi wariacjami wśród weselnej kompanii, wciągając ją coraz bardziej. Po kilkunastu minutach porwały ją zupełnie, przeobrażając gromadkę poważnych jeszcze niedawno ludzi w prawdziwy huragan. Wysocy, silni mężczyźni o ogorzałych twarzach i prawdziwie żelaznych rękach zawijali jak wichry kobietami i dziewczętami. Mizerne i zatroskane twarze kobiet pojaśniały radosnym podnieceniem, a dziewczęta w milczeniu skłaniały głowy na piersi mężczyzn.

— Grać, muzyka, grać! — pokrzykiwał od czasu do czasu Petro na muzykantów, którzy jednak ani szybciej, ani wolniej nie ciągnęli smyczkami po strunach, patrząc w tępy zamyśleniu na wywołany dźwiękami huragan.

— Grać, niech pohulam! Niech się raz chociaż zabawię!

Mam tylko jedną siostrzenicę! — omiótł jasną świetlicę gromkim głosem, aż światło zachybotało... Chwycił go okropny żal. Tylko on był sam jeden, bez pary, nie miał nigdy żony ani dzieci. On jeden sam, samiuteńki, tak jak właśnie teraz tutaj. Znowu głos okrzyknął świetlicę i rozbił się o ściany w wielkiej rozpacz. — Niech choć raz po-  
hulam!...

Wysoką, wyniosłą postacią górował nad wszystkimi jak dąb, a na jego jasno oświetlonej twarzy, z zaczesanymi w tył, spadającymi na kark włosami, z wąskim białym czołem, odzwierciedlał się cały nastrój jego duszy. Niezwykła brawura niezwykłej chwili — i żal.

Anna, pańska pokojówka, smukła figurka z brązu, stała skromnie w niezbyt oddalonym od światła kącie izby i wpatrywała się nieruchomo w jedną parę wielkimi, wzruszonymi oczyma, z których wyzierał niemy ból. Panna młoda tańczyła z drużbą Mychajłem i przymknęła oczy. Dlaczego? Czemu? Kto zamyka oczy, kiedy ma jego przed sobą?

Wstrzymując oddech Anna śledziła go wzrokiem. Wyłaniał się to tu, to tam, to znowu gdzie indziej. Jego jasna głowa migiała jej przed oczyma. Tak lśni prawdziwe złoto. Coś podchodziło jej do gardła i dławilo. Ona przecież nie ma nic wspólnego z tym wichrem, co szaleje wokół niej i porywa za sobą. Jest tylko biedną wyrobnicą. Dźwięk skrzypiec odbijał się ostrym jękiem w jej smutnej duszy. Chyba się rozplacze. I płakała suchymi oczami...

Niemy ból tłukł się w jej piersi, a dźwięki cymbałów i skrzypiec wpijały się coraz głębiej w jej smutną duszę. Ledwie ją tu dziś zauważają.

— Tańcz, Anno! — uderzył w nią nagle gromki głos Petra. — Dlaczego stoisz jak skamieniała? — Zatrzymawszy się przed nią porwał ją za rękę i pociągnął za sobą w taneczny wir.

Nie uśmiechnęła się. Poszła jak na ścięcie.

Głos skrzypiec, smętny i drażniący, doprowadzał do szaleństwa, a potem jakby na wieki złączył ich z sobą...



Dwoje jeszcze ludzi nie podzielało dziś radości obecnych. Byli to Dokia, której twarz, z żalu za córką porzucającą tak wcześnie dom, poszarzała jak ziemia, i ojciec drużby Mychajła, stary Iwonika Fedorczyk. Oboje siedzieli smutni w jednym kącie na ławie. Dokia cierpiała niewypowiedzianie z powodu myśli, że zostanie „osierocona”; a poza tym wiedziała przecież dobrze, że jej przyszły zięć nie był ani przystojnym, ani okazałym chłopcem i że Parasia wychodziła za niego, ulegając jej rozpaczliwym prośbom.

Chwilami odzywało się w niej coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Kiedy jednak wzrok jej natknął się na Wasyla, który, pijany, to sam tańczył, to wykrzykiwał podnosząc w górę rękę, jakby rozkazywał, to znów śmiał się albo śpiewał — marszczyła groźnie czoło i zaciskała zęby, aby nie jęknąć z bólu: „Todoryka nie pijak — pocieszała się. — Todoryka porządny chłopiec. A chociaż niezbyt piękny i niepokąźny, ale dobry. Parasia nie będzie wyczekiwać nocami na pijaka, nie będzie biedować. Będzie ją szanował. W dodatku jeszcze ma ziemię. Niezadłużone pole. Dobrze jej z nim będzie. Dobry Bóg da, że jej, ptaszynie najmilszej, dobrze będzie!”

Stary Iwonika był dziś też trochę podпиты, ale u niego było to zwykle przejawem wielkiej radości lub wielkiego smutku.

Gdy tylko rozpoczęły się tańce, przybliżył się niepostrzeżenie do Dokii, swojej najbliższej i najżyczliwszej sąsiadki, skinął jej przyjaźnie głową i powiedział półgłosem:

— Dokio... kumciu... wszyscy się dziś weselą, ale nikt nie wie, co się dzieje w moim sercu.

— A w moim, kumie? W moim niby lepiej? Ej, Boże, dobry Boże! — i westchnąwszy ciężko odsunęła się, robiąc mu miejsce koło siebie.

— A cóż wy chcecie, Dokio? Wydajecie przecież za mąż swoją córkę.

Skinęła głową i uśmiechnęła się gorzko.

— Wydaję ją! Wydaję, moją gołąbkę najmilszą! — od-

powiedziała zniżając głos i wymawiając każde słowo z wolna i z naciskiem. Wróciła przy tym spojrzeniem do tańczącej córki i patrzyła na nią z takim wyrazem, jak gdyby leżała przed nią na katafalku, cicha i martwa.

— A co ja mam mówić? Wiecie dobrze, że niczego na świecie nie życzyłem sobie tak, jak waszej Paraski dla mojego Mychajła! Ona będzie taka jak wy: dobra i porządna gospodyni. Zna się na każdej robocie i porządek utrzymuje w domu. A jej dom — jak ta biała ściana. Nasze pola graniczą ze sobą, stanowią jedną równinę, są jednakowo urodzajne. Co się na nich urodzi — jednako ładne i dobre. Mamy najładniejsze bydło, Dokio, i największy szacunek we wsi. Och, Dokio, Dokio! — krzyknął z tłumionym bólem i ze szczerą rozpaczą uderzył ręką w stojący obok stół. — Szanuję was i kłaniam się wam nisko, boście pierwsza gospodyni we wsi, i wszyscy o tym wiedzą... Ale dlaczego nie chcieliście Parasi trzymać przy sobie jeszcze ze trzy lata?

Zamiast odpowiedzieć, wskazała chmurnym spojrzeniem na Wasyła, a po jakimś czasie dodała poważnie:

— Słaba jestem. Śmierć mnie nie ominie, jak przyjdzie mój czas...

— O, śmierć! — powiedział i spuścił smutno głowę. — Śmierć robi, co jej się podoba, i nie ma na to rady. No, ale nie było naprawdę powodu tak się spieszyć!

— Martwicie się, kumie, że nie dostaniecie synowej? — spytała Dokia. — Nie martwcie się! Nie ma chyba w całej wsi takiej, co by nie chciała waszego Mychajła. Ta będzie jego żoną, którą mu Bóg przeznaczył. A póki co cieszcie się nim, że pracowity i uczciwy. W całej okolicy żaden mu nie dorówna. Jak on nie będzie kiedyś pierwszym gospodarzem we wsi albo nawet sołtysem, to nie warto, by dobry człowiek stapał po ziemi. Niech już skończy się na tym, że oni nie mogli się pobrać. Niech już tak będzie! I wyście chcieli, i ja chciałam. No i na to przyszło, że wszystko inaczej się ułożyło, jakby obcą ręką. Widocznie Bóg tak chciał, kumie!

Iwonika przyjął te słowa w milczeniu. Złożył dłonie jak do pacierza i przybliżył je do ust.

— Mychajłyku! — powiedział. — Mychajłyku, synu ty mój!

Potem zacisnął je, jak w niemej modlitwie, i zamilkł. Łzy zakręciły mu się w oczach i zatrzęsa się lekko głowa. Był bardzo wzruszony.

Ujrawszy to Dokia też się rozczuliła. Kochała swoją Paraszkę, tak jak on kochał tego swojego chłopca. Chyba nikt na świecie nie kochał bardziej swoich dzieci.

— Macie przecież jeszcze młodszego syna, Sawę — dorzuciła po chwili milczenia.

Wyraz twarzy starego nagle się zmienił.

— Sawa... — powiedział przeciągle i z troską w głosie. — Sawa to nie Mychajło. I on od maleńkości wrósł w moje serce jak ta grudka. Kocham go też, no bo jak? Toż i on mój syn. Ale to już inna gałąź. Rośnie i garnie się do czegoś... ale nie do dobrego i nie do nas. Roboty się boi, tańce mu w głowie. Noc i dzień chodziłby ze strzelbą po lesie, a o domu przypomina sobie tylko wtedy, kiedy mamałygę stawia się na ogień. Obojętne mu, czy bydlę napojone, czy nie, żeby tylko jemu pragnienie nie dokuczało. Obojętne mu, jaka na świecie pogoda, czy wyjdzie na dobre ziemi i zbożu, czy pszczołom nie zaszkodzi — żeby tylko nie przeszkadzać mu się wałkonić, żeby miał miodu do syta, cichaczem mieszał z wódką i wypił, Bóg wie z kim!

— Młody jeszcze, kumie!

— Młody! Pewnie, że jeszcze młody, ma dopiero dziewiętnaście lat. Ale kiedy Mychajło miał siedemnaście, był już moją prawą ręką, tak jak teraz. Ja w jego wieku służyłem u obcych, byłem biednym wyrobnikiem i kłaniałem się nisko przed ludźmi i Bogiem. No, mam nadzieję, że jak przybędzie mu lat, to przybędzie i rozumu, bo on już i teraz niegłupi... I to jeszcze jak! Taki młody, a przechytrzy nawet największego spryciarza. Tylko to jego lenistwo mnie martwi; i nie kocha ziemi. Nic to, że chodzi po niej, że ją depce, nic to, że z niej żyje, że ona

go nosi. Nie uszanuje jej, kiedy przejdzie w jego ręce. Tylko że ona nie przejdzie, jeśli on się nie zmieni; już mu to raz powiedziałem i jeszcze mu powiem.

— Dajcie spokój, kumie! Wy byście chcieli, żeby wszyscy byli tacy jak wy albo wasz Mychajło.

— A dlaczego by nie? Jak ja mogę być dobry, to dlaczego nie ma być dobre moje dziecko? A zresztą... po co człowiek żyje? Czy nie po to, Dokio, żeby ciężko dzień i noc pracować? Chcę, by moja ziemia, jak kiedyś zamknę oczy, przeszła w pracowite ręce. Nie ukradłem jej i nie wycygałem. Ja i moja Maryjka — oboje dorobiliśmy się jej, tymi naszymi rękami dorobiliśmy się. Ona nasiąkla naszą krwią i naszym potem. Każda grudka, każda skiba może poświadczyć, jak ciężko uginały się nasze plecy, żeby ją zdobyć, jak często tuczyliśmy się głodem i chłodem, aby zarobek szedł nie na kęs chleba, ale na nią, na grudkę ziemi! Wie o tym cała wieś. Począwszy od samego pana, który znał mnie jeszcze jako chłopca, aż po każdego gospodarza i wyrobnika w wsi.

— Wiem, wiem, kumie. Kiedy miała się budować kolej w naszym kraju i przebiegać przez sąsiednią wieś i ten wielki las, i przez te trzęsawiska, które ludzie z daleka omijali... Wtedy to było, kumie. Wiem przecież! Wy i wasza żona najęliście się do noszenia kamieni, piasku i żwiru. Wiem!

— Ano właśnie, właśnie! — przytakiwał z roziskrzonymi oczyma. — Wszystko to nosiliśmy, a i więcej jeszcze! Ziemię i drzewo, i węgiel, i Bóg wie, co jeszcze!... Trzeba było pozasypywać i osuszyć wszystkie te okropne grzęzawiska, rozrzucone po lesie i po polach. A kto to wszystko zrobił? Ludzkie ręce. A między nimi były też ręce moje i mojej Maryjki. Maryjka zdrowie tam utraciła. Nie macie pojęcia, Dokio — ciągnął dalej — żałowaliśmy wtedy na kęs mięsa dla siebie. Ona nigdy kury nie zarznęła, nigdy nawet jednego jajka nie zgotowała, kropli mleka nie wypila. Wszystko obracaliśmy w pieniądź, aż w końcu dorobiliśmy się tego, co mamy. Bóg jeden tylko wie, jak to było, nie da się tego opowiedzieć. Ale

mieliśmy przecież dzieci i trzeba było kiedyś coś im zostawić. Kto inny miałby to zrobić? Ludzie mówią o nas, żeśmy skąpi, ale powiedzcie sami, Dokio, taka dobra z was gospodyni i wszystko macie w swoich rękach, powiedzcie, czy można tak lekko wypuścić z rąk to, co przyszło z takim ciężkim trudem?

Dokia przytaknęła głową i powiedziała:

— Ale teraz możecie już lepiej żyć... Teraz macie, chwała Bogu, z czego!

— Lepiej? Niby zacząć teraz to wszystko przejadać? Nie, Dokio! Tak nie wolno! Bogu dzięki, nie potrzebujemy tego, chłop wiele nie potrzebuje. Mamy teraz karmić się bułkami, kiedy w najcięższym czasie mieliśmy dość sił z czarnego chleba, mamałygi i fasoli? Mam sobie kawę gotować? Na to dość dziś jest panów!

— Przydałoby się wam więcej odpoczynku. Wam i waszej żonie.

Iwonika roześmiał się.

— Tak dziś mówicie, kumo — powiedział — jakby kiedyś wasze ręce odpoczywały. A czy wy odpoczniecie, kiedy wasze dziecko opuści dom?

Przecząco poruszyła głowę.

— A widzicie — zawołał wesoło. — Dopóki Bóg da mi siły i pozwoli żyć, tak długo będę pracował. Bóg już sam nas wezwie, kiedy trzeba będzie odpocząć. Nasza dola, to pracować, bo odpoczywać będziemy potem bez końca. Tak już sam Bóg dał, Dokio!

— Tak już sam Bóg dał... — powtórzyła jakby z żalem. — Tak już... sam Bóg dał!

Po chwili milczenia Iwonika pociągnął łyk z flaszki, wyrobionej z gliny na kształt kołacza, po czym mówił dalej:

— Nawet myśleć nie mogę o odpoczynku! Na wiosnę Mychajło staje do asenterunku, a tam... już nie na długo mi go zostawia w domu. Za parę miesięcy nastanie jesień i zabiorą go. Wtedy część jego pracy spadnie na mnie. Nawet nie chcę myśleć o tym, jak to będzie, kiedy zostanę bez niego.

— A nie możecie go zwolnić z wojska? — spytała Dokia, zniżając głos.

— Zrobię wszystko, co tylko będę mógł.

— A pan? — spytała Dokia jeszcze ciszej, skinąwszy głową w stronę pokoi. — Przecież on was i waszego chłopca tak lubi. Pomagał wam już nieraz, kiedy było trzeba. Zawsze was tak chwali. „Nie ma we wsi lepszego i porządniejszego od Iwoniki” — powiada, więc miałby wam nie pomóc?

— Już z nim o tym rozmawiałem — odpowiedział Iwonika szeptem. — Ale on powiada, że mojego chłopca nie da się zwolnić. Mówi, że mam jeszcze młodszego syna, że oboje jesteśmy zdrowi i dlatego Mychajła nie da się uwolnić. „Nawet niczego nie zaczynaj — powiedział — i nie wyrzucaj pieniędzy, bo i tak chłopca ci zabiorą”. Tak mi właśnie powiedział i dodał: „Przez te trzy lata chłopiec świat zobaczy i zdobędzie naukę, która mu się na pewno w życiu przyda; nic mu się nie stanie, nie bój się”. Mówił, wiecie, tak jak się to mówi. Może ma on i rację, trzeba oddać, jak powiadają, cesarzowi, co cesarskie. Ale Doki, przecież są na świecie tysiące tysięcy żołnierzy, po co i mój ma tam iść? Dlaczego i ja mam jeszcze utracić swoje dziecko? Patrzcie na niego, jak tańczy...

Popatrzył za tańczącym chłopcem i głos uwiązł mu w gardle.

— Tańczy. Tyle jego — odpowiedziała Dokia, a potem powtórzyła smutno: — Dlaczego jeszcze i on ma iść?

— Krwi bym własnej utoczył, żebym tylko mógł go zatrzymać — ciągnął dalej Iwonika. — Pomyślcie tylko, Doki: trzy lata! Trzy lata zostać bez prawej ręki. Trzy lata uprawiać ziemię bez niego, bez niego zbierać, bez niego siać, naszych pszczoł bez niego doglądać... A bydlę? Myślicie, że bydlę tego nie odczuje? Wyobraźcie to sobie! Ja nie dam rady codziennie go czyścić i czesać tak jak on, a jego młody głos bydlę zna lepiej od mego. Kiedy pomyślę o tym wszystkim, a o niczym innym my-

śleć nie mogę, to serce w piersi mi zamiera z żalu i świat przed sobą nie widzę.

— Róbcie co, kumie — powiedziała Dokia stanowczo i obejrzała się ostrożnie dookoła.

— Chciałbym tak... — zaczął. — Mam trzysta reńskich. Bóg tylko jeden wie, jak ja je uskładałem! Grajcar<sup>1</sup> do grajcara... z roku na rok... to za zboże, to za miód, to znowu coś tam z bydła sprzedawałem... no i uskładało się. Za to może wykupię syna! — zakończył szeptem, przysuwając się do Dokii. — Ciężko je zarobiłem, może przyniosą mi szczęście. Chętnie je oddam, komu będzie trzeba. I jeszcze więcej bym dał. Sprzedałbym tę parę czerwonych wołów.

— Te wasze wspaniałe woły?! — krzyknęła Dokia zdziwiona, niemal z przerażeniem. — Nie róbcie tego. To wielka szkoda!

— Dlaczego? — zapytał. — Rad bym to zrobił, gdybym wiedział, że zostawią mi Mychajła w domu. Jak będziemy żyć i będziemy zdrowi, to postaramy się o inne. Żebym tylko miał przy sobie te młode ręce, reszta wszystko bajka. Ręce, Dokio, ręce, to całe nasze bogactwo, to nasz majątek, nasz skarb.

— No to róbcie coś, kumie. Wyszukajcie kogoś, kto by to załatwił, i szykujcie pieniądze.

— Pójdę do jednego znajomego Żyda w Cz...

— Do Żyda, kumie? Czy to będzie dobrze? — zapytała.

— Dlaczego nie! Niech tam sobie ludzie mówią, co chcą, a Żyd może wszystko. On wszędzie pójdzie, z każdym się dogada, potrafi z panami rozmawiać, rozumie się na prawie, a my? Choćbyśmy i co powiedzieli, to nikt na nas nawet uwagi nie zwróci. My nic nie możemy. Potrafimy tylko kłaniać się panom, całować ich po rękach, ale jak co powiemy, to wiadomo, że tylko „po chłopsku”. Nikt nas nie wysłucha. Jak pan na nas krzyknie — ciągnął dalej — to już się strachamy, zaraz byśmy chcieli

---

<sup>1</sup> Reńskie i grajcarry — austriackie monety i bilon.

uciec. Wiem to sam po sobie, że tak już jest. A na Żyda jak krzykniesz, to ci się w twarz roześmieje. I panu też roześmieje się w twarz, podejdzie bliżej i tak pana zagada, że na koniec rękę mu poda.

— Mają oni rozum, o wszystkim wiedzą — odrzekła Dokia poważnie.

— Oj, wszystko oni mogą. Wiem, że mogą!

— Dlatego chcę pójść do Żyda, do Bunia Czernowieckiego, znacie go, i niech on coś robi. W tym jeszcze moja nadzieja, że Mychajło zostanie przy mnie. Chociaż pan mówił, że to się na nic nie zda, to ja jednak spróbuję z tym Buniem. Zawsze jest jeszcze jakaś nadzieja.

Umilkł na chwilę, opuściwszy głowę, jakby namyślał się nad czymś. Nagle podniósł w górę flaszkę z wódką, łypnął oczyma i zawołał:

— Ale i tak, kumo, urządzę Mychajłowi takie weseliśko, jakiego jeszcze nasza wieś nie widziała! Chleb i bułki kupię aż w Czerniowcach. Cały mój miód pójdzie do wódki, samym miodem będę częstować. Zarżnę krowę, sprowadzę Cyganów z Hłynicy, będą u mnie grać cały tydzień. Przez dziesięć lat będą ludzie wspominać, jakie to wesele wyprawił Iwonika swojemu Mychajłowi! Uch! — huknął naraz z niesamowitą wesołością, poderwał się z młodzieńczym ożywieniem z ławy, rzucił flaszkę o ziemię, aż rozprysła się na drobne kawałeczki, a ci, co tańczyli, na chwilę zastygli w bezruchu, a potem chwycił za rękę Dokię i porwał ją do tańca.

Rozpoczęli go powolnymi ruchami i krokami, to w prawo, to w lewo, raz na prawo, raz na lewo. Potem kroki ich stawały się coraz szybsze i drobniejsze, coraz bardziej porywcze i dziksze, aż szal ich jakiś porwał i niósł jak wicher... Młodzi też się rozochocili. Zachęceni tańcem starszych i ich wesołymi, podnieconymi okrzykami, tańczyli z jeszcze większą werwą. Chustki i wstażki migały w powietrzu, długie włosy opadały na plecy, rozszalała się z niepohamowaną siłą jakaś wyzwolona radość. Z piersi wyrывały się raz po raz pohukiwania... Nogi deptały ziemię, a tony cymbałów i skrzypiec co chwilę wynurzały



się z monotonnym jękiem, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Anna znowu stała na dawnym miejscu. Przypatrywała się, jak przedtem, tańczącym, ścigając przy tym wzrokiem jedną głowę. Jej poważna śniada twarz jakby o jeden odcień pobladła, a w oczach gorzał nieutulony żal...

Nagle ocknęła się.

Zostawił swoją dziewczynę i zwrócił się ku niej, szedł... Oblała ją gorąca krew, świat się przed nią zachwiał.

— Chodź, Anno, zatańczymy! — powiedział nieśmiało i podał jej rękę.

Wyciągnęła do niego ręce i w tym momencie muzyka przestała grać. Z jękiem pękła jedna struna i wszyscy zatrzymali się w miejscu.

— Zwiąż szybko i graj! — huknął stary Petro, który roztańczył się do utraty pamięci i za nic teraz nie chciał przestać.

— Nie, już dość! — krzyknął ktoś.

— Kto ma dość, niech się wynosi na dwór — odkrzyknął.

Ale inni nie byli tego zdania. Struna też nie dała się tak szybko związać. Dokia, która zaraz po tańcu usiadła, podniosła się ze swego miejsca. Wysoka i poważna, jak caryca, stanęła pośród zebranych i zaprosiła ich do domu. Już dość się tu natańczyli. Byli przecież nie u siebie i nie na tańcach. Już czas do domu. Aż w izbie pociemniało, tak tańczyli. Pomęczyli się, czas wracać, koniecznie...

Dwie dłonie rozłączyły się, zanim się zetknęły. Stary Iwonika podszedł i wziął syna pod rękę. Anna pozostała sama na miejscu.

W kilka minut później w izbie panowała już cisza. Światło paliło się jak przedtem, po kątach chowały się cienie.

Anna klęczała przed swym łóżkiem, nad którym wisiał na ścianie szerniały drewniany krzyż ze Zbawicielem; modliła się, z twarzą ukrytą w pościeli i splecionymi kurczowo nad głową dłońmi; modliła się bezgłośnie.

Przez okna zaglądała noc wielkimi, pustymi oczyma, mrok gęstniał coraz bardziej, dobierając się powoli i niepostrzeżenie do dziewczyny.

Była wiosna — czas poboru do wojska.

Iwonika wybrał się z Mychajłem do miasta, do rejestracji. Maryjka pozostała w domu, a młodszy syn, Sawa, poszedł w pole. Tu, na tych polach był cały ich majątek, więc nigdy nie pozostawiano ich bez dozoru. Oprócz chaty, stojącej niedaleko pańskiego domu, mieli tu jeszcze dwa szałas na polach. W jednym zawsze ktoś przebywał i zimą, i latem, w drugim przechowywano pszczoły, a w stajni, stojącej blisko tych szałasów, mieściło się ich piękne bydło. Za stajnią stały stogi ze zbożem i koniżyną oraz bielilo się duże, czyste klepisko. Wszystko to leżało jak w płytkim kotle. Opodał rozrósł się las, niby ogród. Pola jakby umyślnie zniżaly się tu, chroniąc swe bogactwo przed ciekawym okiem — szczególnie pszczoły i bydło, które stanowiło przedmiot dumy Iwoniki; para młodych byczków, para wspaniałych czerwonych tyrolskich wołów, dwie krowy i kilka cieląt. Latem Iwonika lub Mychajło nocowali z nimi w stajni, w zimie pilnowali ich, mieszkając w szałasie.

W sąsiedniej wsi od niepamiętnych czasów byli złodzieje, a kiedy wybierali się w te strony, musieli przechodzić przez pola Iwoniki. Dlatego ciągle ktoś musiał prześiadywać w zagrodzie jak na warcie. Stąd Iwonika miał wszędzie blisko do swych pól i niw. Tu pszczoły chowały się lepiej niż przy chałupie we wsi, „na górze”. Tutaj zwoził zawsze swoje zboże, młócił, przechowywał, sprzedawał i żył uczciwie i swobodnie jak leśny ptak.

Iwonika nie lubił, kiedy przy robocie ktoś mu się przyglądał, zwłaszcza jeśli ktoś przypatrywał się jego pszczołom. Był przekonany, że im to szkodziło, i niemal nigdy nie dopuszczał nikogo obcego do uli. Zawsze widział już z daleka, gdy ktoś szedł do niego. Wtedy wychodził mu kilkadziesiąt kroków naprzeciw, zdejmował z siebie pas (odpędzał w ten sposób wszelkie licho, jakie jego gość

mógł przynieść dla bydła), pozbawiając w ten sposób ludzi okazji od uważniejszego przyglądania się jego majątkowi. Nie dlatego, żeby bał się, że ktoś w szalasie albo wokół niego wyciągnie po coś rękę. Boże broń! Nigdy nie był tak złego mniemania o swoich sąsiadach, mimo tylu doświadczeń w swym życiu. Bał się tylko złych oczu, bał się siły ziela, które, zamówione złymi słowami i podrzucone pod jakąś rzecz albo pod bydło, albo też pod ul, mogło spowodować wielkie nieszczęście, a niekiedy nawet śmierć. Bał się wszelkich takich nieczystych i czarodziejskich rzeczy, na których niektórzy znali się tak jak na codziennym chlebie. Najbardziej bał się o swoje pszczoły, którym było tu na polu jak w raju. I byłaby duża strata, gdyby któryś rój, przyciągnięty złym spojrzeniem, osiadł gdzieś na nieznanym miejscu i przepadł dla niego bezpowrotnie.

Na rozległej przestrzeni, która gdzieś hen, aż na horyzoncie łączyła się z błękitnym niebem, w lecie pyszniła się dookoła zagrody piękna pszenica, kołysało się rytmicznie i falowało złote żyto, a tu i tam biegły zielone pasma koniczyzny, obsypane różowym, pachnącym kwiatem i bieleły się niwy drobnej hreczki. Na pół mili niósł się od niej miodny zapach, wabiąc do siebie owady.

W niektóre dni, kiedy niebo stawało się jedwabście niebieskawe, a słońce spływało lśniącym złotem, kiedy wszystko pęczniało przenikającym je ciepłem, wypychane gwałtownie z ziemi na powierzchnię — żyło się przepięknie! Takie właśnie dni były najmiłsze dla Iwoniki. Uśmiechał się wtedy sam do siebie i przyjaźnie rozglądał. Sam przeżywał to, co ziemia, i tworzył z nią jedność. Wiedział, co miłe było zbożu i wszystkiemu wydobywającemu się z ziemi, zwłaszcza po deszczu. Niemal czuł i dostrzegał, jak ziemia pękała z rozkoszy, jak syciła się sokami, jak nasyciona oddychała ciężką wonią. W tym jej oddechu wszystko się kąpało. Wiedziały o tym jego pszczoły — były mądre i obrotne — i ani jedna w taki czas nie pozostawała w ulu, chyba że któraś musiała. Wyfruwały pośpiesznie, latając skrzętnie i bezładnie łukiem od jednego do drugiego kwiatu, krążyły coraz niżej nad ziemią i brzę-

czali z takim ukontentowaniem, że to ich brzęczenie, złączone w jednym nurcie, stanowiło jednostajną, ale niewypowiedziane harmonijną, usypiającą muzykę, która daleko, daleko niosła się w ciszy... Niwy z koniczyną rozciągały się hen, hen, wabiąc każdego, a ich białe i różowe kwiaty na tle bujnej zieleni, uśmiechając się swymi kolorami do jasnego słońca, kłoniły się do lekkiego pólśnu, ukołysane jednostajnym, delikatnym brzęczeniem pszczoł.

Piękna była ziemia.

Żywa i świeża w swych barwach, szkoda tylko, że nie mogła przemówić.

Iwonika kochał ją. Znał ją jak siebie samego, w różnych porach roku, w różnych jej nastrojach. Przypominała człowieka i domagała się ofiar. Kiedy była zła, bał się jej więcej niż pociemniałego nieba, zwiastującego burzę. A zła była, kiedy daremnie pożyła deszczu, kiedy przez całe tygodnie daremnie tęskniła za chłodnymi, ożywczymi kroplami wody, a zamiast wody palące promienie słońca wypijały jej soki. Kurczyła się wtedy tu i tam na wypukłościach i pękała z gniewu, stawała się twarda i nieprzystępna, nie wydawała żadnych plonów. Ponieważ zieleniło się na niej i rosło, odbierała ten pokarm, który słabł i wiadł, bladł i przechodził powoli w zupełną martwość.

Sawa, młodszy syn Iwoniki, przyszedł do zagrody, by napoić bydło i nakarmić dużą sukę Sojkę, uwiązaną przy stajni.

Nadszedł powolnym krokiem. Wszedł do stajni, spojrzał na bydło, które zwróciło w jego stronę leniwie łby i żując, śledziło za nim dużymi, łagodnymi oczami. Po chwili wyszedł. Nie chciało mu się go poić. Wróci Mychajło, to napoi. Jak tamten pójdzie do wojska, to dość się za niego narobi. Co jak co, ale to go nie ominie.

Żeby już raz poszedł i przestał go ciągle śledzić! Stale mu czymś dokuczał, o czymś pouczał! Raz, że nie dość pilny, że nie wykonał roboty, jak trzeba, to znów, że za dużo włóczy się po wsi albo też, że za bardzo mu tańce i dziewczęta w głowie... Co go to wszystko obchodzi?

Dobrze wie, po co chodzi do wsi i na tańce, i on, Mychajło, myśli, że jeśli jest starszy, to ten młodszy ma go zaraz we wszystkim słuchać. O, nie, nic z tego. Albo i on, i ojciec zabraniają mu spotykać się z wujkiem Hryhorym. Nazywa go „obwiesiem” i mówi wprost, że jak ojciec, mama i on nie spojrzą nawet w tę stronę, to i Sawa nie śmie inaczej postępować. Tak!

Co? On nie śmie inaczej postępować? Ha, ha! To się jeszcze zobaczy!

Kochał się w czarnookiej Rachirze, córce wujka Hryhorego, i nigdy jej nie porzuci. A co ojciec miał z wujkiem — to go nie obchodziło. Kłócili się, to się kłócili, on temu nie winien. Wujek Hryhory fałszywie świadczył przeciw ojcu i przesiedział za to kilka miesięcy w areszcie, ale co to jego obchodzi? Niechby ojciec nie wywyższał się tak nad wuja Hryhorego; zawsze na niego spode łba patrzył, jak na gadzinę, więc ten wściekł się raz i ukąsił. Pewnemu gospodarzowi zginęły z chaty jakieś rzeczy i pieniądze, a wujko poświadczył wobec sędziego, że tato maczał w tym palce. I od tego czasu zaczęło się piekło. A po drugie mówią, że jemu, Sawie, nie godzi się chodzić do Rachiry, bo to jego bliska krewna. Córka rodzonej siostry jego matki, grzech! Ale on gwiżdże na to! Niech tam inni boją się takich grzechów, jemu one nie-straszne...

Hryhory i Rachira też się z tego śmiali. I Hryhory nie był głupi. Widział kawał świata. Chodził prawie co roku na roboty do Mołdawii i po powrocie o niejednym umiał opowiedzieć, co widział, co słyszał, a i co sam „narozrabiał”. Nie uważał wcale tego za grzech, że Sawa kocha się w Rachirze.

A poza tym, chociaż byli biedni — a byli biednymi wyrobnikami, którzy dzierżawili pole i chodzili na roboty, zwłaszcza jego ciotka, Tetiana — to jednak obdarowywali go zawsze, czym mogli, gdy tylko przyszedł, i gościli, nie trzęsąc się nad każdym grajcarem jak ojciec i matka. Tato nie pozwalał mu palić, bo sam nie palił, a Hryhory zawsze przynosił mu z Hopplacu paczkę tytoniu, jeśli

wiedział, że mu się już tytoń skończył, a chciało mu się palić. U ojca pił wódkę tylko trzy, cztery razy w roku, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na święto patrona cerkwi i na Nowy Rok albo w zapusty — a tu częstowali go nie raz i nie dwa, lecz kilka razy w tygodniu. Ale już najlepsza była dla niego Rachira...

Kiedy Mychajło domyślił się, że on kocha Rachirę, i stwierdził, że czasami nocuje u wujka Hryhorego, rzucił się na niego i łajał: „Wstyd nam robisz, Sawo! Kochasz pustą dziewczynę, na którą żaden porządny chłopiec we wsi nawet nie spojrzy i nikt uczciwy nie weźmie jej za żonę. To wstrętna Wołoszka, Cyganka. Przypatrz się jej zębom i jej ustom! Czy ona ciebie czym zaczarowała? Przypatrz się, jaka ona wstrętna! Czoło zarośnięte włosami, a oczy jak u diablity albo głodnej suki!

Nic na to bratu nie odpowiedział. W ogóle niewiele mówił, kiedy rozmowa schodziła na Rachirę, ale o porzuceniu jej ani myślał. Jeśli nie mógł jej przez kilka dni zobaczyć, bo ojciec zwał na niego robotę, był po prostu chory. Chodził jak struty, chudł i trzęsło go ze złości. Niedobrze było go wtedy drażnić. Długo nie wytrzymał. Jak spiętrzona na tamie woda, która runęła całą masą i rozerwała groblę, tak jego miłość łamała wszystkie obowiązki i względy wobec rodziców, i gnał do niej. Hojnie wynagradzała go za cały ten zmarnowany czas i jeszcze mocniej przywiązywał się do niej.

Chyba żadna dziewczyna na świecie nie umiała tak kochać jak ona. W jej objęciach przeobrażał się zupełnie. Wielkimi, czerwonymi ustami wysysała z niego całą energię i siłę; zniewalała go, gdy tylko spoglądała na niego swoimi oczami. I pod tymi spojrzeniami, które albo się śmiały, albo rzucały na niego iskry — miękł, słabł i tracił zupełnie wolę. Jej śmiech, głośny, krótki, urywany śmiech unicestwiał w nim wszelkie myśli i porывał za sobą, a jej słowa trafiały mu zawsze do przekonania.

Zdawało się, że całe jego jestestwo zbiegło się w tym jednym uczuciu, w miłości do niej, która przekreślała wszystko inne. Pławił się i pogrążał w tym uczuciu. Czuł

ją w sobie jak życie i ani mu przez myśl nie przeszło rozłączyć się z nią.

Śmiał się z nią z ojca i brata. Cóż oni mogli wiedzieć, jak im jest z sobą! A kiedy drażnili go zakazem chodzenia do Rachiry, groził, że ucieknie z nią do Mołdawii. Tak, prędzej ucieknie z nią do Mołdawii, niż miałby ją zostawić.

Wyszedł ze stajni i rozejrzał się wokół. Było cicho i pusto. Ziemia leżała jeszcze czarna i naga, jak daleko okiem sięgnąć, hen, aż po skraj widnokregu; tylko tu i ówdzie zieleniły się pasma oziminy, odcinając się od ciemnej, nie zaoranej jeszcze roli. Splunął przed siebie. Nudno tu, że strach! Kiedy Mychajło przesiadywał tu, grywał na fujarce. Ale on ani nie umiał grać na fujarce, ani nie lubił jej żałosnych tonów. Bolały go. Do diabła! Musiał teraz siedzieć i nudzić się. Żadna ludzka dusza tu nie zajdzie i niczego żywego nie zobaczysz. Czym tu się zająć? A siedzieć przecież musiał. Gdyby odszedł, mógłby ktoś wleźć i wszystko wynieść z zagrody, no, wtedy by się nasłuchał; zresztą byłaby to duża strata. Szczupły i zgrabny, wyprostował się, założył w tył ręce, podniósł głowę i zmrużywszy na chwilę oczy spoglądał na lekko zachmurzone, wiosenne niebo.

Robił to z przyzwyczajenia. Lubił strzelać do ptaków i kiedy tylko stanął gdzieś beczynn timer, zaraz mrużył oczy i szukał czegoś pod chmurami. Czasami bez żadnej myśli. Kilka ptaków, które ściagały się wysoko, znikło na chwilę i pojawiło się znowu, zwracając na siebie jego uwagę. Śledził przez jakiś czas ich powietrzne igraszki i nagle strzeliła mu do głowy jakaś myśl. Pobiegł szybko do szalasu, porwał ze ściany ojcowską strzelbę, wrócił na dawne miejsce, podniósł strzelbę w górę, zmierzył się do ptaków i strzelił...

Dobrze strzelił. Jeden ptak, jak czarna kropka rosnąca z szaloną szybkością, upadł na ziemię. Pobiegł szybko w tę stronę i popatrzył, do czego strzelał. Był to wróbel. Strzał rozerwał go zupełnie.

Podniósł go i rzucił uwiązanemu na łańcuchu wielkiemu psu. Patrzał przez chwilę, jak pies rzucał się, to znowu odskakiwał od maleńkiego okrwawionego ptaszka. Potem nie zobaczył już nic więcej. Huk wystrzału spłoszył ptaki. Rozpierzchły się i znikły.

Sawa uśmiechnął się.

Mychajłowi by się to nie udało, choćby mu i lwa postawić. Bardzo źle strzelał. Brał strzelbę do ręki tak jak baba. Tak niezgrabnie. No, z niego to dopiero będzie żołnierz! Jak on będzie strzelał na wojnie do ludzi, skoro nie potrafi zastrzelić zająca? Czy będzie i tam rzucał kijem, tak jak za zającami, jeśli chciał jakiegoś zabić?

Roześmiał się prawie na głos. Mychajło to baba, chociaż był silny jak niedźwiedź, plecy miał jak wielkolud, zarzucał na nie worki jak nic; co prawda, do roboty był zdatny, jak rzadko kto. Ale serce miał miękkie jak ciasto.

I znowu się uśmiechnął.

Czy jednak wezmą go do wojska?

Bardzo by chciał, żeby go zabrali. Nie potrzebowałby się wtedy wykradać do Rachiry jak złodziej. Bo ojca się nie boi; ojciec jest dobry i w oczy nic mu nie mówi, a mama niech sobie mówi i gdera, ile chce, on i tak nic sobie z tego nie robi; wieczorem ona za nim nie pójdzie jak Mychajło.

Stał jeszcze czas jakiś, pogrążony w myślach. Potem odniósł strzelbę na miejsce, zamknął drzwi od szałasu i oglądając się na wszystkie strony poszedł szybkim krokiem na ukos przez pola do niej.

Była późna poobiednia pora. Maryjka krzątała się po chałupie. Przesiadywała stale o tej porze w chacie „na górze” koło dworu i szykowała wieczerzę. Czekala na powrót z miasta Iwoniki i Mychajła.

Była to słaba, niestara jeszcze kobieta, o łagodnych rysach twarzy, na której ciężka, nieustanna praca i zgryzota wycisnęły piętno przedwczesnej starości. Żyła w zgodzie ze swym mężem, poważała go i podziwiała, mówiła do niego przez „wy” i bez szemrania spełniała jego wszystkie polecenia i życzenia. Trudno byłoby powiedzieć, któ-



re z nich było staranniejsze i pilniejsze; kiedy jednak o nim mówiono, że ma niezwykle dobre serce, jej zarzucano skąpstwo.

Wiedziała o tym i bardzo ją to gniewało. Czy to było skąpstwo, że dbała o dobro swoich dzieci, za które duszę by oddała? Że nie traciła, jak inne kobiety, czasu na plotki, że tego czy owego lekkomyślnie nie wydawała z domu lub nie rozdawowała? Że chodziła w połatanych rzeczach, nie stała nigdy przy źródle i nie prała? Ale była przecież dobrą gospodynią i miała w domu wszystko, co powinno być w każdej chacie i u każdej dobrej gaździny. I chociaż nikt o tym nie wiedział, to właśnie z tego była rada. Nikt nie wiedział, ile przechowywała w skrzyni własnoręcznie zrobionego płótna; ile wisiało u niej przepięknych, czysto wełnianych kilimów; ile miała poduszek, ile ręczników i bielizny, ile półkożuszków; i że w tej blaszanej, okrągłej puszcze, w której Iwonika przechowywał swoje ważne papiery — kontrakty dotyczące pola i różne inne dokumenty — leżały na dnie banknoty... A że najczęściej jedli barszcz i mamałygę, fasolę i kartofle — co to mogło kogo obchodzić. Nigdy jej nie obchodziło, co działo się w innych domach i kto co jadł i gotował. Zresztą, czy inni jedli lepiej? Chciałaby to zobaczyć! Nawet Dokia, która ciągle chwaliła się na całą wieś, że nikt nie umie tak dobrze gotować jak ona — gotowała codziennie barszcz. A co, może piła kiedy herbatę? Chyba że była chora albo stary Petro przywiózł z miasta, to ugotowała i parzyła sobie usta. Ale tak już jest na świecie: jak ktoś nie był skory do dawania, robienia prezentów czy pożyczania, a chciał dla siebie coś niecoś zostawić, to zaraz był „skąpy” i takie mu łatki przypinali, że Matko Chrystusowa! Dawno się już o tym przekonała. Zajrzała na dno „puszki” i dlatego trzymała się od wszystkich z daleka.

Miała tylko trzy dobre znajome, z którymi utrzymywała stosunki: dwie białe jak śnieg staruszki i jedną młodą mężatkę. Staruszki służyły jej w różnych sprawach radą, a młoda była jej towarzyszką „od serca” i przy robocie.

Poza tym nie dbała o niczyją łaskę. Iwonika był taki sam. Żył z wszystkimi dobrze, ale przyjaźnił się tylko ze starym Petrem.

Maryjki nikt nigdy nie widział w karczmie, bardzo rzadko na jarmarku. A w święta lub w niedzielę po obiedzie, zamiast pójść do wsi na plotki, kładła się na przyzbie i spała albo smarowała sobie i synom głowy i pięknie i gładko ich czesała, jak to czyniła w czasie, kiedy byli jeszcze małymi chłopcami, rozmawiała o bydło i o ziemi oraz o tym, jak to będzie w przyszłości, jeśli Bóg da doczekać. Czasem wychodziła z Mychajłem lub z Iwoniką w pole i oglądała zboże.

Dziś było jej ciężko na sercu, przygniatały ją niewesołe myśli.

Kiedy Mychajło poszedł z ojcem rano do miasta do rejestracji, narzuciła na siebie kożuszek i pobiegła na przełaj przez czarne pole do sąsiedniej wsi, do daleko i szeroko znanej wróżki Cyganki, żeby się dowiedzieć od niej z kart, czy Mychajło zostanie w domu, czy też wezmą go w jesieni do wojska.

Wróżka coś ciągle liczyła i liczyła w kartach, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa, i wreszcie tak powiedziała: „Masz wielkie zmartwienie, ale ciebie i twego męża czeka jeszcze większe. Leżą przed tobą potoki łez; kiedy wyschną wreszcie, będziesz płakać krwawymi łzami. Przystąpisz progi sądu, wydepczesz do niego ścieżkę... Wielki żal będziesz dźwigać ze sobą na tej ścieżce... Między biednych rozdasz swój majątek i od ludzi uciekać będziesz, i to, co ci najmiłsze, odejdzie od ciebie jak najdalej, a to, co stoi od ciebie daleko, będzie bliskie twemu sercu. Wszystko zależy od Boga. Będzie tak, jak Bóg zechce. On może wszystko odwrócić. Mychajle ściele się droga do domu”.

Z tym powróciła. Była zupełnie przybita. Wróżka zawsze odgadywała, kiedy się do niej przyszło, więc i tym razem chyba mówiła prawdę. Dlatego już teraz płakała. Było jej tak ciężko na sercu, że nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wiedziała, że Mychajła ostrzygą, chociaż teraz

„ściele mu się droga do domu”, i że pójdzie tej jesieni na dwa lub trzy lata, a może i na wieki... Nie wątpiła w słowa wróżki. Tamta mówiła tak, że trzeba jej było wierzyć. A gdyby tylko połowa tego się sprawdziła, to i tak czekało ją jakieś nieszczęście, były przed nią — jak to wróżka określiła — krwawe łyzy.

Wróżka ta była czarownicą. Różnymi ziołami i zaklęciami odebrała własnej siostrze męża, który, porzuciwszy żonę i dzieci, przyszedł do niej i żył z nią jak mąż z żoną, choć była od niego starsza i brzydka. Znała moc różnych rzeczy i nie rzucała słów na wiatr. Zwracali się do niej chłopcy i dziewczęta z sąsiednich wsi. Wszystkim pomagała. Jednym ziołami, innym zamówieniami. Mówiła jak z książki i odgadywała z kart, ale tylko tym, co przychodzili do niej z sercem i wierzyli w to, co mówiła. Sama Cyganka też wierzyła w to, co przepowiadała.

Cichutko popłakując, Maryjka zabrała się do roboty. Rozdmuchała ogień, przystawiła wieszak, przeliczyła wszystkie kury i kaczki i przygotowała węzełek ze śniadaniem na jutro, bo o świcie Iwonika miał iść z Mychajłem w pole orać. Drepcząc tak z kąta w kąt, nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do chaty Sawa, który, stanawszy w kącie pod piecem, śledził ją w milczeniu z osobiwie drwiącym wyrazem twarzy. Sawa był wysoki, wyższy od swego brata, ale wątłej budowy jak matka. Z twarzy też ją przypominał i byłby nawet ładnym chłopcem, gdyby nie rozbiegane nieustannie oczy, zimne i niespokojne. W jego miłej, niemal dziecięcej twarzy przykro raziło odpychające spojrzenie. Oczu tych nie miał ani po ojcu, ani po matce. Podczas gdy oczy Iwoniki odzwierciadlały dobre serce i poczciwość, a spojrzenie Maryjki miało miękkość głębokiego zatroskania, w uśmiechu niewypowiedziane łagodne i piękne, to jego oczy, duże i siwe, nie miały nic wspólnego z jego młodą, dziecięcą twarzą. Jakby ciągle myszkowały po ziemi, przeskakiwały od jednego do drugiego przedmiotu, jednak kiedy skoncentrowały się na czymś na chwilę, migotały chłodnym, stalowym błyskiem, napęniając łęką. Oczywiście zmienna gra jego oczu

dokonywała się poza jego świadomością, co jednak w niczym nie zmienia sprawy. Chłodnym jak stal, stopniowo wzmagającym się błyskiem odpychał od siebie i dopiero jego młodzieńczy, łagodny uśmiech przywoływał nieobecną w tym spojrzeniu duszę.

— Mamo! — przerwał nagle ciszę dźwięcznym głosem. — Czy wieczera jeszcze nie gotowa?

Poderwała się z lękiem i obejrzała się.

— A niechże cię! — krzyknęła, unosząc wysoko brwi, jakby odczuła nagle silny fizyczny ból. — Aleś mnie przestraszył! — I zirytowana tym ciągnęła dalej: — Już ci się wieczery zachciało? A dlaczegoś tak wcześniej wrócił z zagrody? Bydłoś napoił? Miałeś tam siedzieć, dopóki ojciec nie wróci i Mychajło nie pójdzie tam na noc.

— Właśnie! Głodny miałem siedzieć?

— Czy ja dla nich szybciej szykuję, kiedy siedzą w zagrodzie? Dla wszystkich gotuję o jednej porze.

— Jak ja jestem głodny, to ich to nie boli.

— A gdzie ty byłeś dotąd? Chyba nie przez cały czas w zagrodzie? — zapytała złośliwie.

— Żał wam, żeście nie byli tam, gdzie ja chodziłem? — odpowiedział drwiąco i stał przed nią jak dębczak, krajając jej serce chłodnym błyskiem oczu.

— Niech cię Bóg skarże, Sawo! Mnie ze zgryzoty ciemno przed oczami, a ty jeszcze przychodzisz i pijesz moją krew.

— Ejże, czy to ja piję waszą krew? Może i ja jestem temu winien, że płaczecie? Może za mną płaczecie? Nie płaczcie za mną, bo ja waszych łez nie potrzebuję. Nawet jak umrę, to nie musicie za mną płakać!

— Sawo! — krzyknęła z przerażeniem.

— Milczcie! — powiedział pośpiesznie i wpatrzył się w podłogę, jakby szukał na niej kuli przebiegającej z jednego miejsca na drugie, schylając młodą, zazwyczaj bladą twarz, teraz pociemniałą z gniewu, który nagle zalał mu serce.

— Milczcie, powiadasz — odezwała się z gorzkim uśmiechem. — Kiedy słyszę od ludzi, jak o tobie mówią, to i tak

muszę milczeć, mój synu — ciągnęła powoli, nabrzmiałym goryczą głosem. — Nie mogę nawet wyżalić się przed nimi, bo mi wstyd. Taki wstyd, że nieraz pod ziemię bym się zapadła, że mój syn wybrał sobie dziewczynę bezwstydną, córkę człowieka, który jest największym złodziejem we wsi i który twego ojca chciał wpakować do kryminału, a teraz, gdzie tylko może, psy na nim wiesza. Jego córka taka sama jak on, nawet jeszcze gorsza, a ty łazisz do niej, biegasz za nią. Ha, ha, ha! Wstydź się, Sawo — śmiała się pogardliwym, gorzkim śmiechem, ocierając łzy z oczu.

Sawa stał bez ruchu, nie zmieniawszy postawy, z pochyloną głową i rozbieranymi oczami, śledząc wszystkie jej ruchy i kroki. Chyba kochał swoją matkę, kochał ją więcej niż ojca i brata, ale były chwile, kiedy jej nienawidził, jak teraz, z całej duszy, gdy pomstowała na Rachirę i parskiała zniewagami jak jadem.

— I dlategoście płakali? — zapytał urągliwie.

Spojrzała na niego i powiedziała:

— Nie, tyś niewart tego, bym za tobą płakała. Płacę, że Mychajło pójdzie na jesieni w rekruty.

Uniósł wysoko brwi i spytał z lodowatym spokojem:

— Dlatego? No to płaczcie zdrowo dalej! Myślałem, że zgotowaliście już kuleszę, a wy zawodzicie jak po umarłych. Jak tak, to mogę sobie znowu pójść...

— A idź sobie, idź, skądś przyszedł!

— Idę właśnie tam, skąd przyszedłem — wybuchnął — abyście wiedzieli! Abyście właśnie wiedzieli! — I oczy jego zamigotały zimnym blaskiem.

— Idź! — krzyknęła wybuchając gniewem i podnosząc rękę. — Dziękowałabym Bogu, gdybyś to ty szedł dziś do wojska. Jak się wyśmiewasz ze słów matczynych, to niech psy po tobie płaczą, a jeśli lekceważysz rady matki i ojca, to niech ci wrogowie radzą. Idź z moich oczu, wynoś się!

Odwrócił się i wyszedł powolnym krokiem na dwór. Po stał chwilę, oddychając szybko z gwałtownego wzburzenia. Zastanawiał się, ale nie poszedł jednak od razu tam,

skąd przyszedł. Zajrzał najpierw cicho do stajni, gdzie stała jedna dojna krowa, i zaczął pładrować. Szukał jaj. Kiedy wyjął je z gniazda, zajrzał jeszcze do kurnika, zabrał pierwszą z brzegu kurkę, siedzącą na bantach, i wysunął się bezszelestnie na podwórze. Dopiero wtedy poszedł tam, „skąd przyszedł”...

## II

Maryjka została znów sama. Nie płakała już więcej. Zajście z Sawą odeгнаło łyzy. Opanowało ją niesłychane rozgoryczenie, które wykrzywiło boleśnie jej usta.

Dlaczego Sawa był taki zły? Dlaczego był taki zły, kiedy jako dziecko był dobry i serdeczny, taki jak Mychajło?

Czyż nie zapracowywała się dla obu, od kiedy przyszli na świat? Czyż nie żyła tylko dla nich? Czym go skrzywdziła? Nie karmiła ich jednakowo, nie ubierała? Jeszcze teraz, podobnie jak kiedy byli mali, sama myślała im głowy, opierała ich. Z całej duszy pragnęła widzieć ich dobrymi gospodarzami, żeby ludzie szanowali ich we wsi, żeby szanował ich świat. A jednak... podczas gdy Mychajło już od maleńkości wyczytywał z oczu ich życzenia, krzątał się koło gospodarstwa jak dorosły, pracował, harował, a przy tym był dobry i łagodny — Sawa był leniwy i uparty, twardy jak kamień, i w każdej chwili miał w ustach pełno złych słów, którymi doprowadzał rodziców do wściekłości. Nigdy nie potrafił wytrzymać długo przy jednej robocie, ziemia ciągle paliła mu się pod nogami; czuł się szczęśliwy, kiedy mógł uciec od roboty i domu, zarzucić strzelbę na plecy i wałęsać się po lesie i polach. Na tym znał się najlepiej. Strzelał wszystkie wróble w grochu, a w zimie zajęce, które podchodziły aż pod chatę do sadu, obgryzając młode owocowe drzewka. Ale to było wszystko, w co wkładał swoją duszę.

To on powinien iść do wojska zamiast Mychajła. On!! To byłoby dla niego prawdziwym szczęściem. Tam by na

pewno zrobili z niego człowieka. Skończyłby się jego po-  
ciąg do Rachiry — skarż ją Bóg! — i odmieniłaby się jego  
zła natura. Wszystko byłoby, jak Pan Bóg przykazał. Od  
kiedy się z nią spotyka, staje się z każdym dniem coraz  
gorszy, bardziej leniwy i twardszy, sprawiając tylko  
wszystkim zmartwienia i gorycz. I żeby się tylko na tym  
skończyło! Ale jak się z nią zechce ożenić, co wtedy?

Westchnęła ciężko i głęboko, zapaliła światło przy piecu  
i chciała wyjrzeć na dwór, czy Sawa rzeczywiście po-  
szedł — wieczera była już prawie gotowa, niechby już  
nigdzie nie chodził — kiedy w tym momencie drzwi otwo-  
rzyły się i wszedł Iwonika. Stapał w milczeniu, ciężkim  
krokiem, jakby nie widział nikogo w mieszkaniu; zaczął  
zdejmować z siebie ubranie i rzucać na łóżko.

Maryjka patrzyła na niego przez chwilę z lękiem i wy-  
czekująco, nie mając odwagi spytać, co się stało. Czuła,  
że zaszło coś niedobrego.

Wreszcie odezwał się.

— Straciliśmy naszego chłopca, Mario — powiedział, ale  
słowa wydobywały się tak wolno i ciężko, jakby miał gar-  
dło i usta napełnione łzami.

— Boże, Boże, Boże! — jęknęła Maria, załamując rze-  
paczliwie dłonie. — Co wy mówicie, Iwoniko!

— Straciliśmy, Mario, stracili!

— Wszystko przepadło! — powiedziała bezdźwięcznie. —  
Dlaczego Bóg nas tak ciężko karze, Iwonie, powiedzcie, dla-  
czego? — I po długiej chwili ciężkiego, jak deszczowa  
chmura, milczenia spytała. — A gdzie on jest?

— Poszedł prosto do zagrody rzucić okiem na bydło  
i przygotować pług. Chce, byśmy jutro o świcie szli orać.  
Ziemia czeka...

Maryjka wybuchła nagle głośnym płaczem, drżąc na ca-  
łym ciele. Świadomość, że syn był taki dobry i dbały i że  
go im odbierają, zaczęła krwawić jak rana, oddając ją na  
pastwę bezbrzeżnego, niepowstrzymanego żalu.

Taki właśnie był Mychajło! Głodny poszedł najpierw  
prosto do zagrody, by zajrzeć do bydła, przyszykować na

jutro wszystko do orki. I właśnie on musiał ich porzucić, odejść od nich na trzy lata.

— Mychajle! — krzyknęła i upadła na ławę. Potem zaczęła bić głową o ścianę, ciężko przeklinając. — Dlaczego miał odejść od nas z domu? Po co? Bodajby ci, co go nam zabierają, nigdy nie zaznali radości ze swych dzieci! Bodajby ci, co wymyślili wojsko, i to, żeby synowie porzucali rodziców w najpiękniejszym wieku, nawet w grobie nie zaznali spokoju, a tych, co wymyślili wojny, niech Bóg skarże, niech ich ciężko skarże! Niech się najedzą ziemi i udławiają się nią, niech się krwią opiją, jak im już czego innego za mało na tym świecie! Bodajby ich... żeby ich... niech ich!...

Iwonika milczał, patrząc ponuro przed siebie. Serce mu się krajało z żalu, ale zabrakło mu słów, by go wypowiedzieć. Żona co innego, kobieta... Walił tylko od czasu do czasu ręką w kolano. Ale oto Maryjka oderwała się nagle od ciskanych przekleństw.

— A pieniądze, Iwonie? — spytała, siadając na ławie, rozwarłszy szeroko oczy, w których jeszcze lśniły łzy. — Co się stało z pieniędzmi, jeśli Mychajło ma iść w rekruty?

Iwonika machnął ręką, jakby zrzekał się tych pieniędzy, i milczał.

— Co się stało z pieniędzmi, Iwonie? Za co Żyd je wziął, kiedy Mychajła zabrali? — nacierała dopytliwie.

— Żyd, Mario — odpowiedział zrezygnowany — Żyd gdzieś się zapodział. Nie widziałem go. Bóg wie, co się z nim stało! Może mnie ocyganił. Jak mnie oszukał, to niech go Bóg za to skarże, bo ja ciężko zapracowałem na te pieniądze. Chciałem im zapłacić, żeby mi go zostawili, nie odrywali go od chaty i od ziemi, ale kiedy już stało się inaczej, to widocznie sam Bóg tak chciał. Nie martw się, Mario! Jak Bóg da, złożymy sobie znowu tyle, ile przepadło. Niech się tylko na tym skończy. Co tam pieniądze! Żeby ręce zdrowe, to kupię parę młodych byczków, wyhoduję i za dwa lata będę miał to, co zła godzina wymamiła.



Maria roześmiała się gorzko.

— A za co kupicie młode byczki? Za odłożone pieniądze? Kto je odłoży? My? Ja już nie mam siły pracować tak jak dawniej, wy też się nie rozerwiecie, kiedy chłopiec nas opuści. Będziecie musieli najmować robotników, bo Sawa...

Urwała.

— Sawo! — krzyknęła głośno i ostro, przypomniawszy sobie o chłopcu. — Sawo, gdzieś ty? — Otworzywszy niecierpliwym ruchem drzwi, wyszła za próg i rzuciła w ciemność: — Sawo, chodź do domu! Tato wrócił. Mychajła zabrali! Chodź do chaty!

Ale na dworze panowała cisza. Z nocnej pomroki wyłaniały się otaczające dom gałęzie drzew owocowych; dalej ciągnęły się pola, a tu i ówdzie wyrastały z ziemi nieruchome sąsiednie chaty. Nic nie zakłócało ciszy. Niebo było zachmurzone i tylko gdzieniegdzie przebijały się przez chmury gwiazdy.

— Sawo! — krzyknęła Maryjka głośniej, niemal z rozpaczą i zaczęła nadsłuchiwać.

Ale i tym razem daremnie.

Gdzieś daleko we wsi, bodaj że pod lasem, szczekał pies, jego żalosne skomlenie przebijało się przez ciszę i wtargnęło aż tu, po czym zagubiło się w niej.

Rozdrażniona, odwróciła się i weszła z powrotem do mieszkania.

— Jednak poszedł — powiedziała gorzko do siebie. — Bóg by go skarał!

— Dokąd poszedł? — spytał Iwonika.

— Dokąd by? Do tej!... — odpowiedziała niecierpliwie i nie dokończywszy zdania splunęła przed siebie.

Iwonika westchnął ciężko. W tym momencie jego obolałym sercem, jak zła wróżba, targnęło jakieś przeczucie. Poczuł się przez chwilę straszliwie samotny.

— Mario! — powiedział ponuro, schylając ciężko głowę. — Żebyś wiedziała, że czeka nas nieszczęście.

— A czy ja mówię co innego? A ja co mówię? — odpowiedziała ze złośliwą satysfakcją. — Wygarnęlibyście

mu raz już, Iwoniko. Chłopiec jest coraz gorszy, coraz bardziej leniwy, a używa takich słów, że chyba płakać nad nimi. Przywołałibyście go raz do porządku, Iwonie, bo on już i was przestaje się bać. Zabierzcie się na dobre do niego, wy albo Mychajło, tak, żeby aż w kościach poczuł, żeby aż szerniał. Bo inaczej nic z niego nie będzie. I nic innego mu nie pomoże. Traktuje nasz dom jak karczmę. Przyjdzie, każe sobie dać jeść i pić i idzie dalej. Nie mogę inaczej, Boże, przebac, ale muszę ciągle jego i ją przeklinać. A najwięcej tego zbroja, Hryhorego. To on go uczy wszystkiego, co najgorsze!

— Tak, namawia go do wszystkiego złego — odpowiedział z troską Iwonika. — I czegoż on chce? Co mu zawińnięm? Że nie chciałem razem z nim wyciągnąć ręki po cudze? Żem nie okradał ludzi i nie chciałem mu towarzyszyć w kryminale? No i czy ja jestem winien, że on nie ma ziemi? To wszystko przez zawiść, wiem o tym dobrze, Mario. Widzi, że mamy i pole, i chatę, i bydło, a on nic, i to go gryzie. Ale czemu nie pracował tak jak my, Mario? Jego żona, twoja rodzona siostra, dostała od swego ojca tyle prętów pola, co i ty, ale kiedy my, jak te woły robocze, harowaliśmy od rana do nocy — Bóg jeden tylko wie, jak — to on siedział w karczmie i przepijał działkę za działką i przesypiał najładniejszą porę dnia. Leń cygański! A i to, co ona zarobiła, też wynosił do karczmy, a jak już nie było co wynieść z domu, to zaczął kraść. Kiedy nie chciałem u siebie przechować jego kradzionego byka, stał się moim najgorszym wrogiem. Zatrzuwa mi moje dziecko i pcha je na tę drogę, jaką sam idzie, bo nie chce kiedyś stanąć sam przed Bogiem!

— Właśnie! — dorzuciła ze złością Maria. — Wydaje mu się, że jak Sawa weźmie tę jego żmiję, jego Rachirkę, to my mu zaraz wydzielimy połowę ziemi i znowu będzie miał za co pić.

— A jakże, tak właśnie kombinuje — przytaknął Iwonika. — Ale tak nie będzie, jak jemu się zdaje. Sawa jeszcze młody, dziś mu ta dziewczyna w głowie, jutro inna.

Jak Mychajło pójdzie do wojska, to on sam zobaczy, że do roboty trzeba inaczej się brać, że to nie zabawa. Wtedy się zmieni, zwróci się znowu do ziemi, ona go wyleczy. Bóg nas nie opuści. Ciągłe nie tracę nadziei. On jeszcze młody i głupi, to inni namawiają go do grzechu.

Maryjka westchnęła i odezwała się dopiero po długiej chwili przygniatającego milczenia.

— Serce mi pęka, Iwoniko, kiedy pomyślę, żeście wyrzucili w błoto tyle pieniędzy, a Mychajła jednak wzięli. Jakże to może być? Gdzie tu sprawiedliwość? Idźcie, szukajcie Żyda i odbierzcie pieniądze. Wolałabym już te pieniądze dać na cerkiew. Pan nam dobrze radził, aleśmy go nie słuchali. Pomyślcie, Iwoniko, tyle pieniędzy!

Jęknęła i pokręciła rozpaczliwie głową. Iwonika wczepił palce we włosy.

— Już nic mi nie mów, Mario! — powiedział zdławionym, błagalnym głosem. — Gdybyś wiedziała, jak mi jest na duszy, tobyś nie wspominała o tym. Sam widzę, że nieszczęście. Zaczęło się już to nieszczęście i niech się już na tym skończy. Każde chce mieć swoją część. Coś się podkradło i pożarło moją krwawicę, ale niech już tylko na tym skończy. Nic już nie mów, Mario! Mychajło mówi inaczej: „Nie martwcie się, tato, powiada, jak wrócę, to wam zarobię swoimi rękami dwa razy tyle, tylko się nie martwcie”. A w lecie, Mario, jak Bóg da doczekać, pójdziemy do świętego Iwana do Suczawy i damy, co będziemy mogli, aby nam chłopiec wrócił zdrow do domu. Damy ojcom na mszę, aby modlili się za nas, żeby Bóg o nas pamiętał, a naszym dzieciom dał szczęście i zdrowie! Nie martw się, Mario...

Maryjka siedziała milcząco na ławie przy piecu i przytakiwała jego słowom, a przez jej wargi od czasu do czasu przebiegały bolesne drgania. Kiedy Iwonika przestał mówić, wstała i postawiła na stole wieczerzę. Co pewien czas wycierała dłonią łzy, które ciągle cisnęły się do oczu. Mychajła nie było jeszcze w domu, ale i tak stał ciągle przed jej oczami i przed wynędzniałą twarzą.

Następnego dnia o świcie, gdy tylko wzeszło słońce w swym purpurowym blasku, Iwonika i Mychajło wyszli w pole orać. Wokół daleko i szeroko rozlała się cisza. Ziemia rozciągnęła się, jakby w oczekiwaniu, dysząc ziemisto-wilgotnym oddechem. To tu, nad bagnami, to tam podnosiła się lekka, szara mgła, z siwego welonu przezierały ciemne płyty ziemi i jaśniejsze smugi ozimej zieleni. Na wysokim, czystym i błękitnym niebie szczebiotały niewidzialne skowronki, głosy dzwoniły ściszoną przez powietrze trelem. Ojciec i syn wyszli z zagrody w pole. Mychajło zaprzągnął do pługa wspaniałe tyrolskie woły i poganiał je, a Iwonika szedł przy czepigach.

— Chyba tu zaczniemy — zwrócił się do ojca i wskazał na czerniejące, szerokie pasmo ziemi, biegnące między dwiema płachtami zielonej oziminy.

— Jak chcesz — odpowiedział dobrodusznie ojciec. — Tu też będzie dobrze.

Przeżegnali się obaj, powiedzieli niemal równocześnie „szczęść Boże!” i woły ruszyły. Stąpały wolno, niemal leniwie, za każdym krokiem potrząsając pysznymi łbami w jarzmie, a Iwonika kierował pługiem.

Z chrzęstem wgryzła się w ziemię czysta, błyszcząca jak lustro stal szerokiego lemiesza, rozdarła ją ciągnąc za sobą bruzdę; po obu jej bokach ziemia miękko rozpadała się w kawały. Ziemia ochoczo poddawała się tej orce, nie stawiając nigdzie oporu, była miękka i krucha, grzejąc w słońcu swe odkryte łono; jej wilgotny oddech rozchodził się w powietrzu, zdradzając jej głębokie ukontentowanie.

Iwonika był dziś nieswój. Nie kierował dobrze pługiem, bo ciągle odwracał od niego oczy na syna, który objawwszy prawą ręką jednego woła za szyję, szedł wolno równą linią naprzód. I ten chłopiec miał go opuścić. Sama młodość, siła i zdrowie! Nie mógł napatrzeć się na niego, kiedy Mychajło od czasu do czasu oglądał się, by zobaczyć, jak się ojcu orze — jakby go dotąd dobrze nie widział i dopiero dziś mu się przyjrzał. Swoimi pocziwymi, niebieskimi oczami chłopiec patrzył tak, jakby chciał wyczytać każde-

mu z oczu jego życzenie i natychmiast je spełnić. Czyż on, ojciec, nie wiedział dotąd, jakiego ma pięknego chłopca? Ludzie mówili, że podobny do ojca jak dwie krople wody, ale on temu nie wierzył. On był drobnej, słabej budowy, z twarzą obrośniętą prawdziwą szczecina, a Mychajło był jak z obrazka. Nieduży, ale barczysty i mocny, o dziewczęcej niemal twarzy, tylko nad wargą zaczął mu się sy-pać wąs. Wiejskie dziewczęta dobrze wiedziały, jaki był, jednak trzymał się od wszystkich z daleka, był taki wsty-dliwy i zamknięty, że nikt nie mógł o nim powiedzieć, iż spojrział na którą dłużej niż na inną. I teraz miał go utra-cić! Przez trzy lata miał go nie oglądać w swoim domu, chyba że kiedyś tam, w czasie świąt, w obcym ubraniu, ostrzyżonego, przesiąkniętego cudzymi zwyczajami.

A ostra dyscyplina w wojsku, przed którą każdy drżał już z góry... O, jakież przygniatający ciężar włożył Bóg na niego, zabierając mu syna na tak długi czas! Jak będzie żył bez niego? Jak zagroda będzie bez niego wyglądać, zwłaszcza kiedy przyjdzie zima, a z nią zawieruchy i za-mieciec pomkną wściekle, jak złe siły, polami i zawieją wszelki ślad?

Młody chłopiec nie dawał się niczemu. Z uśmiechem wychodził z domu i z uśmiechem powracał. Wiosną jak jeleni przeskakiwał głębokie rowy po polach, którymi pę-dziła rozszalała woda, a jesienią, jak ptak w locie, w naj-gęstszym mroku rozróżniał wszystkie przedmioty na pustej przestrzeni.

— Tato! — przerwał nagle Mychajło rozmyślania oj-ca. — Może byście mnie puścili do pług? Słabiście coś dzisiaj i pług nie ryje dość głęboko ziemi. Prowadźcie woły, a ja pójdę za pługiem. Tak to lubię, a nie wiadomo, kiedy znowu będę mógł orać.

Stary w milczeniu ustąpił synowi miejsca. Był wzruszo-ny i poszedł chętnie do wołów.

Mychajło chwycił rażno za pług i obrócił go tak szybko w ziemi, że błyszczący żelazny lemiesz wrył się głęboko, rozrywając z chrzęstem korzenie roślin, a wielkie, podłu-gowate kawały ziemi rozsypały się szeroką ścieżką, kła-

dąc się łagodnie na jedną stronę. Srebrny lemiesz, jak dla zabawy, rozcinał czarną ziemię. Czasem chował się głęboko w jej kruchej masie, czasem wyskakiwał, połyskując oślepiająco w rannym słońcu, na jej powierzchnię, ciągnąc za sobą równe, długie bruzdy.

— W jesieni już Sawa będzie wam, tato, we wszystkim pomagał — odezwał się Mychajło po dłuższej chwili milczenia. — On wprawdzie nie pali się do roboty, no ale kto ma wam pomagać? Musicie go zmuszać do pracy, bo za dużo gania po wsi i stał się za bardzo butny. Jesteście za dobrzy, a on umie to wykorzystać.

— Martwię się Sawą, Mychajle.

— E, martwić się nie ma czym! On jeszcze głupi, ten nasz mały, i trochę uparty, ale to dobre chłopczysko.

— Bóg go tam wie, ale czasem to kamieniem na sercu legnie.

— Taki on, jak powiedziałem. Jakby miał rozum, nie traciłby czasu na wałęsanie się całymi dniami ze strzelbą po polach i lesie, ale przyłożyłby, jak należy, ręki do ziemi, która go karmi, i siedziałby na miejscu. No i słucha jeszcze Hryhorego — Mychajło wstydził się przy ojcu wymówić imię Rachiry — który namawia go do złego i do różnych głupstw. Kiedyś dostrzegłem, jak starannie chował przede mną jakieś ziele, które było mu chyba na coś potrzebne. „Co tam masz?” — pytam go. — „Co mam? Zgadnij.” „Skąd mogę wiedzieć, co ty tam masz?” „Jak nie wiesz, to nie muszę ci mówić” — odpowiedział. Roześmiałem się. — „Mądrala z ciebie” — mówię i znowu się śmieję. Chciałem go rozśmieszyć, ale on i tak się zachmurzył. — „No, Sawo — mówię — masz ziele od wróżki? Na kogo to ziele? Chcesz odegnać trutnie od pszczół? Na to jeszcze za wcześnie.” „Chcę nim rozpędzić tych, co mi stają na drodze” — powiada. — „No, no — żartuję dalej. — Może chcesz się pozbyć nieproszonych świadków, kiedy polujesz na zające? Radziłbym ci, żebyś dał spokój, bo teraz nie wolno do nich strzelać.” „Mnie wolno.” „Słuchaj no, Sawo — mówię do niego już poważnie. — Dlaczego z ciebie taki ciemniak?” „Martw się lepiej tym, jak

ci będzie w wojsku, a nie mną” — odpowiada. — „Będę się martwił, jak się już tam znajdę — mówię mu. — Ale ty zostaw to, z czego może być jeszcze jakaś bieda. Taka zabawa z ziołami, to dobra dla bab albo dla Cyganów, ale nie dla młodego chłopca. Weź lepiej łopatę i okop te dwie jabłoneczki koło zagrody. Trzeba wzruszyć ziemię przy korzeniu, szybciej zakwitną i zaowocują. Jak dobrze, że je dotychczas co roku okopywałem. Idź, Sawo, idź.” „A co mi z tego przyjdzie?” — spytał naburmuszony. — „Tobie? No i znów powiedział mądre słowo, że i stara baba lepiej by nie potrafiła. A co pszczoła ma z tego — jak mówi ojciec — że zbiera miód? A co ma ziemia z tego, że rodzi i nas karmi? A co mają z tego mama i tato, że nas mają i chowają? Co, pytam się? Tak już Bóg urządził i tak musi być! Przypatruj się dobrze, jak co robię, żebyś i ty tak robił i żeby rodzice byli z ciebie zadowoleni i nie smucili się za mną. Tak będzie i dla ciebie lepiej.” Ale on milczał. „Sawo!” — mówię. Odwrócił się ode mnie, przenosząc wzrok z ziela na moje nogi. — „Sawo! — powiadam. — Daj mi te zioła. Wstyd mi za ciebie, że masz je w rękach!” — A on — posłuchajcie tylko, tato — zatoczył błyskawicznie ręką w powietrzu nad zagrodą jakiś krąg, splunął przed siebie trzy razy, rzucił mi zioła pod nogi i uciekł. — „Ach, ty durniu jeden! — zawołałem wściekły za nim. — Jeszcze ten raz upiekły ci się te babskie czary, ale na drugi raz ci się to nie uda.”

— Nie chcę — ciągnął dalej, lekko podniecony — podnosić na niego ręki. Niech mnie źle nie wspomina, kiedy pójdę z domu. Mimo wszystko lubię go i żal by mi go było uderzyć. Ale widzę, tato, widzę wyraźnie, że go buntują.

— Że go buntują, to jasne, a bicie nie zawsze pomaga — odpowiedział stary z zatroskaniem. — Mama ciągle mówi, żeby go bić, ale nie mogę się na to zdobyć. Wciąż myślę, że z czasem przybędzie mu rozumu. Cała bieda w tym, że jeszcze młody i głupi. Z człowiekiem, to jak ze zbożem: na jednym miejscu dojrzewa prędzej, na in-

nym wolniej. Jeden przychodzi szybciej do rozumu, drugi później.

— Tak, to prawda — potwierdził poważnie Mychajło.

Zaczęli mówić o ziemi i o tym, jak to będzie, kiedy on pójdzie do wojska.

— Jak wam będzie ciężko, to sprzedajcie młode byczki — radził ojcu Mychajło. — Koło bydła trzeba chodzić dzień i noc, a wy będziecie mieli dość na swojej głowie, nawet gdyby Sawa wam pomagał. Bogu dzięki, jest u nas koło czego się uwijać. Sprzedajcie te byczki, dobrze schowajcie pieniądze, a jak wrócę, to kupimy inne.

— Tego nie zrobię — odpowiedział Iwonika. — A gdybym już sprzedał, to zaraz na ich miejsce kupiłbym młode i strzegłbym jak oka w głowie, bo to byłyby twoje, jak te, mój synku. Kiedy wrócisz ze służby do domu, weźmiesz je sobie. Jak Bóg da doczekać, to niech one przywiozą do domu skrzynię z wyprawą twojej żony, kiedy się ożenisz; przeznaczyłem je już dla ciebie. Zaczнеш z nimi gospodarować, a jak się ze wszystkim już uporasz, sprzedasz je i kupisz na ich miejsce inne, młode. Te dobre na początek. Zawsze, kiedy siałem i orałem nimi, przynosiły mi zysk.

Mychajłowi zrobiło się gorąco. Słowa ojca przejęły go wstydem i lękiem. Ojciec myślał, oczywiście, o jakiejś bogatej synowej, napomykając o posagu jego żony, on natomiast miał zupełnie inne zamiary...

Odwrócił myśli ojca od siebie jakimś pytaniem o nasiona i ucieszył się bardzo, kiedy zobaczył, że polem szedł do nich Onufry. Był to stary pański gajowy. Mieszkał pod małym pańskim laskiem, miał tam kawałek pola i chatynkę; pilnował lasu, choć bywało, że niezgorzej sam go okradał. Ludzie we wsi przezwali go „durnowaty”, chociaż był tylko fantastą. Brał udział w wyprawie w 59 roku, służył dwanaście lat w wojsku i opowiadał każdemu, nawet najmniejszemu dziecku, swoje przygody z tego heroicznego okresu. Wtrącał przy tym tu i tam jakieś włoskie słowa, które, co prawda, nie miały żadnego związku z opowiadaniem, miały go natomiast okraszyć. Rzucał też nazwiska wybitnych wojskowych, bohaterów tamtej wyprawy, zamy-



kając usta tym słuchaczom, którzy odważyli się czasami wątpić w jego przygody.

Wspomnienia o życiu w wojsku zmieniały go całkowicie; zdawało się, że dopiero teraz dostrzegał całą wielkość, urodę i wspaniałość tamtych czasów, i to go porywało. Upiększał fantastycznie każdy najmniejszy nawet epizod, mówił jak poeta i łąał na potęgę, wierząc święcie w to, co mówił. Chwytał przy tym w ręce, co popadło: łopatę, grabie lub miotłę — co tylko mogło uchodzić za karabin — i opowiadając swoje niewiarygodne przygody, wymachiwał tym na wszystkie strony przed nosem słuchaczy. Bywał wtedy taki poważny, że słuchacze, śmiejąc się do rozpuku, w miarę opowiadania też poważnieli, poddając się jego uniesieniu. Latem, kiedy dokonywał obchodu lasu, wieszał przed sobą na piersiach konewkę do podlewania jarzyn i bębnił na niej jak na bębnie; odgłos rozchodził się po całym lesie, a on cieszył się tym jak dziecko.

Był żonaty, miał córkę i dwóch synów. Jeden z nich był złodziejem i utopił się, kiedy pewnego razu kradł konie, drugi zaś, głupkowaty od urodzenia, siedział przy ojcu w domu. Najbardziej kochał córkę, chełpił się nią, rając ją każdemu chłopcu na żonę, a każdemu gaździe na gospodynię.

— Nie myślcie — mawiał — że ona wdała się w moją żonę. Wdała się we mnie, i kto ją weźmie, będzie mi wiecznie dziękował! Może ze mnie zły gospodarz? Mam wszystkiego pod dostatkiem.

I rzeczywiście w jego ogrodzie było wszystko. Miał najszlachetniejsze gatunki drzew owocowych, miał maliny, poziomki, duże jagody i inne owoce, spotykane tylko w lepszych sadach. Miał grządkę papryki, jakiej — jak się chwalił — nie miał w swoim ogrodzie nawet sam sołtys. Był za młodu pomocnikiem ogrodnika u pewnego bojara w Mołdawii i nauczył się sadownictwa. Miał w swoim ogrodzie nawet mały staw z rybami. Wszystko, co rosło w tym ogrodzie, nosiło imię „Kaiser”; miało to oznaczać wysoką jakoś i szlachetne pochodzenie. Kaiser-jabłka,

kaiser-gruszki, kaiser-papryka — paplał, prezentując je oglądającym. Koło chaty stał szalas, jak u Iwoniki w polu, tylko dużo mniejszy. Przesiadywał tam chętnie w lecie, a w zimie przechowywał w nim pszczoły. Był zabobonny, ale nie w takim stopniu jak Iwonika. Kiedy zatrzymywał się koło uli, wykrzykiwał komendy jak przed żołnierzami i był przeświadczony, że pszczoły rozumiały go i słuchały.

Najbardziej uroczyste jednak były dla niego te chwile, kiedy wyciągał swoje zwolnienie z wojska i pokazywał je swoim gościom. Nie przepuszczał też żadnej okazji, by pochwalić się tym dokumentem. Pokazywał go każdemu obcemu, kto przypadkowo czy w jakimś interesie wstąpił do jego chaty. Zwykle mawiał wtedy:

— Proszę pokornie poczekać. Chcę jeszcze coś pokazać!

Wydymował z kolorowego pudełka po cykorii wielki arkusz, pobrudzony od ciągłego składania, i rozkładając go przed gościem z niezwykle ważną miną pytał:

— No i co, może nieprawda?

Tak się złożyło, że nikt we wsi nie mógł wykazać się takim dokumentem, pysznił się więc nim do śmieszności, przesuwając po nim palcem jak po rejestrze swoich przodków. Zwykle prosił gościa, by usiadł na lipowej ławie, ciągnącej się wzdłuż całej ściany od jednego do drugiego kąta — mówił o tej ławie, że otrzymał ją w spadku — i częstował gościa miodem. Kiedy gościł kogoś z pańskiego domu, skakał koło niego jak wróbel (był bardzo chudy i drobny), raz po raz zagadując: „Proszę jeść; ja wiem, jak obchodzić się z panami; ja byłem w Widniu, w Italii, w Jassach; ja nie tutejszy wiejski ciemniak”. Do chłopów mówił: „Jedzcie, jedzcie, nie wstydźcie się! Wiem, żeście głupi chłop, który nie widział tego co ja! Ja byłem w Widniu, w Italii, w Jassach”.

Lubił bardzo wódkę; a że był chorowity i nie wszystko mógł jeść, wmówił więc sobie, że może jeść tylko po wódcę. Od czasu do czasu posyłał po nią żonę, a że i ona nie gardziła tym cuda działającym napojem, chętnie spełniała wszystkie jego życzenia w tym względzie i chodziła z przy-

jemnością do Mendla po „lekarstwo”, chociaż od ich chaty do Hopplacu było bardzo daleko.

Dziś nie ma czasu, dał jej pilną robotę w ogrodzie i dlatego sam wybrał się do Mendla. Poza tym miał wstąpić w jakiejś sprawie do pana, chciał więc przy okazji z tym i owym pogadać i dowiedzieć się, co słychać we wsi.

Iwonikę z synem poznał już z daleka i przywitał ich w sobie tylko właściwy sposób. Podniósł w górę ręce jak dzikus i krzyczał na całe gardło:

— Hop, hop! Szczęść Boże!

I roześmiał się.

Kiedy podszedł już do nich, wzniosł jak prorok prawą rękę w górę, jak kamyk gwałtownie ją opuścił na głowę chłopca i przemówił:

— Za wojakaś się został! Słyszałem już o tym. — I dodał: — Ej, co za płacz będzie w jesieni, co za jęki!

I znowu się roześmiał, przy czym jego niezwykle chuda i dobroduszna twarz stawała się sympatyczna i przyjazna.

— Nie może być inaczej, więc musimy znosić wszystko, co Bóg da! — odpowiedział poważnie Iwonika. — Postójcie trochę i opowiedzcie, co nowego. Jak tam wasze pszczoły?

— Moje pszczoły? Dobrze! Tak zadbałem o nie, że lepiej im niż mnie. Żeby mnie tak słodko było jak im... Słaby jestem, niedługo już pewnie umrę.

— Co wy też, dziadku! — wmieszał się Mychajło. — Dni Bóg liczy, a nasza rzecz tylko, żeby je przeżyć.

— I żeby pracować... — dokończył Iwonika. — Zaczęliśmy dziś orać, no i orze się nam, Bogu dzięki, dobrze. Może będzie w tym roku dobre lato. Jak na wiosnę ziemia dobrze się orze, to będzie dobry rok.

— Tam na pańskich łąkach ktoś zaczął orać jeszcze w tamtym tygodniu — dorzucił Onufry — ale widocznie nie orało się dobrze, bo widziałem, że zagon nie dokończony.

— Bo ziemia była jeszcze martwa. I ja widziałem! — odpowiedział Iwonika. — Dopóki sam Bóg ziemi nie zmiękczy, nie warto nawet próbować. Przed Zwiastowa-

niem nie ma co zaczynać. Czasu jest jeszcze dość, żeby tylko teraz pogoda dopisała.

— Racja — przytaknął Onufry, obejrzał się i usiadł na ziemi, podciągając pod siebie nogi. Potem wyjął zza pasa tytoń i fajkę i zapalił.

Iwonika i Mychajło skorzystali z tego i zabrali się do śniadania, podrzucając wołom pachnące siano.

— Powiedzcie, co nowego, dziadku Onufry — spytał wesoło Mychajło, który lubił starego gadułę.

— Licho go tam wie, co nowego! — odpowiedział stary niby niecierpliwie. — Gdybym wiedział, że latasz za dziewczętami, że ci one w głowie, tobym powiedział, że najważniejsza z nich, trzpiotka Maricena, przyniosła swemu ojcu i matce biedę do domu. No, dostała już dobrze po krzyżach od swego ojca, ale wszystko przepadło. A tamten nawet nie chce przyznać się, że narobił tej biedy. No, ale ciebie to chyba nie interesuje, co? Ty sam jak dziewczyna, ale ludzie nie utrzymają języka za zębami, to i ja sobie używam. Stary poszedł do dobrodzieja pożalić się, a dobrodziej powiada: „To jeszcze nie taki wielki grzech, mówi, tylko wydaj dziewczynę za mąż. Młoda jeszcze i jak będzie przyzwoicie żyła z mężem, to Pan Bóg odpuści jej ten grzech. Nikt się o nią nie stara?” — „Jakiś tam się stara”. — „No to w porządku! Przyślij oboje do mnie, przynieś, co trzeba, i sprawa załatwiona. To jeszcze nie takie wielkie nieszczęście. Jak będzie żyć, tak jak Pan Bóg przykazał, to wszystko jeszcze będzie dobrze.” To prawda, że to nie takie znowu wielkie nieszczęście — mądrzył się dalej stary — ale zawsze to wstyd! No, ale ona ma pole. Jak słyhać, dostanie kilkadziesiąt prętów, ze setkę pieniędzy i cielicę. Szybko więc znalazł się konkurent. O moją Iwonę nikt się nie stara, choć nie ma we wsi porządniejszej dziewczyny od niej. Taka to ta nasza wieś. Czegoś takiego nie widziałem ani w Widniu, ani w Italii, ani nawet w samych Jassach! Nasz dobrodziej jest za dobry. Ja bym inaczej nimi komenderował, gdybym był dobrodziejem.

— Daj spokój dobrodziejowi! — dorzucił Iwonika. — Jemu się wydaje, że jego nieszczęście jest największe.

— Bo to rzeczywiście wielka bieda. Któż to widział, żeby dobrodziejka tak się zapijała! — ciągnął Onufry. — Kiedyś biła się w karczmie z dwiema babami za jakieś tam płótno. Mówiła, że miały przynieść dobrodziejowi za chrzciny i nie przyniosły. A raz to zupełnie pijana napadła na staruszką w cerkwi. Ledwie babom udało się wyprowadzić ją stamtąd. Wojna wtedy była taka jak na włoskim froncie. A biedne jego cztery panny tak płakały i krzyczały, że aż żal było. Bo to rzeczywiście wstyd — mówił dalej, splunawszy przez zęby daleko przed siebie. — Przez nią nie mogą wyjść za mąż, choć mają pieniądze i piękną wyprawę. Ale patrzcie, ile to ma siły, jak chce. Pije, cały rok pije, ale w wielki post ani kropelki nie weźmie do ust. Taka silna!

— Stary dobrodziej przyjąłby swatów samym miodem, żeby tylko przyszli — powiedział Iwonika ze zrozumieniem. — Ale nikt nie przychodzi, bo każdy boi się, że i panny zaczną kiedyś się zapijać jak stara. Przyjechał kiedyś do nich jakiś młody panicz. Poubierały się pięknie wszystkie cztery i zasiadły rzędem za stołem. A stary dobrodziej prosił gościa, jak mówią, bardzo prosił, by wybrał jedną z nich za żonę. „Tę albo tamtą, bierzcie, którą chcecie, one wszystkie dobre gospodynie i grzeczne dzieci i wszystkie dostaną jednakowy posag” zachęcał. Młody, jak powiadają, chciał już jedną wybrać, ale kiedy stara dowiedziała się, że uczy się na dobrodzieją, upiła się i zrobiła takie piekło w domu, że — powiadają — dobrze, że ich nie pobiła. Taka była wściekła na wszystkich. A on jak pojechał, tak już więcej się nie pokazał. Biedne panny postarzały się z żalu i posiwiały, no i siedzą do dziś. A stary — dodał kąśliwie Onufry — stary, Boże, odpuść (tu uderzył się kilka razy po ustach), nie myśli już o niczym innym, jak tylko o tym, aby zbić jak najwięcej grosza. Tak jakby mało go miał!

— Nie ma go tam za wiele, Onufry — dorzucił Iwonika.

— E tam, nie ma! Żebyście wy tylko tyle mieli albo

ja, ale bieda z tym, że nie mamy! — odpowiedział Onufry. — Tylko to mu teraz siedzi w głowie. Jadę kiedyś z panem furmanką, a on idzie. Biała broda spada mu na piersi, zgarbiony niemal we dwoje. Stareńki, biedak, ma już ponad siedemdziesiątkę. Już więcej jak czterdzieści lat jest w naszej wsi. Więc idzie, a kiedy nas zobaczył, to się uklonił. Pan zlął z bryczki, podał mu rękę, odklonił się i powiada: „Jak się macie, dobrodzieju?”. — „Źle, źle — odpowiada ze smutkiem. — Ludzie nie chcą umierać!” — Patrzajcie, myślę se, jaki stary mądrala! Chce, abyśmy umierali. Łasy na pieniądze za pogrzeb, jakby ich mało miał! Co prawda, żona pije, w domu siedzą cztery panny, ale czy dlatego mamy zaraz umierać?

— Od tego on dobrodziej, żeby nas chował i brał za pogrzeb pieniądze — odezwał się Iwonika. — Chował ludzi przez czterdzieści lat, czemu teraz nie miałby ich chować? Inni robią to samo. Za darmo nie robią!

— Raz to przepowiadał koniec świata — opowiadał dalej Onufry. — Jak będzie koniec świata, to po co zbijać pieniądze? Na tamtym świecie Pan Bóg sam już nas będzie karmił.

— Co wy za głupstwa mówicie, kumie Onufry! — zawołał Iwonika, który ponad wszystko cenił sprawiedliwość i prawdę, dlatego też głędzenie Onufrego w żaden sposób nie przemawiało do niego.

— Już jak ja mówię, to możecie mi wierzyć! — krzyknął Onufry z przejęciem, uderzając się w piersi chudą pięścią, że aż w nich zadudniło. — Prawdę mówię! Raz opowiadał ludziom u siebie przy tłoce<sup>1</sup>, żeby dawali na msze, bo nastanie koniec świata. Nie słyszeliście o tym, kumie Iwonie? Zresztą nie dziw, żeście nie słyszeli. Tak rzadko zachodzicie do wsi albo na Hopplac, że o niczym nie wiecie. Ciągle tylko pilnujecie waszej zagrody i tego, co się koło niej dzieje. Widzieliście może nowego nauczyciela? Rozmawialiście z nim? — wypytywał Iwonikę.

— Nie.

---

<sup>1</sup> Tłoka — sąsiedzka pomoc zbiorowa za poczęstunek.

— No to znów nic nie wiecie! On tak pije, że może sobie z popadą podać rękę. To nie jest delikatny pan. Jak się upije, to zaraz chłopów obłapia. Tak nie powinno być. Byłem w Italii i czegoś podobnego nie widziałem. Ludzie żałują poprzedniego, chcieliby, żeby wrócił, ale on zdaje się już tu nie wróci. Pan mówi, żeśmy lepszego niewarci jak ten, bośmy nie umieli tamtego szanować; że jak dobrego nauczyciela i dobrego dobrodzieja, tak trzeba nam też dobrego kija!

Wszyscy trzech roześmiali się po tych słowach, po czym Onufry mówił dalej:

— Może pan i prawdę mówi. Bóg go tam wie! No, ale ja już muszę iść. Nie martw się, Mychajłyku, że Maricenka wychodzi za mąż! — zwrócił się do chłopca, mrugając wesoło oczami. — Patrz tylko, żebyś wrócił do domu, tak jak ja, z medalem, a wtedy pohulam i pohukam na twoim weselu, choć stary jestem. A jak będziesz już w wojsku i poznasz jakiego dobrego chłopca, w dodatku bogatego, to powiedz mu, że u Onufrego Łopaty jest dziewczyna, ładna jak pisanka, i dobra, i pracowita, i niech się z nią żeni. Niech przyjdzie sam, na chram<sup>1</sup> niech przyjdzie i niech ją obejrzy. Jak mu się spodoba, to wesele może być w zapusty. Nie będzie żałował, że weźmie ją za żonę, i do końca życia będzie mi dziękował. Powiedz mu to! I że u mnie pełno wszystkiego, i gdzie to ja nie byłem, i że ja nie taki ciemniak jak wszyscy inni chłopci w naszej wsi.

Na tym zakończył, wyjął z ust fajkę, wytarł ją szerokim rękawem koszuli i wetknął za pas. Potem powstał jeszcze chwilę z oczami wlepionymi w ziemię w jeden punkt, rozmyślając nad czymś. Wreszcie nie powiedziawszy więcej ani słowa, podał na pożegnanie w milczeniu rękę ojcu i synowi i, jakby pchany jakąś niewidzialną siłą, odszedł pośpiesznym krokiem.

Ojciec i syn uśmiechnęli się milcząco i dokończywszy śniadania zabrali się z powrotem do rozpoczętej pracy.

---

<sup>1</sup> Chram — tu: święto patrona miejscowej cerkwi.

Był maj — pora przedobiednia.

Mychajło leżał niedaleko zagrody w ogrodzie łączącym się z małym laskiem, który obrzeżał pola, i pał woły.

Dokoła zagrody ziemia pyszniła się rozmaitymi pasami zieleni. W odległym sąsiedztwie leżały dwa mniejsze laski; jeden z nich należał do sąsiedniego i dlatego nazywali go „sąsiedzkim lasem”, a niedaleko od niego, w tym samym kierunku, rozciągał się mały laszek pański, w którym gospodarował i rządził stary Onufry.

Oba te laski, z których „sąsiedzki” był dwukrotnie większy od „pańskiego”, przedzielała wielka łąka, zwana „bagnem” z powodu bagnistego gruntu, porośnięta koszonym raz w roku bujnym sitowiem oraz jakąś wysoką trawą, na którą nikt się nie łąkomił.

Mychajło leżał w pobliżu zwierząt na ziemi, uważając, aby nie weszły w koniczynę wyrosłą z drogiego nasienia najbliższej zagrody. Grzał się w wiosennym słońcu, bacznie pilnie na woły pasące się ciasno przy sobie. Myślał o swoim przyszłym życiu w mieście, o powrocie do domu i o tym, jak to się potem wszystko ułoży, aż myśli jego spoczęły na jego wspaniałych wołach. Wiązały się z przyszłością, jak najbliższa rodzina. Oczywiście wyobraźni widział jakąś nową zagrodę, jego własną zagrodę, widział czarnoką, smukłą dziewczynę i swoje wołki. Były tu i tam i mimo woli wypełniały sobą jakieś puste miejsca...

Słyszał wyraźnie, jak swoimi grubymi, zdrowymi pyskami spasały trawę, jak chwytaly powietrze, widział drobne kropelki potu na tych ciepłych, pracowitych pyskach. Ich duże, łagodne oczy ocienione były długimi, zabawnymi rzęsami, a szerokie podgardla przy ich krótkich nogach zwisały niemal do ziemi.

Co za piękne okazy! Ciemnobre, prawie czarne, z białymi, krótkimi rogami, a takie wykarmione i wypielegnowane, że aż przyjemnie było pogłodzić je po grzbiecie. Były przy tym spokojne i grzeczne jak dzieci i bardzo dobrze



poznały jego głos. Kiedy wchodził do stajni, zwracały do niego swoje stateczne łby, wyciągały szyje, na ile tylko pozwalały im łańcuchy przy jaskach, i wietrzyły swoimi grubymi nozdrzami, czy nie przyniósł im chleba lub kuleszy. A on zawsze coś im przynosił, gdy przychodził z domu, ze wsi, z „góry”, do zagrody; jeśli nie miał przy sobie niczego, to chociaż je pogładził i popieścił, co również przyjmowały z wdzięcznością. Lizwały go za to po rękach, piersiach i ramionach. To były dobre, wdzięczne zwierzęta.

W słotne niedziele lub święta wołał przesiadywać w zagrodzie niż iść do wsi, do domu; wyciągał fujarkę, siadał na łóżku, stojącym blisko nich, i godzinami grał. Woły trwały nieruchomo, żując tylko jednostajnie.

Lubił je jak dobrych kompanów, a teraz chyba jeszcze więcej, od kiedy dowiedział się, że były przeznaczone dla niego.

Wokół panowała cisza; ale nie ta martwa cisza, która króluje zimą nad bezkresną przestrzenią. Teraz jak okiem sięgnąć pyszniło się wokół życie. Zieleniły się łany zboża, kwieciła się koniczyna, powietrze nasyczone było kwietną wonią sianokosu, roiło się od owadów, motyli, pszczoł, a pod wysokim, błękitnym niebem rozsypały się skowronki drobnymi, dźwięcznymi perełkami.

Słońce zaczęło lekko przypiekać, a od jego blasku mrużyły się oczy. Kiedy je przymykał, na rzęsach grała orgia barw...

Mały sad za zagrodą stał w pełni rozkwitu, dysząc słodkimi, ciężkimi woniami. Przez młodą zieleń przebijało białe kwiecie grusz, wiśni, śliw, a w głębi, już na styku z lasem, bladoróżowy kwiat jabłoni. Powietrze grało rojem pszczoł; zwabione zapachami i urodą kwiatów, wpijały się żarłocznie w białe kielichy i upajały się ich delikatną urodą.

Miejscami obsiadała kwiat cała gromadka i gdy ledwie widoczny podmuch wiatru poruszył gałęzią, huśtały się razem z kwiatem, wydając się jakąś arcydelikatną igraszką przyrody, zwłaszcza tam, gdzie pyszniły się drzewa

w pełnym rozkwicie. Wokół sadu i zagrody zieleniła się soczyscie nakrapiana białym i różowym kwiatem konieczyna. Za nią rozciągały się łany zboża, kołysząc się lekko i rytmicznie w takt podmuchów wiatru. Daleko wokół — nic prócz migotliwej zieleni, przetykanej gdzieniegdzie plamą lasu oraz oazą stróżujących dębów. Ledwie uchwytnie zwykle brzęczenie pszczoł nasilało się w tej ciszy w swoistą, przełagodną symfonię, która niosła się przez powietrze falami zapylonego roju z miejsca na miejsce, omijając jedynie bezkwietne pasma ziemi.

Delikatna, ledwie uchwytna muzyka miała w sobie coś usypiającego, jednak młody chłopiec daleki był od snu. Nie zwracał na nią zupełnie uwagi, zrósł i zżył się z nią, nie przeżywał jej więc świadomie.

Rozmyślał o pańskiej pokojówce Annie, którą kochał skrycie z całej duszy; myślał o tym, jak to będzie, kiedy pójdzie w jesieni z domu i nie zobaczy jej już prędko. Wiedział, że nie spotka jej tam, w mieście, no bo jak? Była służącą i nie po miastach było jej jeździć. Krążyły wprawdzie pogłoski, że pani ma przenieść się do miasta, ponieważ często zapadała na zdrowiu, ale czy matka Anny puści ją z panią? Na pewno nie. Była to kobieta zła, okrutna, łakoma na pieniądze i gorsza od niejednej macochy.

Ciągle groziła, że odbierze ją od pani i wyda za mąż za garbatego wdowca, swego sąsiada, jeśli nie będzie jej oddawała pieniędzy zarobionych na służbie u pani. Oddawała więc, biedaczka, wszystko, co miała, żeby tylko pozostać u pani i nie wracać do domu, którego bała się jak piekła. Skazana była na matkę-wiedźmę, zabrakło jej ojcowskiej opieki. Jej ojciec, porządny — jak mówili ludzie — gospodarz, umarł już dawno, a jedyny jej brat, który służył kiedyś w kawalerii, gębacz i pyszałek, bił ją od czasu do czasu, kiedy nie chciała mu dać pieniędzy na tytoń lub wódkę. A skąd ostatecznie miała je ciągle brać? Wstydziała się prosić panią, ale nie wierzył jej i bił, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Bóg wie jak, ale róż-

niła się od niego, tak jakby nie była jego siostrą, tyle że tak samo smukła jak on. Był silny jak dąb.

Kiedy Mychajło myślał o niej, zawsze jawiła mu się taka, jaką ją ujrzał po raz pierwszy, na pańskim podwórzu. Pewnego razu łuskali tam kukurydzę. Koło stodoły siedzieli przy kosznicach<sup>1</sup> robotnicy — kobiety, mężczyźni i dziewczęta — i łuskali. On i ona siedzieli w jednej grupie, w której był też stary Petro, dozorujący roboty. Zsypywali kukurydzę do jednej kosznicy. Petro huknął na grubą, pyzată dziewczkę, która bez przerwy przekomarzała się z jednym chłopcem, żeby przyniosła ze stodoły drabinę. Odpowiedziała, że zaraz ją przyniesie, ale, nie ruszając się z miejsca, zabawiała się najspokojniej dalej, przerzucając się z chłopcami kukurydzą.

— No, ogłuchłaś, sroko? Nie słyszałaś, com powiedział? — krzyknął znów Petro. — Zaraz tam przyjdę, to się dobiore do twojej skóry! — pogroził pięścią.

Ale dziewczyna wiedziała widocznie, że jego słowa nie są takie groźne, jak by należało sądzić z gromkiego głosu, i zamiast spełnić rozkaz, zaczęła mocować się z chłopcem, który właśnie wrzucił jej za kołnierz kukurydziane liście.

Anna widziała to. Zachowywała się przy pracy skromnie i przez cały czas milczała, a odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś bezpośrednio zwrócił się do niej.

Mychajło jak gdyby jej nie dostrzegał, chociaż siedział naprzeciw niej i ich spojrzenia spotykały się od czasu do czasu. Miała spokojne, lśniące oczy, w których mignął niekiedy cień uśmiechu. Widząc, że płocha dziewczyna już po raz drugi nie wypełniła polecenia, podniosła się ze swego miejsca i sama poszła do stodoły po potrzebną drabinę.

Petro patrzył przez chwilę za nią w milczeniu, po czym zagwizdał lekko.

— Ho, ho, co za dziewczyna! — powiedział do siedzących najbliżej. — Warta tego, żeby ją pokochał i ożenił się z nią porządny chłopiec. Złoto, nie dziewczyna.

---

<sup>1</sup> Kosznice — duże kosze do zsypywania wyłuskanych kolb kukurydzy.

Mychajłowi serce żywiej zabiło w piersi, a inni spojrzeli za nią łaskawym okiem.

Za chwilę wyszła z drabiną. Szła powolnym, rytmicznym krokiem, niosąc długą drabinę na lewym ramieniu i opierając dla równowagi prawą rękę na biodrze. Była prześliczna w tej chwili. Średniego wzrostu, z ciemnymi, jedwabistymi włosami, miała na sobie skromną riklę, która, nie krępując jej ruchów, przylegała pieściwie do jej młodego, smukłego ciała, wbrew pozorom kruchości kryjącego w sobie siłę i wabiącego oko harmonią kobiecości. Nie podnosząc oczu zbliżała się do swojej grupy.

Kiedy zatrzymała się przy nich, Mychajło wstał i wziął od niej drabinę, przy czym spotkał się znowu z jej czarnymi oczami. Pierś jej lekko falowała. Uśmiechnęła się do niego.

Taką ją właśnie widzi teraz: jak idzie ostrożnie przez podwórze z drabiną na ramieniu, rytmicznym krokiem, z lekko spuszczoną głową...

Była uczciwą dziewczyną, o której nikt złego słowa nie powiedział. Umiała wykonywać wiele różnych robót, o jakich innym dziewczętom we wsi nawet się nie śniło. Przebywała stale przy panience, od której nauczyła się różnych rzeczy. Panienka rozmawiała z nią często jak z równą sobie. Była też bardzo wstydliwa. Kiedy inne dziewczęta zaśmiewały się, trącąc się ukradkiem łokciami i szepcząc między sobą, ona wstydziła się do łez i chciałyby się zapaść pod ziemię słysząc, o czym szeptały, zwłaszcza kiedy on był przy tym.

— No, no! — pogroził jej kiedyś jeden chłopak, którego skarciła za brzydkie słowa. — Ty uważaj lepiej, żeby się kiedyś twój dzbanuszek nie rozbił.

Odwróciła się i uderzyła go w twarz.

Inne dziewczęta śmiały się.

Inne... Ale ona nie była taka jak inne. I rzeczywiście. Miała już — jak pokpiwali niektórzy chłopcy — „pańskie obycie”.

Ale Mychajło najbardziej lubił ją, kiedy się uśmiechała, jak wtedy z drabiną, a w ogóle dlatego, że była cicha

i dobra. Bardzo mu się też raz podobała, kiedy był w sąsiedniej wsi. Szedł po sól dla bydła i musiał przechodzić koło chaty jej matki; nędznej, pochylonej chatynki, z małym ogródkiem w pobliżu gościńca.

Anna stała w ogródku wśród ciemnych malw i słoneczników, sama jak smukła malwa, i pomagała matce czyścić groch w przetaku. Zbliżywszy się do chaty, uklonił się i zatrzymał na chwilę.

— Szczęść Boże, Anno! — powiedział nieśmiało.

— Dziękuję! — odpowiedziała, oblewając się rumieńcem.

— Czyścicie groch?

— Ano czyścimy — odpowiedziała za nią grubym głosem stara, spoglądając na niego nieufnie. Była bardzo brzydka, ta jej matka. Przednie zęby wystawały jej z ust jak kły, koszulę na piersiach miała wiecznie rozpiętą, a biały ręcznik na głowie był zawsze przekrzywiony. Kiedykolwiek by na nią spojrzeć, wyglądała jak pijana albo jakby dopiero co z kimś się pobiła. Stał chwilę, przyglądając się, jak ona — nie podnosząc na niego oczu — milcząco go obserwowała.

— Idę do sklepu po sól dla bydła — powiedział.

— Niecieżko iść, kiedy jest bydło — odrzekła stara nieprzyjaźnie. — My bydła nie mamy. Mój mąż umarł i zostawił mnie z długami. Musiałam sprzedać ostatnie cielę, żeby go pochować. Todor (tak się nazywał jej syn) był wtedy przy wojsku, a ta — wskazała lekceważącym ruchem na dziewczynę — pomagała tylko łyżką przy misce. Teraz on, co tylko zarobi, składa dla siebie. Chce się żenić. A to ziółko — dodała urągliwie — dzień i noc pracuje dla obcych. Boże, chroń każdego przed takimi dziećmi, jakie ja mam! To kara Boska, takie dzieci, wrogi, nie dzieci! Mają rozum i ręce tylko dla siebie.

— Och, mamó, nie mówilibyście czegoś takiego! — powiedziała Anna z lekkim wyrzutem. — Nawet i dziś pani pozwoliła mi pomóc wam w pracy, choć i u nas pełno roboty. Pomagam wam, jak mogę! Ale wyście zawsze niezadowoleni.

— Bo złość mnie bierze, że obce pany ci miłsze niż twoja matka! A ja dość się z tobą nabiedowałam, zanim cię taką wychowałam. Wszystko dobre tylko to, co pani i panienka nauczają, a wszystko złe to, co mama mówi. Tak, tak! — ciągnęła twardo dalej, podrzucając wysoko groch na przetaku. — Jeszcze zobaczymy, jak ty daleko zajdziesz z tymi twoimi panami! Ty nie wiesz jeszcze: pańska łaska na pstrym koniu jeździ, a potem — „fora ze dwora”!

— Przecież wszystko wam, mamó, oddaję, co tam zarobię, chyba że czasem sobie jakąś sukieneczkę sprawię — mówiła dziewczyna z goryczą. Było jej wstyd przed nim za matczyne docinki i chciała jak gdyby się usprawiedliwić. On za nic w świecie nie mógł pomyśleć, że nie była dobra dla swej matki.

— No właśnie, „sukieneczkę”! — urągała stara. — Od kiedy jesteś na służbie u panów, przestałaś nosić horbotkę<sup>1</sup>, bo gdzieżby, wstyd! Tak, tak...

— Panienka mówi, że woli mnie w spódnicy, no i robi mi z nich ciągle prezenty. Ale mogę nosić i horbotkę, nikt mi tego nie broni. No, ale jeśli panna dla mnie dobra, to dlaczego miałabym jej nie słuchać?

— Kiedy i w spódnicy też ładnie — wmieszał się nieśmiało, pragnąc zmienić temat rozmowy. Było mu żal dziewczyny, która wprawdzie jeszcze nie miała łez w oczach, ale w głosie było ich pełno.

— Przeze mnie! Ale dzbanek, powiadają, do czasu wodę nosi! — powiedziała stara. — W głowie ci się już przewróciło, jak jakiej kucharce. Myśli, że jak nauczyła się u panny kręcić po pokojach i kawę gotować, to mama niepotrzebna. Już ta bielizna, co ja upiorę, nie jest dość biała, a ta, którą uszyję, nie dość cienka. Ale poczekaj. Jeszcze cię kiedyś nauczę rozumu! Tylko patrzę, jak to jeszcze długo potrwa, jak długo jeszcze będziesz matkę zostawiać samą i włóczyć się po służbach. Tylko patrzę!

---

<sup>1</sup> Horbotka — dwie „zapaski” w rodzaju fartuchów, noszone zamiast spódnicy na wsi bukowińskiej i na Huculszczyźnie.

Uśmiechnęła się złym, urągliwym uśmiechem i wysypała ze złością oczyszczony groch do leżącego obok na ziemi worka. Dziewczyna schyliła się, by jej pomóc. Dostrzegł jednak, jak otarła szybko dłonią łzy, które jej napłynęły do oczu.

Trzeba było iść dalej. Pożegnał starą i młodą, ale zanim odszedł, poprosił o wodę do picia. Anna przyniosła wodę i podała mu przez niski płot. Pił wolno, zaglądając w jej spokojną, smagłą twarz i w oczy. Oczy, które spoczęły na nim na chwilę, były niewymownie smutne i poza smutkiem nic w nich dla siebie nie mógł wyczytać. Jakby czymś zawstydzony, przeskoczył wąski rów, dzielący go od drogi, i szybko się oddalił. Anna bardzo mu się podobała, ale stara, ta stara! Gdyby dostał już Anulkę, to wybiłby starej te przednie kły, którymi kąsała wszystkich jak rozeźlona suka. Czarownica jakaś...

Widywał ją coraz częściej. Albo sam miał jakiś interes do pana, albo ojciec wysyłał go tam z różnymi zleceniami. Zamieniał z nią wtedy kilka słów. Nie mówiła nigdy za wiele, ale zawsze rozumnie i skromnie, i nie zaśmiewała się jak wiejskie dziewczęta. Była zupełnie inna. Nie wiedział wprawdzie dokładnie, czym różniła się od tamtych, nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiał, wyczuwał jednak instynktownie tę różnicę. Była chyba subtelniejsza i delikatna w obejściu. Nosila się czysto, a jej piękne ciemne włosy zawsze były uporządkowane, bo czesała je każdego dnia, podczas gdy inne dziewczęta rozczesywały swe włosy jedynie w niedziele lub w święta. Nie miała na szyi bogatego naszyjnika, ale te, które nosiła, były zawsze piękne. Nieokrzesany, ale w istocie swej dobry i prawy jego charakter poddawał się nieświadomie jej dobroci i delikatności. Z nią nie można było ot tak, zwyczajnie pozbytkować, pociągnąć za rękaw, zaczepić. Człowiek stawał się sam poważny, kiedy znalazł się blisko niej. Ściszała się wówczas aż do głębi swej istoty i patrzała w napięciu na te usta, które miały do niej przemówić. A gdy ktoś zdobył się na to, że zwrócił się do

niej z jakimś nieprzystojnym słowem, wówczas rumieniła się, płonąc dziewiczym wstydem, i zmieszana uśmiechała się z przymusem, po chwili jednak uśmiech zniknął, a oczy wilgotniały.

Na tańce nie chodziła nigdy. Służyła chyba już od czternastu lat we dworze i obce jej były zupełnie zabawy i rozrywki jej wiejskich rówieśnic. Nie miała wśród nich żadnych koleżanek, przyjaźniła się wyłącznie z córką Dokii, Paraską. Z innymi nie miała o czym rozmawiać. Nie miała żadnych tajemnic i miłosnych przygód, stanowiących temat pogaduszek i pustego śmiechu dziewcząt. A że pański dom leżał nieco na uboczu właściwej wsi, do której trzeba było iść dobrą godzinę, u niej zaś jedna praca goniła drugą, rzadko więc zdarzało się jej wpaść gdzieś na plotki.

W niedzielę chodziła do cerkwi, ale i wtedy niewiele było czasu na rozmowy i zbliżenia. Wprawdzie po nabożeństwie dziewczęta podchodziły do niej, oglądały jej strój, jej pięknie wyszywaną śnieżnobiłą koszulę, jej małe srebrne kolczyki, które dostała kiedyś od pani, dotykały wszystkiego palcami, dopytywały się o zarobek i wikt we dworze, dawały jej kwiaty, ale kiedy po tym wszystkim wyczerpywał się temat rozmowy, której ona nie podtrzymywała, dziewczęta obojętnie się rozchodziły.

Wiejscy chłopcy jeszcze mniej się nią zajmowali. Była biedna, więc ich nie interesowała. Nie miała ani ziemi, ani pieniędzy. Ziemi nie miała nigdy, bo jej rodzice byli biednymi wyrobnikami, a wszystkie pieniądze, nawet drobne, odnosiła zaraz matce. Matka męczyła ją i biła tak długo, dopóki nie oddała ich do ostatniego feniga. Przyszłość jej sprowadzała się więc do pracy rąk oraz ciągłego strachu przed matką i brutalnością brata. Zapoznanie się z biedą przy jednoczesnej świadomości własnej bezsiły nastrojały jej i bez tego skłonną do powagi i kontemplacji naturę poważnie.

Przez codzienne obcowanie z panią i panienką, szlachetnymi i wrażliwymi kobietami, które lubiły ją bardzo za jej charakter, pozbyła się dzikości i niezgrabności nie-



kulturalnej chłopki, nabyła natomiast giętkości i swego rodzaju inteligencji.

Nie umiała ani czytać, ani pisać. Jej palce, przywykłe tylko do „grubszej” pracy, nie układały się do pisania, a na czytanie brakło czasu. W jej skromnym życiu nie było wolnych chwil, wszystkie wypełniała pracą. Dlatego też jej dziewicza dusza, podatna na rozumne i szczerze nauki i przestrogi szlachetnych kobiet, zachowała niepokalaną czystość. Była jak kwiat, rosnący w ostępach leśnych, z dala od gwaru świata, lub jak dziki gołąb.

Starsze, poważne i zamożniejsze gaździny, jak Dokia i kilka innych, które częściej zachodziły do pana i znały ją dobrze z jej pilności i prawości, lubiły ją i były jej życzliwe. Zachowywała się wobec nich z pokorą, przy spotkaniach w niedziele i święta całowała je w rękę. Sprawiało im to przyjemność, całowały ją w czoło, nazywając „córeczką”. Ale zwykle wiejskie baby nie miały dla niej serca.

Nauczyła się we dworze różnych rzeczy, których one nie znały, jak prasowania bielizny, gotowania itp. Nie mogła tych swoich umiejętności — których nieznanomość drażniła ich godność — zataić przed nimi, więc pokpiwały sobie z niej i szydziły przy każdej okazji. „Ona patrzy tylko, żeby na niej koszula była biała — dogadywały — ale czy jej skrzynia napełnia się białizną, to już ją nie obchodzi. Widocznie trzeba będzie dwóch par wołów, żeby dociągnęły jej skrzynię do domu męża, jak go w ogóle kiedyś dostanie, bo jedna para nie da rady...” Albo: „Ona umie wprowadzić białiznę prasować i szyć z naparstkiem, ale przez to nie dorobi się ani ziemi, ani męża. Do ziemi trzeba zabierać się z łopatą, a do męża — z pełnymi rękami. Ale może ten naparstek przyda jej się kiedyś. Zostanie bez dachu nad głową, bo ma taką matkę i brata, że o to nietrudno, a wtedy postawi naparstek na głowie i zastąpi jej dach...” I tym podobne głupoty.

Dziewczyna wiedziała o tym wszystkim; odbierało jej to pewność siebie w obcowaniu z ludźmi i rozgoryczało ją. Jak ciężko było być biedną! Człowiek nie miał dla

nikogo żadnego znaczenia. Całe szczęście, że miała chociaż zdrowe ręce. Te ręce ją wesprą, żeby nie wiedzieć nawet jak było ciężko w życiu, bo i cóż miała robić? Świat jest dla wszystkich. Dla bogaczy i dla biedaków.

Myśli o niej i teraz go nie opuszczały. Ciężko było wszystko porzucić. Rodzice odwiedzą go chociaż raz lub dwa razy w roku, ale ona? Ludzie powiadają: „Nie będzie odebrane — co komu przypisane”. Ma nadzieję, że ona mu przypisana.

Kocha ją. Ona nie ma ani pola, ani bydła, ani pieniędzy, a jednak ją kocha. Da Bóg, dorobią się. Poza tym on ma i pole, i bydło. Chociażby te byczki, jego towarzysze.

Zamyślił się i nie zauważył, jak jeden z nich wetknął pysk w koniczynę, skubnął sporą jej garść i mełł ją pracowicie, uniósłszy w górę łeb. Nie potrafił złościć się na niego. Ten był bardziej wścibski od „Lewego” i ciągle by tylko żarł. Zlizywał ścianę, kiedy jasła były puste...

Zwierzę patrzyło żywo przed siebie, ruszając pracowicie pyskiem. Pod wpływem jakiegoś nagłego, ciepłego wzruszenia, które nim owładnęło, pogłodził je. I ona też polubi te woły. Kto by ich zresztą nie lubił? Och, żeby tak już doszło do tego...

Westchnął i obrócił się twarzą do ziemi. Rysująca się przyszłość przygniotła jego duszę ciężarem czarnego smutku...

Wyrobnica na pańskich pokojach sama nie wiedziała, jak to się stało, że myśli jej zaprzątnęła postać syna Iwana Fedorczyka, Mychajła. Zastanawiała się nad tym tyle, ile nad pytaniem, dlaczego wiosną kwitną drzewa, zielenią się łąny i jaskółka lepi gniazdo. Przyszło to na nią niepostrzeżenie, a kiedy widziała go z daleka lub z bliska, dokonywała się w niej przemiana, z której nie mogła sobie zdać sprawy.

Wiedziała, że był dla niej dobry, nie tak jak inni. I mimo że był zamożniejszy od innych gospodarskich synów, rozmawiał z nią jak z równą sobie. Zawsze był bardzo

grzeczny, czy kiedy prosił o wodę lub zapalki, czy kiedy pytał o pana. Nigdy nie posuwał się z nią do żartów ani nie plótł pustych słów.

Rosła w niej tęsknota za nim, doskwierała jej coraz dokuczliwiej. Nie była przecież dzieckiem, miała już dwadzieścia lat, nie była ani głucha, ani ślepa. Wiedziała, że go kocha. Kryła to w swej młodej, smutnej duszy jak zbrodnię, nie wiedząc, co z tym począć, i kąpała nocami we łzach tę swoją miłość... Bała się pójść do wróżki, a nawet gdyby się odważyła, to co jej powie? Była przecież biedną wyrobnicą, a on był synem bogatych rodziców.

Stała się tak poważna i chmurna, że otoczenie jej chyba to dostrzegło, ona sama jednak tego nie zauważyła.

Matka i brat grozili jej od czasu do czasu, że wydadzą ją za mąż za garbatego sąsiada. Miał chałupę, pole, bydło... i był, jak powiadali, dobrym człowiekiem...

Wokół jej młodych, niewinnych ust zarysowała się bolesna zmarszczka.

Było to pewnego lipcowego wieczoru.

Anna wracała do domu od żony starego Onufrego, do której chodziła po grzyby. Ich chatynka stała pod pańskim laskiem. Wiodła od niej wąska ścieżka przez pola, biegnąc obok zagrody Iwoniki aż do wiejskiej drogi. Było późno; cudowny, jasny, cichy wieczór. Głęboko wypukłe niebo zasiane było gwiazdami, wśród których żarzył się zarozumiale księżyc. Łagodny horyzont był wyrazisty; nad polami, spryskanymi obficie rosą, rozpostarła się srebrna siatka.

Zagon z hreczką rozciągał się delikatną bielą koło wysokiego bujnego żyta, a dalej krople rosy lśniły w księżycowej poświacie jak uczezione pszenicznych kłosów łyzy. Tu i ówdzie podnosiła się z mokradeł lekka, przezroczysta mgła. Wokół panowała głęboka cisza, tylko niezliczone świerszcze zwoływały się, ożywiając niezmierzoną przestrzeń. Poza tym — żadnego dźwięku. Wszystko trwało w sztywnym bezruchu, pijąc spokój nocy, która skra-

dała się powoli, hipnotyzując wszystko czarodziejskim światłem księżyca.

Anna szła szybko wąską ścieżynką na ukos, wijącą się niepostrzeżenie wśród wspaniałego żyta, gładząc je od czasu do czasu dłonią, jakby chciała przytulić je do siebie. Takiego żyta już dawno tu nie widziała; dorodne i bujne, sięgało jej niemal do piersi. Było to właśnie zboże Iwoniki.

Była poważna jak zwykle.

Usłyszała u starego Onufrego wiele nowin. Opowiadał, że zachodził kiedyś do niego Iwonika. Chciał kupić jedną barć, ale Onufry nie sprzedął; nie sprzedaje nikomu — powiedział — swoich pszczoł, bo swoje pszczoły ma tylko dla siebie. Iwonika mówił mu, że u nich wszyscy są bardzo zmartwieni, iż Mychajło odchodzi już w październiku, a i on sam też się tym gryzie.

Ciągle szuka sobie roboty, chwytając się to tej, to tamtej. To idzie w pole, to kręci się koło bydła, koło pszczoł, to znów majstruje coś przy płocie, aby zawieje i śniegi nie zwały go w zimie, to kopie w polu rowy, żeby w deszczowych okresach ziemia nie nasiąkła za bardzo wilgocią, to wreszcie chwytą za siekierę... Chce zostawić ojcu wszystko w porządku, kiedy pójdzie, bo może... nigdy już nie wróci.

A Maria tak płacze, że wnet trzeba będzie wykopać studnię dla jej łez. Ale oni wszyscy są głupi — powiedział na końcu Onufry. On był przecież i w Italii, i w Wiedniu, no i wrócił do domu, i to jeszcze z honorami. Ale w tej wsi to same osły — odpowiedział Iwonice na wszystkie jego żale.

Anna rozmyślała nad tym, jak to będzie, kiedy chłopak odejdzie. Już od dawna jej serce drażył ból rozłąki i rozrastał się coraz bardziej. Wiedziała już dawno, że on musi iść; wiedziała o tym wcześniej niż inni. U pana, gdzie rodzinę Iwoniki lubili i szanowali, nieraz rozmawiało się o tym, że chłopak nie będzie i nie może być zwolniony i że będzie musiał odsłużyć w wojsku określony czas. Ale jego rodzice nie wierzyli i próbowali ciągle

na różne sposoby ratować syna. Teraz przekonali się, że pan mówił prawdę.

Nigdy nie rozmawiała z Mychajłem o tym, że ma iść do wojska. Przychodził teraz do pana dość często. Przed dwoma tygodniami przyniósł w prezencie dla pani miód od ojca. Odebrała od niego i zanosła do mieszkania. A kiedy potem chciała umyć garnek, by mu oddać czysty, powiedział:

— Zostaw to! — Mówił do niej „ty”, mimo że była biedną wyrobnicą. — Zrobię to w domu. Co porabiasz, Anno, co u ciebie słyhać? Pojutrze, na Petra, jadę z ojcem do miasta na jarmark. Chcemy sprzedać krowę i kupić młode byczki. Co ci mam przywieźć?

Wziął ją przy tym za rękę i szukał jej spojrzenia. Oblała się rumieńcem i wyrwała rękę. Oczywiście żartował. Zawsze tak pytają, kiedy wybierają się na jarmark. Nie potrafiła jednak podchwycić tego żartobliwego tonu i odpowiedziała niemal szorstko:

— Co chcecie!

— Przywiozę ci ładny pierścionek — powiedział niepewnie.

Do kuchni wszedł w tej chwili jeden ze służących, więc on oddalił się w milczeniu.

Teraz było już po Petrowym jarmarku. Słyszała tylko — stary Iwonika przychodził do pana prawie co drugi dzień, lubił tu wszystkich jak rodzonych — słyszała więc, że sprzedali swoją najładniejszą i najdroższą krowę i że Mychajło po niej płakał. Trzeba było jednak ją sprzedać — opowiadał Iwonika. — Nie mógł zostawić tyle bydła na zimę, bo bydło potrzebuje nadzoru i pracy, a on sam nie będzie mógł przecież wszystkiego dopilnować. Będą mu zresztą potrzebne pieniądze, a i Mychajłowi też się w wojsku przydadzą.

Wszędzie natykała się na jego imię, czegoś się o nim dowiadywała, słyszała, jak go ciągle wokół wychwalali... Och, Boże, niech już będzie tak, jak Bóg zechce! Mogła powierzyć swój los tylko Jemu. Zewsząd wyzierał smutek, ale widocznie taka już jej dola...

Schyliła głowę i przyspieszyła kroku. Zrobiło się już późno. Zapadła noc. Obejrzała się. Wokół nic, tylko pola i pola, tylko niebo i gwiazdy. Hen! w dali, tam, dokąd szła, bieleły zasłonięte częściowo sadami ściany pojedynczych wiejskich chat, a dalej, na łagodnym wzgórzu sterczały ponad wierzchołkami starych lip dwa duże kominy pańskiego domu.

Miała jeszcze przejść przez cały zagon żyta Iwoniki, potem przez zagon koniczyzny, a wreszcie minąć chatę Dokii — i dopiero wtedy wyjdzie na dróżkę wiodącą do dworu.

Gdzieś blisko niej krzyknęła przepiórka, schowana w życie, i przeleciała niemal przed samym jej nosem. Świerzcze cykały jakby do ucha Anny; gdy się chciało obejrzeć za nimi, znaleźć je tam, skąd dochodziło ich cykanie, odzywało się ono znowu w innym miejscu. Była to ich, świerszczykowa, tajemnica, którą przekomarzały się z nocnymi wędrowcami.

Nagle wyłoniła się niedaleko jakaś postać, obu rękami rozchylając ostrożnie spokojne fale zboża, szła prosto w jej kierunku.

Był to Mychajło.

Przestraszyła się. Zjawił się jakby spod ziemi. Uległa potężnemu wrażeniu niezwykłej chwili i nie potrafiła się z niego wyzwolić.

— Dobry wieczór, Anno! — powiedział serdecznie, zdejmując kapelusz i podając jej rękę. — Skąd wracasz tak późno?

— Od Onufrego, z grzybami — odpowiedziała posłusznie jak dziecko, drżącym głosem.

Patrzył na nią chwilę w milczeniu. Ciemniała przed nim wyprostowana pośród wysokiego żyta, jak strzelisty świerk. Głowę skłoniła nisko na pierś, ręce zwisały opuszczone. Noc była tak pogodna i jasna, tak piękna i cicha, tylko to cykanie świerszczy...

Dostrzegał wyraźnie jej głowę i smutnie zarysowaną linię ust.

— Anno... — zaczął wzruszony. — Spójrz na mnie! Wie-

działem, że szłaś do Onufrego. Czekałem i wyglądałem ciebie przez cały czas... Chciałem z tobą porozmawiać.

Mówiąc to położył obie ręce na jej ramionach, oglądając się przy tym lękliwie za siebie. On też był wstydliwy i płochliwy. Jeszcze nigdy w życiu nie przemawiał tak do dziewczyny. A kiedy się już na to zdobył, nie dowierzał ani ciszy nocy, ani milczącym niwom.

Spojrzała na niego i zaraz spuściła oczy. Ogarnęła ją i zawładnęła nią wrodzona jej powaga. Niezwykle wzruszenie zamknęło jej usta.

— Anno! — mówił delikatnie dalej, przyciągając ją nieśmiało do siebie. — Milczysz tak, jakbyś się bała, że zbije cię za to, że idziesz przez moje pole. Przecież tą ścieżką chodzi każdy, kto chce. Jeśli masz ochotę, to możesz nią chodzić dziesięć razy więcej niż inni. Wyścieliłbym ci tę ścieżkę najładniejszymi kilimami mojej matki. Kocham ciebie!

Zbladła, spojrzała na niego spłoszonymi i wzruszonymi oczami i dalej milczała. Szczęście było tak ogromne, ale i tak nieoczekiwane, że stała bezradnie, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

— Kocham cię, Anno, już od dawna! Taka jesteś piękna i dobra! Chcę cię wziąć za żonę, ciebie jedną, jedyną! Musisz mi odpowiedzieć, czy się zgadzasz i czy mnie kochasz.

Paraliżująca powaga ustąpiła. Objęła go rękami za szyję i zawisła na niej.

— Kochasz mnie? — wyszeptała wreszcie. — Kochasz mnie, Mychajło? Nie wiedziałam. Jestem taka biedna... Nic nie mam. Nie mam pola... Ale ciebie kocham...

— Czy ja pytam o pole, zazulo?

— Ale ja ciebie kocham, wiesz?

— Chciałem to wiedzieć...

Pocałowali się.

Z całą właściwą jej powagą przebiła się jej głęboka miłość. Z całą potęgą młodości ledwie dotkniętej cywilizacją duszy rozlała się teraz i bujnie rozkwitła. Pogrążyła się całkowicie w tej miłości, wypełniło ją bez resz-

ty to przemożne, dotąd zawsze lekliwie ukrywane, potajemne uczucie.

To, co się wydarzyło, było wprost nie do wiary. Najporządniejszy, najlepszy chłopiec, jeden z najbardziej pożądanых kandydatów na męża we wsi kochał ją. Ją, co niczego nie miała, była biedna, narażona tylko na gniew matki i szturchańce brata, ją, którą nie przejmował się żaden chłopiec we wsi, która nie istniała dla nikogo prócz swoich chlebowców.

— Tyle napłakałam się po nocach! Tylko Bóg jeden wie — wyszeptala cicho, kryjąc wstydlivie twarz na jego piersi.

— Dlaczego, gołąbko? — zapytał, gładząc jej czarne, połyskliwe w poświęcie księżycowej włosy i przytulając ją do siebie jak dziecko.

— Bo tak. Jakże miałam nie płakać? Wszystko było takie beznadziejne! Nie mam ani piędzi ziemi, ani pieniędzy. Moje serce gryzło coś jak czerw. Ani nie wiedziałam, że mnie kochasz, ani że...

— Ani że chcę cię za żonę? — dokończył i uśmiechnął się. — Ale teraz już wiesz. Teraz nie musisz już płakać. Odpędź smutek, a zamiast niego weź mnie. A jak ci znowu będzie kiedyś na sercu ciężko, to przyjdź tu i pocałuj mnie. Dopóki tu jeszcze jestem, całuj mnie! Dopóki tu jestem...

— Dopóki będę żywa chodzić po świecie! — zawołała, objawszy go namiętnie za szyję i z niewypowiedzianą prostotą podając do pocałunku młode, niecałowane usta.

— I dopóki ja będę żyw chodził po świecie! — odpowiedział z głębokim wzruszeniem, szczerym oddaniem i serdecznością, całując ją.

Był bezgranicznie szczęśliwy w tę cichą, jasną, księżycową noc i tak wzruszony i rozrzuwniony, że sam sobie wydał się inny. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie przeżywał.

Było tak cudownie, tak pięknie! Ta ładna, rozumna, cicha dziewczyna, której równej nie było, kochała go, tak bardzo go kochała!



— Przyniosłem ci pierścionek, który ci kupiłem na Petra w mieście — powiedział. Wyjął go zza pasa i włożył jej na palec. — Bądź mi wierna, Anno, jak odjadę — dodał poważnie. — Ja ci też dotrzymam słowa. Kiedy wrócę, urządzimy wesele!

— Nieprędka ty wrócisz, Mychajle — powiedziała, wzdychając.

— Dlaczego wzdychasz? Nie wzdychaj. Nie zasmucaj jeszcze bardziej mego serca, i tak już z żalu świata nie widzę. W domu nie widzę nic prócz łez. Mama ciągle płacze, a tato wzdycha po kątach. Wciąż myślałem, że jednak do tego nie dojdzie.

— Wiedziałam o tym, Mychajle. Słyszałam, jak pan i pani rozmawiali, że nic nie pomoże, że ty będziesz musiał odsłużyć swój czas. Pan byłby poratował, jakby było można. Oni ciebie lubią. Ciebie, twego tatę i twoją mamę. To tylko ja boję się swojej mamy i swego brata. Ciągle grożą mi sąsiadem...

Urwała i znowu przytuliła głowę do jego piersi. Przez chwilę głaskał ją delikatnie.

— Cierp, ale nie idź za niego! — powiedział. — Bóg nam dopomoże. Może dostanę na Boże Narodzenie przepustkę i przyjdę. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Dotrzymaj mi tylko słowa. A jak wrócę z wojska cały i zdrowy, to nie będę się bał ani twojej mamy, ani twego brata.

— A twoi rodzice, Mychajłyku? — spytała i podniósłszy głowę spojrzała mu przenikliwie i z lękiem w oczy.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z przymusem. Wiedział, że nie będzie to po ich myśli, zwłaszcza jeśli chodzi o matkę. Ona chciałaby dla niego królowny z bajki, miał jednak głębokie przeświadczenie, że zjedna ją dla siebie. A ojciec bardzo go przecież kochał; i jeśli ojciec się zgodzi, to i matka musi na to przystać.

— Tym się nie martw. Pozostań tylko u pani, bądź mi wierna i módl się za mnie, kiedy już tam będę. Jeśli nie zgine, to wszystko będzie dobrze.

Anna zaczęła cicho płakać. Zauważył to.

— No i już płaczesz! Przecież jeszcze nie poszedł i jeszcze nie umarł. Poczekaj z tym płaczem — pocieszał ją, jednak i jego ogarnął jakiś smutek. — Zamiast płakać, lepiej pocałuj mnie jeszcze raz.

Objął ją pieściwie i uniósł jej głowę.

Anna ocknęła się.

— Muszę już iść! — powiedziała spłoszona, poprawiając sobie włosy. — Ileż ja czasu zmitrężyłam, Boże mój! Co teraz powiedzą? Zupełnie straciłam głowę. Powiem, że zabawiłam dłużej u Onufrego. U Dokii spuścili już pewnie z łańcucha tego dużego psa, a muszę przechodzić koło jej domu.

Podniosła jedną ręką z ziemi koszyk z grzybami, a drugą objęła go raz jeszcze za szyję.

— Bądź zdrow, Mychajle! Dobrej nocy. Przychodź! Przychodź z czym bądź do pana, żebym cię mogła jeszcze zobaczyć. Będę się za ciebie modlić. I słowa nie złamię. Niech będzie, co ma być!

— Może jednak mnie nie zastrzelą — silił się na żart. — A nawet jak mnie pocałuje jaka kula, to może nie zginę od razu. Jestem silny, nie darmo mówią, żem jak niedźwiedź. Sawa zawsze tym się wykręca, kiedy mu się nie chce wynosić na strych worków ze zbożem. „Masz plecy jak niedźwiedź — powiada. — Nieś ty!”

Postąpiła krok naprzód.

— Idę już, Mychajło, już późno.

— Odprowadzę cię.

— Nie pomieścimy się, widzisz? Ścieżka taka wąska, a co mi z tego, że będziesz szedł za mną.

— To pójdę przed tobą — odpowiedział wesoło.

— No to znowu nie będę widziała twojej twarzy. Wszystko jedno, czy przede mną, czy z tyłu, ja chcę widzieć twoją twarz.

— Więc będę szedł obok ciebie.

— To wtedy żadne z nas nie będzie szło środkiem ścieżki. A grudą źle iść.

— Jeszcze pochorujesz się z tego — powiedział z hamowanym śmiechem, który i jej się udzielił.

— Zgnieciemy żyto — powiedziała już łagodnie, uszczęśliwiona, gładząc pieszczotliwie ręką ciężkie, złociste kłosa, wśród których ciemniały wysokie bławaty. — To przecież grzech, one takie piękne.

— No to idź przede mną — powiedział. — Niech cię dobrze zapamiętam. Kiedy już stąd odejdę i będę daleko od was, między obcymi, gdy będę stał na warcie, będę cię wspominał: jak idziemy oboje naszym polem, wąziutką ścieżką, ty ciągle przede mną, a ja za tobą. I ty wtedy odwrócisz się i uśmiechniesz się do mnie, a ja cię pocałuję.

W tym momencie Anna cofnęła się z przestachem. Biegący przez żyto zając smyrgnął błyskawicznie koło ich nóg.

Anna roześmiała się.

— A niechże cię! Jak się przestraszyłam!

— Boś dziewczyna — odpowiedział z nutką lekceważenia. — Ja je łapię jak muchy.

Gdzieś w żytnim gąszczu odezwała się znowu przepiórka. Anna mimo woli przystanęła i zasłuchiwała się.

— Przepiórka pitpilika, a świerszcze hałasują jak najęte — powiedziała niemal nabożnie.

— Bo noc jest jasna, a one lubią księżycowe noce. Zapelniają ciszę swoim zgiełkiem jak kwiatami — odpowiedział półgłosem.

Zwrócili twarz ku księżycowi i wpatrywali się przez chwilę w wysrebrzoną, wyrazistą, łagodną dal, po czym przenieśli wzrok na ścieżkę, którą szli. Przed nimi rozciągały się łany, wspaniałe i bogate, to zniżając się, to wznosząc łagodnymi wzgórzami i jakby łąsząc się wokół leśnych oaz, ciemniejących na ich tle.

— Wszystko śpi — powiedziała szeptem, jakby w obawie, że może obudzić coś w przyrodzie.

Istotnie, zdawało się, że wokół wszystko usnęło. Wysokie, bujne zboża, srebrzystobiałe niwy hreczki, a dalej smukła, posępna kukurydza. Lekka mgła, która tu i tam przejrzystym welonem podnosiła się nad zagonami, otulała drzemiacą roślinność do cichego snu.

Mały lasek — hen za łąnem — z którego niosła grzyby, stał otulony w ćmę, a nad wszystkim wznosiło się jasne, wyolbrzymiałe i roziskrzzone gwiazdami niebo, z księżycem siejącym łagodną, srebrzystą poświatę, która spokojnie, przenikając ciemności letniej nocy, wyczarowywała jakiś przecudowny, milczący, bajkowy świat.

Oboje milczeli.

Ciągle jeszcze stali zwrócenii do księżyca, w tę stronę, skąd wracała.

Anna z jakimś zapamiętaniem wpatrywała się dłuższą chwilę w dal. Nagle w jej szeroko rozwartych oczach za-trzepotał strach.

— Mychajło! — zawołała z lękiem. — Patrz, widzisz?

— Co takiego? — spytał.

— Cofnij się wzrokiem tą ścieżką, którą przyszedłam.

— No i co?

— Patrz, widzisz teraz tam, w dole, w gęstwinie drzew waszą zagrodę, która wygląda jak staruszka skulona na ziemi? Widzisz ją? A te drzewa za nią gęste jak las, widzisz? Jest tak jasno, że wszystko widać dokładnie, bardzo dokładnie. Patrz teraz na małą stajnię koło szalasu, na płocie wisi długie pasmo białego płótna.

— Widzę. Mama bielila i zapomniała schować. No to co?

— A teraz uważaj! Od zagrody kawałeczek w prawo, oddzielony bagnistą łąką, gdzie grzęzną konie z wozem, kiedy wywożą skoszone sitowie; teraz unosi się tam płatami lekka mgła. O krok stamtąd leży pański lasek, widzisz go? Drzemie teraz.

— Dlaczego miałbym go nie widzieć? — spytał, zaskoczony jej dziwnymi pytaniami. — Widzę go codziennie, mam go każdego dnia przed oczami. Lasek wesół jak dziecko.

— Tak, wesół jak dziecko — powtórzyła machinalnie. — Ale teraz patrz dobrze! Widzisz „sąsiedzki las”, co przy-czaił się za bagnistą łąką między zagrodą a wesółym la-sem? Ciemny i straszny, widzisz? Oddalony jest spory

kawał od waszej zagrody. Przecież wiesz, Mychajło, to „sąsiedzki las”! — dodała niemal niecierpliwie, dziwnie poruszona, a w jej głosie, drżącym od hamowanych łez, przebijała nuta niewymownego bólu. — Choć on nieduży, zawsze się strasznie boję tego lasu. I w dzień, i wieczorem. Nie mogę przejść tamtędy, żeby nie przyspieszyć kroku. Ciągnie mnie tam i odpędza stamtąd. Chce mi się płakać, kiedy znajdę się tam sama... Strasznie się boję... drzewa takie ciemne... to takie straszne... ja nie wiem... nie wiem...

Mówiąc to pochyliła się lekko w przód. Nie odrywając szeroko rozwartych, niemal wytrzeszczonych oczu, jak w transie, trzymała Mychajła jedną ręką i, zdawało się, była wszystkimi zmysłami tam daleko, koło lasu.

— Tak mi jakoś... kiedy tam... — mówiła trwożnie urywanymi sylabami. — Kiedy patrzę tam... A dziś... kiedy tak jasno... patrz, jak jasno, niezwykajnie jasno... Stamtąd coś idzie!... — krzyknęła niesamowicie w obłędnym przestachu. — Na ciebie i na mnie!

Rzuciła się do niego spazmatycznie i, jakby chcąc go osłonić, chwyciła go gwałtownie rękami i przywarła twarzą do niego, wybuchając konwulsyjnym płaczem, jaki wywołuje jedynie nagły, niesamowity lęk.

Oplótł ją ramionami. Przeniknął go lodowaty chłód, włosy zjeżyły mu się na głowie. Trzymał ją mocno, przyciskawszy do siebie, i patrzył z natężeniem we wskazanym kierunku. Nie bał się i nie dostrzegał niczego. Jego zagroda, do której zamierzał wnet wrócić, stała spokojnie i rzeczywiście wyglądała jak skulona starowina w chustce, osłonięta z tyłu gęstymi drzewami, a tam dalej, w prawo, za bagnistą łąką z płatami lekkiej, przezroczystej mgły, prawie na granicy drugiej wsi, leżał w odosobnieniu „sąsiedzki las”. Cudzy, nieduży i rzadko tylko odwiedzany przez gajowych. Był usytuowany tak, jakby nie należał do nikogo, każdy mógł bezkarnie grabić drzewo, i dość często też grabił.

Mychajło znał go bardzo dobrze. Obcinał tam czasami suche gałęzie, pręty do płota i spędził w jego głębi nie-

jedną noc. Ale teraz nie dostrzegał niczego. Nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy. Ani w dzień, ani w nocy. Na pewno coś się jej przywidziało.

— Jesteś dziewczyną, dlatego się boisz — uspokajał ją opanowanym tonem, ale wywołana przez nią panika, jaka udzieliła się i jemu, przebijała jeszcze z jego głosu. — Przeżegnaj się. Bóg z nami! Odprowadzę cię aż do domu. Tam nic nie ma, przywidziało ci się. To była mgła.

— Nie, to nie była mgła! To „coś” leciało poprzez mgłę! — wybuchła znowu płaczem, po czym uniósłszy na chwilę głowę wpatrywała się w jego twarz sugestywnie i z wymówką. — To leciało... na mnie... na mnie i na ciebie...

Nagle urwała. Wolno zawróciła, jakby zniewolona niewidoczną, potęgującą się siłą, uniosła znowu głowę i wpatrzyła się w siniejący w poświacie horyzont z ciemniejącymi wśród falistych pól oazami lasów. Wpatrywała się przez chwilę zalęknionymi oczami, z boleśnie ściągniętymi brwiami, nie odwracając ani na chwilę od tego miejsca głowy ani spojrzenia. Nagle zacisnęła mocniej palce na jego ramieniu i zaczęła postękiwać jak w boleściach, a potem cicho jęczeć.

— Już znowu... już znowu... — z niesamowitym lękiem krzyknęła: — Znów leci!

Pociągnął ją za sobą, śmiertelnie przerażony. Głośno płakała.

— Chodź! — krzyknął, zegnając się i szczękając zębami. — Tu nieczyste miejsce. Chodź!

Podniósł z ziemi grzyby, które upuściła z przestachu, drugą ręką objął ją wpół i pociągnął dalej.

Szli wśród wysokiego zboża, przytuleni mocno do siebie. Anna wycierała oczy rękawem, oglądając się bojaźliwie raz po raz za siebie i wstrzymując wzbierający ciągle na nowo płacz. Kiedy ścieżka miejscami się zwężała i on musiał iść sam, szła posłusznie za nim.

— Nie wracaj tą drogą — prosiła błagalnym tonem, przyciskając jego rękę do siebie. — Boję się!

— Nic mi się nie stanie, gołąbko — odpowiedział po-

ważnie, spokojnym głosem. — Mnie nie straszno. Ja się nie boję!

— Tu... jakaś nieczysta siła... na ciebie i na mnie, Mychajło — mówiła urywanym głosem, tuląc się mocniej do niego. — Ja to „coś” teraz widziałam!

— Co takiego widziałaś?

— Coś strasznego, nie wiem na pewno co! Coś, niesamowitego!... Jakieś zakrwawione, płonące łachmany i dwoje rozżarzonych, niesamowitych oczu... To coś zbliżało się do nas z szaloną szybkością. I tak jak szybko leciało z lasu, tak szybko szczyło. Boże, co to mogło być?!

Przeszedł go dreszcz, przeżegnał się. Był zabobonny jak ojciec i matka, jak w ogóle większość ludzi w jego wsi.

— W księżycowe noce zawsze się coś takiego wyczynia — powiedział pouczającym tonem, żeby ją uspokoić. — Ale ochrzczonemu człowiekowi ono nie może zrobić nic złego. Niedaleko pańskiego domu, gdzie wyjeżdża się już z łąki na drogę, w pobliżu małego jaru, którym można najszybciej dostać się z łąki do naszej chaty, też jest nieczyste miejsce! Zawsze, jak jest księżyc w pełni, pokazuje się tam wielki, czarny pies. Ten pies kręci się na jednym miejscu i nie przepuści nikogo, jak nie zechce. Za nic w świecie nie przepuści!

— Tyś go widział? — spytała lękliwie.

— Nie. Ja nie, ale stary Petro mówił, że go raz widział. Wracał, jak opowiadał, późno ze wsi do domu. Noc była jasna, księżycowa, jak dziś. Szedł sam. W miarę jak zbliżał się do tego miejsca, coraz bardziej słabł w kolanach. I nagle stanął przed nim wielgachny pies i wlepił w niego ogniste ślepie. Petro też się zagapił na niego. A kiedy podniósł rękę, żeby się przeżegnać, pies znikł. A on, wiesz, on runął jak długi na ziemię! Oprzytomniał dopiero grubo po północy, podniósł się z ziemi i powlókł do domu. Mówił, że potem jeszcze przez trzy dni ze strachu ugiwały się pod nim kolana. To się zdarza — kończył mocniejszym głosem. — I w takich wypadkach trzeba tylko pamiętać

o krzyżu, trzeba się zaraz przeżegnać. Potem nic się już nigdy więcej nie pokaże.

— A ja, Mychajło, zapomniałam — powiedziała już śmiało, spokojniej i z wilgotnymi jeszcze od łez oczami uśmiechnęła się jak dziecko, jakby odkrywając coś nowego. — Dlatego widziałam to jeszcze raz. Ale teraz już zawsze będę pamiętała o krzyżu — i mówiąc to, pobożnie się przeżegnała, pokłoniwszy się głęboko do ziemi. Odechnąwszy mówiła dalej: — Teraz się już nie boję! Tak dziś jasno, że szpilkę by znalazł. Ale nie ma chyba jeszcze północy. Bardzo się jednak przestraszyłam! — wróciła znowu do poprzedniego tematu. — I co to takiego mogło być, to, co ja widziałam? Co to mogło być? I niby wiem, że to było, a przecież nie wiem, co.

— Nie zgaduj! — powiedział serdecznie. — Niech szczeźnie to lichu!

— Niech szczeźnie! — powtórzyła poważnie, a po chwili dodała: — Z tego wszystkiego bardzo się spóźniłam. Pani przykazywała, żeby nie marudzić do późna, a ja tyle czasu zbałaganiłam! Chodźmy szybciej, Mychajło! W domu będą mnie jeszcze potrzebować.

W milczeniu przyśpieszyli kroku. Ciągłe szli wąską ścieżką przez pole, tylko teraz wśród wysokiej kukurydzy. Jej jedwabiste liście poszeptywały do nich, kiedy jedno lub drugie, przechodząc obok smukłych roślin, od czasu do czasu dotykało ich lub odgarniało ze ścieżki rękami.

Po niedługim czasie zatrzymali się w pobliżu białej chaty Dokii, przy drodze wiodącej do pańskiego domu.

Objął ją.

— Pocałuj mnie jeszcze raz, zazulko — prosił delikatnie. — Dalej już z tobą nie pójdę, bo ludzie mogą zobaczyć. Teraz nie trzeba.

— Nie trzeba, nie trzeba! — podchwyciła żywo, obejmując go mocno za szyję.

— Bóg widzi! — rzucił półgłosem i pocałował ją w usta.

— Tylko jeden Bóg widzi! — odpowiedziała z całego serca.

Z tym się rozstali.



Ona poszła dalej, a on stał jeszcze chwilę i patrzył za nią, jak szła polną drogą, minęła białą chałupę Dokii i ruszyła przez łąkę do bliskiego już pańskiego domu. Szła wyprostowana, jak ciemny, smukły świerk, kołysząc się lekko, aż wreszcie znikła mu z oczu.

Czuł się w pełni szczęśliwy. Kochała go, chciała na niego czekać. I będzie jego żoną.

Przeżegnał się i poszedł z powrotem jasno oświetloną ścieżką. Jego zagroda drzemała cicho w niebieskosrebrnej poświacie, oczekując go z otwartymi drzwiami i dwoma małymi, zwróconymi w stronę księżycy i teraz jasno połyskującymi oknami...

#### IV

Tego samego dnia rano Maryjka zauważyła, że znowu zginęła jej jedna duża kura, i podniosła głośny lament.

— Trzeba spytać Sawę — odezwał się Iwonika, który siedział niedaleko chaty i klepał kosę, zbywając milczeniem wszystkie lamenty i dopytywania żony. — Przecież on się teraz kurami zajmuje. Kiedyś słyszałem, jak mówił, że jastrząb jedną porwał.

Uragliwy śmiech wykrzywił jej usta.

— Przekłęte jastrzębie! Pchają się teraz już do kurnika i porywają kury, kiedy śpią...

Stary podniósł głowę i spojrzał na żonę. Bardziej wymowny był ton jego głosu niż słowa, kiedy spytał:

— Co mówisz, Mario?

— Mówię, że są takie jastrzębie, co pchają się aż do kurnika i porywają drób. A jak nie będziecie uważali, to wam powynoszą i inne rzeczy!

— Mario! Uważaj, co mówisz, i pamiętaj, żeby nikt tego nie słyszał — powiedział ostrzegawczo. — Ludzie i tak wszystkiego nam zazdroszczą, a jak się dowiedzą, że nasz syn złodziej, bardzo się tym ucieszą. Wiem, że Sawa to wszystko robi, i nie daruję mu tego!

— On dostał już ode mnie swoją porcję — odezwała się znów żona. — Ale to wszystko sprawka Rachiry. To ona namawia go do wszystkiego, a on robi tylko to, co ona mu każe. Kiedyś spotkałam ją, jak wracała od Mendla z flaszką wódki. Myślisz, że powiedziała mi chociaż „dzień dobry”? Gdzie tam! A przecież jestem jej ciotką. Jej matka, to moja rodzona siostra. Mijając mnie patrzyła wilkiem w ziemię. Ma nieczyste sumienie, bo chodzi i namawia chłopca do złego. Sprzedaje u Mendla mój drób i kupuje za to wódkę i tytoń. Już doszłam do tego. Domnika mi powiedziała. Mieszka niedaleko od nich, to wszystko widzi i słyszy. A Domnika mądra, wiele widziała i wiele wie. Nie darmo służyła w mieście przez dziesięć lat...

— Ona mądra, ale chytra i fałszywa, Mario — odparł spokojnie i zabrał się znowu do klepania kosy.

— Fałszywa, ale nigdy nic złego mi nie zrobiła, żyję z nią w zgodzie. Wie o wszystkim, co dzieje się we wsi, to tego by nie wiedziała! Sawa przesiaduje teraz u Hryhorego więcej niż u nas. Kiedyś pomagał mu kosić na jego wynajętym dziadowskim polu. Domnika mi to mówiła. Nie chciałam wam o tym mówić, ale teraz jednak powiem. Mychajło pracuje przy nas jak wół, nie ma chwili spokoju, żeby tylko utrzymać wszystko w porządku, orze od rana do wieczora, a ten traci czas i swoje młode siły tam, u tego łajdaka. Sprawilibyście mu raz lanie, Iwonie!

Iwonika milczał, z piersi wyrwało mu się nieme westchnienie. Wiedział o tym. Wiedział o wiele więcej niż ona. Niedawno na przykład Sawa ukradł z otwartego chwilowo spichlerza gruby łańcuch, kiedy coś tam kopał w pańskim ogrodzie. Stary Hryhory sprzedał go Żydowi na Hopplacu, a on, Iwonika, był właśnie przy tym i poznał pański łańcuch. Domyślił się od razu, skąd pochodził, ale milczał. Sawa był przecież jego dzieckiem. Były to wszystko sprawy Sawy, ale cóż mógł na to poradzić? Wstyd jednak przyznać się przed wszystkimi, że jego syn jest złodziejem, który w spółce z drugim złodziejem oszukuje ludzi. Bóg dał mu dwoje dzieci. A że po jednej stronie

było samo dobro, więc po drugiej wyszło samo zło. On jednak obu ich jednakowo kochał, tak jak jednakowo ich wychowywał z pracy swych rąk. Obaj byli jego rodzonymi dziećmi.

— Kiedy Mychajło pójdzie w rekruty i Sawa zobaczy, że nie ma komu zajmować się gospodarką, to się poprawi. Teraz jeszcze liczy na Mychajła — pocieszał żonę i samego siebie.

— Daj Boże! — odpowiedziała Maria. — Ale dopóki będzie się trzymał tej gadziny, dopóty będzie go się trzymać zło i nieszczęście. To ja wam mówię, Iwonie. On już śmieje się z mego żalu, a to chyba nie do śmiechu, kiedy matka płacze. Widzi przecież, że mi z żalu serce pęka, że Mychajło musi iść, ale dogryza: „Idźcie z nim do wojska... Bo kto mu tam pierś poda?” Tak on mówi do swojej matki. Ma twarde, niedobre serce iniech go Bóg skarzę za takie słowa!

— Nie przeklinaj, Mario! — uspokajał i ostrzegał Iwonika. — To przecież takie samo nasze dziecko jak Mychajło. On się poprawi. Wygarnąłem mu już kilka razy i przestrzegłem go, że jak się nie poprawi, to nie dostanie ode mnie ani grudki ziemi. Wszystko, powiedziałem, dam Mychajłkowi. On wie o tym. I wie, że człowiek bez ziemi nic nie znaczy. On o tym bardzo dobrze wie. I widzi, co u ludzi we wsi znaczy Hryhory.

— Już od maleńkości był taki uparty i złośliwy — obstawała przy swoim Maria. — Dobrze to pamiętam.

— Od dziecka nie można za wiele się spodziewać, boć to dziecko, i nie ma się co do tego przyczepiać. Sami byliśmy kiedyś tacy i robiliśmy i dobrze, i źle. Cóż kto temu winien, że był głupim dzieckiem.

— Mówię tylko, że on już wtedy był nieposłuszny i uparty i robił swojej matce zawsze na przekór, kiedy mu coś kazałam.

— A czyś ty zawsze, Mario, słuchała swojej nieboszczki matki? — spytał mąż i uśmiechnął się, Bóg wie, czemu, z przynusem.

— Starzyście a głupiście! — zaterkotała niecierpliwie. — Ja mówię o ogniu, a wy o wodzie. Ja mówię, że on już w małości był uparty i zły, a wy mówicie, jakimi w dzieciństwie byliście wy, jaka ja i jacy byli inni. Co ma piernik do wiatraka? Pamiętam raz, kiedy był jeszcze mały, jeden chłopiec, zdaje się, że to był młodszy brat Todoryki, co umarł, pamiętacie? No to ten chłopiec zabrał mu fujarkę, zawsze razem paśli na łące bydło. Sawa nie powiedział ani słowa. W cztery tygodnie później złapał ogromnego trzmiela i wsadził chłopcu za kołnierz. Kiedy chłopaczysko zachorowało i leżało zapuchnięte, a Sawę bili za to i biesztali, pytając, czemu to zrobił, milczał jak kamień. Zaciął się w milczeniu. „Widzisz — mówię mu — on może umrzeć!” Spojrzał tylko wilkiem, zmarszczył brwi i dopiero po pewnym czasie się rozplakał. Płakał, ale nie powiedział ani słówka. A jak mu kazałam pójść do chłopca i przeprosić jego i jego matkę, nie ruszył się z miejsca. Jakby zaniemówił i skamieniał. Byłabym mu wtedy kości połamała. Miał szczęście, że był zawsze taki mizerny i blady, inaczej, dalibóg, byłabym to zrobiła! Taki sam jest i teraz i dlatego mam żal do niego.

— On nie zawsze był taki jak teraz, nie słuchał tylko swego rozumu, Mario — powiedział stary. — Ale od kiedy pokumał się z Hryhorym, popłatało mu się we łbie.

— E, zawsze był leniwy i uparty! — broniła swego z rozdrażnieniem.

— Leniwy!... Ale nie kradł i nie wymigiwał się od roboty tak jak teraz, no i...

— A wy wszystko widzicie i ledwie raz na rok powiecie mu jakie słowo! — przerwała ze złością. — Nawet jakby wam dach nad głową zapalił, też nabralibyście wody w usta. Nie wiem, co wy macie za serce. Zawszeście tylko dobry i dobry. Tylko to jedno widzicie, ale tak niedobrze, Iwoniko!

Przerwał klepanie kosy i spojrzał na żonę.

— Mario! — powiedział poważnie i z wyrzutem. — Czy

Sawa nie jest takim samym twoim dzieckiem jak Mychajło? I czy ty go mniej kochasz? Czy nie tyś go urodziła? Czego ty właściwie chcesz ode mnie? On młody, głupi, bałamucony przez złych ludzi. Rachira coś musiała mu zadać, ale kiedy to minie i ona straci nad nim władzę, wróci do nas. Czuwam nad nim, chociaż milczę. Milcz i ty i trzymaj język za zębami. Mychajło też widzi więcej, niż myślisz, a Sawa nie wie o tym. Nie będzie się jej długo trzymał. To nie jest uczciwa dziewczyna. Żenić się z nią nie będzie, bo to jego cioteczna siostra, a to przecież grzech. On wie o tym wszystkim i to się musi skończyć. Trzeba tylko być cierpliwym i prosić Boga, żeby nas nie opuścił... i żeby Mychajła nie opuścił...

— Oj, Mychajło, Mychajło! — jęknęła nagle Maria, jakby ją kto dźgnął. — Dziecko ty moje, serdeńko ty moje! Za co ciebie odrywają ode mnie, za co wkładają w jarzmo? Co zrobimy bez ciebie? Co pocznie ziemia bez ciebie? Zajdziesz dla nas jak to słońko, a ja zginę, żal za tobą krew ze mnie wypije i włosy pobielei. Mychajło! Mychajło!

Iwonika szybko spojrzał z troską na żonę, czy nie tłucze znowu głową w ścianę. Kiedy żal spadał na nią nagle, tak jak teraz, kiedy przypominała sobie o rozłace ze swym ulubieńcem, robiła to niemal za każdym razem, a była przecież słaba i już niemłoda.

Ale tym razem nie tłukła głową. Zawodziła tylko i narzekała, pewnie zaraz się znowu rozpłaczę...

Zwiesił głowę na piersi jak przedtem, zmarszczył boleśnie czoło i z jeszcze większą pilnością klepał dalej w milczeniu kosę.

Ona jednak nie milczała. To z izby, to z podwórza dochodził jej żałosny lament, ciągle narzekanie. Od czasu do czasu podnosiła chudą prawą rękę i komuś tam wygrażała.

Nadeszła noc. Dopadła ich, jasna i cicha, kiedy spoczywali już w głębokiej ciszy w ciemnej chacie, bezsennie, z gryzącym bólem w sercu.

O tej samej porze, kiedy Mychajło czekał na swoją dziewczynę, Sawa jak złodziej skradał się przez ogrody, pomiędzy chatami, do Rachiry.

Mieszkała z rodzicami w małej chatynce, w pobliżu starego, dużego lasu, potężnym murem grodzącego wieś, niedaleko najlepszej przyjaciółki Marii, rozumnej i gładkiej w wymowie Domniki.

Stary Hryhory i jego ślepa na jedno oko żona Tetiana nie mieli żadnego gruntu i wydzierżawiali co roku u obcych kilkanaście przętów ziemi, żeby jakoś pchać do przodu swoją biedę. Chatynka, stojąca pośrodku małego sadu, była stara i pochylona. Zdawało się, że po każdej silniejszej burzy przechylała się coraz bardziej w stronę lasu.

Hryhory był wyrobnikiem, jego żona chodziła razem z nim do roboty, chwyciła się każdej pracy, tylko Rachira zostawała w domu; spędzała dni na nieróbstwie albo walała się po wsi, przystając przy każdej chałupie, gdzie były dziewczęta lub młodzi chłopcy, i wdając się w rozmowy.

Było prawdą, że ona, a właściwie jej ojciec pochodził z Cyganów.

W sąsiedniej wsi, która uważała się już za miasteczko, bo odbywały się w niej jarmarki i targi, osiedliła się jeszcze za dawnych lat cygańska kolonia. Ówczesny dziedzic i właściciel wsi podarował im kawałek ziemi. Osiedlili się tam i część tej ziemi razem z mieszkańcami nazwano „Cyganią”.

Cyganie mieli tu swego własnego sołtysa, swych radnych gromadzkich i trwali twardo przy swoich obyczajach i cygańskich prawach. Najładniejszą Cyganke dziedzic wziął do dworu, gdzie żyła w rozkoszach, jak księżniczka ze starych bajek.

Zmieniło się to jednak w latach 1866—1867. Zapanował wówczas głód, wybuchła cholera, wiele rodzin powymierało, wiele wywędrowało z Cyganii do Mołdawii, a ci, co

zostali na miejscu, miesza­li się z innymi mieszkańcami, i tylko nieliczni pozostali wierni swym tradycjom i oby­czajom.

Starzy ludzie, którzy pamiętali jeszcze dobre czasy kwit­nącej Cyganii, opowiadali o niejednym ciekawym epizo­dzie z ich życia, o ich naturze oraz ich szczególnym ta­lencie do cygaństwa. Wspominali ich jednak z jakąś cie­plą sympatią.

Można było na przykład uśmieć się do rozpuku, kiedy przechodziło się koło ich łączki, na której latem pasły się kradzione owce, zwłaszcza w niedzielę. Wszystkie małe Cyganiątka, nagie, zbierały się tu rojami, biegały, fikały i szybko się kręciły, wzięwszy się za ręce, tak że ich ciemne ciała lśniły i migały tylko przed oczami. Rzucały się przechodniom pod nogi i prosiły nieopanowanymi, a zarazem nachalnymi gestami o jałmużnę, krzyczały i skamlały, śpiewały i odstawiały prawdziwą komedię, tak że ktokolwiek tamtędy przechodził, mimo woli uśmie­chał się i sięgał ręką do kieszeni.

Cyganie mieli własną kapelę, handlowali drewnianymi naczyniami, mieli swoich rzemieślników, a w sobotę większość kobiet przebierała się w łachmany i szła żebrac do sąsiednich wsi.

Hryhory Czunkacz, ojciec Rachiry, był potomkiem Cy­ganów. Ożenił się z siostrą Marii, ślepą Tetianą, bo miała kilka prętów ziemi, a kiedy wszystko przepił, musiał dzierżawić pole i chodzić codziennie na zarobek.

Tetiana cieszyła się w całej wsi zasłużoną sławą dobrej robotnicy. To właśnie jej i tej opinii o niej zawdzięczał Hryhory, że dostawał pracę; gdyby nie to, nie miałby ani jednego przyjaznego mu człowieka. Był złodziejem, a miał też na swym sumieniu jedno ludzkie życie. Raz upił się i pobił pewnego staruszka tak silnie, że ten po kilku dniach zmarł. Długo siedział za to w więzieniu, ale kiedy wyszedł na wolność, nie stał się ani odrobinę lepszy.

Rachira wdała się całkiem w niego, lubił ją jak samego siebie. Miała nie tylko jego okrągłe, chciwe oczy, ale i je­go charakter odbił się w niej jak w zwierciadle. Niewia-

rygodnie leniwa, włóczyła się beczynn timer całymi dniami po wsi, plotkując i myszkując za wszystkim, co tylko wpadło jej w oczy, zwłaszcza za drobiem; albo też stawała tam, gdzie gospodynie bielili płótno, żeby potem, przy nadarżającej się okazji, porwać pod pachę jedno lub drugie.

Matka jej była bezwolna, nie miała w domu żadnego głosu i robiła zawsze tylko to, co kazał jej mąż i czego żądała córka. Była dla obojga niemą, niezmordowaną maszyną.

U młodych wsiowych chłopców Rachira nie cieszyła się sympatią. Gardzili nią jawnie i głośno się z niej wyśmiewali. Narzucała się każdemu i nietrudno było pozyskać jej względy. Żaden chłopiec nie zapraszał jej na tańce, ale ona laża od jednego do drugiego jak łasica, umizgając się i prosząc tak długo, aż ten czy ów, pół żartem pół serio, pociągnął ją za rękaw do tańca, a okręciwszy się z nią kilka razy, przeganiał od siebie lub odsyłał z dwuznacznym słowem na miejsce. Ona jednak śmiała się z tego. Ze swoimi białymi, lśniącymi zębami, z czerwonymi, wywiniętymi wargami, pchała się do następnego tańca, jak gdyby nigdy nic, znów uśmiechała się do nich i tak długo starała się zwrócić na siebie uwagę, aż dopięła swego.

Od kilku miesięcy przylgnął do niej Sawa. Sympatia zrodziła się właśnie w tańcu, z żartów, uśmiechów i poszturchiwań, wnet jednak przemieniła się w groźną, poważną siłę.

Była starsza od niego. Tak umiała go za nos wodzić — leżało to już w jej naturze — że nie było niczego, w czym by się z nią nie zgadzał i nie ulegał ślepo jej zachciankom i dzikim fantazjom. Była dla niego bóstwem, trzymała go przy sobie jakąś magiczną siłą... Uprzedzała też wszystkie jego życzenia, a każdy jego postępek zyskiwał jej pochwałę.

Znajdował w niej oparcie dla swych najprymitywniejszych, najniższych instynktów, a że w swym zaślepieniu nie dostrzegał jej wad, pogrążał się więc coraz bardziej



w tym bagnistym światku. Nie potrzebował też krępować się jej rodzicami. Pił razem z nimi i nie dostrzegał nic zdrożnego w tym, że się upijał. Znajdowali zawsze jakieś usprawiedliwienie dla Rachiry, kiedy przynosiła do domu kawałek ukradzionego płótna lub kradzioną kurę, opowiadając, jak wpadły w jej ręce, w jaki sposób zabierała się do tego, ażeby dana rzecz znalazła się w jej rękach, bacząc przy tym, co Sawa na to wszystko powie. A on śmiał się dziwnym, zdławionym śmiechem i podziwiał jej zręczność i przytomność.

Poczynął sobie z nią swobodnie. Ojciec i matka nie krępowali ich w niczym, tak że Sawa spędzał z nią nieraz całe wieczory i noce i nikt nie wtrącał się do ich wzajemnych stosunków ani do tego, co robili. Zmysły ich mogły się więc nieustannie rozpałać.

Dziś starzy poszli do sąsiedniej wsi na robotę i jeszcze nie wrócili. Rachira siedziała sama przed chatą na przysobie i, czekając na Sawę, nieruchomo spoglądała wielkimi oczyma na błyszczący księżyc.

Niedaleko od chałupy ciągnął się po prawej stronie duży, czarny las, po lewej — sady sąsiednich chat. Wokół panowała głęboka cisza.

Dlaczego on nie przychodzi? Obiecał, że przyjdzie jeszcze przed zachodem słońca. A gdzie już teraz słońce! Śladu z niego nie ma. Noc rozkwitła w pełnym przepychu, na miejsce słońca zapalił się księżyc i rozżarzył się, przyciągając do siebie.

Pewnie umyślnie zapędzili go w domu do jakiejś roboty, żeby tylko nie szedł do niej! To ciotka Maria! To ona taka złośliwa! Nienawidzi jej, Rachiry. Chciałaby zobaczyć ją jak najprędzej na katafalku. A wszystko dlatego, że Sawa ją kocha; mimo wszelkich zakazów i gróźb chodzi do niej i trzyma się jej.

Jej duże, nieujarzmione oczy zapłonęły. Umyślnie będzie trzymać Sawę przy sobie, na złość im, Sawa będzie ją kochał, ożeni się z nią. Im na złość!... Na złość! Na złość tej starej, skąpej wronie i jemu, Mychajłowi, co udaje zawsze takiego świętoszka.

Nic ich to nie powinno obchodzić, że on ją kocha. Wszystkim pokaże, kto ona, zwłaszcza tej starej wiedźmie. I co to za ciotka? Ma pieniądze i krowy, ma płótno i miód, i pełno wszelkiego zboża, ale nawet nie spojrzy w tę stronę, gdzie oni mieszkają. Czasem nie było w domu mleka i kuleszy nawet po kilka dni, ale ona udawała, że ich nie zna. A jej matka, Tetiana, to przecież rodzona siostra Marii! Ale Maria kiedyś jeszcze tego pożałuje! Już ona im kiedyś pokaże. Żeby tak zdrowa była! Ma w sąsiedniej wsi ciotkę, co zna się na różnych zielskach i wróżbiarstwie. Pójdzie do niej i wycygną jakieś złe zioła. Niech ją lepiej zostawią w spokoju! Ją i Sawę...

Nagle zaszczekał zajadle czarny, chudy pies, uwiązany na sznurze przy chałupie. Ale już w następnej chwili przypadł do ziemi, powłókł się z uległością kilka kroków w przód, opuścił łeb na wyciągnięte przednie łapy i zamierdał raźnie ogonem; szczekanie zmieniło się w wesołe skomlenie, po czym pies zamilkł.

To przyszedł Sawa. Trzymał pod pachą małe zawiniątko.

Rachira poderwała się z miejsca i wybiegła mu na przeciw.

— Dopiero teraz, Sawo? Czemu tak późno? — spytała niecierpliwie i wyrwała mu zawiniątko.

— Czego chcesz, zatrzymali mnie. Musiałem jeszcze zemleć na żarnach mąkę, bo się starej tak zachciało — tłumaczył się, obejmując ją za szyję. — Ale przyniosłem ci za to mąkę na kilka kulesz. Możesz sobie zaraz ugotować. I przyniosłem ci jeszcze kawał sera. Chyba lubisz ser, co?

Uśmiechnął się, a i ona się uśmiechnęła, pokazując przy tym ładne, lśniące zęby.

Rozwinęła z liści ser, zjadła zachłannie jedną grudkę, potem zniosła go razem z mąką do mieszkania i wróciła do niego. W tym czasie Sawa usiadł na przyzbie i wyjął zza paska tytoń. Przysiadła obok i objęła go za szyję.

— Wiesz — zaczęła — myślę, że starzy będą dziś tam nocować. Patrz, jak późno. Jeśli dotąd nie wrócili, to już na pewno nie wrócą. Zanocują tam. Zostań tu, pogadamy.

I tak trzymają cię u siebie przez cały dzień jak psa na łańcuchu. Coś dziś robił?

— Kosilem. Cały dzień byłem w zaprzęgu.

— A co ten robił?

— On? Uduje wielkiego gospodarza. Raz po raz daje tylko nauki i przestrogi, jak mam robić to czy tamto, kiedy jego już nie stanie.

— Żeby się już raz wyniósł — dorzuciła, zwróciwszy znowu swoje wielkie, okrągłe oczy na księżyc. — To nasz wróg, Sawo. Zobaczysz, że przez niego spadnie na nas jakieś nieszczęście.

— Aj, nieszczęście? — kpił chłopiec. — Chciałbym wiedzieć, co on mi może zrobić!

— Buntuje starych przeciw tobie.

— I...?

— Głupi jesteś, Sawo.

— Dlaczego głupi?

— Nie widzisz, jak on się starym przypochlebia? Jak potoki płyną z oczu ciotki, a stary z żalu za nim ledwo że duszy nie zatraci? Myślisz, że kiedy już będzie w wojsku, to oni będą mniej się nad nim trząść? A ja ci mówię, że wszystko powędruje za nim z domu do miasta. Wszystkie pieniądze i wszystek drób, wszystko. A ty będziesz jak ten głupi sterczeć tu i harować za nich. Tak, tak, tak będzie. Zobaczysz, że tak będzie.

— Więc co mam robić?

— Nie rób nic. Im na złość! Tyś taki dobry ich syn, jak ten drugi! — oczy jej zamigotały złym blaskiem, poczochnęła się wszystkimi palcami po głowie. — Ja na twoim miejscu palcem bym nie kiwnęła! Niech tam sobie gderają.

— To jakoś tak... nie uchodzi... tak nie można! — odparł powściągliwie. — Nie da rady, Rachiro! Kiedyś ojciec powiedział mi: „Kto nie kocha ziemi, temu ona niepotrzebna”. Było to wtedy, kiedy ojciec mówił, że trzeba orać pod oziminę, a mnie się nie chciało odwieźć do kowala pługa do naprawy.

Oczy jej znowu rozblęły.

— Ale ty przecież kochasz ziemię, Sawo! — powiedziała i przywarła mocno do niego.

— E, co tam „kochasz” — odpowiedział z rozdrażnieniem. — Co człowiek znaczy bez ziemi?

„To, co mój ojciec” — chciała powiedzieć, nie powiedziała tego jednak, lecz pocałowała go swymi pełnymi, ciepłymi ustami.

— Będziesz miał ziemię, Sawo! — powiedziała. — Dwóch was tylko u taty i mamy. Ty i Mychajło. Twój ojciec nie ośmieli się dać jednemu wszystko, a drugiemu nic. Nie bój się! Mówię ci, Sawo, że nie masz się czego obawiać. Ale jak będziesz głupi, będziesz lał im ciągle pod nogi, będziesz raz po raz bić przed nimi czołem, dąć w ich dudkę, to wiadomo, że będą cię straszyć nawet wróblem na parkanie. Pięść im pokaż, jednemu i drugiemu. Zobaczysz, jak się wtedy zaraz zmieni. Mnie najwięcej złości ciotka. Ładna mi ciotka! — dodała z niewypowiedzianą pogardą. — Najchętniej utopiłaby mnie w łyżce wody za to, że mnie kochasz i przychodzisz do mnie, prawda?

— A jakże! — przytaknął Sawa. — Dziś się mnie uczepliła, że ukradłem jej dużą, siwą kurę. Wiesz, tę... tę... — i oboje wybuchnęli naraz śmiechem.

— A ty? — nachyliła się ku niemu i wpatrywała się z napięciem w jego twarz. — Tyś się pewnie przestraszył...

Roześmiał się z przymusem.

— Przestraszyłem się? Ja? Splunąłem tylko — odpowiedział i przeżegnał się trzykrotnie. — „Mnie się czeplacie? — mówię do niej. — Czy wyście już całkiem z żalu rozum stracili, że wasza dziecina idzie do wojska? Otwórzcie szerzej oczy i patrzcie lepiej, gdzie jastrzębie latają. Możecie raz spytać Mychajłyka, a nie ciągle mnie. Dlaczego zawsze mnie? Czy ja wam już tak bardzo zawadzam?” — „Bo ty ciągle wynosisz tej żmii. Jesteś złodziej, złodziej!” — i zaczęła krzyczeć.

Rachira ześliznęła się jak kotka na ziemię i zatopila spojrzenie w jego oczach.

— A ty, Sawo? — spytała bezdźwięcznie, przy czym usta jej zadrżały.

— Ja? Podniosłem kułak i pogroziłem jej. „Widzicie ten kułak? — spytałem. — Jak powiecie raz jeszcze takie słowo, to go wam wpakuję między oczy. Nie kradłem waszych kur — mówię jej — a jak widzieliście, że kradłem, to trzeba mnie było wtedy złapać za rękę. Dobra z was matka, co nazywa syna złodziejem! I wara wam od Rachiry, wiecie?! Nie doprowadzajcie do tego, żebym musiał jeszcze raz wam to powiedzieć, bo wtedy będzie źle! Już i tak dość od was cierpię, żałujecie mi każdego kęsa chleba. Poczekajcie, mamó, poczekajcie — powiadam jej. — Przyjdzie jeszcze kiedyś czas, że będziecie skamlać za mną, ale nawet nie spojrzę w tę stronę!” — „Niedoczekanie twoje, ty, przekłety! — piekliła się. — Prędzej będę leżeć na katafalku. Ty mnie do grobu wpędzisz. Ty złodzieju, nicponiu!” — i trzasnęła mnie w głowę. Nie chciałem podnosić na nią ręki, bo słaba i spróchniała jak stare drzewo, no i właśnie nadszedł tato, więc się bałem, ale byłem wściekły. Ta stara do wszystkiego musi się mieszać, wszystko musi wyszpiegować i zaraz podnosi wrzask na całą wieś. A w dodatku jeszcze ten nadszedł i zaczyna mleć językiem po swojemu. Oj — wyrwało mu się niecierpliwie — jak oni mi wszyscy dopiekli, jak dopiekli! Ciągłe tylko te przestrogi — urwał nagle, spluwając pogardliwie.

— A co mówi wujek Iwan?

Milczał chwilę, patrząc ponuro w ziemię.

— No?

— Et, mów!

— Ale co?

— Żeby chociaż coś mówił, ale on nic! To gorsze niż wszystko!

Jego oczy przybrały dziwny wyraz. Zdawało się, że powiększają się w lodowato-zielonym błysku, budząc lęk.

— Tylko jednego starego się boję. On mi nic nie mówi. Milczy. I właśnie dlatego, że milczy, boję się go. Jak gadają, to nie ma się czego bać. Dziś wiązałem z nim po-

stronki, przez cały czas nie powiedział ani słowa. Aż strach brał. Kiedyś raz, dawniej jeszcze, powiedział mi: „Rzuć Rachirę. To grzech, że się z nią kochasz. To przecież twoja siostra. Nie pozwolę, żebyś się z nią ożenił. A jak mnie nie posłuchasz, to nie słuchaj. Tylko żebyś potem tego nie żałował!” I już nigdy więcej o tym nie mówił. Zupełnie nie wiem, co on myśli. Mama zawodzi na cały dom, a on milczy.

— Jakby on był dobry dla ciebie, toby nie bronił, żebyś mnie wzięła! — odezwała się dziewczyna, obejmując porywczo jego kolana obu rękami. — Powiada, że „to grzech” — i roześmiała się. — Czy on będzie za nas pokutował, smażył się w piekle? A to nie grzech, że on i ciotka szczują na nas i ścigają mnie złymi słowami jak nieczystą? Czym ja ci wróg? Kto cię kocha bardziej niż ja? Możesz mnie poprosić, o co chcesz, wszystko ci dam. Ja bym ciebie za jedną kurkę nie biła i nie przeklinała. Ja ukradnę u Żyda mydło i wypiorę ci koszulę, a ona prędzej by sobie palce odgryzła, nim wyniosłaby z domu kilka grajcarów. Oni ciebie nienawidzą, Sawo, żalują ci skibki chleba, którą bierzesz do ust. Potrzebne im tylko twoje ręce, tylko twoja praca, a więcej nic, nic!

Na chwilę umilkła. On też się nie odzywał, jakby coś stało między nimi. Wreszcie zaczęła się wiercić wyczekująco. Spojrzała na księżyc, rozejrzała się wokół siebie, popatrzyła na niego.

— Dlaczego miałabym tak mówić — przerwała wreszcie ciszę, która jak ściana wyrastała między nimi — gdyby tak rzeczywiście nie było? Widzę dobrze, że tak właśnie jest. Tyś powinien mnie zawsze słuchać, Sawo!

— Słucham — odrzekł.

Mówił prawdę. Zwracał się ku niej całą swą istotą. Była czymś silniejszym od niego. Nie bała się niczego, niczego na świecie. Dobrze mu było z tym, chociaż nigdy nie zdawał sobie z tego sprawy. I on się nie bał, a jeszcze z nią... z nią... ech, z nią!...

— Mamy, Sawo, dużo wrogów, nawet we wsi, wśród obcych ludzi — ciągnęła dalej. — Mego ojca nie szanują,

bo miał to nieszczęście, że musiał siedzieć w kryminale. Biedniśmy, nie mamy ani pieniędzy, ani ziemi. Nawet jednego marnego bydłęcia nie ma w zagrodzie, tylko ten czarny kundel na sznurze z głodnymi oczami i kilka kur. Wszyscy gospodarze będą buntować twego ojca, żebyś się ze mną nie żenił. Wiem o tym. No, a przede wszystkim twoja mamunia!

Oczy jej zapaliły się niewypowiedzianą nienawiścią. Zwróciła się w stronę chaty jego rodziców, bielejącej wśród ciemnych teraz ogrodów.

— A moja mama — ciągnęła dalej — boi się ciotki, jakby była jej służącą. Chybaby ją po rękach lizała, jakby tamta do niej słowo przemówiła. Może nie wezmą cię do wojska, kiedy już Mychajło wróci do domu — powiedziała po chwili krótkiego milczenia. — Moglibyśmy się wtedy pobrać.

— Prędej sobie rękę utnę, niż miałbym pójść do wojska! — powiedział z zaciekłością. — Nie chcę iść w rekruty. Myślisz, że nie? Żebym się tam głupio męczył przez trzy lata? Po co i dla kogo? Nie, nie będę taki głupi jak inni. Nikomu o tym nic nie mówię, ale wiem, co zrobię. Oni jeszcze nie wiedzą, kto to Sawa!

Opuścił głowę, potem lekko ją uniósł i spojrzał chmurnie na żarzący się księżyc, stojący nieruchomo na miejscu, zdawało się — właśnie naprzeciw chaty po to, żeby mogli na niego patrzeć.

— Rób, jak chcesz — podbechtywała go. — Żeby tylko tobie było dobrze. Będę ci pomagała. Jak będzie trzeba, to pójde do miasta. Nie zabłądzą tam. Dopytam się, gdzie trzeba, zobaczysz. Nie jestem taka głupia. I twoi starzy wiedzą, że nie taka głupia! — dodała śpiwnym głosem. — I dlatego pozbyliby się mnie chętnie za to, że ty ze mną trzymasz. Ale ja ciebie nigdy nie porzucę! — mówiła coraz namiętniej. — Nigdy, choćby mój tato i moja mama mnie katowali!

Przylgnęła do niego jak łasica, a jej błyszczące dziko oczy wpiły się pożądliwie w jego bladawą twarz.

— Bóg nas zetknął i przeznaczył dla siebie — powie-

działa półgłosem ze wzruszeniem. — Ja jednak będę twoja! Sawo, żebyś o tym wiedział! Zanosi się na to. Widzę to. Bo czemu kochasz właśnie mnie, a nie inną? Kiedy siedzę tu na przyzbie, na tym miejscu, i wróżę sobie z kart, to zawsze ty mi wychodzisz! I zawsze stoimy razem. Zawsze ja stoję koło ciebie! A kiedy ty jesteś na jednym końcu, to ja stoję na drugim, i coś nas wiąże... Nie wiem, jak to nazwać, ale to coś takiego, jak niewidoczne nici. Koło nas stoi dużo ludzi... Koło ciebie więcej niż koło mnie, ale my zawsze wychodzimy z kart, idziemy osobną drogą. Jeszcze nie wiem, co nas wiedzie — powiedziała spoglądając w zamyśleniu — ale wiedzie nas „coś”. Pójdziemy za „tym”, co nas wiedzie, bo tak nam stoi w kartach...

Patrzył na nią rozplamienionymi oczyma; miał zamęt w głowie. Nie miał w tej chwili żadnych jasnych myśli, żadnych słów i nie szukał ich. Ale dusza jego drżała, jakby po omacku, niezależnie od rozumu i woli, przygotowywała się do działania w jakiś tajemny sposób. Zamknęła mu usta i pociągnęła go w niezgłębiony wir.

— Tobie przypadnie ziemia przeze mnie — ciągnęła proczym głosem, z kocią miękkością. — I czy w złem, czy w dobrym zawsze będziemy razem. Myślisz, że to wszystko głupoty? A czy ty wiesz, że kiedy tamtego roku na Andrija niosłam w ustach wodę z wielkiej krynicy, żeby usmażyć pampuchy<sup>1</sup>, to psy szczekały właśnie od twojej strony? Była to może wasza stara Sojka, która zwiastowała mi w tej chwili ciebie, a moje serce powiedziało mi wyraźnie: „Sawa będzie twój”. Zawiązałam wtedy w furtce nitkę i przecież właśnie ty ją rozerwałeś, kiedyś przyszedł tego wieczora do nas powiedzieć mi, żebym następnego dnia nie czekała na ciebie, bo wypadło ci niespodziewanie jechać z ojcem do młyna. Pamiętasz? A kie-

---

<sup>1</sup> Pampuchy — smażone na smalcu, na specjalnej patelni z dołkami, bułeczki podobne do pączków, przy czym na św. Andrzeja ciasto zarabiało się wodą przyniesioną w ustach z najbliższego źródła.



dy później poszłam spać i włożyłam pod poduszkę grzebień, a czoło przewiązałam paskiem, żeby się przyśnił ten, kogo dostanę za męża, to właśnie tyś mi się przyśnił, Sawo! I kiedy podeszłam z zamkniętymi oczami do stogu i wyciągnęłam jeden kłos, by zobaczyć, czy mój mąż będzie bogaty, czy biedny, to wyszło, że bogaty, bo kłos był z ziarnem.<sup>1</sup> Będiesz, Sawo, bogaczem, będziesz moim bogatym gazdą! O Sawo, Sawo! — krzyknęła półgłosem, z wielką radością, która napłynęła nagle do jej serca. Chwyciła go i przycisnęła gwałtownie do siebie.

Był oszołomiony, czuł się jak dziecko. Był jak wosk w jej energicznych rękach, odbierała mu cały rozum, całą świadomość. Czuł się bez niej opuszczony i bezradny, a kiedy niemal przechodziła samą siebie, tak jak w tej chwili, poddawał się całkowicie władzy jej dzikiego, niezgłębionego charakteru.

— Rachiro, księżniczko moja! — szeptał ze łzami w oczach. — Nie porzucaj mnie!

— Przecież cię nie porzucam!... Czy wspomniałam kiedyś o tym? — odpowiedziała wzruszonym głosem. — Na złość wszystkim naszym wrogom! Będzie tak, jak my chcemy! Mnie tylko słuchaj, a postawimy na swoim.

— Przecież ciebie słucham.

— Będiesz pierwszym gazdą we wsi, a ja twoją gaździną!

— Moja gaździno!

Czarny, chudy pies nie mógł sobie znaleźć miejsca koło budy. Wiercił się, wstawał, kładł się, wreszcie uniósł w górę pysk i zaczął wyć żałośnie, długo wytrzymywany mi skowytami.

Na jasnym niebie stał nieruchomo księżyc, zwracając ku ziemi swą pełną, lśniąca twarz. Wszystko pogrążone było w milczeniu. Potężne, niby królestwo, pulsowało w nim utajone i niezgłębione życie, niesłyszalnymi i niewidocz-

---

<sup>1</sup> Obrzędy ludowe, praktykowane w dniu św. Andrzeja na wsi ukraińskiej; z niektórymi z nich można spotkać się i dziś.

nymi ruchami kierując przyszłymi wydarzeniami ślepych na jego istnienie istot...

## VI

Nastał październik.

Niebo zwisało nad ziemią szarą, mroczną masą.

Wielki las koło wsi miał wygląd poważny i zatroskany. Tylko gdzieniegdzie na czarnych gałęziach drżały umierające, pożółkłe liście, a tu i ówdzie zieleniła się jeszcze na ziemi jakaś wytrwała roślinka; poza tym wokół pni drzew leżały grubymi warstwami opadłe liście. Panowała cisza...

Nad lasem widok był inny. Masy gęstej mgły jakby zmagaly się z czymś w leniwych kształtach. Magiczna siła lasu chciała je zmusić, aby — mimo że ciągnęło je w dal — skłębiły się nad jego wierzchołkami.

A jednak popłynęły dalej. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się nad nagimi ścierniskami w posępnych, zmiennych układach, jednostajnie, szaro, wznosząc się i opadając, jakby szukały odpowiedniego miejsca, gdzie mogłyby uformować się w chmury. Płynęły tak, błędząc, całymi dniami. Wreszcie szczyły i na polach zrobiło się jeszcze puste.

Ziemia wydawała się jeszcze czarniejsza i bardziej naga, mimo woli rodziła się chandra, przygniatająca chandra, która kładła się na wszystko, kłusująca chandra, nasilająca się w miarę zbliżania się dnia. Bez przerwy siąpił kapuśniaczek. Deszcz spływał bezgłośnie z ponurej wysokości, oczyszczał powietrze i rozsiewał smutek chłodną wilgocią.

Właśnie w jeden z takich dni Mychajło opuścił swych rodziców i swoją ziemię.

Ostatniej nocy przed jego wyjazdem Sawa został w chacie na wsi, a Mychajło nocował z rodzicami w zagrodzie. Musiał z ojcem ruszyć przed świtem do miasta, a matka postanowiła do powrotu ojca pozostać w polu przy bydle i pszczołach. Chciała ostatni wieczór spędzić z synem.

Płakała bez przerwy. Raz po raz zaglądała do jego tłumacza sprawdzając, czy włożyła wszystko to, co przygotowała, czy może jeszcze coś będzie mu potrzebne. A przekonawszy się za każdym razem, że wszystko było tak, jak trzeba, zaczynała się martwić, że mu to odbiorą w koszarach, skoro tylko się tam znajdzie.

Ani syn, ani ojciec nie mogli jej w tym względzie uspokoić.

Obaj patrzyli w przyszłość jak w noc. Była dla nich zakryta. Mieli świadomość tego, że w wojsku panował ostry rygor. Bezwzględny, bezlitosny, jedyny w swoim rodzaju rygor.

Raz po raz patrzyła na syna, jak wygląda. Niespokojnymi oczyma wychwytywała coś ciągle z jego twarzy. I pytała:

— Trzeba ci czegoś jeszcze, syneczku? Może jeszcze czegoś potrzebujesz?

Nie odzywał się. Oczy zachodziły mu łzami, odwracał się od niej. Słowa go opuszczały, gubiły się w jego umyśle, jedno po drugim, stawał się niemy. Nigdy dotąd nie przeżywał takiej gamy uczuć jak teraz... Czuł w sercu zamęt i chwilami zapadał się w jakąś bezdenną głębię. W tym stanie cokolwiek by powiedział, wydawało mu się nikłe. Nie wiedział więc, co by mówić...

— I nie morduje nikogo, i nie zarzyna, a męczy się jak ten, co leży we krwi! — powiedziała Maria zapłakanym głosem, kiedy wyszedł na dwór; w słabej pomroce przedświt, przy świetle, przygotowywała w szałasie śniadanie.

— To jeszcze nie najgorsze — odpowiedział Iwonika. — Krew straszna, ale... ech, Boże! — machnął ręką i zamilkł. Nie umiał sobie poradzić z tym, co odczuwał i co opłatywało go wokół niewidocznymi tysięcznymi niemi.

Mychałło z trudem jadł śniadanie. Gardło miał jak zaszyte. Najchętniej rozbeczałby się jak małe dziecko. Wydawało mu się niemożliwe i wręcz absurdalne, że już zaraz, za godzinę miał wszystko porzucić. Porzucić może na wieki...

Zdarzało się często, że w wojsku umierali. Nawet ojciec mówił raz jednemu znajomemu, że to się często zdarza. A jego ojciec nigdy nie mówił czegoś, co nie była prawdą.

Stary Iwonika wydawał się najbardziej ze wszystkich obojętny. Wykonywał swoje zwyczajne czynności. Rzucił okiem na bydło, zajrzał do pszczół, obszedł stogi, kiedy jednak uświadomił sobie na chwilę, że jest sam, ciężko wzdychał. Coś jak kamień legło mu na serce i nie potrafił tego usunąć. „Mychajło odchodzi”. O niczym innym nie potrafił poza tym myśleć. To pochłaniało wszystko inne. W świadomości tkwiło tylko tyle: „Mychajło odchodzi”. Wokół zwracała się do niego nizinna, czarna, ziemista przestrzeń, przemawiając tysięcznymi oczami i ustami: „Mychajło odchodzi”.

Wszystko tchnęło tą myślą. Drgało nią powietrze, wisiała w monotonnej szarzyźnie nieba.

Niepostrzeżenie tragedia, co zawsze przychodzi cicho, na palcach, budziła się nad polami. Jeden korzeń zostanie wyrwany; tak zwyczajnie i niewidocznie, w głuchym milczeniu.

Mychajło zaszedł do stajni. Stały tam jego wspaniałe wołki i jedna krowa z krzywymi rogami, która należała do Sawy. Wszystkie trzy sztuki, żując, odwróciły leniwie łby w jego stronę. Obejmował je kolejno za szyje i przyciskał do siebie. Dobrze bydłatka... Małe ciele, które znajdowało się w kącie stajni w chlewiku uplecionym z łozy, na jego widok skoczyło na równe nogi i wytrzeszczyło na niego wielkie, płochliwe oczy. Co mu się stało? Podszedł do niego i chciał je pogłaskać, jednak przestraszone odskoczyło i długo wpatrywało się nieruchomo, chociaż jego już dawno nie było w stajni...

— Tato, jak przyjdziecie do mnie drugi raz do koszar, to przynieście moją fujarkę — prosił starego, wchodząc do mieszkania. — Może kiedyś pogram na niej, teraz jakoś nie chce mi się jej zabierać.

Staremu zadrżały kąciki ust, a Maria przykryła usta

dłonią. Płakała bezgłośnie, bo Iwonika powiedział jej, że swoim płaczem zadaje synowi jeszcze większy ból.

— Co ty tam pograsz, synku... — powiedziała zdławionym, urywanym głosem; próbowała się uśmiechnąć, ale zamiast tego wybuchła głośnym płaczem.

Płakali wszyscy.

Mychajło podszedł do niej.

— Przestańcie, mamó — prosił. — I tak mam kamień na sercu. Przestańcie, mamó. I bywajcie zdrowi!

Wziął jej rękę i podniósł do ust.

Całowała go raz po raz w głowę i przyciskała do piersi.

— Bądź zdrow, Mychajłyku, bądź zdrow! Nie zapominaj o mamie. Stara jestem, słaba i mogę umrzeć... Przychodź szybko, Mychajłyku. Wracaj jak najprędzej...

Nie mogła dokończyć. Płacz znowu dławił jej gardło.

— Przyjdę, mamó. Na pewno przyjdę. Może na Boże Narodzenie...

— Oj, przyjdź! — skinęła ręką.

— Przyślijcie chleb i przyrządźcie.

— A widzisz? — jęknęła i rozplakała się gorzkim, rozpaczliwym płaczem.

Iwonika ponaglał. Musieli iść do sąsiedniej wsi piechotą i dopiero tam mieli wsiąść do pociągu.

Wreszcie wszyscy troje wyszli z szałas.

Rosił drobny, ledwie widoczny deszcz, nad ziemią zwiślały masy mgły. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ścierniska, w powietrzu krążyły stada wron, odpoczywając od czasu do czasu na gałęziach drzew małego lasu, należącego do polnej zagrody, lub na szałasie.

Mychajło jeszcze raz się obejrzał. Raz jeszcze ogarnął pożegnalnym spojrzeniem rozpościerające się przed nim pola. Jakże często krajał je pługiem! Wiedział dokładnie, gdzie ziemia była płodna i tłusta, a gdzie mokra i błotnista. Tam z pokorną wyniosłością pyszniła się przed nim rok w rok pszenica, a tam rósł owies, tu zaś niedaleko zagrody, niemal co roku rozciągało się białe morze hreczki; a tu znów w prawo zieleń się koniczyna, dalej szeleściła tajemniczo kukurydza — wszędzie rozciągała się

taka szachownica, tylko że ten kawałek pola należał do jednego, a tamten do drugiego.

— Bądźcie zdrowi, mamusiu, bywajcie zdrowi! — raz jeszcze zwrócił się do matki.

Zdjął z głowy kapelusz i pocałował ją po raz ostatni w rękę.

Poszedł...

Legła między nimi mgła. Matka długo jeszcze stała koło zagrody i w coś się wpatrywała nieruchomo. Ubrana prawie cała na biało, we mgle zmieniła się jakby w białą posąg bolesti.

— W sieroctwo idziesz — szeptały jej usta — w sieroctwo. I nas, starych, zostawisz sierotami.

Powtarzała to niemal bezwiednie. Łzami zasłzę oczy odprowadzały syna coraz dalej, aż zaciążyły jej ołowiem. Tygodnie minęły, zanim ustąpił ołów i znikły łzy...

Mychajło oglądał się jeszcze kilka razy. Szałas wyglądał z daleka jak pagórek z dwojgiem szklanych oczu. Z kolei wzrok jego zatrzymał się na „sąsiedzkim” lesie, którego Anna tak się kiedyś przestraszyła. Leżał ciemny i cichy, jakby patrzył wprost na niego... Targnął nim w tej chwili niewypowiedziany żal... bezbrzeżna, dzika tęsknota... Chciało mu się wyć. Czy za tą ciemną płachtą lasu, co patrzyła za nim niewidocznymi oczyma? — Nie wiedział. Nie wiedział i nie myślał nad tym. Był w tej chwili daleko od zewnętrznego świata. Był w nim mrok.

Iwonika obejrzał się.

— Mama ciągle jeszcze tam stoi? — spytał krótko, zdławionym głosem.

— Mama? — odpowiedział zdziwiony. — Nie, już poszli.

— Bo się oglądasz...

Chłopiec zmieszał się.

— Tak się tylko obejrzałem — powiedział.

I jakby powrócił nagle skądinąd myślami, ruszył teraz twardym, zdecydowanym krokiem i zrównał się z ojcem.

Szli szybko w milczeniu w kierunku wsi. Iwonika zsunął

na czoło swój duży, nieforemny kapelusz. Oczy chłopca po raz ostatni żegnały się ze wszystkim, co mijali.

Kiedy przechodzili koło zagrody Dokii, spostrzegli wszystkich na dworze. Stary Petro poił wspaniałą, kokieterijną klacz Szagę, Wasyl — bydło, a Dokia karmiła drób.

— Już w drogę? — zawołał do nich Petro.

— Szczęśliwej podróży i szczęśliwego powrotu!

Stanęli i przywitali się, Dokia podeszła do nich.

— Już — odpowiedział Mychajło.

— Ano, cóż robić! — rzekł Iwonika.

— Nie martw się, synku! — huknął wesoło stary Petro. — Tam chociaż coś zobaczysz i nauczysz się czegoś. Ech, gdybym ja był taki młody i zdrowy jak ty! Hej, hej!...

Mówił tak głośno i dźwięcznie, tak wyraziście, że jego słowa niosły się daleko; z głosu jego biła junacka nieustraszonosc i śmiałość. Zsunął na bok kapelusz i strzelił z bata.

— No co, synku? — spytała przyjaźnie Dokia. — Smutnyś, prawda?

Uniosła głowę, pokiwała współczująco i głęboko westchnęła. Przypomniała sobie w tej chwili o swojej Parasce, która opuściła dom i poszła do męża, oraz starą Marię.

— A co mama porabia? — spytała z troską.

— Och, mama... — odpowiedział Mychajło i machnął ręką, nie dokończywszy zdania.

— Tak, tak — wmieszał się Wasyl, wyjątkowo trzeźwy, potakując. — Taki to już nasz los. Człowiek wynosi swoją siłę i swoje dni, jak na psi jarmark. I nikt tam się tym nie martwi, jaki on powróci. A Nykołajka pamiętacie? Znaliście go przecież. Z ochotą szedł do wojska, no i co się z nim stało? Był ordynansem u jednego porucznika. Miał służyć jeszcze tylko kilka miesięcy i jakoś na osiem dni miał iść na urlop do domu. Tak jakby jutro. Robił w mieszkaniu porucznika porządki. Było to latem, pod wieczór. Jasno jeszcze było, słońko co tylko zaszło. Robił więc w mieszkaniu porządki, żeby wszystko było na swoim miejscu, tak jak pan sobie życzył. Był porządnym chłopcem i porucznik go lubił. Drugi żołnierz, który czekał na

porucznika w pokoju z jakąś tam książką, wziął do ręki ze stołu rewolwer i oglądał go. „Zostaw rewolwer — mów mi Nykołajko — bo nabity”. „No to co, że nabity?” — mówi tamten. „Co? Może wystrzelić, durniu.” „A co ty sobie myślisz, że ja nie umiem trzymać w rękach nabitego rewolweru?”. Tak powiedział. I ledwie to powiedział, rewolwer wypalił i Nykołajko leżał gotów.

— Jezus Maryja! — jęknęła Dokia, załamując dłonie.

Inni gwizdnęli przez zęby, a Mychajło zbladł.

— No i masz, tak przychodzi śmierć! Ale ona już dawno stała za jego plecami.

— I na miejscu go zastrzelił? — zawołał Petro.

— Nie, nie zastrzelił. Trafiał w biodro. Tamten leżał, brocząc krwią, która zalała cały pokój. Zbiegło się dużo ludzi, bo to było przy drodze. Pokazywali mi ten dom. Widziałem go. Wysoka, pańska kamienica z wielkimi, wysokimi oknami.

— I co dalej?

— Dalej? Leżał kilka miesięcy w szpitalu, naciерpiał się, biedak, bo nie mogli wyciągnąć mu tej kuli. A to był taki zdrowy i silny chłopak, taki jak Mychajłyk. Akurat taki jak Mychajłyk. Aż wyłysiał z tego. W szpitalu. Broda wyrosła mu do piersi, o taka... No i w końcu całkiem go zwolnili. Przywieźli go do domu dwaj żołnierze.

— To jego matka miała pociechę, jak go takiego zobaczyła! — lamentowała żałośnie Dokia, kiwając głową.

— Oj miała...

— A ojciec, biedaczysko? — spytał Petro.

— Ojciec? Ojciec tak płakał podobno, że myśleli, że zwariuje. W domu o niczym nie wiedzieli. Syn nie mógł pisać. Pisali do niego dwa razy, ale nie odpisywał. Cóż miał napisać?

— Jemu było już wszystko jedno... — powiedział Petro z nikłym uśmiechem.

— Jego ojciec był bogatym gospodarzem. Miał pole, bydło, owce...

— Jakim człowiek idzie, to wie, ale jakim powróci, tego



nie wie — odezwiała się znowu zafrasowana Dokia. — To wie tylko jeden Bóg.

Wszyscy lubili i poważali Mychajła i interesowali się jego losem. Patrzali więc teraz ze współczuciem na młodego chłopca. A on stał nieruchomo i patrzył to na swój tłumoczek, to na bydło.

— Uważaj, synku, jak będziesz brał do ręki jaką strzelbę, aby, broń Boże, nie przydarzyło ci się jakie nieszczęście. Nigdy nie można wiedzieć, skąd ono przyjdzie — ostrzegała poważnie Dokia.

— On jest ostrożny — odezwał się nagle Iwonika, który dotąd uparcie milczał. — On jest bardzo ostrożny...

— Ja się tego nie boję — odpowiedział Mychajło, uśmiechając się z przymusem. — Jakbym nie musiał, to nigdy bym nie wziął strzelby do ręki.

— Wiem, wiem, mój paniczku! — huknął wesoło stary Petro. — Wiem, że zające zabijasz kijem.

— A to niedobrze? — spytał chłopiec, uśmiechając się. — Nie potrzebuję ani prochu, ani śrutu! Już od urodzenia nie lubiałem strzelby. Strzelby czy pistoletu unikałem od dzieciństwa. Bo to skryte i niebezpieczne, jak „nieczyste”.

— Oj, prawdę mówisz; oj, daliśbóg, że mówisz prawdę! — przytaknęła Dokia.

— No, ale chodźmy już! — zdecydowanie i energicznie przerwał Iwonika. — Czas ucieka...

Był głęboko poruszony rozmową ze znajomymi, nie pokazał jednak tego po sobie. Przykro mu było, że rozprawiali tak przy Mychajle. Widział, jak duże wrażenie wywarło to na chłopcu.

— Tak, tak, ucieka! — zawołali wszyscy równocześnie.

Mężczyźni uścisnęli Mychajłowi dłoń, życząc na drogę i na przyszłość szczęścia i zdrowia, a Dokia, którą Mychajło pocałował w rękę, pobłogosławiła go.

— Daj ci, Boże, dobrych dni i dobrej doli! Nie zapominaj o nas, synku, i sprawuj się dobrze. Dobrze ci będzie. Dobremu wszędzie dobrze. I nie masz co tęsknić, synku, bo i tak swój czas odsłużyć trzeba. Nie tęsknij za domem,

no i przychodź na Boże Narodzenie. Nagotujemy klusek, napieczemy placków. Przychodź pokolędować.

— A nie zadzieraj za bardzo nosa, jak wrócisz kapralem! — dorzucił poprzednim wesołym tonem Petro. — Wracaj i zaproś do domu na dobrą gorzałkę! Tato już tam naszykuje. Będziemy pili tak, aż nam w głowie zaszumi. Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Wszystko minie.

Kiedy mijali pański dwór, Anna stała przy bramie. Wy-soka, wyprostowana i poważna, jak figura. Z bladej twarzy oczy patrzyły na ojca i syna jakby z tamtego świata. Pozdrowili ją, a ona nisko się odkloniła. W ten pokłon nieświadomie włożyła całą duszę...

Zmierzając w kierunku dużej, jedynej karczmy pod lasem, leżącej na granicy obu wsi i stale przepełnionej gośćmi, spotkali idącego naprzeciw nich Sawę. Szedł powolnym krokiem. Ledwo się włókł z założonymi w tył rękami i opuszczoną jak zwykle głową.

— Ty nie przy chałupie? — spytał Iwonika.

— Chodziłem do Mendla po tytoń. Chałupy nikt nie ukradnie — odpowiedział opryskliwie. — U Mendla czekają już na ciebie inni rekruci — zwrócił się do Mychajła. — Pójdziecie razem. Bywaj zdrów!

— Bądź zdrów. I uważaj na wszystko — prosił Mychajło, wyciągając do niego rękę.

— To ty uważaj — odpowiedział Sawa, zsuwając na bok kapelusz. — To przecież ty wkładasz mundur. Na mnie jeszcze czas.

— Idź do matki, została sama — prosił ojciec. — Będzie płakać.

— Niech ci ją pocieszają, których dziś nakarmiła — odpowiedział, wydawszy wargi, i odwrócił się do nich plecami.

— Nieszczęście z tym chłopcem — powiedział Iwonika, wzdychając. — Nigdy mu nie można dogodzić. Wiem na pewno, że matka zostawiła mu jedzenie.

— Nie dokuczajcie mu, tato, on jeszcze głupi, nie będzie

taki zawsze — wstawił się za bratem Mychajło. Był do głębi wzruszony, zwłaszcza spotkaniem z Anną, i rad by widział wszystkich w zgodzie, tym bardziej, że rozstawał się na czas dłuższy z rodziną i otoczeniem.

Stary uśmiechnął się boleśnie.

— A kto bardziej niż ja pragnie jego dobra? Dobry z niego chłopak, wiem o tym. Dlaczego nie miałyby być dobre?

— Dobry, ale omotany tymi cygańskimi namowami — odpowiedział Mychajło. — Niech nocuje z mamą w chacie na górze, a wy sami śpijcie w szałasie. Jak będzie na polu sam, to ciągle do niej będzie biegał. A o weselu ma czas jeszcze myśleć.

Umilkli.

Wolno i w milczeniu weszli na wzgórze, gdzie stał najważniejszy we wsi budynek — karczma — i dołączyli do innych rekrutów.

Po pół godzinie z szynku wyruszyło około osiemnastu mężczyzn i kilka kobiet, kierując się na szeroki gościniec, który wiódł do samej stacji kolejowej.

Rekruci szli po dwóch lub trzech, trzymając się za szyje. Większość z nich była rozczulona do ostatecznych granic i, mimo wczesnej pory, dobrze podchmielona. Szli nienormalnie długimi krokami, w śpiewie wyrażając cały zasób swych uczuć i całe swe dotychczasowe życie. Śpiewali pieśni... Za nimi szli ojcowie, a na samym końcu kilka matek. Były to wdowy. Trzymały się w gromadce jak gołębie. Niosły na plecach małe kuferki albo tłumoki synów. Głośno narzekały na swoją sierocą dolę i mówiły z troską o ciężkich dniach, jakie czekały ich bez synów w niedalekim już czasie. Jedna z nich, zalewając się gorzkimi łzami, śpiewała...

Pod wieczór znikła mgła, a na ziemię spadł gęsty deszcz. Padał bezszelestnie, zapowiadając słotę... Wrony otrząsały swe czarne pióra, nad polami rozpięta się pustka.

Mały „sąsiedzki” las, co wybałuszał swe ciemne ślepie na równinną wieś, opatulił się w drgającą ciszę i czekał...

Po przybyciu do miasta zaszła w Mychajle zmiana. Jego duszę, przywykłą do spokoju i pulsującą wspólnym rytmem z przyrodą, poraziły i osłabiły gwar i tłok, pośpiech oraz niezwykła ruchliwość i sztuczność miasta.

Jego prosta i prymitywna natura odczuwała szczególnie boleśnie rażący kontrast między łagodnym i niedostrzegalnym rytmem przyrody a nieopisanym zgiełkiem miasta. Nie rozumiał tego świata, który runął na niego jak potężna fala. W ostrym z nim kontraście wciskały się w jego duszę obrazy rozległych pól, dużych, łagodnych oczu pozostawionych bydła, które zawsze spoglądały za nim przez otwarte drzwi, małego, samotnego szałas i stojącej obok niego zgarbionej matki.

Zapłakał...

Miejski zgiełk wywołał tęsknotę za domem, tęsknotę, która wlokła się za nim, wysysała z niego życie, przywarła bezgłośnie do niego...

Na widok dużych koszar serce stanęło mu w piersi. Więc to tu. Coś w nim zamarło. Do świadomości przedierała się niejasna myśl: tu właśnie ma się stać kimś innym...

Kiedy Iwonika, idący tak samo w milczeniu jak jego syn — bo i o czym tu było mówić? — zobaczył na podwórzu koszar tylu rekrutów i żołnierzy, natychmiast powrócił do rzeczywistości.

— Patrz, Mychajło, to wszystko z nizin.

Ale wywołane tym dobre samopoczucie szybko minęło, wydał się sobie mizernym i zagubionym. Został pod koszarami do wieczora. Potem musiał już iść. Syn pocałował go milcząco w rękę i powiedział tylko trzy słowa:

— Kłaniajcie się mamie...

Stary ucałował go nabożnie w głowę i odburknął szorstkim, zmienionym głosem:

— Pilnuj się, Mychajle! Przyjdę znowu.

Z tym odszedł. Mały, niepozorny, biednie ubrany, wyszedł z wysokiej koszarowej bramy.

W tych grubych murach zostawił wszystko. Czuł to. Niósł do domu dwie stare ręce i chorą, płaczącą duszę. On, stara matka i ziemia — zostali osieroceni...

Wieczorem, wbrew swoim zwyczajom, upił się tak, że kiedy przyszedł na noc do pewnego znajomego mieszcza-nina i ten spytał go o syna, nie był w stanie odpowiedzieć i tylko machnął rozpaczliwie ręką. Wyprosiwszy dla siebie jakiś kącik w sieniach, zerwał z siebie gwałtownie kożuch, rzucił go na ziemię i zwałił się na niego. Po chwili dało się słyszeć jakieś urywane łkanie, bardziej do zwierzęcego niż ludzkiego podobne...

Czarne, pokrzywione, spracowane palce wpiły się we włosy. Od czasu do czasu dawał się słyszeć głuchy łomot tłukącej o ścianę głowy.

Wreszcie ucichło.

W szarówce następnego przedświtun suneła szybko pustym gościńcem byle jak odziana postać, podpasana wąskim rzemieniem. Potem skręciła w pole. Na przełaj, przez rowy i miedze, przez ścierniska, coraz głębiej w pole i w las. Był to Iwonika.

O wschodzie słońca musiał być w domu. Tak zapowiedział swój powrót. Wszystko tam czekało na niego...

Minęły tygodnie od czasu, gdy Mychajło porzucił swoją ziemię. Nie mógł przywyknąć do bezdusznego mechanizmu koszarowego życia. To, czego od niego żądali, spełniał z trudem. Bezwzględność i brutalność koszarowego reżimu była zaprzeczeniem praw ziemi, której oddawał dotąd niepodzielnie wszystkie swoje młode siły. Jego dusza, przywykła do prostoty i jasności, ocierała się tu i raniła o tysiące niezrozumiałych dla niego wymogów i zjawisk, krwawiąc nieustannie. Czy tak miało być zawsze? Instynktownie przeczuwał rany, jakie miało mu zadać to życie. Skąd? Przez kogo? Dlaczego? Tego nie wiedział, miał jednak niejasną tego świadomość. Niemal od pierwszej chwili

wyczuł, że przeciw niemu skierowano tu jakiś pocisk, że czyha na niego jakieś niebezpieczeństwo.

Panujące tu okrucieństwo, które przygniatało wszystko, uderzyć mogło w każdej chwili jak ostry, lśniący nóż.

A jego biedny ojciec i jego biedna matka w domu? A Anna? Chwytał fujarkę i grał, wydobywając z nikłego instrumentu smętne, przeciągłe melodie. Zdawało mu się wtedy, że przebywa znowu wśród swoich pól, siedzi w stajni na żłobie, przy swoich wołkach, które, zwracając na niego oczy, spokojnie żują, a on czuje ich mocny, ciepły oddech...

Płakał wtedy jak dziecko...

Niektórzy jego kamraci śmiali się, pocieszając, że z początku jest zawsze smutno, ale później przywyka się do wszystkiego.

On jednak nie mógł przywyknąć. Gubił siebie. Rozpręgało się w nim to, co tam, na polach było spoiste. Stapał bojaźliwie i niepewnie, bo nie śmiał chodzić własnym krokiem; jego ruchy były niezgrabne i nieśmiałe, bo nie były jego ruchami. Odzież, jaką teraz nosił, odebrała mu całą pewność siebie. Bo skąd miał ją wziąć? Z chwilą kiedy porzucił swą ziemię, opuściła go świadomość własnej wartości. Przyszedł tu, by stać się kimś innym.

Cicho i niepostrzeżenie rozgrywała się w nim codzienna tragedia. Warunki, w jakich się znalazł, zżerały go jak rdza i wpędzały w rozpacz.

Pewnego dnia zrodziła się w nim szalona myśl: zdezerterować. Precz, wszystko jedno dokąd, byle stąd precz. Do Mołdawii, do Besarabii — gdziekolwiek, byle jak najdalej od tych grubych, zimnych murów, jak najdalej od tych niewidocznych, straszliwych kajdan, które przykuwały go jak katorżnika.

Tęsknota za rodziną wpijała się w niego tysiącnymi ustami i miotała nim jak wichur. Na domiar złego nie rozumiał języka tych, którzy wydawali rozkazy. Nie zawsze więc mógł spełniać ich wolę, za co nieraz był ostro karany.

Najbardziej cierpiał z powodu gruboskórności podofi-

cerów, brutalności, która przechodziła często w zezwierzęcenie.

I nie było tu nikogo, przed kim mógłby się wyżyć. Zresztą, po co się żalić? Miał łagodną i lękliwą naturę, która unikała, bała się wszelkich głośniejszych wybuchów i wołała cierpieć niż wywoływać dalsze następstwa.

Tylko jeden człowiek go rozumiał. Ale był od niego daleko. To był ów starzec, małowówny, niepokąźny, tam daleko, wśród pól, człowiek o przedziwnej wrażliwości i delikatności oraz dobrotliwym, nieśmiałym sercu.

Jego tęskne myśli mknęły do syna przez rozległe równiny, jak białe mewy. Co on tam robił? Co robił w tej, a co w następnej godzinie? Có porabiał, kiedy palił światło w swym nędznym kątku, obgryzając w milczeniu kukurydzę?

Czy nie głodował, czy się już przyzwyczaił? Jacy tam byli dla niego ludzie? Cierpiał wraz z nim, odczuwał jego gryzącą tęsknotę za domem i żył w nieustannej, niewypowiedzianej trwodze o jego życie. Cierpiał w milczeniu. Maryjka nie mogła o tym wiedzieć; byłaby po prostu wpadła w rozpacz. Była chorowita i przedwcześnie postarzała. I kiedy już taki był jego los, że syn musiał przeżyć dwa lub trzy lata z dala od domu, to trzeba było poddać się tej nieuniknionej konieczności i cierpieć.

Ciągle ją pocieszał, że w lecie na Petra pójdzie z nią na jarmark do miasta, do syna. I matczyne serce oczekiwało tego dnia jak zbawienia.

Ale musiała jeszcze czekać. Jeszcze dużo tygodni i dni miało upłynąć, niejedną jeszcze łzę miała wylać, zanim nadejdzie ten dzień.

Cierpiała na swój sposób. W każdej chwili miała go przed oczami. Widziała go zmęczonego, zbiedzonego, widziała, że cierpi niewinnie, że stale głoduje. Za każdym razem, kiedy piekła chleb, mówiła: „Synku mój najlepszy, kto teraz dba o ciebie? Twoja mama daleko, a ty gdzieś tam głodujesz. Patrz, jaki chleb się udał, a ty tam mdlejesz z głodu.”

Zalewała się potem łzami i milkła. Dalsze słowa zamierały w gardle, przechodząc w głuchy żal.

Kiedy Sawa był szorstki i uparty, ociągał się z wykonywaniem jej poleceń, narzekała:

— Odszedł przyjaciel, a został wróg. Dlaczego gryziesz moje serce? Oj, nie ma ciebie, Mychajłyku, nie ma! Odszedłeś, a razem z tobą odeszła dobra godzina. Ale nadejdzie lato, pójdę do ciebie. Chociaż wypłaczę się przed tobą...

Wszystko odkładała na ten dzień... Oczekiwała go jak wielkiego święta.

Ale Iwonika nie miał na co czekać. Jego syn marniał tam coraz bardziej.

Pewnego razu miał Iwonika taki oto sen: Poderwało go i wypchnęło z szalasu na pół radosne, na pół żałosne ujadanie starej suki Sojki, które nim wstrząsnęło. Co się dzieje? Czy ktoś się kręcił koło zagrody i chciał ukraść jego woły? Noc była jasna, widoczność doskonała... Zagroda widniała wśród pól jak grzyb. Za „sąsiedzkim” lasem leżała wieś złodziei i chuliganów, więc o szkodę nietrudno.

Zaszedł najpierw do stajni, ale zastał wszystko w porządku. Bydło leżało śpiąc. Sawa również spał mocno na posłaniu w pobliżu wołów, tam gdzie sypiał zwykle Mychajło.

Wyszedł ze stajni, rozejrzał się. Patrzy: wszystkie pola, jak okiem sięgnąć, obsypane kwieciami hreczki. Wyglądało to jak białe, kwietne morze. Jakieś dziwy... Bo tu i tam, i ówdzie wystrzelały z ziemi jadowite jęczory czerwonych płomieni, od których wokół na białokwietną równinę padał szkarłatny poblask. Iwonika przestraszył się i chciał wołać pomocy. Nagle skądś wyłonił się przed nim Mychajło.

Stał wyprostowany jak świeczka. Ręce bezsilnie mu zwisały, z czarnego, rozerwanego na piersiach serdaka wyglądała biel koszuli. Głowę uniósł nieco za wysoko i szklanym wzrokiem w śmiertelnie bladej twarzy patrzył w milczeniu na ojca.

— Mychajło, to ty? — zawołał do niego uradowany. — Skąd się tu wziąłeś?



Syn nie odpowiadał.

Płomienie przekształciły się w dym, a raczej w dymne żmije. Rzuciły się na chłopca, a jedna zwinęła się i wpiła się w jego pierś.

— Co to?! — krzyknął ojciec z niewymownym przestraszeniem. — Co to?!

Ale syn milczał nadal, wpatrując się w ojca tym samym szklanym spojrzeniem, a kiedy stary w śmiertelnym popłochu rzucił się do syna, żeby go pociągnąć za sobą, ten zwałił się na niego jak ciężka figura z gliny i rozbił się w kawałki...

Stary obudził się. Oddychał ciężko, serce tłukło mu się w piersiach jak szalone. Trząsł się jak w febrze. Przeżegnał się i szybko odmówił „Ojcze nasz”.

Więc to był sen. Chwała Bogu, chwała Bogu! Ale co za ciężki, okropny sen! Leżał zupełnie rozbity, okropnie zmordowany, jak po gwałtownie wykonanej, nieoczekiwanej, ciężkiej fizycznej pracy. Leżał jak umarły.

Po upływie kilku wlokących się ciężko chwil podniósł się z posłania. Nocował w szałasie sam. Wstał i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na dwór. Musiał zobaczyć, co się naprawdę działo na świecie.

Noc była zimna i bardzo jasna. Bezdennie głębokie niebo przykrywało milczącą, pustą równinę. Leżący naprzeciwko „sąsiedzki” las, jak zwykle przyczajony spoglądał na pola... Skroś pól niesło się od wsi ciche, wibrujące skomlenie psa. Trwało przez kilka chwil, rozplywając się w nocnej ciszy. Zdało się, że wszystko wokół ogarnęła zupełna senność.

Ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Wrócił do szałas. Przeżegnał się raz jeszcze, położył się z powrotem, ale już nie spał, leżąc bez ruchu. Noc była taka jasna i tak cicha, a straszliwy sen stał mu ciągle przed oczami. To krwawy sen. Mychajło wyglądał jak trup. O Boże, Boże, trup! Aż stęknął z przerażenia. Musiało go spotkać coś niedobrego, myślał o ojcu i tęsknił za nim... Sercem starego szarpnął gwałtowny ból i z oczu puściły się gorące łzy.

— Mychajło! Mychajło! — krzyczało coś z głębi jego samotnej duszy.

Co też on tam porabiał? Co tam robił, taki samotny, obcy wśród obcych i w obcym mieście?... I gorące, obfite łzy zalały mu twarz. Tu mógł płakać. Nikt jego łez nie widział. Maryjka nocowała w chacie na wsi, a Sawa spał w stajni, przy bydle.

Znał się na snach, nigdy go nie zawodziły. Wierzył, że sam Bóg przemawiał przez nie. Bo i skąd by się brały? Trzeba jednak umieć w nie wnikać i rozkruszyć jak grudkę ziemi, aby wiedzieć, o czym one mówią...

Dokia znała się na snach, ale i on je rozumiał. Płomień — to wiadomość. Dym — zła nowina. A dym w kształcie żmii, wpijającej się w chłopca, oznaczał złych ludzi. Wygląd chłopca świadczył wyraźnie o chorobie albo jakiejś wielkiej zgryzocie.

— Och! — jęknęło coś w nim znowu boleśnie. — Już ostatnim razem, kiedy byłem u niego (widział się z nim wtedy tylko przez kilka krótkich chwil, bo chłopiec właśnie szykował się do jakiegoś wymarszu), już wtedy skarżył się na jednego kaprała, który ni stąd, ni zowąd w czasie musztry, przy komendzie „Nieder!”<sup>1</sup> uderzył go pięścią między oczy.

Pewnie zdarzyło się znowu coś nowego.

I różne bolesne myśli zaczęły czarnym rojem kłębić się w jego głowie; męczyły go różne domysły.

W ciszy i samotności rodziły się w jego wyobraźni różne obrazy, ukazujące mu syna w najbardziej niewiarygodnych sytuacjach. To go bił i męczył kaprał, to siedział w szpangach<sup>2</sup>, to znowu przebywał w garnizonowym areszcie; wyglądał na zmordowanego i wygłodniałego, żałośnie przywoływał ojca i matkę. Innym znów razem, kiedy maszerował gdzieś do zupełnie nieznanej miejscowości, spadł z wysokiego mostu w bagno i byłby w nim utonął,

---

<sup>1</sup> Nieder, tu: Padnij!

<sup>2</sup> Szpangi — rodzaj tortury, stosowanej karnie wobec rekrutów w austriackim wojsku.

jak się to zdarzyło bratu wsiowego wartownika, Penteleja.

Grube krople potu występowały staremu na czoło i spływały na skronie. Ciężko wzdychał.

Wszystko będzie tak, jak Bóg zechce! Zawsze kończy się wszystko zgodnie z Bożą wolą. Wszystko zależało od Niego...

Wyszeptał raz jeszcze żarliwie „Ojcie nasz” i przymknął oczy.

Podjął nagle jasną, wyraźną decyzję: zaraz jutro do dnia pójdzie do syna! Z całą pewnością.

Powtarzał to sobie ciągle, decyzja umacniała się, stając się wielką pociechą.

Żeby tylko jak najprędzej było już po północy. A może już minęła? Miał iść piechotą trzy mile, trzeba więc wybrać się zaraz po północy, żeby o świcie stanąć przy koszarach, bo a nuż chłopiec będzie miał znowu wymarsz? W zagrodzie nie było drobiu, kogut nie mógł więc pianiem oznajmiać północy. Ale i tak potrafił rozpoznać, jaka jest pora. Po północy gwiazdy bledną, staje się mroczno jak pod wieczór, a potem rozwidnia się coraz bardziej.

Wstał z barłogu i wyszedł na dwór, schylając się w niskich drzwiach ciemnego szałas.

Spotkała go ogromna cisza.

Noc wokół rozkwitła w całej pełni, w całej świeżości. Niebo było tak usiane gwiazdami, jakby właśnie w tej chwili rodziło się tam szczęście i błąkało gwiazdnymi szlakami.

Musiało być jeszcze przed północą. Przed północą!

W tej jego rozterce owładnęło nim coś potężnego. Poczuli się słaby i niedołężny w swym szałasie, niby muszka pod listkiem. Jakimś ślepym instynktem pogrążył się w nieskończoności... Jak straszliwe było w tej chwili milczenie przyrody! Ta brutalna cisza zjeżyła mu włosy na głowie, cisza ta nie była martwa.

Myśli leniwie zanikały. Rozpacz jego gdzieś pierzchła,

utonąła, stopiła się w czymś, co przygniatało swą potęgą; jak pijany powlókł się z powrotem w głąb szalasu.

Ale ledwie minęła północ, wstał, wziął do ręki długi, zakrzywiony kij i poszedł do stajni. Zbudził Sawę.

— Sawo, synku — powiedział trwożnym szeptem. — Idę do miasta, do Mychajła. Uważaj na bydło i na zagrodę.

Sawa przestraszony przecierał oczy.

— Co wy? Przecież wczoraj nie wspominaliście o tym ani słowem — odpowiedział zaspany.

— No to co z tego, że nie wspomniałem? Wyszło tak, że muszę iść. Boję się, czy mu się co złego nie przytrafiło.

— Cóż się miało przytrafić? — odezwał się chłopiec niechętnie, zapalając małą latarkę i oświetlając nią ojca.

— Tak mi się niedobrze śnił. Ty tego nie rozumiesz. Jeśli kogoś ma coś najść, to choćby nawet drzwi zamknął, i tak do niego wejdzie. Jeden by chciał, żeby coś tam do niego przyszło, a nie przyjdzie, a do drugiego przyjdzie samo i zastuka wprost do drzwi.

— E, też wydumaliście sobie coś takiego, tato! Idźcie lepiej położyć się spać. Dopiero co minęła północ. Gdzie wam teraz do miasta?

— Nie, synku, ja jednak pójdę — obstawał stary przy swoim. — Nic nie mów mamie, że mi się niedobrze śnił... i uważaj...

Poszedł.

Niosło go jak na skrzydłach. Wkrótce przeszedł przez pola dzielące go od jego wiejskiej chaty. Wytrwały niby leśny zwierz, był zahartowany na wszelkie dokuczliwości natury, a nogi miał jak jeleni.

Wstąpił do domu, zbudził Maryjkę. Przestraszyła się.

— A tam co takiego? — spytała z lękiem zaspana, szukając klamki od drzwi, by je otworzyć.

— Nic — odpowiedział. — Wybieram się do Mychajła i zaszedłem. Może chcesz mu co przesłać...

— A dlaczegoście mi o tym wczoraj nie powiedzieli? —

zawołała podobnie jak Sawa zdziwiona, z wyrzutem. — Trzeba mi było wczoraj powiedzieć!

— Nie mówiłem wczoraj, bo sam na pewno nie wiedziałem. A teraz nie marudź i dawaj, co tam masz! — ponaglał.

O śnie, co gryzł go bez przerwy i poganiał jak ogień, milczał. Za nic w świecie nie wspomniałby o nim.

Maryjka, gderając, zapaliła światło i szperała po wszystkich półkach, żeby wyszukać coś dobrego do jedzenia dla swego ulubieńca. Przygotowała masło, ser, jeszcze tam coś, no i mamałygę, którą — Bóg wie dlaczego — ugotowała wieczorem i postawiła na półkę.

— Tak jak bym wiedziała — powtarzała raz po raz. — Tak jak bym wiedziała. A taka już byłam zmęczona! — ciągnęła dalej jednostajnie. — Ledwie się na nogach trzymała. Nosila wczoraj wieczorem wodę aż z wielkiej krynicy, chcę jutro prac. I tak sobie pomyślałam: „Ech, ugotuję jeszcze mamałyżkę, może się przyda, niech będzie!”. No i patrzcie, jak się złożyło. Mychajłyk ją będzie jadł. Dla niego ją zgotowałam.

„Tak już widocznie miało być” — myślał poważnie Iwonika, pomagając jej włożyć wszystko do starego worka. Ubrał się w kabat, włożył na to stary kozuch, skrzył ze słomy postronek i podpasał się nim. Nasadziwszy na głowę starą, wysoką czapę, przeżegnał się, zarzucił worek na plecy, wziął kij do ręki i poszedł.

Niemal niedostrzegalnie z mrocznego przedświt zaczął wyłaniać się dzień. Leżał na ziemię jakiś stłamszony, ociężały, szary jak smutek.

Wraz z dniem Iwonika stanął pod cichą koszarową bramą. Całe szczęście, że przyszedł. Miał dobre przeczucie.

Po pierwsze syn był chory. A po drugie zwierzył mu się, gorzko narzekając, że chce zdezerterować. Nie może tu wytrzymać. Nie potrafi już dłużej. Woli raczej uciec do Mołdawii albo Besarabii, nawet gdyby nie miał już nigdy ujrzeć ojca i matki oraz swej wsi rodzinnej, niż cierpieć tu ciężkie męki i znosić szykany. O niczym wię-

cej nie chce słyszeć, tylko jak najdalej stąd! Dobrze, że ojciec przyszedł do niego, oczekiwał go. Chwała Bogu, że przyszedł.

Pisał do domu. Czy tato nie dostał tego listu?

Nie.

Prosił, żeby napisali list. Nalegał, żeby list wysłali jak najprędzej...

Na czoło ojca wystąpiło kilka kropelek potu. Więc tak się rzecz miała. Coś w tym jednak było, że przygnało go tutaj.

Syn opowiadał, że już od tygodnia jest chory na gardło. Zameldował się jako chory, ale lekarz, który go oglądał, powiedział, że nic mu nie jest i że ma wracać do służby. Więc wrócił. Prawdę mówiąc, kto wie, czy w szpitalu nie gorzej niż w koszarach, no a w końcu może mu to i samo przejdzie. Ale boli go też noga. Ma za ciasne buty, zrobiła mu się na nodze rana i tylko Bóg jeden wie, z jakim trudem maszeruje i jak wygląda jego noga, kiedy wieczorem zrzuci te kajdany.

A przed kilku dniami... czy ojciec słuchają?

Słucha...

... o mało go nie wpakowali na dwa miesiące do garnizonowego aresztu. Zasnął na warcie... i niewiele brakowało, żeby go na tym przyłapali. Ale chwała Bogu skończyło się tylko na tym, że dostał kilka razy po głębie. Był bardzo znużony i zmęczony. Od czasu choroby był jak połamany i sen tak go zaskoczył, że sam nie wiedział, jak i kiedy. Przecież ciągle myślał tylko o tym, żeby nie zasnąć. A jednak zasnął na chwilę. Nie byłby chyba zasnął tak na dobre; żeby nie wiedzieć co, nie poddałby się.

Czy ojciec może sobie przypomnieć, żeby on kiedy zasnął w polu koło bydła albo gdy pilnował rozrzuconego zboża na klepisku?

Nigdy...

Ale teraz tak z biedy i zmęczenia... z bólu... noga jeszcze bardzo go boli.

— Domnika „zamówi ci” twoją ranę — odezwał się ojciec, który siedział dotąd w milczeniu, opierając głowę na ręce. — Daj tylko coś swojego. Zaraz, jak przyjdę do domu, zawołam ją i ona „zamówi”. Daj pukiel twoich włosów.

Chłopiec uciął kosmyk włosów, zawinął w szmatkę i podał ojcu, po czym ciągnął dalej:

— A te musztry! Ciągłe mieć przy sobie i przed sobą karabin! Tak mi ciężko, tato, tak mi ciężko! Ja nie wytrzymam!

Schylił nisko głowę i wsunął palce we włosy.

— Tato, ja... ucieknę... — powiedział stłumionym, cichym głosem.

Ojcu aż się włosy zjeżyły.

— Et, nie mówiłbyś czegoś takiego, Mychajło! — odpowiedział z udanym spokojem, przerażony i zatrwożony. — Zamelduj, że chcesz być trębaczem — poradził.

— Kiedy doświadczeni żołnierze odradzają. Mówią, że to jeszcze ciężiej i że prawie nigdy nie można dostać przepustki, więc co za korzyść z tego? Powiadają, że trzeba przywyknąć. Ale mija dzień za dniem i tydzień za tygodniem, a ja się nie przyzwyczajam i wszystko zostaje po staremu.

Wczoraj zdarzyło się coś takiego, opowiadał dalej chłopiec, czego, odkąd żyje, nie widział i o czym nigdy nie słyszał. Jeden żołnierz miał zamieść salę, do której był przydzielony, i zrobić w niej porządek. Właściwie to wszyscy z tej sali mieli to zrobić razem, ale on zobowiązał się zrobić to sam i wszyscy się zgodzili. Zamiótł salę, ale śmiecie zgarnął na kupkę i zostawił w kącie. Przyszedł kapitan, zobaczył to i ukarał kaprała. Kaprał pomścił się, ale pomścił się na wszystkich. Ryczał jak zwierz i groził. A potem zrobił tak: kazał rozciągnąć śmiecie na krzyż przez całą salę, położyć się wszystkim żołnierzom na podłogę i wylizywać z podłogi to śmiecie językami. Kto nie posłucha, „ten zobaczy”!

— Ja i jeden Hucuł — opowiadał dalej Mychajło — jedyny, z którym tu koleguję, nie chcieliśmy tego zro-

bić i... widzicie, tato, jaką mam spuchniętą szczękę? To on mnie tak urządził swoim kułakiem... No i w końcu musieliśmy i tak wylizać to śmiecie. Jeszcze do dziś jestem syty!

Stary nic nie powiedział. Twarz mu tylko trochę pociemniała, coś jak łza zabłysło w jego pocziwych, niebieskich oczach, a głowa zaczęła się trząść. Milczał jednak. Patrzył przez chwilę na ziemię i ciężko westchnął.

Po raz pierwszy w życiu zakipiało w nim oburzenie z taką siłą, że z trudem je hamował. Wszystko wołało w nim o pomstę. Jego dziecko, o które drżał ciągle, ciało i krew jego, treść jego życia — nad nim tak się znęcać? Kto miał prawo do tego? Kto miał takie prawo?! Był tak oburzony, krzywda dziecka tak dźgnęła go w serce, że omal nie zaczął głośno ryczeć. Jego silne, żylaste ręce, czarne i twarde, zadrżały niedostrzegalnie...

Trwało to chwilę. Kiedy jednak przypomniał sobie o planowanej ucieczce syna, jak pokonany opuścił niską głowę. Gdy myślał o tym, czoło jego parzył pod skórą jakiś niewidoczny płomień. Cóż to wszystko znaczyło wobec ucieczki?

Słumił w sobie wzburzone uczucia i myśli i odezwał się drżącym głosem:

— Tak to już jest, Mychajło, tak to już jest! Zawsze tak było, że nieszczęście nigdy nie przychodzi samo; jeszcze za życia mego ojca tak było, ale cóż robić? Wszystko przychodzi w swoim czasie, i dobre, i złe. Niejedno jeszcze będziesz musiał przecierpieć, no ale tak trzeba. Myślisz, że mnie lekko? A mamie? Od rana do wieczora depczemy ziemię i ciągle ciebie wspominamy. Ale i to się skończy. Pomyśl tylko, gdybyś ty był, nie daj Boże, kaleką. Ślepy albo połamany, albo jakbyś stracił tatę i mamę... No a przecież tyś jeszcze młody i zdrowy... masz ojca i matkę... i służysz cesarzowi... to honor...

Głos mu się załamał. Nie potrafił kłamać. Mówił o honorze, a przed chwilą aż trząś się z powodu ciężkiej zniewagi syna. Serce mu się krajało. Ile cierpienia kosztował



go ten honor, z jakimi ofiarami był połączony, a co najgorsze — co zrobiło się z jego synem!

Ile się zmieniło, odkąd poszedł, i ile się jeszcze zmieni od tej chwili! Nawet ta ziemia, od której byli wszyscy zależni, odczuła jego nieobecność. A teraz do tego wszystkiego jeszcze strach, że on ucieknie. To było najgorsze.

Już go widział pojmanego, rozstrzeliwanego, bo kiedyś słyszał już od kogoś, zdaje się od Petra, że dezterterów rozstrzeliwują.

Rozpoczął więc na nowo, nadając swemu głosowi twardość i zdecydowanie:

— Tak, to się zdarza. Ale ty, synku, nie rób tego! Niech cię przed tym ręka Boska broni! Nie jesteś przecież jakiś pierwszy lepszy, tyś gospodarski syn; niech to nie ma do ciebie przystępu. Nie uciekaj! Śmiej się z wszystkiego. Wszystko minie. Nie rób tego, synku! Pamiętaj, że tato i mama zostaną i będą chodzić tymi ścieżkami, którymi tyś chodził, bo jaką inną pamiątkę zostawisz po sobie, kiedy uciekniesz? Będiesz odwiedzał ojca nocami jak duch, co też nocami chodzi? Nie na to ciebie, synku, twoja matka hodowała, abyś się tułał między obcymi! Jak tylko dam radę, będę do ciebie często przychodził — ciągnął dalej, pocieszając. — Dotąd nie mogłem, robota przykuwała mnie do domu, ale odtąd będę u ciebie w każdą niedzielę. Wstanę zaraz po północy i pójdę. Mówię ci, w każdą niedzielę. A tu — złagodził głos, jakby siedział przed nim mały chłopczyk, którego darzył niewypowiedzianą miłością — tu matka przysłała ci jedzenie...

Usiłował rozwiązać tłumok swoimi grubymi, stwardniałymi palcami i rozłożyć przed nim to, co przyniósł, ale nie bardzo mu się to udawało. Ręce mu drżały, a palce nie chciały ułożyć się do rozwiązania węzełka.

Wreszcie rozsypał i rozłożył wszystko.

Po twarzy chłopca przemknął uśmiech, kiedy zobaczył porozkładane jedzenie od matki. Zdawało mu się, że sama matka stoi przy nim w białym ręczniku, z zatroskaną twarzą, i spogląda na niego. Cieszył się w tej chwili jak

dziecko, wyglądał też bardzo dziecinnie pomimo swych szerokich barów i fizycznej tężyzny.

— To mama ci posyła — powtórzył Iwonika głosem, z którego przebijała tkliwa, bezgraniczna miłość.

Iwonika siedział na podłodze koło Mychajłowego łóżka. Nie chciał na nim usiąść. — Mogę i tu posiedzieć — powiedział skromnie, w rzeczywistości zaś bał się usiąść na posłaniu, żeby go czymś nie zabrudzić, za co syn zostałby ukarany. Chłopiec siedział na łóżku, żeby koledzy nie śmiali się z niego, i jadł powoli to, co rozłożył przed nim ojciec.

Rozmawiali o matce, która w żaden sposób nie mogła się pogodzić z jego nieobecnością.

— Pocieszam ją, jak mogę — mówił Iwonika. — Ale ona ciągle narzeka, że dzień bez ciebie jest dla niej nocą. W lecie przyprowadzę ją do ciebie. Jak Bóg da lata дочекаć, to ona poweseleje.

Niepostrzeżenie przeszli na gospodarskie sprawy i Mychajło spytał, co nowego słychać we wsi.

Nic! Wszystko zdrowe, wszystko po staremu, tylko onegdaj ktoś podpalił nową stodołę bogacza Iftelija, no i przy gaszeniu pożaru on, Iwonika, też pomagał; nie można zostawić człowieka w nieszczęściu bez pomocy, bo dziś ono jego spotkało, a jutro może trafić do ciebie. Przy tej okazji ktoś mu ukradł dwie nowe konewki i matka gde-rała.

— Niech tam już się tylko na tym skończy; żeby się już tylko na tym skończyło i nie pociągnęło za sobą czegoś gorszego — pocieszał Mychajło. — Jak będziemy zdrowi, zarobimy więcej niż na dwie konewki z kuchni.

Potem zapytał o bydło i o Sawę.

— Sawa pracuje — odpowiedział Iwonika — i nie mogę na niego nic powiedzieć. Nie powiem, żeby rwał się do roboty, ale pomaga mi wszędzie, gdzie trzeba. Kiedyś sam przez cały dzień młócił owies. Obiecałem, że kupię mu czarny serdak. Chce czarny.

— A jak z Rachirą?

Stary machnął ręką.

— Myślisz, że człowiekowi rozumu przybędzie za jedną noc, jeśli go tak długo nie miał? To tylko mamie się wydaje, że go może przybyć w ciągu jednej nocy. Myślę, że Rachira mu obrzydnie. Brzydka, a w dodatku nic nie ma, no i leniwa. Czego człowiek może się dorobić z leniwą żoną? Nie jest warta tego, żeby ją święta ziemia nosiła. Z czasem on sam to pomiarkuje. Jak weźmie się porządnie do roboty, a z wiosną będzie jej dużo, to przekona się, że człowiek bez pracy nic niewart. Sama ziemia go tego nauczy. Ona go nauczy, że Rachira, to dziewczyna nie dla niego. Na razie nic mu nie mówię. Patrzę, co robi, dokąd go ciągnie, i jaką sobie drogę na przyszłość ściele. A póki co rad jestem, że nie ucieka od roboty.

— Tato, a wołki? — pytał dalej chłopiec. — Śniły mi się niedawno. Niby gdzieś stałem koło naszej studni i przeglądałem się w niej. A wyście, tato, stali koło mnie. I nagle woły zaryczały tak jakoś smutno i tak strasznie, że rzuciłem się do nich. Wchodzę ja do stajni, patrzę, a one są tak krótko do żłobu uwiązane, że nie mogły położyć się na ziemi i jakby tym ryczeniem mnie wołały. Tato — dodał tonem upomnienia — uważajcie, żeby Sawa nie przywiązywał za krótko wołów na noc. Przyłapałem go raz na tym. To było wtedy, kiedy wróciliśmy późno w nocy z jarmarku, na Petra. On dlatego je tak uwiązał, żeby nie mogły położyć się spać na ziemi, boby się pobrudziły i on musiałby koło nich robić. Biedne bydłatka rozglądały się jak kaleki. Tak się wtedy na niego rozłościłem, że byłbym go uderzył. No i właśnie onegdaj przyśniło mi się coś takiego.

— Myślałeś, synu, o tym, no to ci się przyśniło — uspokajał go ojciec. — Ja każdego wieczora zachodzę do stajni i zaglądam wszędzie, w niczym nie spuszczam się na niego. Dopóki mnie święta ziemia nosi, dopóki patrzę swoimi oczami i dopóki nie jestem kaleką, dojrzę nawet najmniejsze ziarenko koło chaty.

Potem powiedział synowi, że pan chce się przenieść do miasta. Po twarzy chłopca przemknął rumieniec. Stała mu przed oczami Anna, taka, jaką ją widział ostatni raz

koło bramy. Wysoka i cicha, z opuszczonymi rękami i przenikliwym spojrzeniem. „I co teraz będzie?” — krzyknęło coś w chłopcu rozpaczliwie.

— Kiedy? — zapytał, wstrzymując oddech.

— To jeszcze nie jest pewne — odpowiedział stary. — Ale jak byłem kiedyś u pana i zgadało się o tym, że oni przenoszą się do miasta, to pani żaliła się, że początkowo będzie jej ciężko z obcą służącą, i pytała, czy nie znam jakiejś dobrej dziewczyny, którą mogłaby zabrać z sobą. Pewnie za jakiś miesiąc, dwa. Jakoś nie śmiem się tak dopytywać.

Mychajło milczał.

Pierwszy to raz się zdarzyło i było tak dziwne, że ojciec mówił przy nim o jego ukochanej dziewczynie. Gdyby on wiedział, co między nimi zaszło, gdyby on wiedział! Ale wraz z tą wiadomością nagle uczepliła się go wielka, bladolica troska.

Co się z Anną stanie? Pójdzie do domu, gdzie zacznie się dla niej piekło. Jej matka i brat będą znęcać się nad nią... I nic jej nie pozostanie, jak pójść do jakiejś nowej służby albo — przed czym buntowało się jego serce — wyjść za matczynego sąsiada.

Jakże by się dla niego wszystko odmieniło, gdyby ją puścili tu z panią! Na myśl o tym jakby pojaśniało w jego duszy. Poczuł od razu, że życie nie byłoby wcale takie ciężkie, gdyby ona tu była. Gdzieś kiedyś zobaczyłby ją czasem, porozmawiałby z nią; wszystko, wszystko byłoby inaczej! Tymczasem zaś siedział jakby ze związanymi rękami i może by się dopiero dowiedział, co się tam święci.

Opuścił smutnie głowę, a po jakiejś chwili zebrał i zawiązał w węzelek wszystko to, co matka przysłała, a co go z początku tak ucieszyło i z czego zjadł bardzo mało. Więc jednak nieszczęścia chodzą w parze. Tak powiedział niedawno ojciec i prawdę powiedział. On był tu przykuty na lata, a ona nie poradzi sobie sama z wszystkimi nieszczęściami i trudnościami, które jej teraz grożą. Jego przyszłość rozpadała się w oczach...

Oparł głowę na rękę i z jakimś zapamiętaniem patrzył przed siebie. A że nie umiał udawać i maskować się, więc Iwonika od razu zauważył jego smutek.

Serce ścisnęło mu się z żalu. Przypomniawszy sobie znowu o ucieczce.

— Mychajło, synu, dlaczego nie jesz?

— Już jestem syty — odpowiedział.

Wzrok jego spochmurniał. Kiedy spotkały się na chwilę ich spojrzenia, zdawało się, że ta sama łza pojawiła się też w oczach ojca.

— Mychajło! — wyrwało się nagle z niewymownym bólem z jego ust. — Powiedz, dlaczego ci tak ciężko?

— Ciężko mi! — odpowiedział. — Tak mi ciężko... Wi-dzę, że w złą godzinę opuściłem dom. Nie bez przyczyny czarny kruk przeleciał mi drogę. Tu będzie albo moja śmierć, albo ja tu nie wytrzymam!

Zaległo ciężkie milczenie. Uczucia kłębiły się burzliwie, zamykając usta.

Po chwili doleciał cichy, słaby głos:

— Cóż ja ci mogę pomóc, synku? Mam tylko ręce do roboty i ciemną, chłopską głowę. Rękami krwawię ziemię, a głową chyba rozbiję ten mur...

Syn przechylił głowę i zaczął cicho płakać. Ojciec był zupełnie bezradny.

Nieszczęście już dotarło tutaj. Skradało się cicho, coraz bliżej i bliżej, a teraz było już tu. Odczuł jego bliskość, przejęło go chłodem, odebrało dźwięk głosu.

— Mychajłyku, co tobie? Co dla ciebie zrobić? — spytał drżącym głosem.

— Wyciągnijcie mnie z tego albo pójdę, gdzie oczy poniosą! Ja chcę do domu! — wyrwało się gwałtownie z jego piersi. — Do domu, mówię wam!

Staremu się zdawało, jakby uderzył głową o kamień. Spojrzał z napięciem na syna, usta mu się wykrzywiły.

— Wiem, że chcesz do domu — powiedział. — Ale jak-że ty pójdziesz? Bez pozwolenia? Ech, Boże!

Chłopiec milczał, połykając szloch.

„Poczuł, że tu go dopadło nieszczęście, i chce uciec przed nim do domu” — pomyślał stary, dodając głośno:

— Wiesz dobrze, Mychajło, że zrobiłem wszystko, co mogłem. No i co z tego? Gdzie poszła moja praca? Co ja mogę jeszcze zrobić? To wszystko jak z żelaza i moje ręce tego nie przełamia. Kto wytrzymuje, ten wytrzyma, a kto nie wytrzyma, ten pójdzie ziemię gryźć. Jeśli ma tu ciebie, jak powiadasz, spotkać śmierć, to ani ja, ani nikt inny jej nie zatrzyma; a jeśli cię ma na czystym polu piorun trafić, to wyjdiesz stąd cały. Ja ci to mówię. Trzymaj się tego. Zaprzęgli ciebie, zaprzęgli i innych. Wszystko ma swój koniec, przyjdzie kres i temu. Rób swoje i zdej się na wolę Boską, ja ci pomóc nie mogę!

Dokończył twardym, ostrym głosem, jakby urwał, i zamilkł, wbijając oczy w ziemię.

— Ale ja nie wytrzymam! — zawołał chłopiec płaczliwie. — Co chwilę słyhać: tam ktoś umarł, tu koń strącił kogoś na śmierć, to znowu ktoś inny odebrał sobie życie... I dlaczego? — wyszeptał, wycierając dłonią łzy z oczu.

— Jeden tylko Bóg wie, dlaczego! — odpowiedział Iwonika. — O to lepiej nie pytać. Ani ja, ani ty tego nie zmienimy. To starsze od nas i my tego nie zmienimy, jeśli ono się samo nie odmieni.

— My to psy! — powiedział chłopiec z głęboką goryczą. — Słyszałem to już tutaj.

— Cii... — uciszał ojciec.

— Ciągłe tutaj to słyszę! — powtórzył chłopak stanowczo. — Od delikatnych panów, tato. I tak często, że pełno mam tego w uszach. Ale ja nie pies! — bronił się, unosząc z oburzeniem głowę. — Dlatego, żeś chłop?

— Cii... cii... — uspokajał znowu zaleknionym szeptem i patrząc w podłogę mówił: — Jesteśmy ludźmi, co znają tylko ziemię. Czarna ona i nasze ręce od niej szerniały, ale ona święta. Chciałbym, aby moje wnuki i dzieci moich wnuków nie odrywały się od niej. Z naszych czarnych rąk wychodzi także i biały chleb, a jeśli nie wstydył, co nazywają nas psami, ten chleb z naszych rąk

brać i jeść, to niech będzie im wstyd, że oni, tacy delikatni, a depcą nas bezmyślnie jak ziemię, która ich żywi. Kiedyś ziemia ta ciężko zaważy na ich piersiach, ale wtedy nie będą już mogli jej z siebie zrzucić. Ale to o psach powiedział ktoś w gniewie; nie bierz sobie tego do serca!

— Inni, ojczy, też to słyszą. Dopiero tu usłyszałem, co to chłop. Tam, w polu my tego nie słyszymy. Bo kto ma nam mówić? Dopiero tu otwierają człowiekowi oczy. Ja wiem — ciągnął dalej z rozdrażnieniem — za co mają chłopca. Człowiek za jeden dzień usłyszy tu i nauczy się tyle, że mógłby się tym udławić.

Potem zrelacjonował półgłosem, co mu opowiedział jeden kolega, który służył już dłużej i był przez jakiś czas ordynansem u pewnego oficera.

— „Po półtora roku — opowiadał mi — prosiłem o przepustkę na Wielkanoc. Dwa tygodnie przedtem umarła moja mama i został tylko ojciec, chorowity, ciemny starszek z trzema małymi jeszcze siostrami. Mama umarła nagle. Wszystko zostało po niej jak porażone... Wszystko było jak bez głowy... No i napisali po mnie, niby najstarszego. Prosiłem swego pana o przepustkę. Musiałem pójść do domu. Kiedy odchodziłem z domu, nieboszczka mama płakała za mną krwawymi łzami. Po moim odejściu zostało wszystko jakby siekierą odrąbał. Byłem w domu dwa dni. Wróciłem tu trzeciego dnia o świcie i wszedłem do pana na kwaterę. Wtedy on skoczył do mnie, czerwony jak burak.

— Gdzieś ty był! — krzyknął.

Poczułem lód w całym ciele.

— Melduję posłusznie, panie lejtnant, że w domu, na urlopie.

Uderzył mnie w twarz.

— Ty psie przeklęty, to ty dopiero teraz wracasz?! — wrzeszczał. — Dałem ci przecież tylko jeden dzień urlopu, wiesz o tym? — aż ochrypl z gniewu.

— Proszę pana lejtnanta, w kompanii mówili mi, że mam dwa dni...

Tarrach — drugi raz!... A potem:

— Mnie jest wszystko jedno, czy ty jesteś, czy cię nie ma, czyś zdechł. Ale chodzi mi o to, żebyś znał dyscyplinę...

Co miałem mówić? W wojsku nie wolno odpowiadać. Ani nawet pisnąć, ani ust otworzyć nie wolno, bo potem jeszcze gorzej. Lejtnant dużo jeszcze gadał, a potem:

— Marsz!

Poszedłem. Czułem się tak, jakby mnie żmija ugryzła w samo serce. A przecież w domu anim nie pił, anim nie hulał, anim kołaczy nie zjadał. Zostałem tam taką biedę i taką rozpacz, że zdawało mi się, że chodzę po kolana w łzach. Biedne siostry wybiegły mi naprzeciw jak zmożone kury, a biedny, ciemny ojciec gorzko płakał...

— Dotąd chociaż mogła popatrzeć na ciebie — mówił — a teraz nawet nie może cię zobaczyć. W okno patrzą teraz drzewa, a ja w ciemną noc...

I na wszystko miałem tylko dwa dni. No i za to..." — Urwał, bo z żalu nie mógł mówić.

— Dlaczego, tato... — ciągnął dalej Mychajło, ale też nie dokończył — Zabierzcie mnie stąd z sobą, tato! — wyrwało się znowu boleśnie z piersi chłopca. — Chcę stąd iść, gdzie oczy poniosą. Ginę tu. Ja tu nie widzę słońca! Róbcie coś, żeby mnie puścili!

— Tyś, synku, tak tu zmańdrał, żeś przestał wierzyć nawet ojcu — powiedział po chwili stary z udanym spokojem.

Syn spojrzał na niego.

— Tak, widzę to!

Głęboko westchnął. Zawsze ciężko wzdychał, kiedy miał serce ściśnięte jakby okowami. Nagle podniósł się z podłogi.

Syn się przestraszył.

— Tato!

— Pójdę już, synku.

— Dlaczego? Posiedźcie jeszcze!

— Po co? Co ja dla ciebie? Przecież nie wierzysz ojcu. Nie mogę cię z tego wyratować. Przyszedłem tylko, żeby



ciebie zobaczyć i żebyś ty zobaczył ojca. Czekają na mnie w domu.

Mówił to z chłodną powściągliwością i stanowczością.

— A ja o was dzień i noc myślałem! Wypatrywałem oczy za wami! Nieraz mur bym rozbił głową, żeby do was pójść. Beczałem, pięści gryzłem, aby żal zdusić, nie złego nie zrobiłem, a wy...

— Milcz!

Nie powiedział tego głośno, ale takim tonem, że syn zląkł się i zamilkł, nie mówiąc więcej ani słowa. Od razu wyczuł, że rozgniewał ojca, a zabrakło mu i słów, i odwagi, żeby to naprawić. Coś go przygniatało, a poza tym usłyszał w sobie: „Tato siedział na ziemi jak pies, a ty...”

„Jak pies, jak pies!” — krzyczało w nim głośno, jakby głosem lejtnanta, o którym dopiero co opowiadał. „Mnie wszystko jedno, czy ty jesteś, czy cię nie ma, czyś zdechł...”

Weszło kilku żołnierzy wołając, że kompania wymaszerowuje zaraz na ćwiczenia za miasto. Kto tam jeszcze niegotów? Kapitan jedzie na koniu, a lejtnant już jest.

Jeden żołnierz podszedł do Iwoniki i powiedział:

— Idźcie do domu, dziadku! — Objął chłopca karcącym spojrzeniem i oddalając się dodał: — Tylko nie marudź długo!

Mychajło zerwał się, a stary zebrał w popłochu do worka swoje mizerne rzeczy.

— Już idziecie, tato? Wy już naprawdę idziecie? — pytał chłopak żałośnie. — Kiedy przyjdziecie znowu? Przychodźcie, bo inaczej zginę!

Mówił jak w gorączce, urywanymi sylabami. Nie wiedział, czy chwycić karabin i tornister, czy żegnać się z ojcem.

— Zaraz będą nas gnać jak psy! — krzyknął. — Ale niech tam! Niech tam.

Pogroził pięścią i wkładał szybko płaszcz.

Stary spojrzał na niego i podając mu dwa palce rzucił półgłosem:

— Pójdę za wami tam, gdzie będziecie robić ćwiczenia.

Będę tam tak długo, aż wrócić do koszar. Popatrzę, jak ćwiczysz. — I dodał po chwili: — Będę u ciebie w każdą niedzielę. Żeby nie wiedzieć co, przyjdę. Chyba, żebym zachorował. Czekaj na mnie, Mychajło, zawsze w niedzielę. Bądź zdrow, już nie będę mógł więcej rozmawiać z tobą. Muszę iść. Tam wszystko czeka na mnie.

— Bądźcie zdrowi, tato! — pochylił się i pocałował pokornie szerniałą, zgrubiałą rękę.

Ojciec wyszedł szybko i cicho z sali. Naprzeciw koszar rozciągał się stary, duży park miejski. Iwonika stanął przy wejściu do niego i czekał na syna.

Był jak struty. Z Mychajłem było niedobrze. Wyrывał się stąd do domu, jakby uciekał od śmierci. Rozpacz odbierała mu rozum. A on, ojciec, miał związane ręce i musiał w milczeniu na to wszystko patrzeć. Musi go zostawić samego, ot, jak teraz, a on mógł albo odebrać sobie życie, albo pójść, gdzie oczy poniosą.

„Nie ma chłopak serca do żołnierki” — pomyślał i przypomniał sobie, że obiecał synowi przychodzić do niego co tydzień, żeby go mógł widywać. Mychajło był jak dziecko. Sawa był inny — mówiło mu coś. Sawa byłby poszedł i służył, i znosiłby najcięższe i najgorsze, twardo i uparcie, nie wygrażałby po próżnicy pięścią. Sawie nie przydarzyłoby się to, co Mychajłowi, on nie bałby się tego. Sawa był jak z żelaza. Drobnny, nikły, a przecież jak z żelaza.

Znowu westchnął, chociaż wyraz twarzy miał taki sam, niemal obojętny. Tak jakoś wszystko posmutniało. I w żaden sposób nie można było tego ominąć albo zmienić. Stało się jak góra i chyba łbem o nią tłuc...

Myśląc o synu wpatrywał się tępo w ogromny, ponury budynek.

Była w nim jakaś bezwzględność i srogość. Wysokie, puste okna wypatrywały z murów jak zgłodniałe oczy. Za ich kratami mignęła od czasu do czasu jakaś młoda twarz lub zimny błysk stali.

Po chwili usłyszał coś jak spadający grad. Ocknął się. Żołnierze wychodzili z wysokiej, koszarowej bramy.

Długi, szaroniebieski wąż wypełznął z koszar na ulicę, przebierając niezliczonymi nogami. Kiedy się już cały wydostał, do ostatniego odnóża, Iwonika zarzucił na plecy stary worek, poprawił czapkę na głowie i ruszył za nimi, jak mały, nikły chrabąszcz za kolosem.

Tam, w drugim rzędzie kompanii maszerował jego syn. Starał się nie spuszczać go z oczu, ale niedługo mu się to udawało. W końcu mógł śledzić tylko ostatnich żołnierzy idących na samym końcu. Ale to nie miało znaczenia. Ważne było, że w tej kompanii był jego syn, i że wszyscy, którzy z nim szli, byli równie biedni jak on. Szedł ostro, krok w krok z nimi, i zdawało się, że przemienia się w twarde, mocne żelazo.

Zimny wiatr dał mu w twarz, ale ledwie to zauważył. Wąż żołnierzy jakby go zahipnotyzował. Szedł ślepo za nim.

W godzinę drogi za miastem stanęli. Kompanie poustawiały się rzędami, a on, upewniwszy się, gdzie stoi kompania jego syna, zgarbiony, z workiem na plecach, odszedł kawałek na bok, usiadł na ziemi i przyglądał się mustrze i ćwiczeniom, które właśnie się rozpoczęły.

Byстрыm spojrzeniem wyłowił syna i nie spuszczał go już z oczu. Przez dwie godziny śledził pilnie ruchy kompanii i chłopca, nie ruszając się z miejsca, jakby przymarzł do ziemi. A kiedy wreszcie po zakończeniu ćwiczeń wojsko ustawiło się do wymarszu, podniósł się i on. Czas już był również i na niego wracać do domu.

Pożegnał się oczami z synem. Postawszy jeszcze chwilę, skierował się na szeroki gościniec i poszedł. Po jakimś czasie zmalął do czarnego punkciku i wreszcie zniknął zupełnie. Polami podążał do domu.

Zimny wiatr palił go w twarz. Był mroźny grudzień i dojmujący chłód przenikał wokół wszystko. Ale nie zważał na nic. Czarna troska towarzyszyła mu krok w krok i pochłaniała go zupełnie. Myśl o tym, że jego syn mógł uciec z wojska, burzyła jego równowagę i odbierała wszelki spokój. Mogło to się stać dziś, jutro, pojutrze, przy pierwszej karze, jaką mógł otrzymać, bo nie był jeszcze

dobrze wprawiony w musztrę — i syn jego mógł przepaść! Wtedy wszystko się skończy i będzie po jego chłopcu.

W rozpacz gnał do domu jak jelen. Zdawało mu się, że im prędzej się tam znajdzie, tym szybciej minie czas i on znowu zobaczy się z synem. Widział tylko jeden sposób, by go uratować: zjawiać się u niego jak najczęściej, łagodzić jego rozpacz i dawać mu możność wyżalenia się. Czuł instynktownie, że to mogło stać się jedynym sposobem ukojenia wzburzonej młodej duszy...

Pola wyłaniały się przed nim coraz szerzej, mając swym tęsknym smętkiem jak wieczność. Niestrudzenie gnał przez nie. Ludzi prawie nie spotykał. Miał przed oczami dwa — na szarym tle — przenikające się obrazy: wielki budynek z pustymi, zakratowanymi oknami, który mroził swą surowością, oraz swoją zagrodę na pustych polach i Maryjkę. Z białego ręcznika wyłaniała się wymizerowana twarz z zatroskanymi, dopytliwymi oczyma...

Wróciwszy do domu, Iwonika opowiedział Maryjce, że chłopiec jest smutny i chory i że przyniósł od niego kosmyk włosów do „zamówienia”. O wszystkim innym zmilczał. Wiedział, że do głębi zraniłby rozdarte serce matki. Żałował jej, jak żałuje się małych dzieci, zadając sobie pytanie: „I co z tego, że jej powiem? Czy to coś pomoże?”

Oddychał ciężko, wspominając pozostawionego w rozpacz syna, milczał i chwytął się roboty. Właśnie praca, jak i cała przyroda, modelowała w sposób decydujący kształt tego niepozornego zdawałoby się i mizernego życia. Był z nimi powiązany tysiącnymi niewidzialnymi nićmi, które oplatały go ciasno. Przyroda i praca kształtowały jego los. Pograżony w nich żył pozornie bezczynnie, chociaż pchały go na oślep w różne strony instynkty, mącąc trzeźwość i rozum w kształtowaniu swej doli.

Maryjka, dowiedziawszy się o stanie syna, z wykrzywionymi bólem ustami pobiegła prosto do swej przyjaciółki Domniki, która miała „zamówieniem” odegnąć od niego chorobę i smutek.

Domnika, licząca około czterdziestu lat, była dla wiej-

skich kobiet osobą nieocenioną. Miała swą osobną historię, a we wsi osobne uprawnienia. Przede wszystkim swą przeszłością z lat dziewczęcych różniła się od innych wiejskich dziewcząt, których życie monotonne, zdeterminowane nie obfitowało w taką rozmaitość wydarzeń i własnego w nich udziału, jak jej życie, zanim wyszła za mąż. Prawdopodobnie wpłynęło to na jej późne zamążpójście. Prawie dziesięć lat służyła w mieście u pewnego bogatego Żyda, lichwiarza. Swego czasu przebąkiwali, że była wierną sługą nie tylko dla swej na pół zidiociałej pani, ale że i swemu panu była niemniej oddana. Nikt nie mógł jednak niczego udowodnić.

Ona sama była niezwykle rozważna, a w obcowaniu z mężczyznami ostra, aż niegrzeczna. Powróciwszy niemal po dziesięciu latach ze służby w mieście do rodzinnej wsi, okazała się zarówno pracowita, jak ładna, chytra, skryta, jak i przytomna — a więc zamknęła usta wszystkim plotkarzom.

Jedno, czym mocno stała, to była jej żelazna wytrwałość w postach. Nie było w roku ani jednego poniedziałku, w którym wzięłaby co innego do ust niż chleb i wodę. Chociaż była zdrowa, choć nieraz namawiano ją na skromny przynajmniej posiłek, nie dała się nigdy skusić. W związku z tym szeptano, że widocznie musiała mieć na duszy jakiś ciężki grzech, za który pokutuje, a inni, uśmiechając się domyślnie, rąbali wprost: „Służyła wierne swemu panu”.

Była przystojną, czarnobrewą dziewczuchą, o ciętym i obrotnym języku. Nie żeby lubiła dużo mówić. Nie, była tylko bystra i rezolutna. Dlatego przewzano ją w całej wsi „osą”.

Liczyła już ponad trzydzieści lat, kiedy wróciła do rodzinnej wsi, gdzie miała tylko brata, i poszła na służbę do dworu. Na zabawy chodziła rzadko, a wszystkich chłopców nazywała zwyczajnie smarkaczami. I ciekawa rzecz: mimo jej urody i rozumu, mimo niezwyklej staranności w ubieraniu się, nie budziła podziwu ani sympatii w męskiej połowie mieszkańców wsi. Chyba w znacznej mie-

rze winny temu były jej duże, chłodne oczy, które miały w sobie coś nieprzyjaznego.

I chociaż potrafiła być czasami bardzo miła, nie umiała jednak nikogo do siebie przywiązać. Trzeba było — jak mawiano — mieć się na baczności przed tymi oczami. Kiedy mówiła lub o czymś opowiadała, słuchano jej chętnie. Mówiła powściągliwie, dobierając słów, jak taka, co wie, „jak z kim rozmawiać”. Ale wszyscy oddychali z ulgą, kiedy odchodziła.

Początkowo, kiedy wróciła ze służby do wsi, budziła wśród chłopców i dziewcząt zaciekawienie.

Czy nie podobała się ani jednemu? Czy nie podobał się jej ani jeden?

Miała złożone pieniądze i piękną, pańską odzież. Nosiła zawsze białą jak śnieg bieliznę, miała ładny kiptar<sup>1</sup>, przybrany jedwabnymi frędzlami, z wyszywanym kapiszonym. Jej strój nie robił jednak większego wrażenia. A ona pozostawała na wszystko obojętna. Nigdy nie była gorąca ani zimna.

Raz jedynie się zdradziła, ale o tym dowiedzieli się tylko stary Petro, który siedział w ogrodzie za kupą trawy i ostrzył sierp, oraz panna, która stała przy otwartym oknie, wychodzącym na ogród.

Domnika plewiła grządki i śpiewała. Nie była to zwykła pieśń. Ułożyła ją sama, dobierając do słów odpowiednią melodię. Wypowiedziała w niej całą historię swej miłości.

Kochała młodego chłopca, sierotę bez ojca i matki, który przebywał w wojsku. Kochali się i przyrzekli dotrzymać sobie wierności oraz pobrać się, kiedy on wróci z woj-ska. Mieli razem pracować i dorobić się majątku, postawić piękny dom, kupić ładne białe woły i żyć szczęśliwie. Na razie nikt o tym nie mógł wiedzieć prócz Boga, gwiazd i płochliwego słowika, co uciekał przed ludźmi w dzień i w nocy, bo ludzie byli obłudni i źli, podobni do wilków.

Śpiewała tę pieśń smutnym, monotonnym, ale pełnym

---

<sup>1</sup> Kiptar — rodzaj krótkiego półkożuszka bez rękawów.

uczucia głosem. Kiedy skończyła, do ogrodu weszła panna i zapytała:

— Co to za pieśń, Domniko, którą teraz śpiewałaś? Jak się nazywa?

— Nie wiem — odpowiedziała zmieszana Domnika.

— Podoba mi się ta pieśń i chciałabym ją sobie zapisać. Czy nie mogłabyś mi jej jeszcze raz zaśpiewać?

— Nie mogę — odpowiedziała Domnika.

— Dlaczego? Przecież znasz ją na pamięć — obstawała przy swoim panna.

Na to tamta zmieszała się jeszcze bardziej.

— Śpiewałam ją dziś po raz pierwszy — odpowiedziała po chwili odważnie. — Śpiewałam ją z głowy...

— Sama ją ułożyłaś? — padło następne pytanie.

— Tak. Było mi tak ciężko na sercu... musiałam to wyśpiewać.

— Nie mogłabyś jednak powtórzyć tej pieśni? — nalegała panna.

— Dziś już nie. Może innym razem. Sama nie wiem... To tak jakoś samo wyszło...

Panna patrzyła na nią w zamyśleniu. Domnika uniosła głowę i spojrzała na nią chłodnym, nieprzyjaznym wzrokiem.

— Na co wam to? — spytała.

— Chcę mieć tę pieśń.

— Po co?

— Spodobała mi się.

— Nie wzbogacie się nią. Zapiszcie sobie inną.

Spojrzała na pannę tak lodowato, że ta bez słowa się oddaliła.

Stary Petro przestał na chwilę ostrzyć sierp, a kiedy panna przechodziła koło niego, powiedział do siebie, ale całkiem głośno:

— Wiedźma! Ona śpiewała o swoim miłym, ja wiem. Wiem teraz także, dlaczego dla niej wszyscy chłopcy to smarkacze. No, no! To ona jednak coś warta. Ech, Boże ty mój, Boże!...

Gwizdnął wesoło, ale zaraz spoważniał i zamyślił się.

To właśnie ona, ta czarnooka czarownica z pracowitymi rękami, co nigdy nie odpoczywały, z ciętym języczkiem żmijki — ona właśnie była jedyną, którą wzięłoby za żonę. Tak, on, ten Petro, dla którego wszystkie dziewczęta znały tyle co snopy, on ożeniłby się właśnie z tą Domniką. Przedtem jednak musiałby zarobić trochę grosza. Niedużo. Ona była zapobiegliwa i pracowita jak pszczoła, a on też umiał grosz zarobić. Z takim wianem można by już rozpoczynać.

Długo jeszcze rozmyślał. Miałby przynajmniej na stare lata gdzie głowę skłonić. Miałby swój własny kąt oraz kogoś, kto ułożyłby go w trumnie i świeczkę pottrzymał. Nagle przyszła mu do głowy myśl: pójść do Mołdawii na robotę. Przynosił już nieraz stamtąd ładne grosze, ale przepuszczał je, bo ostatecznie komu miał je dać? Popróbuj jednak jeszcze raz. Może przecież zarobić więcej. A na razie — niech wszystko pozostanie po staremu. Ostatecznie i tak będzie, jak Bóg zechce. Jej nikt nie porwie. Niemłoda już, ale też i niegłupia, nie da się złowić na wędkę byle komu...

I kiedy nastało lato i przyszły pokosy, stary Petro zniknął, nie zdradziwszy ni słowem swych zamiarów. Poszedł z innymi do Mołdawii. Nikt się temu nie dziwił. Nie pierwszy raz szedł.

## VIII

Było to w tym samym roku na jesieni.

Stary Petro przyniósł z Mołdawii pieniądze, pożyczył je pewnemu gospodarzowi i poszedł jeszcze w góry na zarobek, jako tracz. Zamierzał wrócić zimą, w zapusty i realizować swoje zamiary.

Domnika dowiedziała się od żony pisarza gminnego, że przed świętym Andrzejem trzeba pościć przez cały dzień, wieczorem trzeba upiec i zjeść pszenny placek, a wtedy



zjawi się we śnie przeznaczony od Boga mąż i poda wodę do picia. Potem już z całą pewnością można liczyć na to, że wyjdzie się za mąż za tego, który zjawił się we śnie.

I chyba nikt na świecie nie pościł tak ściśle przed świętym Andrzejem jak Domnika. Aż szerniała z głodu. Usiłowała ciągle kręcić się na dworze, by nie przebywać w kuchni razem z czeladzią, zwłaszcza w porze obiadowej, kiedy schodzili się wszyscy parobcy, którzy musieliby zauważyć, że ona nie tknęła nawet żadnej strawy.

Miedzy innymi był tu też durnowaty rudy Ilia, którego nie lubiła za jego lenistwo i głupotę, ale który stale interesował się tym, co ona robi i mówi. On pierwszy rozpowiedziałby zaraz innym chłopcom, że ona pości.

To nie był przecież poniedziałek, a ona mimo to pościła. Bała się kpin. Przez cały dzień była poważna i milcząca, smętnie i ciężko wzdychała.

Wieczorem zrobiła tak, jak ją pouczyła żona pisarza, i poszła spać. Nie zapomniła oczywiście postawić przy sobie garnuszka z wodą; ten właśnie garnuszek miał jej podać we śnie przeznaczony od Boga mąż.

Z samego rana pobiegła zaraz pod jakimś pretekstem do żony pisarza, żeby opowiedzieć jej swój sen.

— No i co? — spytała tamta.

Domnika splunęła. Żona pisarza uniosła wysoko brwi.

— I cóż, Domniko, nic ci się nie śniło?

— Och, dajcie spokój, pani pisarzowo. Bodajbym go była nigdy nie zobaczyła, bodajby mi się nigdy nie przyśnił! Wolałabym zapaść się pod ziemię niż mieć takiego męża.

— No, ale mówże wreszcie! — nalegała pani pisarzowa, która zaczęła się już niepokoić o piękny ręcznik, jaki obiecała jej Domnika, jeśli przyśni się jej prawdziwy gospodarz.

— O czym tu mówić! — odpowiedziała nachmurzona. — Przyśnił mi się głupi Ilia.

— Co takiego?

— Durnowaty Ilia mi się śnił. Znaie go przecież. Taki rudy, co pasie bydlę u pana. No i właśnie on, diabli go nadali, przyśnił mi się.

Pani pisarzowa bardzo się zdziwiła. To musiała być jakaś pomyłka. Ta mądra, pracowita dziewczyna, rzecz można: już gaździna, nie mogła przecież dostać za męża tego prostego, głupkowatego parobka. Chociażby go sam sen wyznaczył i chociaż w sny wierzyła, tym razem jednak nie mogła się z tym pogodzić.

— Możesz ty, Domniko, nie zrozumiała dobrze snu? Może pokazało ci się we śnie więcej chłopców, a tyś nie zapamiętała właśnie tego tobie przeznaczonego?

— Dalibóg, że nie! Wiem dobrze, że to był Ilia — odpowiedziała zmartwiona, wzdychając.

— Ale jak on ci się śnił? — wypytywała zaniepokojona pani pisarzowa. Obiecany ręcznik ulatniał się.

— Byłam jakby gdzieś w ogrodzie — opowiadała Domnika. — Ale nie w pańskim, tylko w jakimś innym, obcym; było tam bardzo ładnie i zielono. Wzdłuż niego wiodła jakby wąska ścieżynka. Robiłam coś w ogrodzie, niiby przesadzałam. I śniło mi się, że jakoś spojrzałam na tę ścieżkę i pomyślałam sobie: „Po tej ścieżce dobrze chodzić boso. Taka czysta i ładna, jakby jedwabną miotłą zamiecioną”. Tak sobie właśnie pomyślałam. I kiedy tak sobie myślę, patrzę naraz, a na ścieżce stoi szklanka z wodą. A potem patrzę: ścieżką idzie gdzieś jakiś pan. Ale on nie tknął szklanki z wodą i poszedł dalej. „Ten nie poda ci szklanki” — pomyślałam sobie, bo ciągle o tym myślałam.

I nagle zobaczyłam przed sobą głupiego Ilię.

— Pij piwo! — mówi do mnie i podaje mi dużą szklankę piwa, taką, jak w mieście, podwójną, jaką zawsze przynosiłam dla swego pana. Odwróciłam się od niego i mówię mu:

— Pij sam to piwo! Ja piwa nie piję!

Na to on mówi do mnie:

— Zdejm pokrywkę ze szklanki i popatrz, co tam jest.

— Jesteś kłamcą, Ilia! — mówię mu. — W szklance od piwa nie ma przecież wody.

— Sprawdź, zanim powiesz, żeś kłamca — mówi on do mnie. — Czy dużo razy cię okłamałem? Czym cię okłamał,

kiedy mówiłem, że mam pod lasem koło Hryhora, ojca Rachiry, kawałek pola?

— A on ma pole, pani pisarzowo — dodała nabożnie Domnika.

— Czym ja kłamca?

Podnoszę ja pokrywkę od szklanki, a w niej woda.

— Możesz wypić tę wodę — mówi on. — Jest świeża i czysta. A potem pójdziemy potańczyć.

Wzięłam szklankę i wypiałam wodę. Wypiałam do ostatniej kropelki. Patrzę na niego, a on, głupi, śmieje się.

— Dobrześ zrobiła — mówi.

Kiedy chciałam go zwymyślać, patrzę, a jego już nie ma. Na tym miejscu, gdzie on stał, stoi tylko duża beczka z deszczówką. I widziałam jeszcze bardzo dużo szklanek, widziałam zieleni w sadzie i inne rzeczy... To już wszystko.

— A nie widziałas już więcej żadnego mężczyzny? — dopypywała się troskliwie pisarzowa. — Przypomnij sobie. We śnie niejedno bardzo często się zapomina.

— Powiedzcie mi, co z tego wszystkiego może być? — odwzajemniła się pytaniem dziewczyna.

— Pytam, czyś nie widziała więcej żadnego mężczyzny? — powtórzyła pisarzowa.

— Nie, nie widziałam więcej nikogo! — odpowiedziała ze smutkiem. Patrzała bezradnie na pisarzową i milczała.

— Ale przecież widziałas, Domniko, jakiegoś pana!

Domnika wzruszyła lekceważąco ramionami.

— No i co z tego? On przecież nie podał mi wody, a zresztą pan nie ożeniłby się ze mną.

Pani pisarzowa ukazała poważne oblicze i rzekła uroczyście:

— Będzie tak, jak Bóg da! Może wydasz się za męża aż na drugi rok. Sen nie ma żadnego znaczenia, choćby ci się nie wiedzieć co śniło...

— A ja jednak chciałabym wiedzieć, co z tego może być — obstawała Domnika przy swoim, patrząc z powagą pytającymi oczyma na żonę pisarza. — Co z tego może być?

— Trzeba pościć jeszcze raz w Zwiastowanie — odpo-

wiedziała pisarzowa. — Wtedy już na pewno dowiesz się, co cię czeka.

Po otrzymaniu tej pocieszającej odpowiedzi Domnika pocałowała pisarzową w rękę i wyszła.

W dwa tygodnie później, wieczorem, z czeladnej dworskiej kuchni dochodził zdławiony płacz, a raczej ryk, raz słabnący, to znów nasilający się. Właśnie w tym momencie weszła do kuchni Maryjka. Szukała Domniki. Miała na sprzedaż dwie ładne kurki i, nie chcąc wozić się z nimi następnego dnia na targ, przyszła spytać, czy przypadkiem pani ich nie kupi.

Usłyszawszy w sieniach przed kuchennymi drzwiami płacz, zatrzymała się. Co się tam mogło stać? Czy kogoś bili? Ktoś tak płakał, jakby mu się serce rozrywało. Zdało się, że była tam tylko jedna osoba. Maryjka nacisnęła klamkę i weszła do środka. Kuchnia była słabo oświetlona. Pod ścianą, na długiej ławie, ciągnącej się od pieca aż do drzwi, leżał jak długi na brzuchu, zasłoniwszy twarz rękami, Ilia i gorzko płakał. Gdy weszła Maryjka, uniósł nieco głowę i spojrzał na nią. A widząc, że to obca, skrył znowu twarz w dłoniach i ciężko westchnąwszy umilkł.

— Dobry wieczór, Ilio! — przemówiła życzliwie, nieśmiałym głosem Maryjka, zatrzymując się na środku kuchni. — Czy nie ma tu Domniki?

— Niech ją czort porwie! — zaklął chłopiec, nie odrywając rąk od twarzy.

— Boże, Ilia, a wam co się stało? — krzyknęła z przestachem zbliżając się Maryjka. — Co wam Domnika zawiniła?

— Co ona mi zawiniła? — powtórzył unosząc głowę. — Wystawiła mnie na pośmiewisko. Oświadczyłem się jej, a ona mnie odrzuciła. Teraz wszyscy się ze mnie śmieją!

Po tych słowach znów zakrył twarz rękami i głośno się rozpłakał.

Maryjka chwilę milczała, przypatrując się z powagą chłopcu, a potem siadła blisko niego na stołku i zamyśliła się. Ta sprawa bardzo ją zainteresowała.

Ilia był sierotą. Nie bardzo był już młody, chociaż młod-

szy od Domniki, i nie bardzo mądry. W wojsku nie służył, bo go nie wzięli. Miał dwa morgi pola. Był ciągle na służbie i złożył trochę grosza, nie był ani pijakiem, ani złodziejem i na dobrą sprawę był właściwie zupełnie porządnym parobkiem. Rozumu nie miał za wiele, ale nie zawsze dobrze żonie z mężem, który ma za dużo rozumu. Taki to sam nie wie, czego od żony wymagać. Lubiła Domnikę i rada by jej nieba przychylić, jak rodzonej siostrze. Wyczuła, że ma tu do odegrania jakąś rolę i że całej tej sprawy nie można było zbagatelizować.

— Kiedy wyście, Ilio, oświadczyli się Domnicy? — spytała poważnie, przysuwając się bliżej do chłopca; zupełnie przy tym zapomniała, po co tu przyszła.

— Dziś rano — odpowiedział Ilija. — Ona roześmiała mi się w twarz i powiedziała, że jeszcze na głowę nie upadła, żeby wyjść za głupiego. Powiedzcie mi, ciotko Maryjko — zapytał szczerze — czy ja rzeczywiście jestem głupi? Jakbym ja był głupi, to nikt nie trzymałby mnie na służbie. Tu służę już przeszło rok i nie tylko tutaj, służyłem i gdzie indziej. U dobrodzieja służyłem. Miałem tam całe bydło na swojej głowie. Odłożyłem sobie pieniądze, mam ładne rzeczy, dwa kozuchy, dwa serdaki, chcę postawić sobie chałupę, a ona mi mówi: „Idź, ty głupi! Jeszczem na głowę nie upadła, żeby wyjść za głupiego. Staraj się o Hryhorową Rachirę, ich ogród o miedzę z twoim polem”. Tak mi właśnie powiedziała.

Poderwał się i usiadł na ławie. Klepnął z całej siły po udach i głęboko westchnął.

— Taki wstyd!

Poczochnął się po rudej głowie. Był cały roztrzęsiony, niemal zdruzgotany.

— A tobyście się w gniazdo zmij wpakowali! — zawołała nienawistnie Maryjka, która już wtedy w nie najlepszej zgodzie żyła z Hryhorym i siostrą. — Hryhory przepiłby wasze pole, jeszcze zanimbyście się ożenili. Każde z nich włóczy się po ludziach, jak zła godzina, i tylko nie-szczęście przynosi. Rachira kradnie tak jak jej tato. Wam taka niepotrzebna.

— Ale Domnika nielepszą od nich. Nosiłem ją w sercu dzień i noc, kochałem ją tak, że tylko jeden Bóg wie, a ona mnie nie chce. Czy ja jej coś złego zrobiłem? Niech mi ktoś powie, że zrobiłem jej coś złego!

— Gdzie ona jest? Pomówiłabym z nią — powiedziała porywczo Maryjka.

— Gdzieś się tam kręci po domu.

— Pomówię z nią — pocieszała go Maryjka. — Nie martwcie się. Dziewczyna jak wosk mięknie, kiedy chłopiec się o nią stara. Ona też nie z wielkiego rodu, no i już w latach. Dziś was odrzuciła, dziś nie upadła na głowę, ale za tydzień wszystko przemyśli i pójdziecie do dobrodzieja dać na zapowiedzi. Nie martwcie się, synku, nie martwcie. Ja dobrze żyję z Domniką, a z was dobry chłopiec, więc postaram się wam pomóc.

— Och, ciotuniu najlepsza, nic nie zrobicie! — zaczął na nowo biadolić. — Ona mnie nie chce! „Idź, ty głupi!”, powiedziała mi i wyśmiała mnie. I teraz pewnie już cała wieś o tym wie i śmieją się ze mnie. Och, żebyście mi pomogli, żebyście przemówili jej do rozumu!

Z głosu jego biła rozpacz. I jakby nie było w kuchni nikogo, z powrotem rzucił się na ławę, wcisnął twarz w leżący na niej kożuszek i zaczął ciężko stękać.

Maryjka pocieszała go, jak mogła. Stała koło zapłakanego chłopca i przekonywała, obiecywała, aż ustały żale i wzdychania, potem wyszła z kuchni, aby — jak powiedziała — „nauczyć dziewczynę rozumu”.

W dwa tygodnie później Domnika zmieniła swój stosunek do oświadczeń Ilii. Czy spowodowały to rozsądne perswazyje Maryjki, która szczerze przecież lubiła czarną dziewczynę i podziwiała ją, czy może prośby i namowy Maryjki wzruszyły jej serce? Nikt tego nie wiedział.

Chodziła przez cały tydzień chmurna, besztła Ilię codziennie za byle głupstwo, aż w końcu stanęła przed panią i wymówiła służbę.

— Wychodzę za mąż! — powiedziała z zatroskaną twarzą i spuszczonej oczyma.

Pani zdziwiła się.

— Ty, Domniko? Za kogo?

— Za Ilię! — odpowiedziała stanowczo, nie podnosząc głosu.

— Za Ilię? — krzyknęła pani zdumiona. — A czy to dobrze? — dodała z życzliwą troską.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Ale jakoś wychodzi na to, że on ma być moim mężem. Nie daje mi spokoju. Dzień i noc mnie męczy. On jest mi jednak przeznaczony.

Pani tłumaczyła, że to nie para dla niej, że jest od niej młodszy, wspomniała o jego głupocie i lenistwie, które niekiedy przekracza wszelką miarę, dziewczyna jednak upierała się przy swoim.

— Dla mnie to niestraszne — odpowiadała na wszelkie zarzuty.

Ilia był najszcześliwszym człowiekiem na świecie, podczas gdy Domnika znajdowała się w dziwnym nastroju. To wymyślała brutalnie narzeczonemu, to płakała po kątach, to znów była rozmowna, wesoła i szyła ślubną koszulę.

Tymczasem dobrodziej ogłosił w cerkwi drugą zapowiedź.

Pewnego dnia poszli oboje z kilkoma innymi gaździnami do miasta, by dokonać zakupów na wesele.

Domnika spotkała tam swego dawnego narzeczonego, który służył w wojsku. Kiedy dowiedział się, że ona jest już po słowie z innym i że niebawem miało się odbyć wesele, napadł na nią z groźbami i prośbami, aby cofnęła dane słowo, bo inaczej „albo jeden, albo drugi pójdzie ziemię gryźć”.

Domnika zbladła jak ściana. Na wszystkie jego zarzuty znajdowała tylko jedno wytłumaczenie:

— Bóg tak już dał, bo mi go podsunął.

A Ilia biadolił i lamentował:

— Już trzydzieści reńskich wydałem na wesele! No i co we wsi powiedzą?

Trzymał się przy tym kurczowo Domniki i jak dziecko zaglądał jej bezradnie w twarz. Od chwili kiedy przyrzekła, że wyjdzie za niego, poddał się całkowicie jej woli, tak iż zdawało się, że jego własna jest mu niepotrzebna.

— Oddam wam wasze trzydzieści reńskich — zapewniał bohatersko wojak — tylko nie męczcie mnie, dobry człowieku! Moje nieszczęście spadnie na waszą głowę. Mam służyć w wojsku jeszcze tylko przez pół roku, a pamiętajcie, że ona najpierw dała słowo mnie! Jeśli ja czekałem tyle, to i ona może poczekać.

Te ostatnie słowa powtarzał raz po raz, obcierając ciągle małą chusteczką spotniałe czoło i wychylając jedną czarę wódki po drugiej. Fundował hojnie narzeczonym i pilnował, by pili.

Ilia pił istotnie, Domnika jednak wymawiała się. Mówiła mało i widać było, że staczała z sobą walkę.

Tak, jej pierwszy narzeczony, to nie był jakiś tam Ilia... Kiedy zmiarkowała, że pod wpływem wódki Ilia zmienił się, pociągnęła go za rękaw i ostro zapytała:

— Bierzesz trzydzieści reńskich? Dmytro ci je zwróci.

Ilia wybałuszył na nią swe okrągłe oczy i otworzył usta, jakby dla lepszego zrozumienia jej słów.

— Drugi nie wypłaci ci ich tak szybko gotówką na rękę — powiedziała. — Kupisz sobie zaraz kilka prętów pola albo ciele... Najlepiej kup ziemię, to dziewczynę znajdziesz choćby i zaraz. Dobrze ci radzę, nieźle ci się trafia!

Wpiła w niego swoje czarne, chłodne oczy — i stał się cud. Czy pod wpływem jej magicznej siły, czy przez fantazję, co być może zrodziła się w jego ubogiej wyobraźni, nęcąc go jakąś nową perspektywą przyszłości — spojrzał na nią ponownie, bez wyrazu, bezmyślnie niemal, chwilę milczał i wreszcie przebił mocno nastawioną rękę żołnierza. Spełnił jej wolę. Pod wpływem chwili zapomniał o sobie. Wojak obiecał mu zwrócić wszelkie wydatki na wesele po upływie uzgodnionego wspólnie okresu.

Tymczasem kiedy oni obaj siedzieli w karczmie w największej już komitywie i objawszy się za szyję wykrzykiwali jakąś smętną piosenkę, Domnika wymknęła się



z ich towarzystwa i pobiegła do pewnej głośnej wróżki, mieszkającej w tym mieście, którą знаła jeszcze z poprzednich lat.

Wróżka ta mieszkała na ubogim przedmieściu. Była daleko i szeroko znana, zwłaszcza po wsiach cieszyła się niezwykłą sławą. Była to wychrzczone Żydówka, bezdzietna i ślepa na jedno oko, dlatego też i w mieście, i na wsi nazywano ją „ślepą wróżką”.

Jeszcze jako młoda dziewczyna nauczyła się od wędrujących Cyganów wróżenia z kart i tajemnic zielarskich i rozpoczęła prowadzić interes. Powiodło jej się tak dobrze, że po jakimś czasie przeniosła się do miasta. Tu oświadczył się jej pewien biedny, starszy już mieszczanin, za którego wyszła za mąż.

Zmieniwszy wiarę, stała się pobożną chrześcijanką; chodziła w każdą niedzielę do cerkwi, a w jej sypialni przed obrazem Bogarodzicy paliła się bez przerwy lampka.

Trudno było ustalić, czy swój rozgłos zdobyła przez spryt, czy też zawdzięczała go umiejętności przepowiadania z kart. Było jednak faktem, że cisnęli się do niej ludzie zarówno spośród inteligencji, jak i innych klas. Tłoczyli się w jej pokojach od świtu do nocy, a ona wróżyła niezmordowanie, jednych wpuszczając, drugich wypuszczając.

Między dwoma szczelnie zasłoniętymi pokojami znajdowała się kuchenka i obecni w pokoju z prawej strony nigdy nie wiedzieli, kto był przyjmowany w pokoju z lewej. W kuchni siedzieli chłopci, poruszeni samym niecodziennym oczekiwaniem. Aż pot ich oblewał z niecierpliwości. Czas skracali sobie opowiadaniem o własnych kłopotach, które sprowadziły ich do sławnej wróżki.

Zjawiali się tu też ludzie z dalekich okolic, czekając nie raz i pół dnia, zanim wpuszczono ich do wnętrza.

Wróżka udzielała porad w chorobach, najbardziej przykrych procesach, była wtajemniczana w najgłębsze sekrety rodzinne, wyspecjalizowała się jednak szczególnie w poradach dotyczących spraw miłosnych.

Niepokażny z zewnątrz, odrapany dom w żydowskiej dzielnicy prezentował się wewnątrz bardzo przyjemnie.

Tonące przeważnie w półmroku pokoje, dobrze w zimie ogrzane, podłogi zaścielone grubymi kilimami, pod ścianami wygodne sofy. Pośrodku każdego pokoju stał stół, wokół niego krzesła, a na stole — karty.

Biedna kiedyś żydowska sierota chodziła teraz w niedzielę i święta w szeleszczących, sztywnych jedwabiach, a w jej tak zwanym salonie królował drogi fortepian.

Nic w tym dziwnego.

Na podwórzu, zwłaszcza w lecie i podczas dni targowych tłoczyły się wóz koło wozu; siedzieli na nich zafrasowani ludzie, czekając z niecierpliwością wezwania do sławnej ślepej wróżki.

Panujący stale w pokoju półmrok, lampka paląca się przed obrazem Najświętszej Bogarodzicy, tajemnicza cisza — wywierały niemal magiczny wpływ na przybyłych tu stroskanych ludzi. Strapione gaździny-matki, poważni gospodarze nisko się przed nią kłaniali, z czcią całując jej rękę, i opowiadali obszernie i dokładnie o swoich kłopotach. A ona pocieszała ich życzliwymi i budzącymi nadzieję słowami, prosiła siadać za stołem i rozkładała karty... Miała w rozkładaniu kart niezwykłą wprawę. Same wylatywały jej z białych, pulchnych rąk i układały się na stole w kształt tarczy. Wtedy zaczynała mówić przez nos, przymrużwszy oko.

Mówiła szybko i kazała ludziom uważać na swe słowa, bo jej czas był drogi. Od czasu do czasu zwracała swoje oko — drugie było na pół przymrużone, nic na nie nie widziała — bystre, szare oko na słuchacza, odsłaniając przed nim jego przyszłość i udzielając rad. Opuszczali ten pokój niemal ogłuszeni.

Kiedy było więcej ludzi, rozdzielala ich na dwa pokoje i chodziła na zmianę od jednych do drugich. Spotykało się tu gęsto zawoalowane damy, nieśmiałe, elegancko ubrane panienki i młodych ludzi z drwiącym uśmiechem na ustach i pełną napięcia twarzą.

— Po co pan do mnie przyszedł, skoro nie wierzy pan moim słowom? — spytała pewnego młodego człowieka, dotknięta jego ironicznym uśmiechem. — Sam Bóg dał mi

ten chleb w ręce i to nie moja wina, że wróżę. Nie przywołuję i nie ściągam na siłę nikogo. Wszyscy przychodzą z własnej woli. Pan też przyszedł z własnej woli! I może pan sobie zaraz pójść, mnie obojętne, czy będę panu wróżyć, czy nie. Zresztą — dodała, wpatrując się przenikliwie w jego twarz — jest pan bardzo zmartwiony i niespokojny.

Istotnie, był i bardzo zmartwiony, i niespokojny.

Co roku dawała na cerkiew szczodre ofiary i cieszyła się wielkim poważaniem i opieką duchowieństwa.

I teraz stanęła przed nią Domnika. Wysupłała swoje ostatnie grosze, jakie pozostały jej z zakupów, i przybiegła tu, jak robiła to nieraz już dawniej, kiedy nie mogła sobie z czymś poradzić.

Zmierzchało i u wróżki paliło się już światło. Musiała czekać, aż wróżka upora się z dwiema pannami, które zastała u niej. Kiedy wreszcie opuściły dom, weszła do niej. Wróżka zmierzyła ją od stóp do głowy przenikliwym spojrzeniem.

— Czego sobie życzysz? — spytała. — Zdaje mi się, żeś tu już u mnie była?

— Tak, już kilka razy — odpowiedziała dziewczyna cicho, onieśmielona spojrzeniem wróżki. — Dziś znowu przychodzę.

— Z czym innym?

— Tak.

— Masz już wszystko za sobą?

— Tak — odpowiedziała.

W oczach jej zamigotało coś wrogiego. Wróżka dotknęła sprawy, o której dziewczyna nigdy nie chciała wspominać, próbując ją wymazać modlitwą, postami i szczerą skruchą przed Bogiem, i która nie powinna była obchodzić innych.

— Czego chcesz się dziś dowiedzieć? — spytała ostro wróżka, zwracając do niej swój iście napoleoński profil.

Dziewczyna opowiedziała o swej przygodzie z dawnym narzeczonym i o tym, jak nalegał, by rozeszła się z Ilią.

Nietrudno to zrobić, ale czy ona dobrze na tym wyjdzie? Niech karty poradzą jej, co ma robić, bo jest jak w rozdarcu.

— A kochasz dawnego narzeczonego? — spytała błyskawicznie wróżka, tasując karty.

— Niby kocham. Ale czy to będzie dobrze, żebym ja jeszcze rok czekała na niego? We wsi nazywają mnie starą panną i żaden z młodych chłopców mnie nie „tyka”. Jestem już dla nich za stara i wstyd mi.

— Zobaczmy, co powiedzą karty — odpowiedziała wróżka, jakby nic nie wiedziała o przeszłości dziewczyny ani o nowej sprawie z narzeczonym.

Kiedy rozłożyła w krąg karty, przymrużyła z przyzwyczajenia oczy i przemówiła:

— Idź do domu i niczym się nie martw. Jedna kobieta jest ci bardzo życzliwa i jeden starszy mężczyzna, ale on teraz daleko stąd. To kawaler i chce ci się oświadczyć. Ale on ciebie nie weźmie. Tobie przypadnie inny, z którym jesteś związana. Przed tobą własna chałupa i dużo ciężkiej pracy. Dzieci nie będziesz miała nigdy. Będzie ci się wiodło z drobiem i w innych rzeczach. Będiesz handlowała jak mężczyzna, ale z bydłem nigdy ci się nie będzie szczęściło. Pewien brunet bardzo przez ciebie zmarł, ale jemu przeznaczona blondynka i daleko stąd. Przed tobą droga. Będiesz mieć małą szkodę. Jesteś w rozmowie ostrożna i przytomna, to dar Boży i on pomoże ci się wzbogacić. To jest twoje szczęście. Idź!

Domnika spoglądała przez chwilę w milczeniu na wróżkę oczami o ponurym błysku, potem rozwiązała węzeł w chustce, wyjęła drobne pieniądze, położyła je na łóżku, z szacunkiem pocałowała wróżkę w rękę i wyszła, spiesząc z powrotem do pozostawionych w karczmie chłopców.

Czuła, że spadł jej ciężar z piersi.

Teraz właściwie za nic nie brała odpowiedzialności. Będzie tak, jak ma być. Nie chciała niczym się martwić; chciała tylko dostać męża. Miała już trzydzieści lat. Nagle stało się jej zupełnie obojętne, czy mąż ten będzie się na-

zywał Ilia, czy Dmytro. Dmytro wiedział o jej dawnym nieszczęsnym grzechu, a Ilia znowu był głupkowaty.

I z jednym, i z drugim niesłodko jej będzie. „Niech będzie, jak Bóg chce” — tak powiedziały karty. „Nie martw się niczym.”

Wróżka odgadła wszystko, wszyścusięńko; ona i wtedy odgadła i, jak przystało uczciwej i pobożnej kobiecie, uczyła rozumu i ganiła...

Kobietą życzliwą jej, o jakiej mówiły karty, była chyba żona pisarza, obojętne jej było natomiast, kim był mężczyzna, co miał zamiar jej się oświadczyć, bo i tak nie miał się z nią ożenić.

Po dwu dniach Ilia chodził do dobrodzieja, by nie ogłaszał trzeciej zapowiedzi, ale już następnego dnia poszedł prosić, by jednak ogłosił. W osiem dni potem odbył się ich ślub.

Ludzie we wsi naśmiewali się z Ilii, że odstąpił dziewczynę innemu jak chudobę, Maryjka zaś radziła Domnice, by nie wypuszczała z rąk „durnia z polem”, bo nie mogła mieć żadnej pewności, że Dmytro się z nią ożeni. No bo — przekonywała ją — Dmytro jest teraz żołnierzem, a żołnierz może wszystko dziewczynie obiecywać, ale kiedy wróci do cywila i odrosną mu włosy, wtedy to już inny człowiek i zawsze może powiedzieć: „Byłem wówczas żołnierzem, po coś mi wierzyła?”.

Domnika przyznała jej rację i znowu zwróciła się do Ilii, który rwał sobie włosy, że wypuścił z rąk „taką robotnicę”. I w ten sposób doszło do zgodnego i szczęśliwego końca.

Niedługo po ich weselu wrócił stary Petro; z pieniędzmi i w przyzwoitej odzieży, do której zawsze zresztą przywiązywał dużą wagę. Kiedy usłyszał, że Domnika wydała się za Ilię, splunął i zawołał:

— Za durnego Ilię?

— Za durnego Ilię! — otrzymał poważną odpowiedź.

— No i masz! — krzyknął i pokiwał głową, a po chwili mruknął, że „głupiemu szczęście samo lezie w łapy”,

chwycił swą wysoką, kudłatą czapę i ruszył prosto do karczmy. Przesiedział tam cztery doby. Pił, dopóki nie przepił ostatniego grosza, a kiedy aż zapuchł z tego picia, wrócił do swej siostry, Dokii, i zabrał się znów do roboty. Ale zawsze, kiedy sobie podpił, biadał:

— Z nią — mówił żałośnie — byłbym się stał innym człowiekiem, z nią można się było zabrać do czegoś. A tak? Et! — i machał z rezygnacją ręką.

— Nie ma czego żałować — pocieszała oschle Dokia, która nie bardzo lubiła dziewczynę. — Miała zawsze nie-dobre oczy, a rozum u niej jak u starej Żydówki.

— Ale za to nie będzie w jej chacie pusto! — odgryzał się Petro, który czuł się dotknięty w swej ambicji.

— Być może. Ale jej we wsi nikt nie lubi! Ona nawet na tyle co brudu za paznokciem darmo nic dobrego dla nikogo nie robi, zawsze coś od ciebie wycygani! Tylko Maryjka żyje z nią w wielkiej przyjaźni, ale tamta mądrzejsza od Maryjki. Dobrze ją skubie.

Minęły dwa lata od czasu, jak Ilia i Domnika się po-brali. Postawili niedaleko Hryhorego małą chatynę i spokojnie sobie żyli. Ale większość pracy spadała na barki Domniki. Ilia piękniejszy okres swego życia przesypiał, pracowała więc za dwoje. Radziła sobie, jak potrafiła, byleby dopiąć swego i tak czy siak wzbogacić swe gospodarstwo.

Niezmordowanie harowała, a jeśli nadarzyła się okazja, wyciągała rękę i po cudze dobro. Chwytała wszystko, co wpadło jej pod rękę — zboże, nasiona, gospodarskie narzędzia i naczynia, a zwłaszcza delikatniejsze rzeczy. Jak pszczoła znosiła to do swej chaty i w tajemnicy przed wszystkimi radowała się tym. Co prawda, w jej mieszkaniu było jak w lustrze, czysto i ładnie. Nigdy nie można jej było przyłapać na gorącym uczynku. Występowała przed wszystkimi tak poważnie i była dla wszystkich tak uprzejma, mówiła tak rozumnie i zacie, że nikt nie odważył się jej bezpośrednio zaczepić i znowu powracało do niej zaufanie.

W jednej sprawie była dla wiejskich gospodyń nieoceniona. Znała się doskonale na gotowaniu i pieczeniu i wiedziała, jak wypiekać różne białe i czarne chleby. Za każdym razem, kiedy wybierała się do miasta, uprzedzała znajome gaździny, które miały dla niej zawsze jakieś zlecenia na sprawunki. Jednej miała kupić farbkę, drugiej włóczkę, tej dziewczynie paciorki na korale, a tamtej młodej gospodyni święty obraz i coś tam z naczyń. I wszyscy byli zawsze zadowoleni z jej zakupów.

Czasami, kiedy nie miała w domu ni grajcara, napomykała niby mimochodem, że wybiera się do miasta. I natychmiast zjawiały się zamówienia. A że powtarzało się to często, nic więc dziwnego, że większość rzeczy, jakie przynosiła z miasta, należała do niej.

Była niezastąpiona jeszcze i z innego względu. Otóż nikt nie potrafił tak skutecznie jak ona „zamawiać” chorób i „uroków”. Była przy tym żwawa i obowiązkowa i można było zdać się zupełnie na nią, jeśli chodziło o przygotowanie weselnego obiadu czy stypy na największą nawet liczbę osób; doprowadzała wszystko zawsze do samego końca w najlepszym porządku.

Była rzeczywiście najlepszą towarzyszką Maryjki, jedyną (nie licząc dwóch czy trzech starych sąsiadek), której Maryjka ufała i przed którą nie miała żadnych tajemnic, chociaż Iwonika od czasu do czasu ostrzegał ją przed tą otwartością, bo — jak komu już raz dano babski język, to nie może milczeć.

Jednak jak dotąd Domnika w niczym się jej nie sprzeniewierzyła. Kiedy tylko było trzeba, pomagała jej chętnie w każdej robocie, a jeśli nie mogła rękami, to chociaż radą i dobrym słowem poratowała, a Maryjka umiała to ocenić... Obdarowywała ją hojnie mlekiem i chlebem, a na uroczystość cerkiewnego patrona dawała jej w tajemnicy przed Iwoniką miskę miodu. Domnika cieszyła się jej względami również i dlatego, że donosiła jej z najdrobniejszych szczegółami o wszystkim, co wiedziała o Sawie i Rachirze. A to było dla niej ważniejsze niż wszelkie

inne sprawy. Nie można było poddawać w wątpliwość tego, co Domnika widziała na własne oczy. Hryhory był jej najbliższym sąsiadem i kiedy Sawa zachodził do niego, musiał przechodzić koło jej chaty.

Z nią jedną tylko mogła rozmawiać otwarcie o swym nieszczęściu. Domnika była mądra i przebiegła, potrafiła nie tylko mówić, jak trzeba, ale także milczeć, kiedy trzeba. Jak jastrząb, który z dużej wysokości dostrzega schowany w trawie drób, tak Domnika śledziła za nimi i znosiła skwapliwie jak pszczoła lub wierny pies wszystkie nowiny, dotyczące chłopca i dziewczyny, do matki, zawiadamiając ją o każdym pojawieniu się Sawy u Rachiry i o jej różnych postępках. Niekiedy zgryzota Maryjki radowała ją. Gdy lenistwo i zobojętnienie Ilii doprowadzało ją do rozpacz, wpadała do Marii z byle jaką wiadomością o Sawie lub jego dziewczynie, aby — doprowadzając matkę do wściekłości — sycić się jej zgryzotą i rozdrażnieniem. Potem opowiadała jej o swoich kłopotach, odzyskując w ten sposób równowagę. Wyżaliwszy się do syta, pocieszały się wzajemnie i ostrzegały przed wrogami. Jak więc się rzekło, Domnika była najbliższą przyjaciółką Maryjki, niezastąpioną zarówno w chwilach radości, jak i smutku.

Kiedy Iwonika powrócił ze smutnymi wiadomościami o Mychajle i z kosmykiem jego włosów do „zamówienia”, Maryjka pobiegła jeszcze tego samego dnia do swej przyjaciółki z prośbą, by przyszła „zamówić” chorobę syna.

— Pomóżcie, Domniko, pomóżcie, serdeńko — prosiła. — Pięknie wam dziękuję, nie skrzywdzę was.

Domnika zaparła chatę, policzyła kury (z obawy przed dobrymi sąsiadami), wyciągnęła spod strzechy schowany tam nożyk i obie kobiety ruszyły żwawo do Maryjki.

Gdy przyszły, Domnika odsapnęła trochę, weszła do sieni i zbliżyła się do komina. Położyła w samym środku włosy chłopca (wyobrażały one twarz chorego) i wykonując przed nimi rękami różne gesty mówiła bez przerwy jednostajnym głosem:



Choroba z róży,<sup>1</sup>  
Choroba z podróży,  
Choroba w kościach,  
Choroba w złościach,  
Choroba z roboty,  
Choroba z ochoty,  
Choroba z uroków,  
Choroba w kroku,  
Choroba zadana,  
Choroba nasłana,  
Choroba wietrzna,  
Choroba niebezpieczna —

Niech wyjdzie z głowy,  
Niech wyjdzie z ucha,  
Niech wyjdzie z nogi,  
Niech wyjdzie z brzucha,

Niech z niego wyjdzie,

Niechaj precz idzie,

Na szerokie brody,

Na głębokie wody,

Piasek przesypywać,

Wodę wyczerpywać,

Tam gdzie za szeroko,

Tam gdzie za głęboko.

A chłopca miłego,

Chłopca porządnego,

Chłopca pobożnego,

Mychajła naszego

Niech więcej nie dławii,

W pokoju zostawi.

Wyganiem cię modlitwami,

Wyganiem cię zaklęciami!

Powtarzała to dziewięć razy, wykonując za każdym razem nowe ruchy, jakby kreśliła w powietrzu jakieś figury wokół „głowy” chorego, oraz spluwając i niby coś

---

<sup>1</sup> Wolny przekład, zbliżony do zaklęć używanych u nas na wsi.

zdmuchując. Wreszcie wycięła w ziemi krzyż przyniesionym nożykiem, który następnie odrzuciła daleko od siebie.

Maryjka nie była obecna przy „zamawianiu”, bo nie było to wskazane. W obecności drugiej osoby „zamawianie” traciło na sile, jego skutki opóźniały się...

Domnika opuściła miejsce zaklęć i weszła do mieszkania.

— Już! — powiedziała poważnie, nieco zmęczona, i odetchnąwszy głęboko usiadła na ławie przy piecu. — Jak Bóg da, to zaraz powinno mu się polepszyć.

— Dałby to Bóg! — odpowiedziała nabożnie Maryjka. — Do wszystkich innych zgryzot doszło jeszcze zmartwienie o jego zdrowie. Iwonika mówi, że on bardzo zmarniał.

— Zmarniał! — powtórzyła Domnika zjadliwie. — No cóż, no cóż, zmarniał! Trzymają ich tam przecież jak psy. Ja wiem. Spytajcie go, czy był kiedy najedzony, od kiedy poszedł od was? Już ja wiem dobrze. Byłam więcej niż dziesięć lat w mieście. Nie byłam ślepa! Dużo widziałam i słyszałam!

Po chwili namysłu, w czasie której jej czarne oczy zlustrowały błyskawicznie izbę, dodała:

— Wkrótce będę u niego i mogę mu tam coś od was zanieść. Po niedzieli, jak Pan Bóg da doczekać i jak nie mi się po drodze nie stanie i nie zachoruję — bom słaba, i Bóg jeden tylko wie, jak muszę harować przy tym bałwanie, i jakam słaba — to pójdziemy z Ilią do miasta. Przygotujcie tam coś dla niego. Upieczcie kilka chlebów albo małajów<sup>1</sup>, dołóżcie kawałek sera i masła, a jak macie słoninę, to dajcie i słoninę; przynieście to do mnie, a ja albo Ilia zaniesiemy mu to. Ilia wywoła go z koszar, a ja już sama mu to podam i przekażę, co trzeba. Po chorobie będzie spragniony maminego chlebusia; a tam dostaje jeść trzy razy dziennie albo może tylko rano i wieczorem. Tak, tak, matusiu! — ciągnęła z wielką życzliwo-

---

<sup>1</sup> Małaj — rodzaj chleba z prosa, grochu lub kukurydzy. Także placek kartoflany.

ścią. — Zróbcie tak, jak mówię. Przygotujcie wszystko, a ja już wezmę to z sobą i zrobię tak, żeby było dobrze. Będzie się, biedak, cieszył. Jakbyście nie mieli czasu — dodała skwapliwie — to przyszykujcie tylko, a ja przybiegnę tu i pomogę wam upiec. A jak nie, to dajcie mi mąkę do domu. Zrobię wszystko u siebie i przyniosę wam już gotowe. Mąkę mogłabym już teraz zabrać — dodała z pozorną obojętnością — nie trzeba byłoby dwa razy chodzić. Może nie będziecie mieli czasu, a że tu już jestem, to zrobię to dla was ze szczerego serca. I jeszcze jak zrobię! — zawołała śpiewnie. — Sama wprowadzie nie mam dzieci, ale wiem, co czuje matka, kiedy widzi, że jej dziecko przymiera głodem i że znęcają się nad nim. O, ja to dobrze rozumiem, więc dlaczego nie pomóc, kiedy mogę?

Maryjka, wzruszona do głębi tymi słowami, otarła dłonią cisnące się do oczu łzy.

— Bóg wam zapłacić, Domniko. A ja wam jeszcze osobno pięknie podziękuję — odpowiedziała serdecznie. — I to, co mówicie, dobrze mówicie. Jakbyście byli tak dobrzy i upiekli ze dwa bochenki chleba i ze dwa małaje, tobym wam nie zapomniała tego, żeście wyręczyli mnie, słabą i niezdrową. Mąkę może wam Sawa odnieść. I tak ma iść do Mendla po świece.

Domnika zlekła się.

— Sawa? — krzyknęła. — Ach, Boże! Przecież Sawa nie doniesie do mnie wszystkiej mąki. Pójdzie z tą mąką prosto do Rachiry i tam dopiero zrobią sobie praznik<sup>1</sup>! A nawet jak przyniesie, to na pewno tylko połowę tego, co wy dacie. I choćby on sam nawet jej nie dał, to ona wydrze od niego. Nie wytrzyma przecież, żeby nie wstąpić najpierw do niej. Ode mnie do niej niedaleko. Dajcie już lepiej mnie wszystko od razu; sama zaniosę, pięknie

---

<sup>1</sup> Praznik — święto patrona miejscowej cerkwi, także przyjęcie urządzone z tej okazji; a często — potocznie i w tym przypadku — wystawniejsza i obfitsza niż zwykle wieczerza.

wszystko napiekę i przyniosę wam gotowe. A jak chcecie, to zaniosę już prosto chłopcu, żeby nie tracić czasu. Dla niego tam każdy dzień czarny jak noc. Zrobię dla niego, co tylko będę mogła najlepszego. Lubię go, bo to dobry chłopiec — dodała serdecznie jak przedtem. — Możecie na mnie polegać!

Spojrzała przenikliwie na zasmuconą matkę.

— Wieś została osierocona, od kiedy on poszedł.

Maryjka kiwała milcząco głową.

— Czy tylko wieś? — zapytała z goryczą. — Czy tylko ona została osierocona? No, ale dobrzeście poradzili — dodała, wstając z ławy. — Zrobię tak, jak mówicie. Dam wam zaraz mąkę, weźcie ją z sobą, a resztę, to, co przygotowuję, przyniosę wam jutro sama! Chwała Bogu, że idziecie do miasta! — zawołała, uszczęśliwiona myślą, że przynajmniej ktoś jej bliski zobaczy ulubieńca i doręczy mu jej przesyłkę. Iwonika będzie u niego dopiero za tydzień, więc na pewno ucieszy się, kiedy zobaczy znajomych ze wsi, a jeszcze do tego Domnikę i z tłumoczką od mamy.

Otarła łzy, które pchały się do oczu jak muchy, i zaczęła krzętać się po mieszkaniu.

— Od kiedym się dowiedziała, że Mychajło chory, nie mam spokoju ani w dzień, ani w nocy — mówiła, odwrócona plecami do Domniki, która siedziała na ławie, śledząc każdy jej ruch. — Zdaje mi się, że jednak poleciałabym do niego. Ale jak mi iść? Wystarczy, że Iwonika chodzi. Powiedział, że będzie chodził do niego co niedzieli. Co niedzieli! No to niech tam już chodzi! Jestem rada, że będzie chodzić. Zawsze będzie mu lżej, jak ojca zobaczy. Iwonika mówi, że on smutny... Mnie na te słowa jakby ktoś zimny nóż wpakował w serce. A wy, jak myślicie, Domniko, jak wy myślicie?

Domnika pocieszała rozumnie słowami, które przemawiały do serca, a przede wszystkim tym, że „wszystko mija”. Wszystko ma swój czas i wszystko mija. Nie takie były sprawy i też minęły. Jakie ona sama miała już w życiu zmartwienia, tak iż myślała, że ze zgryzoty pój-

dzie do ziemi. Ale Bóg dał — wszystko minęło i ona do dziś żyje. Żeby tylko zdrowie było...

W pół godziny później wracała tą samą drogą. Szła wolno, niosąc na plecach mąkę na kołaczce i chleb dla rekruta oraz inne rzeczy, które jeszcze w ostatniej chwili stroskana matka dała za jej namową.

Czarne oczy w szerniałej, mizernej twarzy błyszczały zadowoleniem. Cieszyła się zdobyczą, myśląc: „Podzielę się z nim; upiekę mu dwa małe kołaczce i ze dwa bocheneczki chleba, a resztą się podzielę. Co to chłopcu szkodzi, jeśli wezmę dla siebie wszystkiego po trochu? Żeby wszyscy mieli taką biedę jak on! Ho, ho! Ojciec biega co tygodnia, a mama myśli o nim dzień i noc. A o mnie kto dba? Ten tuman?” Usta jej wykrzywił lekceważący grymas pogardy. „Jakbym ja sama nie zarobiła i nie zadbała, to przyszłoby zginąć z głodu! A tu jest skąd brać. Oni mają więcej ode mnie. Żeby wszyscy krzywdzili ich tylko tak jak ja. Kto im tak zawsze wygodzi? A mój trud nic niewart? A to, że tam idę? Ej, Boże, Boże!” — westchnęła głęboko i, poprawiwszy worek na plecach, powlokła się do swej chaty, która stała pod dużym, martwym teraz lasem, stanowiąc jedyny ośrodek jej zainteresowań życiowych.

Jedynym jej celem stało się zapełnić tę chatę, co spozierała teraz na nią jak przykute do miejsca dziecko, wszelkim dobrem, i pięknie ją przystroić zarówno z zewnątrz, jak i w środku. I to się jej udało. Wrodzona inteligencja i rozum wzmaczały stale jej aktywność i pracowitość, a od kiedy Mychajło Fedorczyk poszedł w rekruty, opuszczając dom swych rodziców, i odkąd Sawa związał się z Rachirą, chata Maryjki stała się dla niej niewyczerpanym źródłem, z którego pochodziły jej dochody, oraz punktem, wokół którego krystalizowały się wszystkie myśli tej sprytnej, chytrej głowy i o który zaczęły się jej pożądlive ręce, ręce, co nie znały nigdy spoczynku...

Głęboka zima. Na szerokim placu za miastem, gdzie odbywały się zwykle wojskowe ćwiczenia, ustawiono z rozkazu generała kilka namiotów. Na noc wysłano tu kilkunastu rekrutów, żeby się przekonać, czy namioty te okazać się dostateczną ochroną przed mrozami i zamieciami.

Wśród wysłanych rekrutów był też Mychajło Fedorczyk. Wraz ze swym kamratem miał nocować w jednym z namiotów. Nie wolno im było spać. Żaden z nich nie mógł zasnąć, chyba że na krótką chwilę, i to na zmianę. „Żeby mi tu który tuman nie zamarzał” — krzyczał za nimi ostrzegawczo jeden z poruczników.

Nastała jasna, cicha noc, a z nią mróz i zimno. Rzęzące płuca wciągały w siebie mroźne powietrze, a na brwiach osiadały srebrne skierki palącego mrozu. Gwiazdy drżały i migotały jakimś przeczystym i ożywionym światłem w tej niewiarygodnie jasnej i jak kat bezlitosnej nocy.

Obaj rekruci ubrani byli przepisowo, kiedy jednak zbliżyła się północ, ziąb sparaliżował ich stawy, uszy im popuchły, a obolałe policzki piekły jak spryskane ogniem. Namioty okazały się bardzo marną ochroną przed taką brutalną inwazją zimna, trzeba jednak było wytrzymać w nich aż do rana.

Podczas gdy towarzysz Mychajła szykował się do małej drzemki, on sam przemierzał machinalnie tam i z powrotem wyznaczony odcinek przed namiotem.

Zimno i ból wyciskały mu ciągle z oczu grube łzy. Był do ostateczności rozgoryczony i rozżalony. Strasznie marzył, a jasna, lodowata noc zdawała się wlec bez końca, wywołując swym spokojem jeszcze większy bunt.

Koszttem własnego zdrowia mieli wypróbować namioty. Słyszał to kto? Kto tam dbał o ich ciała? Kto martwił się o ich zdrowie? Kto by się tam przejmował chłopem! Ech! — zabijał pięściami, jak grudami ziemi, i przetarł skute mrozem oczy.

A niechby swą siłę i swe zdrowie, z którymi tu przyszedł, utracił, wrócił do domu kaleką, jaka nagroda cze-

kałaby go po tym wszystkim? Kto by go wtedy ratował? Kto? Kto? Ech! Przyjdź, ojcze, i popatrz, jak twój syn wyje jak ten pies z zimna!

Zalala go gorycz.

„Przyjdź!... I w domu ziąb gryzie i zżera jak ogień, ale w domu nie jesteś psem i nie idziesz, jak tu, na darmowe kalectwo...”

Przypomniął sobie pewną scenę, jaką widział wraz z matką raz na targu i o której dotąd nie potrafił zapomnieć. Jego matka zawsze żegnała się, kiedy przypominała sobie to spotkanie.

Byli na jarmarku. Panował okropny tłok, zgiełk, ludzie deptali sobie po piętach. Pogoda była przepiękna. Wszędzie pełno było tłoczących się starych i młodych kobiet, dziewcząt, mężczyzn.

W tym rwetesie i zgiełku posłyszeli nagle jakąś muzykę. Ktoś grał na katarynce czy czymś podobnym. Mimo woli poszli w tym kierunku. Przecisnęli się przez tłum i oto jaki widok ukazał się ich oczom! Żołnierz (w takim samym mundurze, jaki on miał teraz na sobie) niezwykle barczysty stał — nie, nie stał, to jego plecy „stały” na ziemi, bo miał ucięte obie nogi niemal aż po pas — stał i kręcił ustawioną na ziemi katarynkę. Cała jego siła była, zdało się, skoncentrowana w szerokich barach.

Na jego piersiach błyszczał medal; skośnie osadzone oczy płonęły złym blaskiem. Nie mówił do nikogo ani słowa, porażając otoczenie samym spojrzeniem, chmurnym i groźnym. Wyglądał tak, jakby miał w najbliższej chwili ciężko pomścić na kimś z tłumu swe wielkie nieszczęście. Przestraszone tym spojrzeniem dziewczęta odwracały się od niego, a dwie kobiety w ciąży szybko uciekły z jego zasięgu, raz po raz spluwając i żegnając się.

Matka mówiła, że do wieczora czuła na sobie jego spojrzenie, musiała więc po powrocie do domu ugasić węgiel<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Według wiejskiego zabobonu na „zauroczenie” miało pomagać wypicie kubka wody, w której gaszono zwęglone drewno z pieca.

Nieszczęście tego człowieka było tak dominujące, że — jak niewidzialna zła siła — porażając przechodziło na innych.

On sam był tym widokiem silnie wstrząśnięty. Już nieraz widywał kaleki, kaleki różnego rodzaju. Jednak w tym wypadku, kiedy człowiek został tak okaleczony w najpiękniejszym okresie rozkwitu młodości, przy czym siła i sprawność pozostawionych członków ciała uwypuklała jedynie rozmiar dramatu — wrażenie było szczególnie silne. I przetrwało w nim do dziś.

Nikt nie pytał tego nieszczęśnika, w jaki sposób został tak straszliwie okaleczony, jednak jego mundur i medal na piersiach wskazywały wyraźnie, gdzie szukać przyczyny.

Kiedy Mychajła powołano do wojska, jego matka była pierwszą, co przypomniała mu o tym kalece.

— Ty też możesz się tego w wojsku dosłużyć! — prorokowała i wybuchła głośnym płaczem.

Nie bał się wprowadzić właśnie tego, bo był bardzo ostrożny w obchodzeniu się z bronią i miał na jej punkcie jakiś uraz, mógł jednak zostać okaleczony w inny sposób. Iluż to opowiadało, jak wrócili kalekami. Porzucili swą ziemię jako młodzi i zdrowi, a powrócili z okaleczonymi rękami... A ziemia domagała się właśnie mocnych i zdrowych rąk... Ale co to kogo obchodzi, jakie ręce przywróci swej ziemi on, Mychajło Fedorczyk?

Zaczął przytupywać skostniałymi z zimna nogami, odwrócił się szybko w stronę namiotu i spojrzał na niego. Noc była jeszcze w całej pełni...

Pół godziny później jego miejsce zajął kolega, a on, zakutany w słomę i żołnierską pelerynę, położył się spać.

Noc wlokła się w nieskończoność. Marzył strasznie, w dodatku bolały go nogi i ręce. Leżąc miał przed oczyma — jak zawsze, kiedy był sam — swą rodzinę i rodzinne strony. Tamtego roku o tym czasie był w domu i pilnował swej chudoby w stajni. Było tam ciepło, a ponadto bydlę ogrzewało go jeszcze swoim oddechem. A tu własnym ciałem miał zmierzyć, ile jest stopni mrozu.

Kiedy nastanie wiosna — za trzy miesiące na pewno



nadejdzie — jego ziemia na próżno będzie go oczekiwać. Rozprzestrzeni się czarnym, bezkresnym morzem, niebo uśmiechać się będzie błękitem, a jego nie będzie. Nie on ją będzie orał. Wznosić się z niej będą wielkie skiby, ale nie on je będzie rozgarniał.

Tysiące szcherniałych, ogorzałych rąk będzie czyścić ciężką, żelazną broń i wprawiać się w jej używaniu. Duże, młode, muskularne ręce — to stanowiło jakąś siłę.

Każdy pozostawił w domu gdzieś tam jakiś swój zagon, który daremnie będzie go oczekiwał. Jak sierota będzie go oczekiwał... I między tą ziemią a nimi dźwięczał nieustannie, jak struny, ich los...

Ta kukurydza, którą posiał razem z ojcem tej wiosny, już bardzo podrosła. Już dojrzewała. Było jej bardzo dużo, cały łąn. Wyrosła wysoka i silna. Jej wstęgowate, jedwabiste liście szeleściły nieustannie w lekkich podmuchach wiatru.

W ciszy słyszał dobrze jej szelest. Teraz, w tym nasłonecznionym przedwieczniu, kiedy wszystko przycichło, jakby umyślnie wypełzły na ścieżkę pyzate harbuzy, szepcząc między sobą:

— Jak się czuje Mychajło?

— Podobno dobrze.

— Niedobrze! — wybuchło w powietrzu. — Tęskni!

— Za nami — zaszeleściły liście.

— Za nami...

Jak morze, rozszumiało się i niosło szelestem nad łąkami:

— Za nami...

A potem umilkło, jakby na miejscu skamieniało...

Następnego dnia żołnierze powrócili do koszar na pół zmarznięci, z odmrożonymi twarzami, uszami i rękami. Generał przyjął raport, że zaprojektowane przez niego namioty okazały się niedostateczną ochroną przed zimnem i że kilku żołnierzy, mocno przeziębionych, odesłano do szpitala.

Prawdę mówiłaś, Rachiro, ta bieranina nie ma końca! — powiedział Sawa urągliwie do dziewczyny.

Szła z flaszką wódki. Właśnie spotkali się w karczmie, gdzie Sawa kupował tytoń, i teraz wracali razem do domu.

— Żeby chociaż jedną niedzielę usiedział w domu! Jak tylko minie północ, stary zrywa się i wydeptuje ziemię do niego.

— Widzisz? A co, nie mówiłam? Od razu to wiedziałam! — odpowiedziała dziewczyna buńczucznie. — Ty tylko patrz, ile pieniędzy za nim wywęduje. Sprzedaliście teraz trochę zboża. Patrz tylko, co się kupi za te pieniądze. No i powiedz mi wobec tego, czy i tobie się co obezwalało z tych pieniędzy.

Nic nie odpowiedział. Wiedział, że jego ojciec sprzedał już połowę zmłóconego zboża, ale bał się powiedzieć o tym Rachirze. Zaraz by człowieka do czegoś popychała... a on nie miał na tyle odwagi, aby jawnie wystąpić przeciw ojcu. Czy miał domagać się dla siebie pieniędzy? Dotąd nie robił tego nigdy ani Mychajło, ani on; starzy sami rozporządzali pieniędzmi, nie miał więc żadnej podstawy do wysuwania takich żądań. Ale ona zmuszałaby go do tego i chyba jednak miałyby rację.

— Czy on przyjdzie na Wielkanoc do domu? — spytała.

— Może, jak dostanie urlop. Starzy aż wariują za nim.

— A ty?

— Ja? A co mnie do tego? Dla mnie może przyjść! Chciałbym zobaczyć, czy on ciągle jeszcze taki tchórz i boi się strzelby. On strasznie bojaźliwy, Rachiro, ale... — urwał nagle i zamilkł.

— A stara ciągle tak beczy?

— Jeszcze jak! Muszę dziesięć razy na dzień wysłuchiwać, że z nim odeszło z domu „słońce” i wszelkie „dobro”. Poza tym ona teraz zła, że on tam przywyka. Ona by chciała, żeby on ciągle rozpaczał i płakał za nią, tymczasem on się już przyzwyczaił. Początkowo tak rozpaczał, że chciał uciekać. Tato mi wszystko powiedział. Ona nic

o tym nie wie. No i przez to zaczęła się ta bieganina do niego. Co tygodnia, każdego tygodnia, mówię ci! Tato pocieszał i tkwił jak kamień na wygonie, gdzie żołnierze odbywali ćwiczenia, żeby on widział ojca, żeby nie rozpacział i żeby mu lżej było. Słyszałaś coś takiego? I nie wstyd mu? A głupi ojciec siedział. Ludzie, co go widzieli, jak tak siedział, myśleli pewno, że on zwariował, a on siedział, żeby chłopczysko miał go przed oczami i aby nie rozpacział tak bardzo.

— Na pewno niejednen tłumoczek z nim powędrował — dodała.

— Rozumie się! Starej się wydaje, że przy wojsku w ogóle nie dają jeść.

— Ty — spytała Rachira po chwili namysłu — jak on tam jeszcze długo będzie?

— Zdaje mi się, że półtora roku. Ale na pewno nie wiem.

— No, a potem?

— Co „potem”? Potem wróci do domu, ożeni się i będzie gospodarzył jak wszyscy ludzie.

Nic nie odpowiedziała. Ściągnęła chmurnie brwi i wbiła oczy w ziemię. On też nic nie mówił. Naprzeciw nich szło kilka osób, więc zawrócił dróżką do swego domu.

Rozstali się.

## XI

Było już po Wielkanocy.

Tu i ówdzie ozimina zieleniła się w jaśniejszych i ciemniejszych odcieniach, odcinając się wesoło od niezaoranej jeszcze roli.

Iwonika opóźnił się trochę z oraniem. Nie zdążył ukończyć wszystkiego na czas. Nie mógł sam się ze wszystkim uporać i chociaż Sawa żwawo pomagał, bardzo jednak brakowało Mychajłowych rąk. Orka opóźniła się, a co najgorsze, orało się tylko jedną parą wołów.

Cieężko było tej wiosny.

Dumając o ziemi i swoim chłopcu, Iwonika myślał to samo, co Mychajło, tylko myśli te przybierały nieco inny kształt. Tysiące ogorzałych rąk musiało czyścić ciężką, żelazną broń, tysiące mocnych, młodych, dobrych rąk — a ziemia leżała odłogiem... Dlatego co drugi dzień zbierały się pod niebem posępne chmury, pełzając to tu, to tam nad zaniedbaną ziemią.

Maryjka siała kapustę.

Wzięła największy garnek, jaki był w chałupie, ten, w którym zawsze na zapusty gotowała kapustę z wieprzowiną, napełniła go drobną, jakby przesianą przez sito ziemią, zmieszaną z nasieniem, i zasiewała dwie grządki pod rozsadę.

Jak głosiła tradycja, wielkość główek kapusty zależała właśnie od wielkości garnka. Jeśli nie było tyle ludzi, żeby mogli to wszystko w zapusty zjeść, wówczas wyrzucano resztę na karmę dla bydła. Chodziło przede wszystkim o to, żeby w tym garnku się gotowało.

Sawa pomagał jej przy pracy. Leniwie i w milczeniu. Ale ona była rada, że miała go cały dzień w domu, przy sobie i nie robiła mu żadnych wymówek. Zaczynała już wierzyć w to, co ciągle powtarzał Iwonika, że kiedy Sawa, wzięwszy się raz porządnie do pracy, pokocha ziemię — to już się więcej od niej nie odwróci. Wtedy i Rachira wyszumi mu z głowy. Będzie wówczas musiał wybierać między Rachirą a ziemią. Gdyby jednak chciał postawić na swoim, to na nich wszystkich spadłby wielki grzech. Byłby to grzech niesłychany, gdyby wziął za żonę tak bliską krewną. Matka nie chciałaby tego doczekać. Nie daj, Boże! Nie daj, Boże, dożyć takiej chwili!...

— W poprzednich latach Mychajłyk pomagał mi siać rozsadę, a teraz ty mi pomagasz! — zagadnęła poważnie, drepcąc koło grządek i syna.

Nie odzywał się.

— Nie mógłbyś mi tak zawsze pomagać jak on? Jak był

teraz na Wielkanoc, taki był ładny i grzeczny, jak prawdziwy kapitan. I zaraz zajrzał we wszystkie kąty, czy wszystko w porządku i czy wszystko jest tak, jak było za niego. Może nie?

Sawa ciągle milczał.

— Aż mi świat pojaśniał, kiedy go zobaczyłam — ciągnęła dalej, nie zważając na to, że on nie odpowiada jej ani jednym słowem. — Bóg tylko jeden wie, ile nocy przepłakałam przez niego i jak mi jego smutek niby kamień leżał na sercu. Ale dziękuję Bogu, że go chociaż widział; że wiem, że żywy i zdrow. Żebym jeszcze tylko tego doczekała, aby wrócił do domu, wtedy mogłabym już spokojnie położyć się do grobu.

Westchnęła...

Przez chwilę w milczeniu wygładzała ręką ziemię na grządkach.

— Ale kiedy się tego doczekam? — podjęła znowu. — Teraz przyjdzie aż w jesieni, może po manewrach dostanie urlop, a jak nie, to dopiero na Boże Narodzenie... W niedzielę tato chce iść do niego.

— Po co? — spytał Sawa i spojrzał chmurnie, spode łba.

— Tak. Aby się cieszył.

— Aby się cieszył... — powtórzył ironicznie Sawa, raczej do siebie. — Da mu pewnie pieniądze, a wy pošlecie mu pieczoną kurkę — dodał głośno.

Spojrzała na niego.

— A tobie tego żal? Dziękuj Bogu, że możesz jeść zimną mamałygę w domu. Jemu wystarczy już to, że poszedł z chaty. Czekaj, przyjdzie jeszcze i na ciebie kolej, i ty nasycisz się tym dobrem!

— Chcielibyście jak najprędzej się tego doczekać? — spytał, a jego wiecznie rozbiegane oczy spoczęły na niej.

Zdawało się, że sam rozerwał tamę, która wstrzymywała potok słów.

— No, no, no! — krzyknęła i aż klasnęła w dłonie. — Patrzcie, co on mi tu za śpiewkę zawodzi! Zresztą myślisz, że źle by to dla ciebie było, jakbyś poszedł? Co? Mychajło mówi, że niejednego byś się tam nauczył. Ciężko

tam, powiada, ciągnęła mordęga. Siebie i swej ziemi się wyrzec; o ojcu i matce zapomnij, ale ich naukę pamiętaj; uczysz się i świat poznajesz. Wojsko dobre by było dla Sawy, mówił, jego czarna pijawka odpadłaby wtedy od niego!

Sawa patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. W jego rozszerzonych źrenicach zapalił się straszliwy błysk, wyraz jego zimnego spojrzenia nie miał nic wspólnego z jego łagodnymi, dziecięcymi rysami. Trudno było nawet to określić. Coś niepojętego pojawiło się w tych oczach, jakby jakiś bardzo dawny zamysł, który był poza jego świadomością.

— On tak powiedział?

— A jakże. Widzi, jak ona ciągnie ciebie w nieszczęście, jak przed tobą otwiera się przepaść. „W wojsku — powiada — ona opuściłaby go jak febra”.

— Niech on lepiej patrzy na siebie, a do mnie niech się nie wtrąca! — odpowiedział wrogo, a grom zadźwięczał w jego głosie. — Ja go nie podglądam, gdzie on się zaleca! Nie podpatruję, z kim się kocha!

— On nie ma żadnej, nie masz się czym martwić! To chłopiec porządny i każdy gospodarz we wsi bardzo chętnie wydałby za niego swoją córkę.

— Terefere! Zobaczymy, co on wam za kwiatek do domu przywiedzie! Wy pierwsi będziecie sobie ze złości gryźli pięści.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

— Żebyś ty taką wybrał, jaką on wybierze! Na ślepo bym cię pobłogosławiła. Żeby on tylko był już w domu! Mówię ci o tym, bo kto ci to ma powiedzieć jak nie ja. Obcy ci tego nie powiedzą, co i ojciec nieraz mówił: „Jak nie rzucisz Rachiry, to nie dostaniesz ani grudki ziemi”. Ja ci to mówię! A coś ty wart bez ziemi? Co? Jak ty to sobie wyobrażasz, nieboże? Myśmy ciężko pracowali, zanim dorobiliśmy się tej ziemi. Twój tato niewiele wziął w posagu, reszty samiśmy się dorobili. Ciągnęliśmy od świtu do nocy, jak w zaprzęgu. Ledwie nastała święta

niedziela, kiedy ręce opadały na spoczynek, już znowu trzeba było się zaprzęgać. Robiliśmy pod lasem przy kolei. Miejsca, którymi teraz biegnie, były bagniste, trzeba je było osuszać i nawozić nową ziemią. Mój Boże! Co ty możesz wiedzieć, chłopcze, jak ja was wychowałam! Myślisz, że ochłodziła kiedy sobie wargi kroplą mleka? Czym ja kiedy zjadła jajko? Czym widziała kiedy kęs mięsa? Żeby moi wrogowie zawsze byli tacy syci, jak ja byłam syta i jak syty był twój tato w te czarne godziny. Wszystko mleko sprzedawałam, odkładałam grajcarek do grajczarka, jajka sprzedawałam i zgarniałam grajczarki, i upłynęło dużo czasu, zanim dorobiliśmy się tego, co mamy. Gdyby ta ziemia mogła mówić, opowiedziałaby ci, ile wchłonęła naszego potu. Krzyż mam przetrącony, bom dzień w dzień glinę taczkami woziła, a twego ojca sam Bóg uratował, że nie utonął tam w bagnach, w których babrał się dzień i noc, wyczerpując z nich bez przerwy wodę. I dziesięć razy dziennie biegłam do domu, żeby doglądać was i chatę. Tylko jeden Bóg wie, jak nieraz skamlałam z głodu! Ale złożonego grajczara nie ruszaliśmy. Żeby chociaż raz kiedy bułkę sobie kupiła! A teraz, kiedy nam Pan Bóg dopomógł dorobić się tej ziemi, w której utopiliśmy swoje lata, swoje dni i swoją krew, kiedy cieszyliśmy się, że ona przejdzie do rąk naszych dzieci, które rano i wieczór będą ją całować jak świętą ikonę, teraz taka diablina jak Rachira miałaby deptać tę ziemię i tuczyć się nią?... Rachira miałaby się paść krwawicą twojej matki i twojego ojca? Patrz, widzisz moje ręce? — spytała, unosząc gwałtownie swe chude jak patyki ramiona. — Choć już słabe i zmarniałe, ale udusiłabym ją na miejscu tymi rękami, gdyby odważyła się wstąpić na tę ziemię. Pamiętaj, nigdy!

Oczy jej zapłonęły taką nienawiścią i zawziętością, że jej delikatna i łagodna zwykle twarz stała się na moment odrażająca. Właśnie w tej chwili wystąpiło uderzające podobieństwo między matką i synem, jakby byli jedną istotą.

— Nigdy, powiadam ci! Ani ja, ani ojciec nie dopuści-

my do tego! Dopókiśmy żywi, nigdy! Nie na grzech pracowaliśmy! Nie na krwawy grzech, co ludzi jeszcze poza grobem ściga, synku. Ona jak wampir wysysa z ciebie i rozum, i wolę!

— Czy ja żądam od was ziemi? — spytał niepewnie, przestraszony jej zdecydowanymi i pałającymi nienawiścią słowami. — Nie żądam od was ani kruszynki ziemi. Trzymajcie sobie waszą ziemię, a ja zrobię to, co mi się podoba.

— Rób, rób! — zawołała urągliwie. — Ściągnij wstyd na nas i na nasz dom, abyśmy się żywcem w ziemię pozapadali. Ale cała wieś, wszyscy ludzie będą wiedzieli, dlaczego to Iwoniczyn Sawa nie dostał ani piędzi ziemi. Razem z Cyganką Rachirą będzie ludziom kukurydzę kraść w polu, będzie kuleszę z niej gotować dla siebie i dla niej i będzie chodzić z nią na zarobek po obcych ludziach i po Besarabii. To go właśnie czeka, jeśli cygańska wiedźma miłsza mu od ojca i matki, i od ziemi, co go wykarmiła. Och, Boże! — stęknęła tak ciężko, jakby ją ziemia żywcem przywaliła. — Tegom się doczekała na swoje stare lata za swoją krwawą pracę, za swoją krwawą mękę, Boże miłosierny! Gadzinę moja siostra urodziła zamiast dziecka. Gadzinę, co zatrula moje dziecko, zatrula jego duszę, ogłuszyła i zaślepiła je. Ale i ona kiedyś zdechnie i długo będzie konać! Moje łzy i przekleństwa nie dadzą jej umrzeć. Już ja ci to mówię i nikt inny ci tego nie powie, tylko ojciec i matka. Obcy tylko się cieszą z nieszczęścia człowieka. I co ten Hryhory zna czy we wsi? Kto to jest Hryhory? Żebrak, bandyta i złodziej! Jego chata jak ten próżny ul. I dobrze, że aż pod las się wyniósł ze swoją chatą. Nikt go tam nie widzi i nie słyszy. Jakby go wieś aż tam wypłula. Tak! Ja ci to mówię! — Po prostu aż dławiała się napływem słów i coś jej dech zapierało. — Ja ci to mówię! Twoja matka ci to mówi. Nikt nie będzie za ciebie mądrzej myślał jak tato i mama... Tato i mama, i jeszcze Bóg Najświętszy.

Odetchnęła pełną piersią i stęknawszy umilkła. I on milczał. Nawet nie podniósł na nią oczu. Jego palce machi-



nalnie kruszyły grudki ziemi na grządkach i zdawało się, że matka wypowiedziała te wszystkie nienawistne słowa do kogoś, co stał w oddali. Co działo się w jego wnętrzu? Trudno byłoby zgadnąć. Nic nie można było po nim poznać. Zdawało się, że ogłuchł zaraz po jej pierwszych słowach.

Nadszedł z batem Iwonika.

— Szczęść Boże, Mario! — krzyknął. — Czyś już gotowa z grządkami? Potrzebny mi Sawa.

— Czym ci go kiedy broniła? Niech idzie!

— Chodź, Sawo.

Sawa jak automat opuścił na ziemię grudki, tak jak je trzymał w rękach, nie rozdrobiwszy ich, i poszedł za ojcem, który skierował się do pług, leżącego na zagonie, daleko od zagrody.

Właśnie w tym momencie, może sto kroków od chłopca, przebiegł na ukos przez pole duży zając.

W chłopcu dokonała się przedziwna zmiana. Jakby w jednej chwili o wszystkim zapomniał. Oczy jego zamigotały zimnym, nieprzyjaznym blaskiem i momentalnie chwycił kamień. Zanim Iwonika mógł się zorientować, co syn zamierza zrobić, ten puścił się już przez pole za zwierzyną.

— Zostaw, Sawo, teraz ochronny czas na zające! — krzyknął za nim ojciec, odgadnąwszy jego zamiar. — Sawo! Hej! Teraz nie wolno!

Milczenie.

— Sawo! Hej!

Na próżno.

Pognał polem jak tygrys, długimi, śmigłymi skokami. Następnie zgiąwszy się w pół, zamachnął się silnie ręką... Coś zafurczało w powietrzu; kamień poleciał nisko nad ziemią, równo, jak po nitce i trafił z całej siły umykające zwierzę. Zając zrobił jeszcze kilka długich susów, przesadził rów, skoczył w górę jak podrzucony przez ziemię i przewrócił się.

Po kilku minutach chłopiec przyciągnął zwierzę za tylne nogi. Z nosa kapłała mu krew. Chłopiec był błydy i cięż-

ko oddychał. W zastygłej w powadze twarzy oczy migały wciąż tym samym blaskiem.

— Po coś zabił tego zająca? — gniewał się Iwonika. — Wiesz przecież, że one teraz nie są dobre i że teraz czas ochronny! No?

Chłopiec nie odpowiedział. Sapiąc nadal jakoś nienaturalnie, po zwierzęcemu, odrzucił daleko od siebie ubitego zająca.

— Po coś ty go zabił? — powtórzył ojciec z gniewem i oburzeniem, tupiąc nogą. — Będziesz jadł z niego pieczeń czy co?

— Bo tak! — odpowiedział Sawa zmęczonym głosem.

Sam nie wiedział, dlaczego go zabił. Coś w nim kazało mu to zrobić. Zawsze się z nim to działo, kiedy dojrzał gdzieś jakiegoś zająca albo kiedy mu wpadł w oko jakiś ptaszek lub spostrzegł jakieś drobne zwierzątko. Musiał je wtedy mieć.

Wkrótce potem poszedł z ojcem do pługą. Orał do późnego wieczora. Wydawało mu się, że nigdy jeszcze nie orało mu się tak dobrze.

## XII

Wieczorem po skończonej robocie Iwonika siedział w swej chacie na ławie przy piecu i łuskał kukurydzę do żaren na mamałygę. Sawa zaraz po kolacji poszedł do bydła do polnej zagrody, starzy byli więc sami. Izbę oświetlała mała lampa, ale z pieca bił żar, którego blask padał na chudą postać Marii. Stała przy piecu i gotowała jeszcze jeden duży garnek mamałygi, którą Iwonika miał zabrać o świcie w pole.

Od czasu do czasu przesuwała i zgarniała tłące w piecu polana mówiąc jednostajnie po raz setny to samo.

— I widać, że mu porządnie głowę zawróciła. A najbardziej gniewa mnie to, że co bym nie mówiła, nie

odezwie się do mnie. Od czasu do czasu tylko rzuci jakieś słowo, a poza tym milczy jak niemy.

— Co mówił?

— Powiedział: „Nie potrzebuję od was ani okruszynki ziemi!” Tylko to odburknął.

Iwonika nie odezwał się. Tylko jakby mu kto po sercu zimnym nożem przeciągnął. Zrozumiał sens słów syna. Sawa wolał raczej wyrzec się ziemi niż porzucić Rachirę, chociaż nie mówił tego wprost. Co to za nieszczęście z tym chłopcem! Już dwa lata ciągnęła się ta zmora i nie było temu końca. On nie chciał „ani okruszyny ziemi” — to było właśnie najgorsze.

Opanowało go beznadziejne uczucie pustki. Mychajło tracił swe dni w wojsku, a ten tu... „Nie potrzebuję ani okruszyny ziemi” — powiedział, i powiedział w tym wszystko.

Dla kogo on pracował, dla kogo ją uprawiał, jak nie po to, żeby kiedyś im obu zostawić. Któż mógł wiedzieć, jak skończy się dla Mychajła jego służba w wojsku? Przywykał już wprawdzie, ale za każdym jego krokiem stąpała śmierć. Życie w wojsku idzie ręką w rękę ze śmiercią i jego kroki zostawiały krwawe ślady. Któż to mógł wiedzieć, co go tam jeszcze czekało?

Będzie, jak Bóg da!

Ale tu — Sawa? Został przy ojcu i matce, był wolny dzień w dzień jak jelen, mógł brać się do każdej roboty, do jakiej tylko chciał, nikt go nawet nie spytał. Nic jego życiu nie zagrażało, chyba żeby mimo wszystko nie był taki, jaki być powinien i Bóg chciał inaczej.

Było mu smutno.

Kochał Sawę przecież tak samo jak Mychajła. Rozpaczal za nim tak jak za tamtym, bo nie mógł inaczej. Wpływało to z jego prostej, prawej natury. Kiedy jednak Mychajło podporządkowywał mu się we wszystkim, Sawa jakby wszystkim na przekór szedł własną drogą. To nie było dobre. Spotka go na niej nieszczęście, sam się ku niemu zwraca.

— A dziś orał tak ładnie, że aż się cieszyłem! — zaczął

znowu po dłuższym smutnym milczeniu. — Nigdy jeszcze nie zajmował się ziemią, tak jak tej wiosny. I dobrze się nam orało, Mario!

— Ja zawsze powiadam, że nie ma się co brać za wiosenne roboty, dopóki sam Pan Bóg nie spulchni ziemi — odpowiedziała Maria. — Do niedawna jeszcze ziemia była martwa. A wyście, Iwonie, już biadolili, że opóźnicie się z siewem.

— Przed Zwiastowaniem nie ma co zaczynać...

— I powiadacie, że dobrze się wam orało?

— Bardzo dobrze! Ziemia dymiła jak rozżarzone węgle, nie była ani za sucha, ani za mokra, a Sawa prowadził pług jak stary gospodarz... „Tato — powiedział raz — tak dobrze się dziś orze!” A jaki był zadowolony... „A jakże — mówię mu. — Chwała Bogu! Nie zmęczyłeś się? — pytam go, bo widzę, że zupełnie zsunął kapelusz na tył głowy. — Nie — powiada. — Dzień w dzień bym tak chodził za pługiem. Pozwólcie mi, tato, siał pszenicę!”

Maria aż zagwizdała z podziwu.

— Patrzcie, patrzcie! Sam by siał!

— Dałbym mu, gdyby nasienie nie było takie drogie, alem się bał, że źle posieje i pszenica zejdzie nierówno. Mychajło miał już wprawę, a mimo to zostawiał gołe łatki.

— No właśnie, mógł jeszcze przesypać nasienie...

— Ale mnie chodzi o to, Mario, że on już pokochał ziemię — przerwał jej Iwonika — tylko że jeszcze z tym się kryje. Widzi już, że bez niej nie ma co robić. I może tylko tak sobie w złości powiedział: „Ja nie potrzebuję waszej ziemi”. Bo kto by jej nie potrzebował? Co on bez niej wart? On tak tylko z przekory powiedział, bo jest uparty. Widziałem, że on w polu już inaczej patrzy przed siebie!

Maria wzruszyła ramionami i machnęła ręką.

— Et!

— Co mówisz?

— W nim nie ma ładu. Posłuchajcie tylko: dziś zachciało mu się orać i siał, chciał dzień w dzień za pługiem

chodzić, a jutro albo pojutrze jak ten wilk będzie snuł się, węszył, będzie chodził nachmurzony, niespokojny i niczego palcem nie tknie. Jak ten wiatr... — Parę razy uderzyła palcami po wargach. — Bóg jeden wie, co nim tak kręci; tak jakby urodził się przed samą północą<sup>1</sup>. A kiedy był mały, to drżałam, by nawet mucha na niego nie siadła. Tak to było!

Westchnęła.

— Ano, taki się już udał — odpowiedział Iwonika.

I rzeczywiście, taką już miał naturę, tak już był stworzony. Nikt go tak nie urobił, taki już był sam z siebie.

— Im starszy, tym bardziej staje się mrukliwy. Jeszcze jakiś czas, a całkiem zaniemówi — dorzuciła Maria.

Oboje umilkli.

Słysząc było tylko łuskanie kukurydzy, której ziarna z chrzęstem wpadały do polewanej miski, oraz trzaskanie drzewa w piecu. Ogień płonął żwawo, na ścianach pląsały dziwaczne cienie.

— Mario!

— Co, tatku?

— Tak myślę, czy nie byłoby dobrze pójść w tym roku do świętego Iwana do Suczawy.

Odpowiedziała dopiero po chwili.

— Dlaczego nie miałoby być dobrze? Tylko co my zaniesiemy?

— To, cośmy i dawniej zanosili, i co będziemy mogli. Tam w monasterze wszystko przyjmują. Zaniesiemy świeczki, miód, płótno, może znajdziesz kilka ładnych ręczników, no i pieniądze. Przyniesiemy sobie stamtąd święcone ziele. Potrzebuję go dla pszczół, do nasion, no i trzeba i tak przecież, żeby było w domu. Chciałbym dać na czternaście mszy. Siedem mszy za Mychajła, za jego zdrowie i szczęśliwy, i prędki powrót do domu, a siedem na szczęście dla Sawy.

— Żeby jak najszybciej wrócił, Iwonie, żeby tylko jak

---

<sup>1</sup> Według przesądów na wsi ukraińskiej sprzed pół wieku dzieci urodzone przed samą północą są już z natury złe.

najszybciej wrócił! — podchwyciła skwapliwie Maria. — Wtedy bym znowu odetchnęła. Wiedziałałabym, że mam go przy sobie, i niczego bym się nie bała.

Dorzuciła trochę chrustu do pieca i po chwili zadumy spytała:

— Pójdziecie sami na odpust do Suczawy, czy wybieremy się oboje?

— Pójdziemy oboje.

— Ja już dawno o tym myślałam — powiedziała — ale nic wam nie mówiłam, bom nie wiedziała, czy zechcecie mnie posłuchać. To Anna naprowadziła mnie na tę myśl, żeby pójść na odpust do świętego Iwana.

— Która Anna?

— No ta, co służy we dworze. Córka starej Paraski, tej wstrętnej, jędzowatej wdowy. Kiedy pani wyprowadziła się do miasta, stara zabrała ją do siebie; ale ona nie wytrzymała u niej długo i poszła na służbę do dobrodzieja. Mówiła, że chce od jesieni nająć się tam na cały rok. Będzie teraz ze dwa tygodnie, jakem z nią rozmawiała, zaraz po Wielkanocy, jakoś w tych dniach, kiedy Mychajło wrócił do miasta. Skądś wracała i spotkałyśmy się. Chodziłam wtedy do Domniki. Szłyśmy razem i rozmawiałyśmy. Plotłyśmy o tym i o tamtym i naraz ona mnie pyta: „Czemuście tacy mizerni, ciotko Mario? Chorzyście? Boście tacy bladzi i zmarniali”.

„A jak mam wyglądać — mówię jej — kiedy mam jakby kamień pod sercem? Dokąd mój syn będzie w rekrutach, dotąd nie będę miała spokoju.”

„Da Bóg, że wróci do was” — odpowiedziała grzecznie.

— To grzeczna dziewczyna — dorzucił Iwonika.

— Grzeczna. A ja jej powiadam: „Zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje”.

Uśmiechnęła się i mówi: „To prawda, ale trzeba coś zrobić, żeby lżej było na sercu”.

„Ale co robić? — pytam. — Co ja mogę zrobić?”

„A ot — powiada — idźcie na odpust do świętego Iwana i dajcie na mszę za waszego syna i za wasze zdrowie.”

Jak tylko to powiedziała, od razu zrobiło mi się lżej na

duszy. „Ty dobrze mówisz, córeczko — mówię do niej. — Może i pójdę do świętego Iwana.”

„Gdybyście szli — ona na to — to i ja bym z wami poszła. Chciałabym choć raz tam pójść.”

— No i stąd — kończyła Maria — przyszła mi myśl, żeby iść do Suczawy. A jakbyście — ciągnęła dalej — wy nie mogli, to ja bym sama poszła z dziewczyną. To porządna i dzielna dziewczyna, i mogłybyśmy pójść obie piechotą albo pojechać koleją. Ona mówiła, że wolałaby na piechotę. Powiedziała, że godzi się iść piechotą.

— Ma młode lata i młode nogi — wtrącił Iwonika, śmiejąc się. — Ale to głupstwo. Tylko po co ona chce do świętego Iwana? Może chora?

— Nie wiem. Mówiła, że raz chociaż chciałaby pójść, bo powiadają, że tam bardzo ładnie. Chciałaby się pomodlić i przynieść poświęconego ziele. „Biedny — powiada — nie ma dobrej doli, to niech choć ma Boże ziele w swojej skrzyni. Ciężko żyć na świecie.”

— To prawda! Jej matka, jak mi sama pani mówiła, to wstrętna baba, zabiera jej każdy grosz, a jej brat lubi pociągać piwo, więc ciągle trzeba mu pieniędzy. No i odbierają je, biedaczce.

— A czemu nie poszła z panią do miasta?

— Bo stara nie puściła. Ale od jesieni chce pójść na rok na służbę do dobrodzieja. Teraz najmuje się tylko na dniówki, a jeszcze musi z matką okopywać kukurydzę.

— No, u dobrodzieja też nie będzie jej słodko — powiedział Iwonika. — Dobrodziejka, jak pijana, to tłucze wszystko, co jej pod rękę wpadnie. Panny są dobre, ale tak to już bywa: gdzie nie ma gospodyni, tam pustki w skrzyni. Dla takiej sto ścieżek do chaty wiedzie.

— Panny porządne i dobre — broniła Maryjka.

— Ale kiepsko płacą.

— To po co tam idzie?

— Bo chce pewnie matce zejść z oczu.

— To niech idzie do jakiegoś gospodarza. Ale jej widocznie ciągle pachnie kawa, co ją piła u pana; a u dobrodzieja pewnie będzie też ją pić. Głupia dziewczka! Niech

dziękuje Bogu, że ma kuleszę i niech prosi, by ją zawsze miała. Ona przecież biedna, nic nie ma, kto się z nią ożeni? Pyszni się, jak mówią niektóre baby, że zna się na każdej robocie, ale co tam, zna się czy nie zna, grunt to ziemia. Tymczasem u niej — Boże uchwaj!

Iwonika pokiwał poważnie głową.

— Kto zna swój los? — zapytał. — Bóg daje i Bóg bierze!

— To prawda. Ja jej nie wróg, mój syn nie będzie się o nią starał... Co mi tam do niej.

— No właśnie.

I znowu oboje zamilkli.

Maria zamyśliła się nad odpustem; była już dwa razy i dobrze wiedziała, jak tam jest. Myślała o świeczkach i płótnie, które trzeba zanieść, i jakie ręczniki wybrać, aby nie było krzywdy. Iwonika zaś łuskał wytrwale kukurydzę i rozmyślał o swoich robotach. Jutro chciał siać, a i do pszczoł trzeba będzie znowu zajrzeć.

Może tym razem będzie dobry rok?

Wiosna zaczęła się wcześniej. Ozimina soczyście się zieleńiła, na drzewach pękały pączki. Noce były ciepłe, dni piękne i słoneczne. Może mróz już nie wróci i pszczoły będą miały dobrą wiosnę. A jemu trzeba było w tym roku dużo miodu: do klasztoru na świętego Iwana chciał też coś sprzedać, trochę zanieść do miasta pani i Mychajłowi, no i wreszcie zostawić coś niecoś dla siebie na święto patrona cerkwi. Może w tym roku Mychajło przyjedzie na to święto? Przypadało we wrześniu, chłopak powinien już być po manewrach. Potrzebował miodu do gorzałki. Jego wódka była zawsze najlepsza. Nie żałował do niej miodu i wszelkich pachnących korzeni...

Żeby tylko Onufry nie ukradł mu jakiego roju, bo bardzo na pszczoły łakomy. A ciągle łże, że u niego pszczoły roją się, aż strach... Że aż mu uli już brakuje. To wszystko kłamstwo. Już mu wykradł kilka rojów. A ciągle próbował znienacka zejść do jego zagrody, żeby rzucić urok. No, ale to nieczęsto mu się udawało. Chyba kiedy Iwonika pracował daleko od szafasu albo kiedy nie było go



w domu. Zazwyczaj nic z tego nie wychodziło. Stara Sojka była mądrą suką i czekała na Onufrego już z daleka, wtedy on miał czas zdjąć pasek i rzucić go przed siebie, czym zagradzał przystęp wszelakiemu lichu, choćby to lichy było człowiekiem albo czym innym.

Nikt nie wiedział, dlaczego on to zawsze robił, gdy ktoś zbliżał się do jego polnej zagrody. Była to jego tajemnica. Śmiali się z niego, ale jemu było z tym dobrze.

Miał najładniejsze we wsi bydło i najlepsze zboże.

Jego i jego żonę nazywali sknerami. Ale było mu to obojętne. Niejeden plecie tylko dlatego, by mu się gęba nie zamykała, ale nie wszyscy umieli tak chodzić koło bydła jak on. Zboże też miał przepiękne. Dostarczał ziemi tego, czego potrzebowała, uprawiał ją na czas, a była to właśnie pierwsza i najważniejsza rzecz. A kiedy nadciągała burza, robił wszystko, co potrafił, aby zabezpieczyć swoją ziemię przed gradem. Kiedy zbierały się nad nią czarne, deszczowe chmury i jak siła nieczysta zwisały, aby stłuc i zniweczyć gradem jej płody, albo kiedy już walił grad i niespodziewanie lunęła niesamowita ulewa, wtedy on, obnażony, z dużym nożem w ręce, pędził przez wszystkie swoje pola, „zamawiając” grad i chmury.

Niechby kto potem poszedł i popatrzył.

Kukurydza Wasyla, męża Dokii, była zupełnie podziurawiona i stłamszona, piękna pszenica sołtysa leżała na ziemi, jakby się sama położyła, by zginąć. Przez kilka zagonów dobrodzieja waliły prawdziwe potoki, które przyniotły owies do ziemi i naniosły nań mułu, a i zboże pańskie w dolinie było w kilku miejscach zamulone.

Tylko jego ziemia pozostawała niemal nietknięta. Niechby kto poszedł i popatrzył, toby zobaczył. Wokół jego łąków zboże było zbite, ale im dalej w głąb, tym piękniej podnosiło się po deszczu, tym mocniej stało. Deszcz je tylko spłukał i teraz jeszcze szybciej pięło się w górę i pęczniało kłosem. Grad omijał jego pola, a deszczowe chmury rozpierzchały się nad nimi i ciągnęły nad inne łąny, jakby na jakiś milczący, niewidzialny rozkaz...

— Mario!

— No?

— Przypomnij mi, żebym wykopał w tych dniach rów na małym zagonie pod „sąsiedzkim” lasem. Posieję tam hreczkę i nie chcę, by mi ją deszcze zamuliły. Zdobyłem nasienie od kolonistów niemieckich, drogo kosztowało i byłby grzech nie zabezpieczyć go.

— Przecież Mychajło coś tam kopał, jak był teraz w domu.

— Tak, ale on tylko zaczął. Skończyć muszę ja. On lubi ten łąn — ciągnął dalej Iwonika pogodnie — dlatego, że przylega do lasu. Zawsze mówi: „Tuli się do lasu jak do swojej matki, trzeba go dobrze uprawić”. On i ten lasek lubi...

— A jakże, lubi! — odpowiedziała spokojnie Maria. — Lubił go, kiedy był jeszcze mały, biegał tam zawsze szukać grzybów, chociaż nie pozwalałam. Ciągłe zdawało mi się, że on gdzieś tam musi zaginać razem z tymi grzybami.

— Las nieduży — powiedział Iwonika z ledwo dostrzegalnym, dobrodusznym uśmiechem.

— No to co? Jak kogoś chwyci obłąd, to niech będzie nie wiedzieć jak mały, otumani człowieka. Nie lubię tego lasu. Stoi tam tak, jakby tylko po to, żeby chowali się w nim złodzieje. Z naszej i z tamtej wsi.

— Ale hreczce dobrze pod nim będzie, chroniona będzie stale od wiatru. Mychajło przykazywał, żeby tam koniecznie posiać hreczkę. I dobrze dla pszczoł, że będą miały tak blisko i koniczynę, i hreczkę.

Maria w milczeniu mieszała kuleszę.

— Może da Bóg, ten rok będzie dobry; wiosna taka, że niechby zawsze taka była...

Iwonika westchnął. Miał dużo pracy, mnóstwo pracy. Ale dziękować Bogu, że było na czym pracować. Żeby tylko zdrowie dopisało, to ze wszystkim się upora; z robotą w polu, koło bydła, przy pszczołach... Żeby tylko zdrowie było! Ale Pan Bóg dobry, przebacza ludziom, chociaż Go obrażają, chociaż mordują jedni drugich, zabija-

ją, oszukują, przysięgają fałszywie, kradną. A On ciągle jeszcze dobry dla nich...

Starzy ucichli zupełnie.

Gdzieś w kącie za piecem zaćwierkał świerszcz. Ogień w piecu dogasał, ledwie tlił, a płomyk małej lampy słabo oświeślał niewielką izbę.

Po skończeniu pracy Maria wdrapała się na piec i zaczesawszy swe siwe włosy, usnęła. Nie słyszała już, kiedy Iwonika przestał łuskać kukurydzę. Ale on siedział w półmroku jeszcze długo; jego twarde, spracowane palce wyłuskiwały mechanicznie drobne ziarna, a usta bez przerwy się poruszały. Modlił się. Odmawiał szeptem długie modlitwy. Pobożne, płynące z serca, pełne pokory słowa mąciły gęstniejącą coraz bardziej ciszę...

### XIII

Anna pracowała teraz u dobrodziejów. Codziennie chodziła tam do roboty, a od jesieni miała się do nich przenieść na stałe. Tak jej poradził Mychajło, z którym widziała się na Wielkanocne Święta.

— Matka i brat nie będą wtedy tak się nad tobą znęcać — mówił jej — a jak ja wpadnę na dzień lub dwa do domu, łatwiej będziemy mogli się zobaczyć. Gdybym ja, jako żołnierz, zachodził do ciebie do chaty, to swarzyliby się, a nie trzeba, aby kto wiedział o nas. Kiedy wrócę z wojska, pokażemy wtedy ludziom, o czym wiemy.

— Niech będzie tak, jak ty mówisz — uśmiechnęła się.

— A matka i brat co mówili, kiedyś od nich poszła? — spytał.

Rozmowa ta toczyła się w ogrodzie dobrodzieja. Ona gracowała ścieżki, a on, przeskoczywszy niewysoki płot, leżał jak długi na ziemi, żeby go z daleka nikt nie zobaczył.

— Ano nic! — odpowiedziała. — Że ja nie chcę jej

znać, a brat, że ganiam za jakimś głodomorem i że jak mnie z nim kiedyś zdybie, to zbije tak, że go popamiętam. „Ty — powiada — oddajesz mu wszystkie grajcarey na tytoń czy czort wie, na co, a mnie i tych, co cię wychowali, nie chcesz znać.” Nie wierzy, że dobrodziej mało płaci — dodała. — Mówi: „Przyjdę kiedyś i dowiem się, ty pańska mądralo!”

Mychajło zmarszczył czoło i zacisnął pięść.

— No, no! — pogroził chmurnie. — Żeby tylko on mi kiedyś nie wpadł w ręce! Dobrym, póki dobry, ale niech mnie nikt nie zaczepia, bo pięść mam ciężką.

— A ja już wolę służyć za mniej, ale u dobrodzieja i tu we wsi niż gdzieś u Żyda albo Niemca i nawet nie śnić, kiedy ty przyjdiesz.

— Bądź cierpliwa! Da Bóg, wszystko minie. Będziemy wtedy dać w inną dudkę! — pocieszał, po czym wyjął z kieszeni guldena i wyciągnął do niej rękę. — Masz, schowaj sobie. Schowaj albo kup sobie, co chcesz! Uskładałem to dla ciebie w wojsku. Chciałem ci kupić chustkę, ale nie starczyło. To już kup ty sobie sama, co tam zechcesz.

Anna nie chciała przyjąć.

— Czy to ja nie mogę już zarobić sobie na chustkę? — broniła się. — Schowaj! Tobie tam bardziej się przyda niż mnie tu. Podobno czasem nie ma nawet co jeść!

On stał już koło niej, w oczach błyszczały mu łzy.

— Anno... Anno!... — mówił cichym, serdecznym głosem. — Czy ja dla ciebie nic już nie znaczę, że nie chcesz ode mnie przyjąć podarunku?

Powiedziawszy to, tak jej ścisnął rękę, że z bólu omal nie krzyknęła; potem, spojrzawszy na niego, schowała ten drobny upominek.

Mychajło, uszczęśliwiony, położył się znów na ziemię.

— Powiedz coś — prosił radosny, z rozjaśnionymi oczyma i ojcowską niemal tkliwością.

— Cóż mam ci powiedzieć, Mychajłyku? — odpowiedziała. — Nieraz tak mi ciężko na duszy, że i powiedzieć trudno. Tak jakby mi coś serce podgryzało. Codziennie...

raz wtedy... a raz wtedy... że niekiedy aż płaczę. Czasem jest tak, jakby mi kto powiedział: „Tak ma być zawsze”.

Mychajło splunął przez zęby.

— Jesteś taka sama jak ja. Przecież wiem, że muszę odsłużyć przy wojsku swoje lata, a mimo to myślę nieraz tak jak mama, czasami nawet dzień w dzień, czy nie można by jakoś się stamtąd wyrwać. Chociaż ja wiem, że nie można.

— Nie można, Mychajłyku — powiedziała poważnie. — Bieda by była. A poza tym już tam przecież przywykłeś. Machnął ręką.

— Et, przywykłem! — powiedział. — Nie jest mi teraz tak ciężko jak dawniej, ale to przecież zmarnowany czas. A czego najbardziej się boję, to, nie daj, Boże, śmierci. Gdybym wiedział, że mam tam zginąć, to wolałbym zaraz tu ze sobą skończyć. Tak tam ciężko umierać!

— Bez taty i mamy, wśród obcych — dodała cicho i smutno, prawie do siebie i oparła się na chwilę o płot, jakby odpoczywając.

— Już ja wiem dobrze, jak w wojsku giną i chowają... Anna westchnęła głęboko.

— Mój dobry Boże! Dzień przedtem, jakem tu przyjechał — ciągnął dalej — właśnie chowali jednego chłopca. Zdaje się, że przeziębził się na warcie, odleżał swój czas, nie mógł jeść, był coraz bledszy, kaszlał, a jednego razu jak odwrócił się do ściany, to go już koledzy odwrócili. Już ostatni raz sam się odwrócił. Zrobili paradę, muzyka grała. Ale za jego trumną nie szli ani tato, ani mama. Ani siostra, ani żadna dziewczyna nie płakała. Szli tylko jego koledzy. Jak zawsze czwórkami, szedł też oberlejtant, lejtnant, a jego wieźli na czarnym, dużym wozie. Trumna jego była pomalowana na czarno, na trumnie leżało czako, ciągle się chwiejąc. Trumna była taka czarna, taka czarna, mówię ci, że nie widziałem takiej czarnej trumny, od kiedy żyję! Czarniejsza od węgla. A ja ciągle musiałem patrzeć na tę trumnę. „Ojej, jaka

też ona czarna! — myślałem sobie. — Ktoś z nas może pójść po tobie tak jak i ty! I ja też mogę!”

— Nie wolno ci czegoś takiego mówić! — zganiła go dziewczyna, przestraszona. — Jeszcze wymówisz w złą godzinę!

— „Och, to się będzie twoja mama cieszyć — myślałem sobie — jak się dowie, że Iftimko już na tamtym świecie. Ale będzie zawodzić i bić głową o ścianę!” — opowiadał dalej Mychajło, nie zwracając uwagi na wymówkę dziewczyny.

— A ona nie wiedziała, że on był chory? — spytała ze szczerym współczuciem, wpatrując się wnikliwie w jego twarz cichymi, poważnymi oczami.

— A gdzie tam wiedziała? On nie pisał. „Co ona mi pomoże?”, powiedział. Miał zresztą iść właśnie teraz na urlop i ciągle miał nadzieję, że do tego czasu się podzwignie. „Podciągnę się i pójdę”, powtarzał ciągle, biedaczysko.

— Biedaczysko!

— No i poszedł. Poszedł tam, skąd już nie wróci. Opowiadał mi, że jak był w domu ostatnim razem na urlopie i jak odjeżdżał, to jego matka, bo ojca już nie miał, oraz trochę znajomych odprowadzili go do pociągu. Matka tak za nim płakała, że serce się rozrywało, i ciągle tylko wołała: „Synku, ja ciebie już więcej nie zobaczę!” A kiedy już wsiadł do pociągu i pociąg ruszył, matka rzuciła się za nim i ludzie z trudem zatrzymali ją, bo wpadłaby pod koła... Rozpaczała tak, że pamięć straciła!

— Matczyne oczy zobaczyły śmierć za jego plecami — powiedziała dziewczyna raczej do siebie, bardzo poważnie. — Dlatego dobrze wiedziała, że go już więcej nie zobaczy.

— A on, biedaczysko, myślał, że już matki żywej nie zastanie. Zawsze chodziła taka jak szczapa.

Zamilkli oboje.

— Tylko tego się boję — odezwał się po chwili zartoskanego milczenia. — Więcej niczego! Żadnej roboty, żadnych manewrów, tylko tego. Człowiekowi się zdaje, że jest swoim panem, a on...

Znowu urwał.

— Czasem mi się zdaje — zaczął po chwili na nowo — że ten czas, co mam być tam jeszcze, nigdy się nie skończy. Tak mi się dłuży.

— I mnie! — zapewniła głosem nabrzmiałym łzami.

W tym momencie, jak na czyjś rozkaz, wymienili spojrzenia i spoważnieli. Ona schyliła się nad swoją robotą, a on zaczął ją pocieszać.

— W tym roku po manewrach przyjdę na sześć tygodni do domu, a na drugi rok, jak przyjdę, to chyba znowu aż za dwa miesiące tam wrócę. Ale tylko na trzy miesiące, a potem już... ech! — aż gwizdnął dla wzmocnienia swych słów.

— Jakbyś ty miał tam umrzeć, Mychajłyku — powiedziała nagle, przerywając pracę i patrząc na niego oczami, w których zawarła się cała głębia jej istoty — to nie wiem, co by wtedy było. Nie daj Boże, Mychajło. Nie daj, Boże.

Uśmiechnął się.

— Gdybym ja to wiedział, to bym się prędzej na rękach i nogach do domu zczołgał. Ale to się nie stanie. Nie jestem taki grzesznik, żeby Pan Bóg już mnie wzywał na sąd.

Zamilkli znowu.

— Może pójdę w tym roku z twoją mamą na odpust do świętego Iwana — odezwała się Anna nabożnie po krótkiej chwili. — Twoja mama chce iść i ja bym poszła z nią. A jakby nie mogła w tym roku, to chociaż na drugi rok. Ale jednak pójdę. Tak mi się wydaje, że jakbym się tam tylko znalazła, od razu zrobiłoby mi się lżej na duszy. Pomodliłabym się za nasze szczęście. Ludzie powiadają, że jeśli uda się komu pocałować świętego, to umacnia się na ciele i na duszy.

— Tak mówią — przytaknął w zamyśleniu Mychajło. — Będę namawiał mamę, żeby poszła. Niech się tam za mnie pomodli, żebym odbył szczęśliwie manewry. Mówią, że w tym roku manewry będą ciężkie. Strasznie będzie. Ale nie mów o tym nikomu, Anno. Starzy zamartwialiby się

zaraz. Wystarczy, że mnie ciężko, po co jeszcze oni mają się martwić.

— Mama właśnie przez ciebie najwięcej chce iść — powiedziała Anna. — A może i dla Sawy, żeby porzucił Rachirę... — dodała.

— Och, ten Sawa — powiedział przeciągle, unosząc brwi. — On mi się nie podoba. Z jednej strony, jak mi mówił ojciec, Ignie już podobno do ziemi, bierze się do roboty i do wszystkiego, ale z drugiej strony traktuje nas jak swoich wrogów. To grzech tak nim rządzi. Mówię ci, grzech. Wczoraj wieczorem częstuję go swoim tytoniem i mówię do niego po dobremu, jak należy: „Sawo, mówię, bracie, jak stoją sprawy z Rachirą? Czyś się już odczepił od tej gadziny?”. Powiedziałem mu to ot tak, jak brat do brata, jak kolega do kolegi, a on spojrzał na mnie tak, wiesz już jak, spode łba. Oczy mu pozieleniały i zaiskrzyły się jak te twoje korale na szyi. Zaciśnął pięść, wykrzywił usta jak pies, kiedy chce napaść znieścacka na człowieka, i warknął: „No, no, no. Nie czepiajcie się mnie, dobrzy ludzie” i grzmotnął się pięścią w kolano. To mi już wystarczyło. Przekonałem się, że ona dalej ssie jego krew. A to upiorzyca. I nawet mu przez myśl nie przejdzie, że to przecież grzech, że za nią gania. Nic mu więcej nie powiedziałem, bo nie chcę się rozstawać z nim w złości. Wiem zresztą, że jak pójdzie do wojska, to ją rzuci sam. Tam już przyjdzie do rozumu. Dobrze, że chociaż zabrał się do roboty. Bałem się, że zupełnie się rozwłóczy, jak pójdę z domu. Ona musiała mu dać lubczyku lub czego innego zadać, że się tak na nią wziął. I jeszcze sobie tak myślę, że kiedy wrócę z manewrów, to sam z nią pogadam. Zobaczę, co ona mi powie. Chłopiec całkiem się przy niej zmarnował. Jeszcze zwariuje.

— Ona i na mnie jest zła — odezwała się Anna. — Od czasu, jak widziała, że rozmawiałam parę razy z twoją mamą. Kiedyś, jak szłam do Domniki i mijałam jej chatę, krzyknęła za mną: „Lizuska!”. A gdy się obejrzałam, żeby jej coś odpowiedzieć, schowała się szybko za płot, tak że dojrzałam tylko jej czarne, rozczochrane włosy.



— Zostaw tę nędzę, niech się odczepi od ciebie — rzedził spokojnie chłopiec, spluwając daleko przed siebie. — Nie ma z kim rozmawiać.

— Nie ma — odrzekła posłusznie.

Długo jeszcze rozmawiali. Uradzili, żeby teraz nic nie mówić ani ojcu, ani matce o tym, że chcą się pobrać za rok lub półtora, kiedy on wróci.

— Milczmy i dalej, tak jak milczeliśmy dotąd — doradzał. — Mama rozpowie o wszystkim Domnice, Domnika całej wsi, a to psuje szczęście. Nie jest dobrze o czymś naprzód rozpowiadać. Sam wiem, że niedobrze.

Przy rozstaniu powiedział:

— Trzymaj się już jednego miejsca, tu, żebym już miał jedną ścieżkę do ciebie. Jak kiedy przyjdę, żebym nie musiał cię szukać ciągle gdzie indziej. Wiesz, że wtedy niewiele mam czasu.

Odpowiedziała poważnie, że dobrze.

A w podświadomości coś jej dopowiedziało: „Dlaczego nie? On jest po to, żeby chciał, a ona po to, żeby chciała tego, czego on chce”.

Bóg wie, dlaczego miało tak być. Już tak od dawna... od dawna... od dawna już... Sama przyroda zbliżyła ich do siebie. Potężna, tajemnicza w swoich zamysłach, zarzuciła na oboje sieć, czyniąc z nich posłuszne automaty, idące na oślep za jej niezgłęzionymi nakazami, tulące się instynktownie do siebie, dopełniające się wzajemnie, jak ziemia z rośliną, w marzeniach o jakimś szczęściu.

#### XIV

Od tego czasu minęło ponad rok. Ale nic się nie zmieniło. W chacie Iwoniki było nadal cicho i ponuro, Maryjka krzątała się, jak zwykle, zatroskana i niezadowolona. Liczyła miesiące i dni, które Mychajło musiał jeszcze spędzić w wojsku, przemyśliwała, jak to będzie, kiedy wróci, jak go już zobaczy u siebie i jak, jeśli Bóg da, przy-

prowadzi do jej domu dobrze wychowaną i bogatą żonę. Przedwcześnie się postarzała, byłaby już chętnie odpoczęła od pracy i rada by pobawić się z wnukami. To było jej najbardziej ulubione marzenie. Bawić się z wnuczkami, karmić je, pilnować ich, przesiadywać z nimi w lecie na słoneczku, na przyzbie na werecie<sup>1</sup>, czesać je, jak czesała swoich chłopców, a w zimie opowiadałaby im na piecu bajki, żeby cicho siedziały i nie wyziębiały mieszkania.

Ale na to wszystko trzeba było jeszcze poczekać. Pewnie więcej niż pół roku, a może rok.

Teraz bywał w domu jak gość. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Zielone Świątki. I tak jak cieszyła się nim, kiedy przychodził, tak rozpaczała, gdy odchodził.

— Przyszedł, rozkrwawił serce i poszedł — żaliła się swoim siwym sąsiadkom, staruszkom, które przychodziły ją później pocieszać. A żegnając się z synem, mówiła: — Idziesz, synku, i może mnie już nie zastaniesz, jak wrócisz.

W tym roku miał przyjść do domu po manewrach na dwa miesiące. Wyglądała tego dnia jak wschodu słońca. Żeby tylko dobry Bóg pozwolił mu szczęśliwie przebyć te manewry. Miał je odbywać w obcym kraju przez trzy tygodnie. W ubiegłym roku nie poszczęściło mu się podczas nich. Tak bardzo chciała iść do świętego Iwana, ciągnęło ją, by tam pójść i pomodlić się, żeby mu szczęśliwie przeszły, ale nie udało jej się. Na kilka dni przed świętym Iwanem stanęła niechcący na żelaznych grabiach i przebiła sobie nogę. Więcej niż tydzień musiała biedować i kuśtykać z kijem, zanim noga się zagoiła. Musiała z przyzby przyglądać się, jak Domnika albo inni dobrzy ludzie wyręczali ją w różnych jej zajęciach. Jak mogła puścić się na piechotę w taką drogę, aż do Suczawy? A choćby nawet pociągiem? Jak by się tam przepychała wśród takiej ludzkiej ciżby?

Nie poszła. A Iwonika też nie mógł oddalić się z domu.

---

<sup>1</sup> Wereta — kawałek zgrzebnego płótna lub grubszej tkaniny.

Robota wszędzie aż kipiała, bo wypadło to właśnie w czasie żniw. Wpadał do chaty tylko żeby coś tam zjeść, a poza tym dzień w dzień przesiadywał w zagrodzie i w polu. Rozpoczęły się żniwa i pokosy i każdy dzień przynosił z sobą nową, pilną robotę. W żaden więc sposób nie mógł wybrać się na odpust. No i pewnie dlatego chłopiec nie odbył szczęśliwie manewrów.

Podczas manewrów panowały silne upały. Maszerowali do Galicji. Pewnego razu, maszerując przez wieś, zatrzymali się tu na odpoczynek.

„Wszyscy rzucili się do studni — opowiadał potem Mychajło, kiedy był na urlopie. — Umierałem z pragnienia. Byliśmy siwi z kurzu i szerniali od spiekoty. Maszerowaliśmy od trzeciej, czwartej nad ranem do drugiej po południu, ciągle równiną, ciągle polem, ciągle w upale, tak że pot spływał z nas strugami. Kto by po takim marszu, w takim upale, podczas postoju we wsi nie pognął do wody?

Wszyscy pobiegli kupą do studni. Ja też. Mdlałem z pragnienia. Wy nie macie pojęcia, jak strasznie chce się pić podczas manewrów. Jeszcze gorzej niż u nas we żniwa. Sto razy gorzej.

Przeciskałem się w tej ciżbie, aby dorwać się chociaż do kropli wody, i nawet mi przez myśl nie przeszło, co miało mnie za kilka minut spotkać. Otóż niechcący potrafiłem jednego lejtnanta, który cisnął się razem z nami. No i zaczęło się.

Lejtnant się obejrzał. Póki żyć będę, nie zapomnę jego czarnych, roziskrzonych, wielkich oczu i jego zaczerwienionej od spiekoty i złości twarzy, którą, zdawało się, lada moment krew zaleje.

Więc, jak mówiłem, obejrzał się, wyciągnął mnie z tłumu, potrząsnął mną z całej siły, a potem jak włada mi pięść między oczy — Boże! Więc rąbnął mnie pięścią między oczy, a potem w nos, a potem jeszcze trach mnie w zęby. Tak mnie urządził, że koledzy mnie później nie poznali. Zalałem się krwią i straciłem przytomność. A jak było potem, to tylko Bóg jeden wie, no i ja. Głowa pę-

kała z bólu, jeszcze na takiej spiekocie. Twarz, pozał się Boże, całą zapuchniętą, aż mi wykrzywiło. Syn naszego pana, co był wtedy także na manewrach, ten młodziutki, który dopiero rok służył, radził mi, abym zameldował się jako chory. Nie mogłem jednak tak zrobić, bo musiałbym powiedzieć doktorowi, co mi jest, kto mnie tak urządził, a nie chciałem. Ten lejtnant musiałby wtedy stanąć przed kapitanem, który był dobrym panem i takie rzeczy ciężko karał, więc pomyślałem sobie, że niech już mu Pan Bóg za mnie zapłaci. No i kto zresztą mógłby mi zaręczyć, że on nie zemści się na mnie za moją skargę? I jak już mnie znieważył, to co na to mogłem poradzić? Co taki prosty rekrut znaczy? Jest ich tak dużo, tak dużo, mówią, że jak jeden zdechnie, to nawet śladu po nim nie będzie. A wszyscy oni muszą stać na baczność przed starszyzną, która wymusza to pięścią i znęcaniem się. Panicz prawdopodobnie radził dobrze, ale machnąłem na to wszystko ręką. Niech go bies sądzi, tak jak on wtedy osądził moje przewinienie. Płakałem jak dziecko, tarzałem się w gorączce po ziemi, aż musieli mnie tarmosić. Jak ja przeklinałem... Boże, jak ja przeklinałem, ale rano następnego dnia jednak wstałem i powlokłem się dalej. Bóg mnie nie opuścił. Ja i to przetrzymałem. Niektórzy z moich towarzyszy pochorowali się z tej spiekoty i musieli zostać, a jeden Niemiec umarł, biedaczysko, właśnie podczas manewrów. Także z upałów..."

Ot, i co zdarzyło się chłopcu podczas tamtych manewrów, bo nie mogła, jak sobie umyśliła, pomodlić się za niego. Ale za to w tym roku poszła już na odpust do świętego Iwana. Poszła. Dała mnichom na czternaście mszy. Siedem mszy za Mychajła, a siedem za Sawę. Niech im przyniosą szczęście. Modliła się za swe dzieci z całej duszy. Zniosła świętemu, co mogła: miód, płótno, ręczniki i świece, a na dodatek jeden piękny kilim.

Teraz oczekiwała swego dziecka za kilka tygodni. A potem, po tych dwóch miesiącach urlopu miał służyć jeszcze tylko kilka miesięcy i wrócić już na zawsze do domu.

Wzdychała i wpatrywała się śmiejącymi się oczami gdzieś przed siebie w dal. Dobry Bóg pozwala wszystkiego doczekać... Ale bo też jak się modliła... Zdawało się jej, że kiedy tylko weszła na dziedziniec klasztorny i znalazła się pośród wysokich starych murów, to tak jakby stanęła w pobliżu samego Boga. A kiedy już zatrzymała się pośrodku cerkwi, zapach ziół i kadzidła jak gdyby do Boga ją ciągnął.

Wiernych przybyło tu mnóstwo. Chorych, nieszczęśliwych, kalek, ociemniałych... i wszyscy klęczeli, wszyscy całowali świętą ziemię, wszyscy modlili się i składali dary. Wraz z nimi i ona się modliła. Anna była razem z nią. Śmiertelnie blada, weszła bez słowa do cerkwi, rzuciła się na ziemię i leżała chyba z godzinę; modliła się, biła pokłony i płakała tak, jakby miała rozstać się już na zawsze z tym światem.

Zbudowana tym widokiem Maryjka myślała: „Patrzcie, jaka pobożna, jak się modli”. Ale potem wszystko wyszło na wierzch. Wyjawilo się, dlaczego miała takie nieczyste sumienie. Wszyscy się dowiedzieli. Cała wieś wiedziała...

Anna miała zostać matką. Jak to się stało? Kiedy? Nikt nic nie wiedział. Nie chciała się do niczego przyznać. Ileż to się jej nadopytywano, ileż nakłaniano, grożono wreszcie — wszystko na próżno. Milczała jak kamień.

Nawet trudno się było domyślić.

Nigdy z chłopcami się nie zadawała, a na tańce też prawie nigdy nie zachodziła. Była cicha i pracowita, trzymała się od wszystkich z daleka, a jednak nieszczęście ją dosięgło... Nikczemny był ten, co wtrącił ją w takie nieszczęście, ale i ona też nie była widać lepsza. Trzeba jej tego było...

I rzeczywiście wpadła w straszne tarapaty. U dobrodzieja wymówiono jej służbę, a w domu nie śmiała się pokazywać. Kiedy nie mogła już ukryć swego stanu, pobito ją tam do krwi. I kiedy prosiła, żeby pozwolono jej zostać, matka wyrzuciła ją precz z domu. Nie chcieli nawet dać

jej własnych rzeczy, których się domagała, i zasypali ją ordynarnymi wyzwiskami.

Nie dość tego. Za każdym razem, kiedy ją spotkali, brat i matka policzkowali ją.

— Czy na to ciebie wychowałam? — krzyczała stara na całe gardło, gdziekolwiek ją zdybała.

Brat zaś, dawny dragon, zaciskał tylko zęby i milcząc bił ją po twarzy.

— Masz, to za ten wstyd, coś mi go zrobiła — syczał. — Za wstyd.

Najbardziej gniewało ich to, że nie chciała się przyznać, kto był ojcem dziecka. Rzucali jej w twarz największe obelgi i przypisywali najhaniebniejsze uczynki.

Anna chodziła blada i mizerna, z oczami głodnego psa — jak mawiała Domnika. A że jako uboga dziewczyna trzymała się zawsze od wszystkich z daleka i nie utrzymywała bliższych stosunków z żadnymi dziewczętami i gospodyniami, nie miała więc wśród nich nikogo jej przychylnego, kto by ujął się za nią w nieszczęściu.

Tylko jedna jedyna Dokia była jej życzliwsza niż inni. Zaopiekowała się nią z całego serca, zabrała ją do siebie na miejsce swej córki, która płakała za matką niemal codziennie, od kiedy opuściła jej dom i dostała się pod władzę teściowej i niezbyt kochanego męża... Więc Dokia wzięła ją do siebie i obiecała nie porzucać jej w ciężkiej go-dzinie.

Wasył pił jak dawniej. Petro chodził na roboty i nie było go w domu całymi tygodniami, a ona harowała w domu za wszystkich. Od czasu jak córka poszła od niej, osłabła jeszcze bardziej i nie mogła sama jedna utrzymać wszystkiego w należyтым porządku. Ze względu więc na swą słabość, z myślą o córce, a także litując się nad nieszczęściem młodej dziewczyny, znalazła dla niej kącik w swej chacie.

Tylko ona jedna знаła jej tajemnicę. Dziewczyna sama jej to wyznała, błagała ją jednak na klęczkach, by jej nie zdradziła. Przed nikim, nikim. Mychajło sam powie. Przyjdzie czas, to sam powie. Tak uradzili...

— Jak chcesz, doniu — powiedziała Dokia. — Ale czy to ci wyjdzie na dobre?

— Na dobre, na dobre — zapewniała.

— Ano, może ty masz i rację — powiedziała w zamyśleniu Dokia. — Co ci jest przeznaczone, tego ci nikt nie odbierze, czy będzie kto o tym wiedział, czy nie. Co prawda, to prawda. Zamierzaliśmy z Iwoniką ożenić Mychajła z Parasyneką. Nasze pola sąsiadowały ze sobą, jakby sama ziemia już to ułożyła, no i co z tego? Stary chciał, Maryjka chciała, ja chciałam, młodzi też nie byli przeciwni, ale widocznie Bóg nie chciał. Zawsze będzie tak, jak ma być.

W duszy myślała jednak inaczej. Była święcie przekonana, że rodzice Mychajła nigdy nie przyjmą za synową takiej biedniaczki, jak ta nieszczęsna dziewczyna. Poza Parasyneką żadna im dotąd nie przypadła do gustu. A gdyby nawet stary Iwonika zgodził się ostatecznie na taki wybór, jako że był to człek dobry i serdeczny, to Maryjka nie odstąpi od swego za nic na świecie.

Jak gdyby słyszała narzekanie starej: „Na mojej ciężko zapracowanej ziemi mam żebracze dzieci hodować? Co ona ma? Ot, ten jeden łachman, co ją okrywa. Memu synowi potrzebna gospodyni i ziemia”.

Nie zdradzała się jednak przed dziewczyną ze swymi myślami, nie chciała jej pozbawiać nadziei. I tak znajdowała się w przykrym, opłakanym położeniu.

Anna zamieszkała więc u Dokii, pracując i ukrywając się przed ludzkimi oczami. Liczyła dni do powrotu Mychajła, dni męki i bólu. Zaraz po manewrach miał przyjść na dwa lub trzy miesiące do domu. Na świętego Mychajła miał rozmówić się z ojcem i matką. Pewien młody kleryk mówił mu w wojsku, że jego patron, święty Mychajło, to potężny i ważny święty i że bardzo dobrze wszelkie ważne sprawy rozpoczynać lub kończyć w dniu swego patrona.

Ten wielki dzień przypadał dwudziestego pierwszego<sup>1</sup>, a teraz była połowa sierpnia, do powrotu Mychajła pozo-

---

<sup>1</sup> Wrzesnia.

stawiało więc jeszcze dobrych pięć czy sześć tygodni. Czas jednak szybko płynął. Pracowało się bez przerwy, bo właśnie zwożono zboże z pola, tylko tu i ówdzie coś tam się jeszcze kołysało.

Anna nosiła robotnikom jedzenie w pole, pasła bydło na ścierniskach i poila je oraz szyła. Szyła pięknie i szybko (musiała jej to sama z zazdrością przyznać) i dzięki protekcji Dokii otrzymywała od niektórych gospodyń robotę, za co od czasu do czasu kapnął jej jakiś grosz.

Pewnego razu Anna pasła w polu bydło i szyła. Siedziała pod jakimś samotnym drzewem, co je ktoś kiedyś zasadził dla wyznaczenia miedzy, i szyła czyjaś męską koszulę. Układ jej ust i twarzy znamionowały smutek i zmartwienie. Przeżywała rzeczywiście gorzkie dni. Wczoraj matka przykazywała przez starego Petra, by wpadła do domu, bo ma jej coś ważnego powiedzieć. Wiedziała jednak, czego matka od niej chce, i co ją tam czeka, kiedy pójdzie.

Nie pójdzie. Matka będzie domagać się pieniędzy, a jak nie dostanie, to ją zbije i wypędzi. „Jak się chcesz obcym wysługiwać, to musisz i pieniądze od nich wyciągać” — gderała zwykle, po czym następowały obelżywe słowa.

Ale ona miała już tego dość. Brakło już sił znosić to ciągle znęcanie się, czuła się zupełnie osłabiona. Niekiedy nie mogła przełknąć nawet kęsa chleba, mimo że odczuwała głód, bo dławiły ją płacz i zgryzota. Ze wszystkich stron osaczały ją oczy ciekawskich, a najbardziej przykre były dla niej ciągle szeptu kobiet, kiedy się pojawiała wśród nich; a były przecież między nimi i takie, którym za młodu ani odrobinę lepiej się nie powiodło, teraz były jednak surowe i bezlitosne. Ale najbardziej bolały ją drwiny Maryjki, o jakich dowiadywała się od Dokii.

— Patrzenie, patrzenie — rozwodziła się przed Dokią. — U świętego Iwana robiła się taka pobożna, jakby w życiu patrzyła zawsze tylko na święte ikony, a teraz pokazało się, co jej w głowie.

Dokia broniła jej, któż jednak zdoła powstrzymać wszystkie plotkarskie ozory? Dokia zapewniała przy tym,



że w dodatku jeszcze Domnika podjudzała Maryjkę przeciw niej.

— Obmawia innych — mówiła — żeby odwrócić uwagę od siebie. Zdaje jej się, że zamknie gęby tym wszystkim, którzy dobrze wiedzą, jak się sama prowadziła na służbie w mieście.

Dokia splunęła.

— Dziwię się tylko — ciągnęła dalej — że Maryjka żyje z nią w takiej komitywie. Taka chytra i szachrajka, jakiej świat nie widział. Nawet jednego włosa za darmo nie da. Wyszła za mąż za bałwana, a w jej mieszkaniu pełno wszystkiego jak w sklepie. Wszystko wycygała. Już nawet te dwie wdowy staruszki, Maryjki sąsiadki, gorszą się jej zachłannością na wszystko i dziwią się, że swym jęzorem omota każdego jak pajęczyną i przeciągnie na swoją stronę.

Wszystko to bolało i gryzło nieustannie młodą dziewczynę. Jej cześć, jej panińska cześć, jaką zdobyła sobie długą służbą u pani, rozwiała się teraz jakby uniesiona przez wiatr. Czuła się taka samotna, przez wszystkich opuszczona, taka przygnębiona jak prawdziwa zbrodniarka.

— Żeby chociaż on tu był — mówiła ciągle do siebie. — Gdyby on był tutaj, wszystko byłoby inaczej. Niechby nawet milczał, nawet cały rok niechby milczał, czekałabym, tylko żeby już raz tu był.

„Nie pozwolę ci nawet tknąć się niczego, jak będziesz moją gaździną — mówił jej pieszczotliwie, kiedy wpadał na przepustkę na parę dni do domu, a ona żaliła się przed nim, że musi tak ciężko pracować. — Będę cię na rękach nosił...”

Płakała za każdym razem, kiedy przypominała sobie te jego słowa. Mówił zawsze tak, że musiała płakać. Taki był dobry. I dlatego tak bardzo go kochała. Dlatego miała dla niego tyle serca... Byłaby wyrwała to serce dla niego... Broniła się... Tylko Bóg jeden wie, jak się broniła... ale w końcu uległa. No i tak...

Otarła płótnem oczy, które zaszyły dużymi łzami, i zaciśnęła usta. Potem uniosła głowę i spojrzała na pasące się

bydło. Było w pobliżu razem, skubiąc pilnie trawę. Wzrok jej pomknął dalej ponad ścierniskiem, tam gdzie pola przechodzą w lekką kotlinę, i mimo woli zatrzymała się na nich. Koło zielonej, gęstej kępki drzew bielila się, jak gniazdo, polna zagroda Mychajła. A tam dalej zieleniły się lasy. „Sąsiedzki” i mały „pański”. Owładnął nią niewymowny smutek. Wspomniała ten wieczór, kiedy Mychajło powiedział jej po raz pierwszy, że się z nią ożeni, i kiedy tak się przestraszyła „sąsiedzkiego” lasu. Uśmiechnęła się smutno. Czego miała się wtedy obawiać? Czemu? Ot, głupia była i tyle. On był z nią, była wolna jak ptak, szli razem, we dwoje... Na świecie było jasno, cicho, czego miała się lękać? Czym to było w porównaniu z tym, co jest teraz?

Westchnęła. Dopiero teraz było czego się bać. Znęcali się nad nią, drwili z niej, rodzona matka i rodzony brat wygnali ją z domu, przepędzili ją ze służby, gdzie pracowała z oddaniem, bez chwili odpoczynku, a przecież nikt jej nie żałował. Całe szczęście, że mogła jeszcze pracować. Nie mogła przecież być na czyjejs łasce i siedzieć z założonymi rękami. Nawet kiedy z nóg ją zwali...

Ale może Bóg pozwoli, że kiedyś odwdzieczy się Dokii za jej dobre serce. Pokaże jeszcze ludziom, że nie jest bez czci, jak sądzą. Jeszcze im pokaże... I ona, i on im pokażą...

Dokia stała się dla niej prawdziwą matką, a stary Petro — żeby to jej brat był kiedyś dla niej taki jak on. Nigdy złego słowa jej nie powiedział, a czasem nawet bułkę od Mendla przynosił dla niej.

— Jedz, bidulo — mówił, wciskając jej na siłę do ręki bułkę, kiedy się wzbraniała wziąć. — Jedz, niebogo. Tyle twego dobrego, co zjesz.

Ciągle podejrzewała, że on zna jej tajemnicę od Dokii, była jednak przeświadczona, że w niczym jej nie będzie szkodził. Potrafił krzyczeć i łajać swym potężnym głosem na cały dom, podrywał nim wszystkich na nogi, niepokoił sąsiadów, a dozorując robotników w polu czy przy stodo-  
le trzymał ich twardo w cuglach. A przecież był człowiekiem szczerym i dobrym, o miękkim, wrażliwym sercu.

Prała mu bieliznę, oddając mu ją białą jak śnieg, oraz wykonywała posłusznie wszystkie zlecone jej przez niego gospodarskie roboty.

Wasył mało się nią przejmował. Było mu obojętne, czy ona była, czy też jej nie było. Właściwie jej obecność nawet mu trochę dogadzała. Kiedy nieraz całymi dniami przesiadywał u Mendla w szynku na Hopplacu, Dokia nie była w domu sama.

Dzień był upalny, do zachodu słońca było jeszcze daleko. W pobliżu dziewczyny krążył płynnym, kokieterijnym lotem duży motyl, przysiadając na chwilę koło niej to tu to tam, jakby chciał zmusić ją do podziwiania jego ciemnoaksamitnej krasy. Na ściernisku szczyrczykały bez przerwy koniki polne, ożywiając błogą ciszę, rozlewającą się wokół daleko i szeroko po polach. Opodał, na sąsiednim zagonie dwaj mężczyźni nakładali na wóz snopy, poza tym nie było w pobliżu żywej duszy.

Nagle coś zmusiło ją do oderwania wzroku od szycia. Przeniknęło ją całą jakieś przykre uczucie. W ostatnich czasach robiła się bardzo wrażliwa. Naprzeciw niej wyłoniła się nieoczekiwanie, jakby spod ziemi wyrosła, Rachira; zbliżała się szybkim krokiem. Musiała spojrzeć na nią. Znały się tylko przelotnie, nie rozmawiały nigdy ze sobą dłużej niż kilka minut i trudno byłoby powiedzieć, że żywiły dla siebie przyjazne uczucia.

Rachira nie lubiła Anny, bo ta nigdy nie wdawała się z nią w plotki, za czym młoda ciekawska Cyganka przepadała, oraz za to, że powiedziała jej raz wobec innych dziewcząt prosto w oczy: „Czemu ty się nie zaczeszesz. Masz kudłaty łeb jak nie strzyżony baran”. Obecne przy tym dziewczęta aż zapiszczały z uciechy. Tego nie mogła jej nigdy zapomnieć.

A i Anna też nie zachwycała się Rachirą, bo słyszała wiele złego o niej od ludzi przez nią bardzo szanowanych i lubianych, wśród nich od Dokii i Mychajła. Wiedziała też, że Rachira była chytra jak lisica, nieznosnie wścibska i — jak słyszała ostatnio — cieszyła się z jej nieszczęścia.

„Unikała niedzielnych tańców na Hopplacu, ale latała tak długo nad koniczyną, aż wróciła z miódkiem na nóżkach” — drwiła z niej przed Sawą, a Sawa rozpowiedział innym chłopcom; usłyszał o tym również stary Petro i przyniósł tę wiadomość do domu.

Z tego wszystkiego wynikła między nimi wrogość, burząc młodą, półdziką krew.

Rachira szła do lasu, do córki starego Łopaty, z którą miała ciągle jakieś interesy dotyczące gorsetów i cekinów, a że nic w kręgu jej widzenia nie uszło jej łakomej uwadze, więc dostrzegłszy dziewczynę przy bydle, podeszła do niej bez wahania, by przystanąć na chwilę na pogawędkę. Być może — myślała — uda się jej tu, w samotności, wydobyć z niej tajemnicę, stanowiącą teraz dla wszystkich gospodyń i dziewcząt przedmiot największego zainteresowania. Dalsze losy tej poważnej dziewczyny były nie byle jakim obiektem plotek i dociekań. Każda z nich marzyła o tym, by mogła pierwsza dowiedzieć się czegoś pewnego o owym bohaterze w życiu Anny i rozwikłać tę całą tajemniczą zagadkę, co nikomu nie dawała spokoju.

„Jak pszczoła buduje po ciemku ściankę, tak i ona zamknęła się przed ludźmi i tka swój los” — mówiły monotonnie siwe sąsiadki Marii, dwie staruszki wdowy, wzruszając obojętnie ramionami. Ich jednych tylko nic już nie ciekawiło, choćby Domnika czy Maria nie wiedzieć co opowiadały.

Młoda dziewczyna zbliżała się do pochylonej nad szykiem Anny bezszelestnie jak kotka, z czyhającym spojrzeniem czarnych, błyszczących oczu. Anna odczuwała coraz bardziej jej bliskość, udawała jednak, że jej nie dostrzega. Gniewało ją to, że będzie zmuszona rozmawiać z tą — jak ją nazwał Mychajło — młodą wiedźmą i odpowiadać na jej różne pytania; znana była przecież ze swej przebiegłości i nachalności w wydobywaniu wszelkich nowin. Rachira zatrzymała się wreszcie przy niej.

— Szczęść Boże, Anno — pozdrowiła przypochlebnie.

— Dziękuję — odpowiedziała Anna. — A dokąd to?

— Do Onufrowej Jelisawetki. Ma mi dać wzór na gorset, co go chcę zrobić na patrona cerkwi. A ty co robisz?

Anna poczuła się dotknięta „tykaniem” tej odpychającej dziewczyny. Były wprawdzie w jednym wieku, ale ponieważ Rachira w ogóle nie cieszyła się dobrą opinią i Anna słyszała, jak mawiano o niej zwykle lekceważąco, więc podrażniona teraz tą poufałością odpowiedziała ze złością:

— To robię, co widzisz.

— Szyjesz ślubną koszulę? — spytała Rachira z lekką drwiną, również rozdrażniona, jakby przytakując swoim słowom.

— Może i ślubną — ucięła krótko Anna.

Rachira chwilę milczała. Potem zmieniła taktykę. Podniosła jedną nogę i spojrzała na nią z zatroskaniem.

— Przeskakując przez ten rów, tak rozdarłam sobie nogę o tarninę, że ledwie mogę dalej iść. Muszę na chwilę usiąść — powiedziała zupełnie innym tonem.

— Siadaj — odburknęła Anna, obrzuciwszy ją niechętnym spojrzeniem. Czuła, że teraz już tylko sama ciekawość przykuwała Rachirę do niej.

Rachira usiadła, obserwując przez chwilę w milczeniu, jak Anna wbijała i wyciągała igłę z płótna.

— Dla kogo ta koszula? To męska?

— Tak.

— To bardzo cienkie płótno. Z takiego szyje się ślubne koszule.

Anna nie odzywała się.

— Radam ci, Anno, z całego serca — ciągnęła żywo dalej. — Masz wielkie zmartwienie. Kiedy twoje wesele?

Anna zaczerwieniła się.

— Kiedy mój miły zechce — odpowiedziała zmieszana.

— A baby we wsi plotkują, że on już cię rzucił i ma inną.

Głos Anny zadrżał.

— Tak? Któż to tak mówi?

— Jedna gospodyni mi mówiła. Powiedziała tak: „Jakby Anna była mądra i nie zatajała wszystkiego, to on musiałby się z nią ożenić. Ale ona milczy, jakby się bała do-

chodzić swoich praw, no a on tymczasem znalazł sobie inną, a ją puścił w trąbę. Kto ją weźmie teraz z dzieckiem? Kto będzie chciał chować obce dziecko? Jakim prawem, za czyje grzechy?". Tak właśnie mówiła ta gospodyni.

Anna aż się zatrzęsała z żalu i zniewagi.

— Już ona zobaczy, kto mnie weźmie — powiedziała głęboko poruszona. — Niech się o mnie nie martwi. Sama dam sobie radę. Niech inni lepiej siebie pilnują.

— To samo jej powiedziałam — ciągnęła Rachira gładko — ale ona jeszcze dodała: „Anna — powiada — robi wstyd także chłopcom, bo do nas przychodzą w swaty ludzie z sąsiednich wsi i co sobie pomyślą? Powiedzą, że u nas są tacy chłopcy, co uwodzą dziewczęta, a potem wystawiają je tylko na pośmiewisko. Nie przyjmą ich do swej wsi. Zawsze każdy żenił się z dziewczyną, jak się coś takiego przytrafiło. Każdy szedł wtedy do dobrodzieja, pokajał się, dobrodziej zbeształ i dawał ślub, a tu? Wstyd tylko i hańba.”

Rachira wpiła się przenikliwymi, błyszczącymi ślepiami w twarz przeciwniczki i, pomilczawszy chwilę, dodała:

— A potem powiedziała jeszcze: „Wszystkiego bym się po Annie spodziewała, ale żeby narobić takiego wstydu matce i bratu, który chce się żenić z córką porządnego gospodarza, gdzie kto coś takiego słyszał?”

Anna uniosła głowę. Była bardzo blada. W pociemniałych, aż czarnych oczach zabłysła niewypowiedziana pogarda i nienawiść.

— Ty — powiedziała. — Po coś tu przyszła dogryzać mi twoimi donosami? Idź precz, skąd przysłaś, i nie leż mi w oczy. Ja ci nie mówię, co ludzie o tobie gadają.

Rachira zerwała się momentalnie na równe nogi i wybałuszwszy na Annę swe okrągłe oczy przez chwilę milczała. Niedługo jednak... W następnym momencie wyczerpała się jej cierpliwość i z ust jej posypało się jak grad:

— Ty... ty... ty wiesz, co ludzie o mnie mówią? Ty, co masz całą skórę na plecach pokrytą siniakami, ty, co jutro pójdziesz na żebry po ludziach? Ty wiesz, co ludzie mówią

o mnie? Pluję na ciebie. Co takiego wiesz? No, mów tu zaraz, niech usłyszę — wyrzuciła z siebie jednym tchem, gestykulując rękami. — Tylko nie bresz<sup>1</sup> jak Iwonikowa Sojka koło polnej zagrody, mów prawdę.

— Chcesz wiedzieć? — odpowiedziała też już rozjątrzona Anna. — Zaraz ci powiem. Jesteś taką złodziejką, powiadają, jak twój tato, i nie straszny ci, jak i jemu, żaden grzech. Dałaś Sawie lubczyku i ciągniesz go za sobą jak cielę na powrozie, tak że nie słucha ani ojca, ani matki, ani nikogo. Tak. Myślisz, że nikt o tym nie wie? Co? Myślisz, że on się z tobą ożeni i ty będziesz rozpierać się na gruntach Iwoniki? Nie spiesz się tak — zaśmiała się na całe gardło, potrząsając butnie głową. — Musisz na to jeszcze trochę poczekać... Takiej gospodyni jak ty, Iwonika w swoim gospodarstwie nie potrzebuje. Nie trzeba mu złodziejek i czarownic, możesz być tego pewna. I nic ci nie pomoże, ani twój lubczyk, ani różne twoje czary. A mnie nie masz tym co oczu wykłuiwać, bo tobie też nie wolno będzie iść do ślubu w wianku, o tym wszyscy wiedzą. A Sawa z tobą się nie ożeni. Zresztą...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Rachira doskoczyła do niej, ciężko dysząc.

— To może on się z tobą ożeni, co? — krzyknęła, biorąc się pod boki.

— Ze mną nie, ale i nie z tobą. Iwonika i Maria nigdy na to nie pozwolą. Ja wiem — zawołała Anna drżącym głosem, zupełnie pobladła.

Była to najgorsza rzecz, jaką można było dotknąć Rachirę i czego bała się jak ukłucia szpilki. Oczy jej zamiotały złym blaskiem, jednak i ona roześmiała się, jak przed chwilą Anna, na całe gardło.

— Mówisz, że Sawa się ze mną nie ożeni? — spytała. — I ty o tym wiesz? On ci to powiedział? Możesz przysiąc? A kto pośle swatów do ciebie, ty, pokojówko na cudzej łasce, jak ty tak wszystko dobrze wiesz? Który z synów bogaczy? A może wybierzesz sobie sama tego, którego ze-

---

<sup>1</sup> Brechać — szczekać, ale też łągać, kłamać.

chcesz? Masz ich tylu, ile dziedziczka pierścieni na palcach. A możesz ty go już wybrała, tyłkoś zapomniała, jakie imię mu na chrzcie dali, i dlatego zostaniesz z siwą kosą<sup>1</sup>? Może to stary Petro, który siedzi na łasce u swojej siostry, tak jak ty teraz, a może to Sawa weźmie ciebie, jeśli nie mnie? Co? Albo może jego brat, Mychajło? Chwalił się kiedyś przed Sawą, że może zostanie w przyszłości sołtysem, to i ty będziesz przy nim panią sołtysową. Stary Iwonika i Maria już zawczasu drzwi przed tobą otworzą, a i w kumy możesz ich poprosić... — i nie dokończywszy zdania zarechotała znowu.

Przy ostatnich słowach Anna poderwała się jak na sprężynach. Wysoka, wzburzona stanęła przed młodą Cyganką, grożąc jej gwałtownie pięścią.

— A tak, a tak, żebyś wiedziała. Wybiorę sobie Mychajła, żebyś wiedziała — stłumionym głosem wycedziła przez zbiegające wargi. — A zanim on zostanie sołtysem i odda ci to, co ci się należy, ja ci dam od siebie.

Zamachnęła się ręką, która opadła na smagłą twarz młodej dziewczyny, rozległo się głośnie klaśnięcie.

Rachira rzuciła się z obu rękami na Annę jak tygrysi-ca. Jednak Anna, rozdrażniona i wzburzona do ostateczności, pchnęła ją z męską niemal siłą w piersi tak niespodziewanie, że dziewczyna zatoczyła się kilka kroków w tył.

— A kiedy Mychajło będzie sołtysem — wołała bezdźwięcznym głosem — a ja jego gaździną, to wypędzi ze wsi takie wróżki i więdzmy jak ty. Tak. Teraz już wiesz, coś chciała wiedzieć, i ciesz się, jak masz ochotę. Teraz już możesz sobie iść. Już dostałaś to, co ci się należało.

Powiedziawszy to, zebrała szybko szycie i ruszyła do bydła, które, pasąc się, oddaliło się nieco od dawnego miejsca.

Rachira nie poszła za nią. Bała się tej rozjuszonych kobiety i jej mocnych pięści, których siłę dopiero co odczuła.

---

<sup>1</sup> Zgodnie ze zwyczajem dziewczętom po wyjściu za mąż ucinano warkocze, stąd „siwa kosa”, czyli siwy warkocz, był hańbiącym dowodem staropanieństwa.



Pozostała na miejscu. Nie posiadając się z gniewu i oburzenia, zaciskała raz po raz pięści, wygrażając nimi i wykrzykując głośno brutalnie ordynarne, obelżywe słowa.

— Czekaj, czekaj — kończyła każdą nową obelgę jakimś śpiewnym głosem. — Popamiętasz ty jeszcze. Jeszcze popamiętasz, kto to Rachira i kogo poczęstowałaś policzkiem. Teraz już wiem, coś za jedna, poczekaj, teraz dopiero zobaczymy, kto pójdzie ze wsi, a jeszcze do tego z torbami. Zobaczymy, kto dostanie to, co mu się należy. Poczekaj! Poczekaj!

Długo tak jeszcze wygrażała, oddalając się wolno z niebezpiecznego miejsca.

Ale Anna już jej nie słuchała. Pognała bydło w przeciwną stronę i ani razu nawet się nie obejrzała. Było jej zupełnie obojętne, co się poza nią działo. Czuła jednak wyraźnie, że opuścił ją jakiś trujący jad, który gnieździł się gdzieś na dnie serca. Nie mogłaby powiedzieć, co to było, czuła jednak, że jest jej teraz dobrze...

Rachira nie wstępowała już do córki Onufrego Łopaty z lasku po wzór na gorset. Nasunawszy chustkę, która wskutek gwałtownych ruchów opadła jej na plecy, zawróciła pospiesznie do domu.

## xv

Tego wieczoru Sawa zaszedł do Rachiry i przesiedzieli razem do północy.

Noc była jasna i cicha. Siedzieli na przyzbie, rozmawiając i sprzecając się.

Rachira była bardzo wzburzona, jej okrągłe oczy sypały raz po raz iskry. Chyba już po raz szósty opowiadała mu o zajściu z Anną i ciągle domagała się, by oddał jej za nią.

— Bo inaczej — groziła — nawet nie spojrzę w twoją

stronę. I oczy ci wydrapię, jak zbliżysz się do mnie na krok.

Obiecał jej zdecydowanie, że Anna poniesie karę. Sam był tak głęboko oburzony wyrządzoną dziewczynie zniewagą, że od czasu do czasu walił pięścią po przyzbie, jakby mszcząc się na Annie, co jednak nie mogło dziewczyny zadowolić.

— No to kiedy ją poczęstujesz? — dopytywała niecierpliwie. — I jak to zrobisz? Chciałabym wiedzieć. A najlepiej, jakbym mogła się gdzieś schować i patrzeć, jak ty poczęstujesz panią sołtysową.

— Już ty się o to nie martw — odpowiedział lekceważąco, z pochmurnym spojrzeniem stalowych oczu, które nigdy nie spoczywały. — To już moja rzecz. Poczęstuję ją, gdzie ją tylko zdybię, w polu albo na drodze. A potem niech mnie poda do sądu.

— Najlepiej, jak będzie sama pasła bydło w polu, bez świadków.

— Teraz zaraz nie mogę tego zrobić, bo będzie uważała — dodał — tylko trochę później, jak już sama zapomni. Pójdę na nasze pole... a nasze pole o miedzę z łąnem Dokii, i tam ją ochrzczę... Podejdę do niej całkiem cicho, tak jakbym chciał zapytać, czy nie ma dzbanka z wodą, i stanę przed nią. Stanę przed nią — ciągnął ze zmienioną nagle twarzą, jakby w rzeczywistości przeżywał scenę, jaką odtwarzał teraz słowami — i spojrzę na nią. A potem zapytam: „Słuchaj, Anno, kto to Rachira? I kto wypędzi ją ze wsi?”. Wytnę ją w lewy i prawy policzek, aż ziemia jej się ugnie pod nogami i w oczach jej pociemnieje. A później spytam: „Skąd ty wiesz, że Sawa Iwoniki Fedorczuka nie ożeni się z Rachirą? Skąd ty wiesz, że ona wieźma i zadaje mu lubczyku? Widziałas to i masz na to świadków?”. Wtedy przejdzie jej już ochota czepląc się ciebie i nazywać wieźmą, nie bój się. Nie przyjdzie jej ochota i wtedy, kiedy Mychajło zostanie sołtysem, a ona jego żoną. Polegaj tylko na mnie, mnie to zostaw.

Wymawiając tych kilka słów zbladł niezwykle, oczy zaślśniły dziwnym blaskiem, rozszerzyły się i stały się lodo-

wato chłodne. Stanowiło to przedziwny kontrast z jego delikatnymi, dziecięcymi rysami. Pierś jego wznosiła się i opadała, sapał tak, jakby ciężko fizycznie pracował.

Rachira chwyciła go za rękę i spojrzała z zadowoleniem na niego.

— Ty... Jak ty to zrobisz... Jak ty to zrobisz... — ledwie mogła mówić z wstrzymywanej radości — to ja nie wiem co... Inaczej tobym i jej, i Dokii, i tym wszystkim, co trzymają u siebie tę jadowitą żmiję, podpaliła chałupę. Dalibóg, Sawo, że bym podpaliła.

Obiecał raz jeszcze dotrzymać słowa i wreszcie uspokoiła się. Potem wsunęła się bezszelestnie do mieszkania, gdzie spali starzy, i wyniosła tytoń i flaszkę wódki.

— Teraz się napij — wyszeptwała z zadowoleniem, podtykając mu trunek.

Potem usiadła na ziemi, podciągnęła pod siebie nogi na sposób wschodni i napychała fajkę. Była to dla niej najszczęśliwsza chwila, najbardziej zawsze oczekiwany moment. Paliła z chęcią, namiętnie, nie miała jednak odwagi robić tego jawnie, bo matka biła ją za to, bała się też ludzkich kpin. We wsi nie paliła ani jedna dziewczyna, było to w zwyczaju tylko u Cyganów, a ona nie chciała uchodzić za Cygankę. Absolutnie, za nic w świecie. Sprzeciwiała się temu całą siłą swej dzikiej, nieujarzmionej natury. Ale tu, w nocy, kiedy siedzieli sami i nikt ich nie widział, mogła robić, co jej się podoba.

On też lubił, kiedy ona paliła; bawiło go to. W pobliskim miasteczku, przylegającym do ich wsi, sam kupił jej fajkę i w ciszy dyskretniej nocy lubował się jej paleniem.

Ponieważ dni były teraz upalne, chodziła w samej tylko podpasanej koszuli. I tak siedziała teraz u jego nóg. Gęste, niesforne włosy spadały jej puklami na czoło, grube, krótki warkocz przy gwałtownych ruchach głowy podskakiwał na plecach jak żywy. Paląc wpatrywała się bez przerwy w Sawę. Przypadła do niego całą namiętą naturą. Cieszyła się, widząc, że sprawiła mu przyjemność przyniesionym trunkiem, pod wpływem którego ożywił się i stał się

rozmowny. Niekiedy bała się go. Ale kiedy trochę wypił, łatwiej było dobrać się do niego i coś tam wyprosić.

Noc była taka jasna, wokół nich widać było wszystkie przedmioty tak dokładnie, że można było łatwo policzyć drobne liście wiśniowych drzew, otaczających nędzną chatę. Od ciemnej zieleni ogródka warzywnego odcinały się smukłe, strzeliste malwy, a ich białe kwiaty niekiedy jakby bladły w gęstym listowiu w czarodziejskiej poświacie księżyca.

Gdzieś za ogrodem, we wschodniej stronie krzyknęła przeraźliwie smutno sowa.

Rachira usłyszała ją.

— Ktoś umrze — powiedziała sucho, zwracając błyszczące oczy w stronę, skąd doszedł złowróżbny krzyk. — Z której strony krzyknęła?

Sawa wzruszył ramionami.

Krzyk powtórzył się i, jak się teraz zdawało, gdzieś w pobliżu.

— A sio, to gdzieś koło nas — zawołała.

— Boisz się? — spytał i spojrzał na nią poważnie.

— Nie.

— Nie bój się, ty nie umrzesz.

Uśmiechnęła się, pokazując białe, lśniące zęby.

— Niech moje wrogi umierają — powiedziała. — Nic jednak starym o tym nie powiesz? — zapytała po chwili milczenia. — Ja bym im umyślnie wszystko opowiedziała. Niech się trochę pocieszą, jak złą godziną. Ja im się nie podobam, to może ona przypadnie im do serca.

Ale on potrząsnął głową. Przyszła mu do głowy inna myśl. Wolał ją jednak zachować dla siebie. Kiedyś, w przyszłości mogło mu się to lepiej przydać w jego rozgrywce z Mychajłem. Chciał przyłapać kiedyś brata, z dziewczyną, a wtedy... Jego oczy znowu zamigotały zimnym blaskiem, a potem zaczęły myszkować po ziemi przebiegając od jednego do drugiego przedmiotu, aż wreszcie znieruchomiały.

Po pewnym czasie złożył głowę na rękach opartych o kolana, wpatrzył się w ziemię i powiedział:

— W tym roku tato ma przepiękną pszenicę. To właśnie ta, pod którą sam orałem i którą do końca dosiałem.

— No to co? — spytała, wyjmując na chwilę fajkę.

— Nic. Tylko ta ziemia, na której posialiśmy w tym roku pszenicę, jest bardzo dobra. Wszystkie nasze grunty są bardzo dobre. Ziemia taka tłusta i piękna, że co byś nie posiał, wszystko pysznie wyrośnie.

— Toś ty o tym nie wiedział? — spytała z lekką drwiną. — Cała wieś wie, że grunty Iwoniki u nas chyba najlepsze. Podobno nawet lepsze od pańskich.

— Wiedziałem o tym i przedtem — odpowiedział powoli, w zamyśleniu. — Ale od kiedy poszedł Mychajło, wiem to jeszcze lepiej. Jak człowiek sam orze, sam sieje, sam bronuje, lepiej wszystko poznaje. Ale ten kawałek leży niedaleko od polnej zagrody i od niego najbliżej do cesarskiego gościńca, bardzo bym go chciał mieć. Chciałbym tam postawić sobie chałupę. Ale — dodał powątpiewająco — czy ojciec mi go da? Mychajło też raz mówił, że tam byłoby bardzo dobrze pobudować chatę. Mielibyśmy wokoło swoje pola. Blisko do drogi, a w polnej zagrodzie nie będzie można przecież zawsze przebywać. Obaj nie możemy tam siedzieć.

— Stary nie da ci tego ładu — powiedziała Rachira stanowczo.

Nie odpowiedział.

— Stary ci go nie da — powtórzyła rozdrażniona. — On go da Mychajłowi. A nawet jakby ci go dał, to zażąda, żebyś mnie porzucił...

Sawa miał widocznie to samo na końcu języka, bo dodał z takim samym rozdrażnieniem i zniecierpliwieniem:

— On zacznie zaraz mówić, że to grzech, że z grzechem na duszy człowiek nie będzie miał nigdy z ziemi żadnego pożytku, no i takie tam... Wiem o tym. Naprzód już wiem...

Rachira patrzała przed siebie w zamyśleniu. Ujrzała siebie jako gaździnę, jak szła za Sawą w niedzielę do cerkwi w pięknym, śnieżnobiałym ręczniku na głowie, w długim, wyszywanym kozuchu. Wszyscy mężczyźni i kobiety oglądali się za nimi, a dziewczęta aż wyłaziły ze

skóry z zazdrości. Ona była gospodynią na Iwonikowych gruntach. Ona, Rachira.

Było to jej marzenie, które stale pieściła w sercu. Było to ogromne szczęście, do którego rwała się jej chciwa natura i bez którego nie mogła sobie wyobrazić swego życia.

Przylgnęła do niego całą swą nienasyconą, gorącą istotą z całym głodem młodej, dzikiej natury, która złączywszy się z innym życiem, nie mogła nawet w myślach rozstać się z tą wizją, bez względu na wymogi i skutki, jakie jej realizacja mogłaby za sobą pociągnąć. W pogoni za utrzymaniem realnych szans tego wymarzonego szczęścia, nieświadomie demoralizowała się coraz bardziej, nie cofając się dla dopięcia swego celu nawet przed najpodlejszymi czynami.

Musiało stać się tak, jak ona to sobie umyśliła, wyobrażała, tak jak chciała. Inaczej nie mogło być. On chciał jej, ona chciała jego, on miał dostać od rodziców ziemię, a wszystko inne niemal nie istniało dla niej.

— Ty — wyrwało się nagle niecierpliwie z jej ust. — Na co ty właściwie jeszcze czekasz? Aż Mychajło wróci z wojska?

— Przecież i ja mam jeszcze iść do wojska — odpowiedział ponuro. — Pierwszy raz nie wzięli, ale teraz mogą zabrać.

— Ciebie też? Przecież zabrali już Mychajła.

— Niby tak, ale ja muszę odsłużyć za siebie — powiedział znów chmurnie.

— A gdybyś miał jeszcze jednego brata — spytała po chwili — to i on też by musiał iść?

— Oczywiście.

— A ty byś musiał koniecznie?

— Myślisz, że nie? Wtedy tym bardziej.

— Dlaczego: tym bardziej?

— Bo zawsze jeden by został przy rodzicach. Rozumiesz?

— Skąd to wiesz, kto ci to mówił? — spytała.

— Wiem. I od taty wiem. Wszyscy o tym wiedzą.

Zamilkła i znowu popadła w głęboką zadumę.

— A jak jest wtedy, kiedy w domu jest tylko jeden syn? — zapytała po chwili.

— Wtedy on może być zwolniony, wtedy można powiedzieć: „Rodzice słabi, on musi zostać w domu, żeby pomagać starym i kierować gospodarką”.

Rachira nie pytała już więcej. On też umilkł, skrzył papierosa, a ona zaczęła obgryzać paznokcie. Po jakimś czasie odezwała się:

— Jak Mychajło przyjdzie, to ty będziesz musiał iść. A zanim ty wrócisz, to on się ożeni i stary da mu najlepszą ziemię.

Mówiła to coraz niższym i słabszym głosem, jakby widząc, że szczęście nagle się jej wymyka, że rozwiewają się jej nadzieje.

— Ja nie muszę iść do wojska — powiedział.

— Przecież sam mówiłeś, że musisz.

— Odetnę sobie jeden palec... albo nie, ty mi dasz coś od swojej ciotki, jakieś zioła, jakiś napitek, żeby mnie na ten czas powaliło... Zmarnieję i nie wezmą mnie. Nie boję się żołnierki — dodał z naciskiem — ale nie chce mi się służyć. Będę się tam wałęsał ze dwa, trzy lata z karabinem, a w tym czasie stracę najlepszą ziemię. O ziemię mi tylko chodzi, tylko o ziemię. Wszystko inne jest mi obojętne. Jest nas na tę ziemię dwóch: mamy dostać jednakowo, i dobrą, i słabą.

— Masz takie samo prawo jak on — potwierdziła skwapliwie.

— Takie samo, a może i większe.

Oboje zamilkli. Siedzieli tak jakiś czas. Niebawem zapiał kogut. Było już po północy. Otrząsnął się ze swych myśli. Chciał wstać, ale ona chwyciła go za rękę i zatrzymała.

— Zostań już na tę noc — powiedziała półgłosem. — W domu nie będziesz lepiej spał niż tu.

Bez słowa usiadł z powrotem i objął ją za szyję. Szeptala mu do ucha pieszczotliwe słowa i przyłgnęła do niego jak łasica, on jednak nie usiedział długo. Nagle wstał, jakby

pod wpływem jakiegoś wewnętrznego rozkazu, jak gdyby go coś stąd gnało precz, i odsunął od siebie jej ręce. Oczywiście zaczęły błędzić to tu, to tam, potem zatrzymały się na flaszcze z wódką.

— Jest jeszcze coś? — spytał.

Zobaczywszy jeszcze trochę wódki, przyłożył flaszkę do ust i wypił wszystko do ostatniej kropli.

— A teraz pójdę już — powiedział.

Wstała, zaczęła bezszelestnie przeciągać się przed nim jak kotka i odprowadziła go aż do przełazu.

Podali sobie ręce.

— Nie zapomnij o Annie — przypomniała jeszcze w ostatniej chwili.

— Nie obawiaj się — odpowiedział, uśmiechając się.

Uśmiech ten skaził jego delikatne, dziecięce rysy...

„Żeby moja dobra dola tak o mnie zapomniała, jak ja zapomnę o niej — myślał, zmierzając obojętnym krokiem przez pole do polnej zagrody. — Jaka pobożna. Polazła z mamą na odpust, skamlała przed wszystkimi ikonami, ofiarowała świece i pieniądze, a teraz — patrzajcie. Włazili gdzieś pod ziemię jak krety, jak borsuki, żeby ich nikt nie przyłapał, ale i tak wszystko wyszło na jaw”.

Był wewnętrznie bardzo wzburzony, ale jednocześnie odczuwał wielkie zadowolenie i złośliwą satysfakcję. Ojciec i matka robili mu wyrzuty za jego związek z Rachirą, jak za jakieś przestępstwo, nazywali to najcięższym grzechem, trąbili mu do uszu od rana do wieczora różne przestrogi i pogrożki, że niczego od nich nie dostanie, a tymczasem starszy uwiódł głupią wyrobnicę i chciał im wprowadzić ją do chaty jako synową...

Cała ta sprawa wydała mu się w tej chwili taka zabawna, że omal nie roześmiał się na głos. „Kapitan”, jak go kiedyś matka nazwała, przyszedł „sołtys”.

„Tak, tak — myślał dalej. — Mama dopiero otworzy oczy i kłaśnie w rączki, jak się o tym dowie. To dopiero będzie dla niej pociecha”.

Nie triumfował jednak długo. Na wspomnienie matki



wszystko w nim umilkło i zlodowaciało. Wiedział dobrze. Tak jak matka nigdy nie wpuści do domu Anny jako synowej, tak samo nie przyjmie do siebie Rachiry. Nigdy. Rzuci się na niego jak wilczyca i będzie odrywać go od dziewczyny, kiedy przyjdzie już do ślubu. Czuł instynktownie, że właśnie ona będzie najzaciętszym wrogiem w walce o jego szczęście. Nie ojciec, nie Mychajło, nie ludzie, nikt inny, tylko ona jedna. Jedna jedyna.

Jego dłonie zacisnęły się mimo woli.

„Mamo, mamo” — zasyczał nienawistnie przez zęby, zaciskając mocno pięści.

Wszędzie było jej pełno. Zdawało się, że byłby ją teraz zgniótł, z taką świadomą nienawiścią pomyślał o niej w tej chwili, jako o zaporze na jego drodze.

Piers jego uniosła się wewnętrznym wzburzeniem, a nozdrza zadrżały. Był straszny w tej chwili. Gdyby go Maryjka ujrzała teraz, bez wątpienia powiedziałaby: „On znowu jakiś pomieszany”. Gryzła go w dodatku i męczyła ciągła trwoga, że nie dostanie żadnej ziemi. Ujrzał się jakby odtracony, wyzbyty wszelkiej wartości i czuł, że nie może bez ziemi zostać... Ale bez Rachiry też żyć nie może.

„Rachira albo ziemia” — stwierdził krótko pewnego razu ojciec, a matka powtarzała to samo jakby tysiącami języków. Mówiły mu o tym wszystkie kąty chaty, kiedy tylko stawał na progu. Ba, nawet sama ziemia miała dla niego jedynie te słowa. Wszędzie, gdziekolwiek tylko spoczął jego wzrok — na polach, na niwach, gdzie pyszniło się zboże, szeleściła kukurydza — we wszystkim słychać było tylko to jedno: „Rachira albo ziemia”.

Psuło mu to krew i wyprowadzało z równowagi. Podczas tych dwóch lat, w których był zmuszony służyć jej w dwójnasób, przykuła go do siebie bardziej niż ojciec i matka.

A Rachira znowu mówiła: „Jak nie będziesz miał ziemi, nie będziemy się mogli pobrać. Z czego będziemy żyli?”

I rzeczywiście, z czego by żyli?

Ale nawet we śnie przez myśl mu nie przeszło, żeby ją porzucić. Po prostu — nie potrafił bez niej żyć.

Czoło jego zachmurzyło się.

„Rachira albo ziemia?”

I usłyszał w sobie wyraźny głos:

„A dlaczego nie jedno i drugie?”

Tak, czemu nie jedno i drugie?

„I jedno, i drugie” — zaśpiewało w nim. Poczuł się nagle szczęśliwy, jakby już był w posiadaniu jednego i drugiego najdroższego skarbu.

Tak, obie. To mu wystarczało. Tylko tego pragnął. To była alfa i omega jego marzeń i pożądań. Właśnie to. Pragnął tego wszystkimi włóknami swej jaźni, to by mu starczyło do końca jego życia. Pragnął tego świadomie i podświadomie, tym tylko żył i tym tylko oddychał..

Szedł ciągle jeszcze przez pole do polnej zagrody. Noc była taka jasna i łagodna, taka cicha, jakby miała rozplynąć się w tej łagodności i krasie. Tu i ówdzie stało milczące, bezszumne, nie zżęte jeszcze zboże, drżała rosa na kłosach lub tłoczyły się ciasno snopy w półkopakach, rzucając wokół siebie niekształtne cienie.

Sawa szedł w kierunku pola, tą samą schodzącą w dół ścieżką, którą szła kiedyś Anna z Mychajłem. Wzrok jego zatrzymał się na polnej zagrodzie, ocienionej ciemnymi drzewami, a potem mimo woli przerzucił się na „sąsiedzki” las. Leżał ciemny i gęsty, tak spokojnie, jakby na kogoś czekał. Był zawsze jednakowy, poważny. Spojrzawszy na niego, chłopiec uspokoił się, jego wyobraźnię wypełniły inne obrazy. Kradł tam często drzewo. Ściął tam raz całego dąbka i sprzedał go; nikt do dziś o tym nie wiedział. Innym razem ukradł ojcu dwie barcie, schował je tam i znowu sprzedał, i ojciec na to nie wpadł. A raz, w środku lata, porwał matce kawałek płótna, co się biełilo, zakopał je w lesie i — jak kamień w wodę.

Czuł się tam pewniej niż w domu. Las ten nieraz oddał mu usługę, był niedaleko od polnej zagrody, a najważniejsze było to, że wszystko, co robiło się w lesie, nie było

grzechem. Czy ukraść co, czy coś kradzionego schować, coś dobrego tam zrobić czy złego — wszystko to nie było grzechem. Gdy tylko las się kończył, kiedy za plecami zostawało ostatnie drzewo i człowiek wstępował na równe, czyste pole — pozostawał też za nim wszelki grzech; człowiek był wolny i czysty jak przedtem...

Przyspieszył kroku.

Ujrzał zającą, jak długimi susami pędził przed nim przez koniczynę. Musiał go dostać.

Noc była taka księżycowa i cicha, wszystko spało i nikt mu nie przeszkodzi zabić zwierzaka. W polnej zagrodzie miał doskonałą ojcowską strzelbę, która nigdy nie chybiała, zabijając na miejscu. Miałby co jutro sprzedać na Hopplacu.

Właśnie znowu wyskoczył z koniczyny, ciemny i zwinny. Uniósł się na tylnych skokach i strzygł uszami. Aż się prosiło stuknąć w niego...

Z zagrody nie szedł już, lecz biegł. Zapomniał i o ziemi, i o Rachirze, zniknął gdzieś ciężar, co go przed chwilą jeszcze gniótł. Czuł i wiedział tylko jedno: musiał mieć tego zwierza. Coś go poganiało, musiał to zrobić za wszelką cenę, jakby przez to miał odzyskać równowagę życiową.

Zwiewne tumany mgieł, zwisające nieruchomo obok „sąsiedzkiego” lasu nad bagnistą łąką poruszyły się i ożyły, zmieniając niepostrzeżenie miejsce. Łączyły się delikatnie i, unosząc się zwyczajnie w górę oraz mając tajemniczymi ruchami, mościły drogę do ciemnej, pełnej jakby oczekiwania leśnej głębi.

Jedna gwiazda na niebie uznała swe miejsce za niewygodne i zmieniła je. Z wielkim rozmachem rzuciła się łukiem w przestrzeń i zatrzymała się w postaci srebrnego, drżącego punktu po przeciwnej stronie bezkresnego, szafirowego nieba.

Polna zagroda leżała samotnie w miejscu, gdzie sad łączył się z pojedynczymi drzewami lasu, a dwa małe okienka szalasu mrugały przyjaźnie do jasnego księżyca oraz do rozlewającej się przed zagrodą szeroko niziny.

Stara Sojka miała, zdaje się, zły sen. Łaziła z kąta w kąt, potem przysiadła i zawyla. Opuściła łeb do ziemi, a jej wycie pełne było bolesnych, złowieszczych wibracji.

## XVI

Zbliżała się późna jesień — listopad. Dni były jeszcze słoneczne, ale chłodne, a noce niezwykle jasne i pogodne. Ludzie mówili jednak, że woda zaczyna już kwitnąć. Czasem jej kwitnięcia była właśnie późna jesień. Była lodowato zimna, o srebrnym połysku, a tak czysta i przezroczysta, że można było odróżnić na jej dnie najdrobniejsze nawet kamyczki.

Minął już czas bielienia płótna. Białe, długie pasma, które co roku pyszniły się u Maryjki w pobliżu polnej zagrody w sadzie lub na łące koło koniczyzny, były już starannie zwinięte i schowane w dużej skrzyni w chacie „na górze”. Pola rozpościerały się odarte z swej złocistej i różnobarwnej szaty, tu i tam stadka bydła spasały żyzne ścierniska. Pojedyncze stłumione kołatanie bezdźwięcznych niemal dzwonków na szyjach doborowego bydła błąkało się drząc nad cichymi polami, zamierając gdzieś daleko, pochłonięte przez ciszę, pełną spokoju i harmonii. Ziemia okrywała, czym mogła, swą znużoną powierzchnię. Wokół polnej zagrody wyglądała ładnie i świeżo.

Mychajło już od miesiąca przebywał w domu. Uwijał się niby pszczoła po wszystkich zakątkach gospodarstwa i zrobił z niego — jak mówił Iwonika — prawdziwe cacko. Wiele słyszał i widział w wojsku, wiele się tam nauczył i najbardziej raził go teraz w domu — tak w polnej zagrodzie, jak i w wiejskiej chacie „na górze” — nieład i brud. Wszystko, co wpadło mu w ręce, czyścił, porządkował i w ogóle pracował z taką gorliwością, jakby spodziewał się każdego dnia wizytacji samego generała albo

jakiegoś innego oficera. Nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy i zadowolony jak teraz. Zdawało mu się, że jest panem jakiegoś wielkiego, wspaniałego, zielonego świata i że może robić w nim wszystko, co chce.

Niedaleko polnej zagrody, koło sadu zwiezione zboże stało złocistym murem albo jak równo ustawiona kompania. Ani jedno źdźbło nie zwisało bezładnie, a małe klepisko, dzielące je od zagrody, było czysto i starannie wymieniecione. Liście, opadłe z drzew sadu i przyległego do zagrody lasu, były zgarnięte na dużą kupę, czekając swego przeznaczenia. Łuskało się właśnie kukurydzę. Oczyszczoną wsypywali do kosznicy koło klepiska. Przez plecione pręty olbrzymiego, niezgrabnego kosza szczyrzyła drobne, żółte ząbki. Wszędzie panował wzorowy ład.

Zaraz na drugi dzień po przyjeździe Mychajło objął pieczę nad stajnią i bydłem, a Sawa miał teraz — jak mu sam, uśmiechając się wesoło, oznajmił — na jakiś czas „urlop”.

Mył i wyczesywał swoje woły, które połyskiwały w słońcu jak jedwab, a w stajni zaprowadził taki ład jak w mieszkaniu.

Iwonika łąził wszędzie, szczęśliwy i zadowolony; kiedy rozmawiał, mówił bardzo głośno. Była to najpewniejsza oznaka jego wewnętrznego zadowolenia i cichego szczęścia, znak, że z jego duszy opadła zasłona smutku.

Mychajło był już w domu. Był już przeszło miesiąc i miał zostać jeszcze dłużej niż miesiąc. Miał Mychajła w każdej chwili przed oczami i wiedział, że choć syn pójdzie jeszcze, to za kilka miesięcy powróci do domu już na zawsze. W ciągu pół roku...

W niedzielę chodził z nim do cerkwi i pozdrawiał każdego serdecznie i głośno. Tego roku było już przecież zupełnie inaczej niż łońskiego.

Maryjka była dumna i szczęśliwa i wybierała w myślach synową spośród córek bogatych gospodarzy.

Nawet Sawa wydawał się weselszy niż zwykle. Pomagał chętnie Mychajłowi przy każdej robocie i chociaż unikał wszelkich wypytywań brata o Rachirę i jego stosunek do

dziewczyny, to jednak jego obecność jakby go cieszyła. Przynajmniej nie musiał myśleć nocami o bydle w polu i polnej zagrodzie i mógł przesiadywać beztrząsko u Rachiry i jej ojca. Był tu zresztą niemal codziennym gościem...

Inaczej przedstawiała się sprawa z Mychajłem i Anną. Mogli widywać się tylko z rzadka, a jeszcze rzadziej rozmawiać z sobą.

Anna unikała wszelkich okazji chodzenia do wsi, a kiedy pasła w polu bydło, przebywając tam godzinami, też nie mogła za często rozmawiać z Mychajłem na osobności. Zaraz podchodzili do nich chłopcy lub dziewczęta, którzy też pilnowali tu swego bydła (nie była przecież sama w polu), wtrącali się do rozmowy, która schodziła na zwykłe, codzienne sprawy. Bała się przy tym, że ich tajemnica przez częste ich spotkania mogła się wydać. Odkładali wszystko na dzień świętego Mychajła, oczekując go jak wybawienia od wszelkich smutków i kłopotów.

— A kiedy tato i mama na świętego Mychajła zabronią ci ożenić się ze mną, to co wtedy? — spytała trwożnie pewnego razu, kiedy udało im się porozmawiać przez jakiś czas bez świadków.

Pytając zwróciła na jego twarz swe duże, zapadnięte ze zgryzoły, błyszczące oczy i uśmiechnęła się z przymusem.

— Wtedy postawię im takie pytanie — odpowiedział wesoło się uśmiechając — i powiem: albo będziecie mnie mieli z Anną przy sobie, albo będziecie mnie mieli z Anną w mieście. A wtedy już zmiękną, nie bój się. Tyś przecież nie Rachira. Nie jesteś moją cioteczną siostrą i to nie grzech, że się kochamy. Nasza miłość nie pociągnie za sobą grzechu i nieszczęścia. Nie ma innego powodu, żeby nas mogli rozłączyć. A żeś niebogata z domu — dodał, odgadując z wyrazu jej twarzy, że miała na ustach te same słowa — to zapytam ojca: Tato, powiem, i wy, mammo. Czy wyście byli bardzo bogaci, jakieście się pobierali? Co? A jednak Pan Bóg o was nie zapomniał i hojnie wam dopomógł, żeście dziś gospodarze całą gębą. Zostawię wam wszystko pole, powiem im, cieszcie się nim, a ja wezmę

sobie Annę i wróć z powrotem do miasta. Tam już znajdę pracę i nie zginę. Teraz mam inny pomysłuńek niż dawniej — ciągnął dalej, podnosząc dumnie głowę. — Już się trochę rozejrzałem po świecie i wiem, że człowiek który ma chęć do pracy i zdrowe ręce, nie zginie z głodu. W mieście ludzie żyją i bez ziemi. Ciężko im się żyje, to prawda, ale jednak żyją, a często nie gorzej od nas. Ja oczywiście tak tylko mówię — dodał, znów się uśmiechając — bo wiem, że jak ich przycisnę, to staną po mojej stronie. Mamie zabrakłoby już łez płakać za mną. Zdaje się, że wypłakała wszystkie. Wiem, że będą gderać, będą odciągać mnie i narzekać, mama będzie się żaliła przed sąsiadami, tato raz po raz będzie wzdychał, ale przecież kto mnie może zmusić żenić się z taką dziewczyną, na którą nie będę chciał nawet spojrzeć? Jak człowiekowi żona miła, to tak, jakby była jego oczami. Tak im właśnie powiem. I nie masz się czego martwić.

Podniosła na niego smutny wzrok i zajrzała przenikliwie w jego dobre, jasne oczy.

Mówił tak stanowczo i przekonywająco, tak serdecznie, że nie mogła nie wierzyć w przyszłe powodzenie. Na nowo ożyła w niej nadzieja i uśmiechnęła się. Ale już w następnej chwili w jakimś zakątku serca uczuła jakby bolesne ukłucie żądła, kiedy wyobraziła sobie moment, w którym wyjawi ojcu, że chce się żenić z Anną wyrobnicą.

— Masz nadzieję, że wszystko dobrze się zakończy? — spytała cicho i nieśmiało.

— Mam — odpowiedział pewnym głosem. — Tylko się już tak nie zamartwiaj — prosił, obejmując ją serdecznie. — Już się tak gryziesz, żeś szerniała jak ta ziemia. Za kogo ty mnie masz, Anno? Kim ja jestem dla ciebie? Wyobrażasz sobie, że cię zwiodę i porzucę? Myślisz, że nie mam już czci i sumienia? Od kiedyś tak zmądrzała? Patrz na moje ręce — dodał dumnie, pocieszając ją, i wyciągnął nagle przed siebie silne, muskularne ramię, aż zachrząściło. — Widzisz, jaka siła? Zapracowałbym na cztery takie jak ty, a ty się boisz? Anulko... boisz się?

Uniósł jej pochyloną twarz i zajrzał, wzruszony, w jej oczy. Były pełne łez.

— No i płaczesz.

W milczeniu otarła łzy.

— Anulko — prosił miękkim, stłumionym głosem, przyciągając ją czule do siebie. — Anulko, co ci jest? Mówię ci: Bóg nas nie opuści.

Zarzuciła mu obie ręce na szyję i zapłakała. Nie mógł z siebie wydobyć głosu.

— Co ci jest, Anno? Boże drogi, powiedz mi, co ci jest? — nalegał prosząco.

— Nic — wyszeptała. — Nic. Tylko mi tak ciężko na sercu.

Pewna myśl przemknęła mu nagle przez głowę i wyjaśniła wszystko: „Ona boi się śmierci. W takim stanie źle umierać, grzech”.

I zaczął ją pocieszać prostymi, nieskładnymi słowami. A jednak ile uczucia, ile delikatności kryło się w tej chłopskiej piersi. Ile szczerości i oddania było w jego drżącym głosie, miękkim i łagodnym, ile szczerego niepokoju zdradzały jego wzruszone, dobre oczy.

Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co mówi, ale brzmienie jego głosu przekazywało nieświadomie najlepszą część uczuć i duszy.

— Kiedy tu jestem, nie bój się niczego — powtarzał raz po raz. — Wszystko będzie dobrze. Prosiłem tylko Boga, żeby już się tu znaleźć. Tu ja pan. Niech tam nie wiadomo co nas spotka, nic mi nie straszne. Tu jestem w domu. Chciałem się tylko tu znaleźć. Niczym się nie martw. We wszystkim stanę zawsze przy tobie, jak dąb, i niech no tylko ktoś spróbuje chociaż na włos cię skrzywdzić, to zobaczy.

— Boję się i Sawy, i Rachiry — odezwiała się znowu zatroskana.

Machnął lekceważąco ręką.

— Tego durnia?

Wiedział o kłótni dziewcząt w polu i obiecał Annie, że pogada w odpowiedniej chwili z Rachirą.



— Co oni mogą ci zrobić, kiedy ja tu jestem? Mogą tylko zdradzić starym naszą tajemnicę, ale o ile się orientuję, nie powiedzieli jeszcze niczego. Sawa musi sobie dobrze wszystko przemyśleć, zanim zacznie wojnę. On wie, że ze mną lepiej jest żyć w zgodzie. Nie robię mu krzywdy. Jestem z nim dobrze.

— Ale on prawie z tobą nie rozmawia.

— A czy on kiedy więcej mówił, zazulko? Nie, rozmowny nie jest. Od czasu, jak zszedł się z Rachirą, słowa rozplywają mu się w ustach. Ale my żyjemy w zgodzie. Przyjdzie, zje i idzie do roboty. Przyjdzie znowu, poburczy coś pod nosem i znów się zabiera lub weźmie strzelbę na plecy i wałęsa się godzinami po polach. Wieczorem idzie albo i nie idzie do niej, i to całe jego zajęcie, odkąd jestem w domu. Ot, głupi chłopak.

— Kiedyś też go widziałam ze strzelbą w polu — odezwała się Anna, nieco pocieszona. — Widziałam go z tyłu. Szedł powoli, zamyślony, bez kapelusza, patrząc w ziemię.

— On wyczuwa węchem zajaca jak pies — powiedział Mychajło z uśmiechem. — To jego najmilsza rozrywka, kiedy uda mu się zastrzelić zająca. Co prawda, ma pewniejszą rękę i lepsze oko ode mnie. Ale niech się tym cieszy, co mi do tego?

— Tylko że on poszedł potem do „sąsiedzkiego” lasu — dodała Anna. — A tam przecież nie ma zajęcy.

— Może później strzelał stamtąd. Na skraju lasu jest dużo różnych krzaków, pewnie skrył się za nimi. Boi się chodzić ze strzelbą, nie ma na to pozwolenia. Mogłoby się zdarzyć, że polem szedłby żandarm, odebrałby mu strzelbę i wlepiłby mu jeszcze karę. Nie wolno. On wie o tym i dlatego uważa. No i dobrze, że uważa. Byłaby duża szkoda, gdyby odebrali strzelbę. To droga strzelba, nigdy nie chybia. Jak tylko z niej wypalisz, poniesie kulę na miejsce i koniec wszystkiego. Ojciec by mu tego nie darował. On wie o tym, nie bój się.

— Słyszałam — ciągnęła dalej dziewczyna nieśmiało — że Rachira zachodzi teraz często do swej ciotki, wróżki, tej Cyganki, co odbiła swojej siostrze męża, i że przebywa

u niej po kilka dni. Wiem, że myśli tylko o tym, żeby mi zrobić jakąś krzywdę. Ona może zdobyć tam diabelskie ziele i rzucić mi na drogę. Myślisz, że to tak trudno? To podła dziewczyna. Dobrze mówi stary Petro: „Tego, powiada, Pan Bóg nie stworzył, samo się to urodziło i dla tego takie podłe”.

— I ty się tego boisz? I przez to tak ci ciężko na duszy? — spytał, znów się uśmiechając.

Zawahała się z odpowiedzią.

— Nie, nie tylko dlatego, ale... — ciągnęła niezdecydowanie. — Stanie się coś, czym będę się martwić. Śniło mi się już kilka razy, że nad waszym polem i zagrodą ciągnęła czarna chmura. I nade mnie też nadciągnęła, kiedy pilnowałam w polu bydła i szyłam koszulę. Nie widziałam nic przed sobą ani koło siebie i zrobiło się na chwilę tak cicho, tak cicho i strasznie, że nie daj, Boże, nikomu dożyć czegoś takiego. A kiedy chmura przeszła i spojrzałam na koszulę, były na niej czarne kropki. Na białym płótnie czarne kropki. To zły znak, Mychajle, to niedobrze. Zapamiętaj sobie, że to niedobrze. Umrę.

— Od dziś za rok będziesz moją gaździną i nie dla siebie, ale dla mnie będziesz szyć koszulę. I będziesz ją wyszywać nie czarną włóczką, ale samym czerwonym jedwabiem i złotem. Pamiętaj — powiedział wesoło. — A martwić się nie ma czego. Co się śniło, to się śniło, a kiedy ja co mówię, to nie na wiatr.

Przy tych słowach grzmotnął się pięścią w pierś, aż zadudniło.

Uśmiechnęli się do siebie i z tym się rozstali.

Tego samego dnia późno wieczorem Anna wyszła z chaty. Ogarnąwszy się, poszła do Mendla na Hopplac po sól. Wracając, doszła już do tego znacznego miejsca, niedaleko pańskiego domu, gdzie swego czasu stary Petro widział wielkiego czarnego psa.

Wieczór nie był jasny. Gęsta ćma rozlała się i gdzieś niegdzie tylko na przesłoniętym chmurami niebie zamigotała srebrna gwiazdka. Wokół Anny panował mrok.

Zrobiło się jej jakoś zimno, więc owijając się szczelniej serdakiem przyspieszyła kroku. Nagle z ciemności wyłoniła się jakaś jasna postać, zdążająca prosto w jej kierunku.

— Sawa — przeraziła się, uświadomiwszy sobie, że jest sama.

Był to istotnie Sawa.

Szedł po równej linii, jakby przyciągany przez nią, i nagle zatrzymał się tuż obok.

— Sawa — krzyknęła bezdźwięcznie, czując, że cała krew uciekła jej z twarzy. — Sawa.

Nie powiedział ani słowa. Wpił się tylko w nią oczami, które płonęły jakimś dziwnym fosforycznym blaskiem. Jego delikatna, chłopięca twarz była poważna, niemal cierpiąca. Wydał z siebie jakiś nieartykułowany, dziki dźwięk.

— Sawo! Ja ci nic nie zawiniłam — jęknęła przerażona. — Nic ci nie zawiniłam.

Sawa nie odrywał od niej oczu. Zdawało się, że to lodowate spojrzenie, jak błysk noża, zapuścił w nią po to, by ją zamordować. Potem wykonał ruch ręką, jakby zdejmował z ramienia strzelbę, nie odrywając od niej oczu, i stęknął.

Niemal bez zmysłów osunęła się do jego nóg.

— Nie zabijaj mnie. Nie zabijaj mnie — wołała z jękiem raz po raz, czepiając się spazmatycznie jego kolan. — Ja ci nic nie zawiniłam.

Ale stała się rzecz dziwna.

Sawa stał chwilę nieruchomo, jak wrośnięty, kiedy leżała u jego nóg, i ciężko oddychał. Sapał jak po ciężkiej pracy, jakby podniósł nagle i rzucił na ziemię ogromny ciężar albo przebiegł szalonym pędem przez szerokie pole przywołany nagłym, poważnym jak śmierć, wezwaniem.

Przez kilka chwil stał cicho, ciężko oddychając, a potem, jakby odzyskawszy pamięć i zrozumiawszy swoje i jej położenie, kopnął ją pogardliwie i oddalił się w milczeniu.

Kiedy Anna, osłabiona niespodziewanym, nagłym prze-

strachem, drżąc na całym ciele, podniosła się i obejrzała za nim, już go nie było. Zniknął jej z oczu, jakby rozpułynał się w głębokiej ciemności.

Dwa kroki od niej leżała sól, którą upuściła w przestrachu, i czarna ziemia dyszała tłustą grudą.

Spoza poszarpanej chmury wychynał na chwilę księżyc, czekając, aż przywlecze się druga, która z powrotem zakryje jego blade, magiczne oblicze. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies, a potem zaległa znów zupełna cisza.

Włosy zjeżyły się jej na głowie, przeraźliwie krzyknęła. Nagle zdało się jej, że wszystka ciemność i cała samotność czarnej, opustoszałej ziemi połączyły się i sprzymierzyły przeciw niej, że za chwilę spoza niej wyskoczy znowu postać Sawy i już teraz nie zostawi jej żywej. Jasny i prosty, wyrośnie z jednej albo drugiej strony i zacznie przybliżać się do niej. Jeszcze przecież się z nią nie załatwił. Czuła to. Czuła na sobie jego straszne oczy, dusza jej krwawiła jak pokaleczona.

Gorzko płacząc, zabrała sól i zaczęła biec. Ciągłe oglądała się w dzikiej trwodze, czy jej nie goni, wokół trwała jednak tylko głęboka cisza i gęsta ciemność. Miejscami zbijała się w duże kłęby i zastępowała jej murem drogę. Na rogu pod lipami koło pańskiego domu, potem wzdłuż pańskiego ogrodu — ciągle murem, wciąż murem — aż wreszcie koło ogrodu Dokii, pod starymi wierzbami, co oddzielały sad Dokii od jej sąsiadów. Tam, między gęstymi prętami zmieniała się w czarną ścianę i waliła prosto na dziewczynę.

Jęcząc wbiegła w domowe obejście. Przy drzwiach prowadzących do sieni omal się nie przewróciła. Słyszac w sieniach niezwykły szelest, Dokia wyszła ze światłem i Anna byłaby ją przyduśiła drzwiami, gdyby w ostatnim momencie się nie cofnęła.

— Bóg z tobą, Anno, co ty tak gonisz? — spytała zdziwiona, podnosząc wysoko w górę światło, które padło na twarz i całą postać zadyszanej dziewczyny.

Anna była blada, jakby z jej twarzy uciekła ostatnia

kropla krwi, a usta ze strachu aż zeszywniały. Wybałszywszy na Dokię szeroko rozwarte, oszalałe ze strachu oczy, zatrzasnęła za sobą głośno drzwi od sieni.

— Boże drogi, dziewczyno, co się stało? — powtórzyła swoje pytanie.

— Nic — powiedziała bezdźwięcznie. — Spotkałam Sawę. Myślałam, że mnie zabije. Och, Boże, Boże, Matko Chrystusowa.

— Jak to: zabije, za co? — pytała żywo Dokia, wchodząc za nią do mieszkania.

— Ano, zabije. Przez Rachirę. Taki był straszny, że... och, Boże mój, Boże.

Z pieca doleciał półgłosny chichot. To Wasyl, który sobie podpił, ulokował się wygodnie na wielkim piecu i śmiał się przysłuchując się uważnie wszystkiemu, co działo się w izbie.

— Sawa chciał cię zabić? — spytał teraz wesoło. — Za co? Żeby ci zabrać topkę soli? No, byłoby rzeczywiście za co brać na swoje sumienie ludzką duszę.

Powiedziawszy to zachichotał znowu wesoło i kpiąco.

Dokia postawiła światło na swoje miejsce na kominie i powróciła do rozpoczętej pracy przy piecu. Anna usiadła zmęczona koło niej na ławie i opowiedziała o spotkaniu.

— Jego oczy, Dokio, były takie straszne — kończyła. — Takie straszne, że nie zapomnę ich do końca życia.

— Idźże, idź! — uspokajała ją Dokia. — Za co miałby cię zabijać? Nawet nie mów tego nikomu, bo jakby starzy się dowiedzieli, to od razu zrobiłabyś sobie z nich wrogów. Sawa leń, bałamuci dziewczęta, ale to nie jest zły chłopiec. Znam go, tak jak i tego drugiego. Coś ci się przywidziało i przestraszyłaś się go, córko. Idź spać i nie wspominaj o tym nikomu.

Potem przyniosła z odświętnej izby święconą wodę i pokropiła nią wzburzoną dziewczynę. Żal jej było młodej męczennicy, która z samego zmartwienia i lęku o swoje szczęście niemal w każdym dopatrywała się wroga. Zresztą sama wierzyła w „złe oczy”.

— Oczy Sawy są dla ciebie niedobre — wyjaśniła spo-

kojnie dziewczynie — bo dla ciebie teraz w ogóle spojżenia mężczyzn są szkodliwe. A kiedy jeszcze tak się go przestraszyłaś, to jasne, że on porządnie wybałuszył na ciebie ślepią. To ty sama, doniu, przestraszyłaś go.

Mówiła tak i uspokajała dziewczynę jeszcze dłuższy czas, póki w końcu nie położyła się spać. Ale nie mogła jej całkowicie przywrócić spokoju. Skuliwszy się na posłaniu, Anna leżała bez ruchu, dużymi oczami wpatrując się w milczeniu przed siebie.

„On jednak chciał mnie zamordować — mówił jej jakiś głos, jakby dochodzący gdzieś z daleka. — Wiem o tym. Niech tam temu wierzą albo nie wierzą, ja wiem swoje. On jednak chciał to zrobić, chociaż Bóg wie, dlaczego?”

Czuła ciągle na sobie jego spojrzenie, jakby ją poraziła błyskawica, a obraz jego delikatnej, chłopięcej twarzy z wyrazem powagi i bólu nie opuszczał jej nawet we śnie. Dopiero nad ranem zapadła w sen bez marzeń. Kiedy się obudziła, miała ręce złożone jak do pacierza. Kilka razy zrywała się w nocy, ciągle jednak ręce składały się do modlitwy, która ukoili rozdartą duszę młodej dziewczyny...

## XVII

Jakieś cztery dni przed świętym Mychajłem wydarzyło się u Iwoniki nieszczęście.

Dwaj muzykanci jechali dróżką wiodącą obok polnej zagrody do „sąsiedzkiego” lasu i grali. Skrzypce zawodziły cienko i żałośnie, a cymbały poważnie im wtórowały. Za muzykantami wlokła się tęskna, dźwięczna smuga, falując miękko i harmonijnie nad jesiennym polem i zostawiając za sobą smutne westchnienia...

Czujna Sojka obudziła się z drzemki i wpadła w niesamowitą złość. Zanosząc się wściekłym ujadaniem, pieściła się, usiłując urwać się z łańcucha i rozerwać niezwyczajnych gości na kawałki. Nie uspokoiła się nawet wów-

czas, kiedy dwaj muzykanci znikli z oczu i tylko wibrowała jeszcze w powietrzu koło zagrody rwąca się fala dźwięków.

— I po co oni tędy przejeżdżali? — gderał na obcych Iwonika, który właśnie wybierał się do swej wiejskiej chaty po jakieś worki. — Rozdzwonili się tu właśnie jak na jakieś wesele. Poczekajcie, u mnie nie ma jeszcze wesela. Przyjdzie czas, to sam was zawołam. Wtedy grajcie, aż wam struny popękają, ale teraz po diabła mi wasza muzyka. Leżeć — krzyknął ze złością, tupiąc nogą na rozeźlonego psa, który nie umiał odnaleźć poprzedniej psiej równowagi.

Przestraszony gromkim głosem pana pies zamilkł na chwilę. Spojrzał ze zdziwieniem mądrymi oczami na chlebobdawcę i tłumiąc w sobie nowy przypływ szczekania, które przemocą wyrywało się z jego gardła, polazł posłusznie do budy.

Ale kiedy tylko Iwonika poszedł, Sojka zaczęła znowu swoje. Wylazła ostrożnie, bojaźliwie z budy i łypnąwszy dziko oczami w kierunku muzykantów, zaczęła dziko ujaść i kilka razy zawyla. Stała jakiś czas, jakby się namyślając, rozejrzała się uważnie na wszystkie strony i leżała jak na warcie przed budą, strzegąc wiernie obejścia.

Słońce stało już wysoko, był późny ranek.

Drzwi od stajni odemknęły się w jakiś sposób i stały otwarte. Nie było nikogo koło zagrody, żeby je zamknąć. Mychajło kopał rów na ulubionym zagonie pod „sąsiedzkim” lasem. Sawa młócił ze starym Petrem owies na klepisku, a Iwonika, który poszedł po worki, jeszcze dotąd nie wrócił. Małe ciele, które było zamknięte w stajni, wyszło z niej, płacząc się i podskakując wesoło po ogrodzonym obejściu.

Sojka, rozdrażniona wesołym brykaniem bydłatka, rzuciła się na nie z gwałtownym szczekaniem i zerwawszy się tym razem z łańcucha napadła na nie rozjuszona.

Spłoszone i przestraszone bydłatko pognęło na oślep,

wprost przed siebie do płota, i próbując gwałtownie go przeskoczyć zaczęło o kół, który rozpruł mu brzuch. Leżało teraz ciężko sapiąc i stękając, z na pół przymkniętymi, ślicznymi, niemal dziecięcymi oczami. Zaczęli kolejno schodzić się i zatrzymywać przy nim, próbując przynieść zranionemu zwierzęciu jakąś ulgę.

Maryjka, która nadeszła z Iwoniką, niosąc dla synów śniadanie, zaczęła rozpaczać nad cielątkiem jak nad dzieckiem, a Iwonika gorzko wyrzekał. Tak przecież trząsł się nad swym bydłem, dwoił się i troił doglądając go, i oto ginęło na jego oczach takie ładne i drogie cielę. Kto by jeszcze dziś rano mógł się spodziewać takiego nieszczęścia, takiej szkody. Kto by pomyślał o takiej stracie. A wszystko przez tę diabelską, przekłętą sukę, co wściekała się dziś jak najęta... Iwonika porwał ze złością bat i świsnął nim z całej siły po grzbiecie przestraszonej Sojki. Pies zaskomlał i powlókł się do budy, a on powrócił do cielęcia, koło którego klęczała z synami zapłakana Maryjka. Gładziła raz po raz jego piękny łeb, przemawiając do niego delikatnie i serdecznie jak do chorego dziecka. Chłopcy usiłowali przewiązać ranę i wypełniać dokładnie polecenia ojca, żeby chociaż na chwilę przynieść ulgę nieszczęsnemu bydlęciu, ale im się to nie udawało. Wszystko daremne. Rana była śmiertelna, nie można było w żaden sposób uratować bydlątka, więc żeby się nie męczyło, postanowiono je dorżnąć.

Sawa podniósł się pierwszy i stanął koło niego w milczeniu. Mychajło z matką krzatali się jeszcze. Maryjka podkładała mu pod głowę ręce, żeby nie uderzało nią o ziemię, a Mychajło starał się powstrzymać drgawki nóg.

— Spójrz, Sawo, jak ono na ciebie patrzy — krzyknęła Maryjka wzruszona, gładząc po głowie cielątko, które uspokoiło się chwilowo.

Sawa ciągle stał w milczeniu, z chmurnie ściągniętymi brwiami i bolesnym wyrazem wokół ust. To było jego cielątko, lubił to bydlątko, doglądał go, a teraz zmarnowało się w jednej chwili. Mieli je dorżnąć. Było mu żal.

— Co mi z tego? — odpowiedział gorzko.



— Na nikogo nie patrzy, tylko na ciebie, tak jakby chciało coś powiedzieć. Widzisz, Sawo, widzisz? — zawołała Maryjka z wzrastającym wzruszeniem. — Chodź, pogłaskaj je.

Sawa zbliżył się i chciał się pochylić. W tym momencie cielę podniosło łeb i uderzyło nim tak silnie o ziemię, że wszyscy aż odskoczyli. Potem zwróciło na Sawę swe duże oczy z wyrazem dzikiego, odrażającego przestachu.

— Ono coś myśli, jego oczy coś mówią — powiedział Mychajło.

— Sawo — zawołała matka. — Popatrz na niego.

Sawa odwrócił się.

— Dajcie mi spokój — powiedział, wyraźnie tym przejęty. — Dorzńijcie je szybciej, żeby się nie męczyło.

— Biegnij po Onufrego — krzyknął Iwonika.

Pobiegł...

Pół godziny później cielę już nie żyło.

To nieoczekiwane wydarzenie poruszyło do głębi i starych, i chłopców. Przez cały dzień mówiono niemal wyłącznie o tym. Bydłatko było wspaniałą sztuką, rasową, od krowy Sawy, z czasem miało dojść drugie do pary. A teraz... Jaki piękny i silny wół miał wyrosnąć kiedyś z niego!

Aż ciężko wspominać. Jeszcze dziś z rana z taką wdzięcznością lizało Mychajłowi ręce, kiedy podał mu buraki z grysem, lazło mu do rąk i pchało mu głowę pod pachę, taki był pieszczoch z niego. A jakie było rozumne, jakie dobre do chowu. Takie małe, a brało się już do siana, poskubując coś zza drabiny. No i ta przekłeta Sojka... ta przekłeta Sojka... skończyć by z nią już raz. Ile ona już szkody wyrządziła. Ile drobiu zagryzła, kur, kaczek, a raz nawet indyczkę, a ile przez nią hałasu, zamieszania, i to bez powodu, jakby jakiegoś stracha zobaczyła albo inną zjawę. Przekłeta suka, żeby już raz zamilkła na zawsze.

Mychajło pociągnął ją kilka razy batogiem, tak że z pół godziny skomlała i nie mogła znaleźć sobie miejsca w budzie.

Szkoda była zbyt duża, żeby przejść nad tym do porządku dziennego. A spowodowała ją Sojka. Płot, który ogradzał małe obejście koło szalasu, był już stary i nieużyteczny, wyglądał jak oskubana gęś. Zwłaszcza w tym miejscu, gdzie ciele się zabiło. Koły sterczały z niego jak babcine zęby.

Jeszcze na wiosnę, kiedy przyszedł na Wielkanoc do domu, Mychajło miał zamiar naprawić ten płot, ale czasu nie starczyło. Kilka wolnych dni, a potem święta i nie było kiedy się rozpędzić. Teraz już go tak nie zostawi. Połata go, ponaprawia i wszystko będzie dobrze. Dziś ta szkoda, jutro inna, a pojutrze mogło znowu coś się przytrafić. A potem przyjdzie zima, spadną śniegi i cały płot przewróci się na ziemię. Jeśli go teraz podeprze, połata, to jeszcze jakiś czas postoi. A kiedy wróci już całkiem do domu, to się inaczej do niego weźmie. Żeby tylko zdobyć gdzieś trochę kołów, reszta głupstwo.

— A „sąsiedzki” las od czego? — spytał Sawa z kąpiącym uśmiechem, wskazując głową na bezlistny las, stojący nieruchomo. — Od czego jest las? Kilkanaście kołów, a jak trzeba, to i trochę prętów z bagnistej części lasu i sprawa załatwiona. Las się jeszcze przez to nie zmniejszy, a jego pan, czy kim on tam jest, nie zbiednieje.

A w nim było wszystko, czego trzeba do ogrodu. Noce były teraz takie jasne i piękne, że można było odróżnić każdą gałązkę. No i niedaleko od polnej zagrody. Koło lasu nie było żadnego zboża, żeby je stratować, ziemia wokół jakby wygolona i ślad gubił się na niej jak na lodzie. Ludzie zachodzili tu bardzo rzadko. Co można wymyślić mądrzejszego, niż pójść i nabrać wszystkiego, co potrzebne? Prawda, nie trzeba się tylko bać.

Na te słowa Mychajło uśmiechnął się, Sawa również.

— Jeśli ty nie pójdziesz, to ja pójdę — powiedział. — Mnie wszystko jedno. Każdy ma jakąś szkodę. Drzewo wyrośnie, ale chudoba, jak zdechnie, to już nie ożyje.

Sawa miał rację. Trochę kołów z „sąsiedzkiego” lasu, trochę prętów i zostawi ojcu płot w porządku. Teraz i Sa-

wa ma ochotę do roboty, ale gdy on wróci do koszar, to nie wiadomo, czy zrobią to przed jego ostatecznym powrotem.

„Ech, te koszary, te koszary” — pomyślał. Żeby już raz wreszcie był na wolności; ich mury odgradzały go od życia.

Pod wieczór wyszedł przed zagrodę i z zaciekawieniem się rozglądał. Niebo było usiane gwiazdami. Było jasne i czyste, jakie bywa tylko w jesiennej nocy. Niezmierzona była jego głębia. Nieco w lewo leżał „sąsiedzki” las. Czerniał na gładkiej powierzchni ziemi jak wielka, wypukła plama, i jakby cicho wabił do siebie.

Czy nie było spokojnie? Snuła się tu gdzie jaka ludzka dusza? Czy trzeba było zaraz Bóg wie ile drzewa? Czy chciał ktoś zaraz dęby zwałąć? Ot, kilkanaście, nie, nawet nie kilkanaście, tylko z dziesięć, i starczyłoby.

Namyślał się jednak ze względu na ojca. Ojciec nie lubił, kiedy ktoś wyciągał rękę po cudze dobro. Zawsze mawiał: „To, co weźmiesz z cudzego, musisz oddać podwójnie i nawet nie będziesz wiedział, kiedy oddasz”. Wstydział się ojca bardziej niż małe dziecko.

— Nie można iść do lasu, tato się dowie — powiedział do Sawy, który wyszedł zaraz za nim, wybierając się, jak zwykle wieczorem, do Rachiry.

— Ojca jutro nie będzie w domu. Wybiera się do miasta, żeby odnieść jakąś ratę do banku.

— Kto ci to mówił?

— Mama. A ty musisz spowiadać się ojcu, że idziesz do lasu? — spytał Sawa drwiąco. — Zobaczmy, czy tato powie słowo, kiedy ujrzy naprawiony płot. Zresztą rób, jak chcesz, co mi do tego. Nie powieszę się na płocie, możesz go robić albo nie robić.

Wzruszył obojętnie ramionami i poszedł szybkim krokiem do wsi.

— Ty ciągle swoje — zaburczał Mychajło. — Ja wiem, że tobie wszystko jedno.

Potem spojrzał przelotnie na las. Leżał owinięty w cie-

mność i czekał. Jakby mówił: „Iść, zabrać i zrobić, co trzeba. Co się w lesie robi, to nie grzech”.

«No tak, nie trzeba mu dużo drzewa...

Jego serce było jeszcze pełne żalu za małym bydłątkiem, które się zmarnowało, i odczuł potrzebę pracy, jak gdyby miała ona powetować stratę, wynikłą w gospodarstwie, i zagoić ranę. Potem już spokojnie powróci do koszar. A jutro ojciec idzie do miasta. Może by i on poszedł z ojcem? Minęły już dwa miesiące, jak opuścił te mury. Mógłby pójść na kilka godzin. Przyniósłby coś Annie. Nie rozmawiał z nią jeszcze od czasu, kiedy spotkał ją samą w polu i kiedy ją pocieszał.

W tym momencie zabłysła mu jak światełko w duszy myśl: Będzie po drodze rozmawiał z ojcem o sobie i o Annie, będzie mówił, ależ tak. Przecież za dwa dni już świętego Mychajła. A kiedy będą tylko we dwóch, przedstawi ojcu wszystko jak najlepiej i przeciągnie go na swoją stronę. Potem musiałyby się już tylko z matką uporać.

Ucieszył się tą myślą jak jakąś zdobyczą...

Ale czy dobrze przyspieszać sprawy, które miały być poruszone w oznaczonym dniu? — nękały go gdzieś w głębi niejasne wątpliwości. — Czekać tyle czasu na świętego Mychajła, a teraz rozmawiać na dwa dni przedtem? Czy to wyjdzie na dobre? Święty Mychajło był jego patronem...

Prawość i pobożność przepełniły jego młodą duszę i umocniły nadzieję na pomyślną przyszłość. Serce jego zadrżało szczęściem. Rodzice byli dobrzy. Choćby nie wiedzieć co mówili i robili, chociażby nie wiedzieć jak się ułożyło — odczuł w tej jedynej chwili, że spełnią jego marzenia...

Jego młoda twarz była poważna i spokojna, tylko w duszy miał uśmiech. W tym błysku szczęścia zobaczył i jej uśmiech i poczuł się w pełni szczęśliwy...

— Anno — zadrgało radośnie w jego sercu.

Ale Anny tu nie było.

Ciągnęło go do niej, żeby przycisnąć ją do serca i po-

dzielić się z nią tym mocnym poczuciem szczęścia, które nim teraz zawładnęło. Żeby wiedziała.

Niebo otworzyło się przed nim...

## XVIII

Po cichej, księżycowej nocy nastał cichy, ciepły, jesienny poranek.

Iwonika zawinął w chustkę potrzebne papiery, wyjął ze skrzyni pieniądze i ruszył w drogę. Kiedy doszedł do końca wsi, mimo woli zatrzymał się i obejrzał. Czy czego nie zapomniał? Tak mu się zdawało. Pomacał jeszcze raz schowane za pasem pieniądze, dotknął zawiniętych papierów. Nie, wszystko miał przy sobie, nie brakowało niczego. A jednak coś go zatrzymywało, jakby czegoś zapomniał. Przebiegł wzrokiem pole. Było takie puste i nagie, od kiedy zwieziono zboże, że myśli jego nie zatrzymały się na nim. Było mu jakoś ciężko na sercu, tak jak bywało nieraz, kiedy Mychajło był w wojsku.

Z jego piersi wyrwało się westchnienie. Wkrótce znowu tak będzie. Za dwa tygodnie kończy się jego urlop.

Szedł wolno, niechętnie, nawet tego nie zauważając. Myślał o mieście. Było do niego jeszcze tak daleko. Ileż to razy wydeptywał tę drogę tam i z powrotem. Dziś znowu idzie, ale musi. Wszystkie sprawy pieniężne, zwłaszcza z bankiem, załatwiał osobiście i nikomu by ich nie powierzył. Chłopcy byli jeszcze za młodzi i nie rozumieli się na takich rzeczach, a Maryjka zupełnie nie potrafiłaby rozmawiać z panami. Wiadomo, kobieta. Dopóki żył, robił wszystko sam to, co godziło się robić głowie domu. Dlatego też wszystko było u niego w najlepszym porządku. Kiedy umrze, dzieci zajmą jego miejsce i wszystko będzie dalej chodzić jak w zegarku...

Kilka czarnych wron, snujących się po polu małą, luźną gromadką, pierzchło na jego widok i wzleciało kawałek dalej.

W myśli stanął mu nagle Sawa.

„Jakby tak jakiś zając, Sawa musiałby go zaraz mieć — pomyślał. — To urodzony strzelec. Dziś z rana ubrał się i poszedł do sąsiedniej wsi, gdzie dał sobie uszyć nowe wełniane, białe portki na zimę, a Mychajło chodził po podwórzu i nad czymś medytował. Narzekał przy tym na mgłę, zwisającą tumanami nad ziemią.”

— A co ci mgła przeszkadza? — zapytał go, uśmiechając się.

— Nic. Tylko się boję, żeby nie ściągnęła deszczu. Mam na dworze robotę.

— Nie bój się — pocieszał go. — Za godzinę wypije ją słońce, że aż hej. Noce są teraz jasne, a niebo takie czyste i błyszczące jak lustro; takie mgły nie ściągają deszczu...

Potem myśli jego zeszły na ciele, które zginęło. Taka szkoda, a przedwczoraj było jeszcze tak wesołe i psotne. W swej małej zagrodzie skakało tak wysoko, że bał się, iż wyskoczy kiedyś, dopadnie swojej matki i wyssie wszystko mleko. Jadło jeszcze tak łakomie. A w dwadzieścia cztery godziny potem — już po nim. W jaki sposób te drzwi się otworzyły? Nikt tego nie widział, nikt nie słyszał, jakby otworzyła je niewidzialna ręka... I ani żywej duszy nie było koło stajni. Ale już tak jest. Jak ma być jakieś nieszczęście, to i sto par oczu i sto par rąk go nie odwróci. Przycupnie gdzieś wśród tysięcy ludzi, przez nikogo nie dostrzeżone i nie usłyszane i będzie, jak ma być. Jak temu zapobiec? Żeby to człowiek wiedział.

Było to cielątko Sawy, ale kto wie, czy Mychajło nie żałował go bardziej. Z powodu nowych portek Sawa zapomniał już o szkodzie, a Mychajłowi to ciągle nie daje spokoju. O czym tylko zacznie mówić, zawsze kończy się na nim; myśl o cielątku żyła w nim ciągle i nie dawała mu spokoju... Niektóre bydlę, zwłaszcza rogate, bywa niekiedy takie, że nie można go zapomnieć. Przyczepi się do człowieka, trzyma się go, włóczy się za nim jak cień.

Taki był ten byczek...

Pojutrze świętego Mychajła, patrona jego syna. Trzeba będzie pójść do cerkwi. Ale to dopiero pojutrze, a jutro po obiedzie on będzie już w domu. Zapomniał powiedzieć Maryjce, żeby Mychajło kupił świece i zaniósł do cerkwi. To też przez tę historię z cielęciem. O takich sprawach syn przecież nigdy nie zapomina. Zresztą on sam kupi świeczkę... Po co miałyby aż do pojutrze bawić w mieście? Ma tylko zapłacić ratę w banku, gdzie pożyczył trochę pieniędzy, aby kupić ten zagon pod lasem, co przylegał do jego pola, wstąpi jeszcze do pana i wróci z powrotem. Nie, koniecznie już jutro musi być w domu. Sam pójdzie z chłopcem do cerkwi.

W sercu jego wezbrała w tej chwili niewypowiedziana miłość do syna. „Mychajło” — wydobyło się z głębi jego jestestwa i odczuł jedno tylko: miłość. Ale usta jego pozostały nieme. Był sam jeden pośród milczących pól i tylko głębokie niebo rozpięło się nad nim.

Kupi mu jabłek i przyniesie dobrego, białego chleba. Żeby już tylko był z nim. A do miasta dopiero położa drogę, daleko jeszcze. Jego nogi się postarzały, ciągle jakby drepce w miejscu.

Cieężko mu się dziś szło.

## XIX

Następny dzień był też mglisty. Jakby mgły się zmówiły: albo unosiły się każdego poranku z opustoszałych pól wielkimi, szarymi kłębam, albo snuły się po nich bezustannie, wciskając się w każdy zakątek na ziemi, a potem znikwały gdzieś i w jakiś przedziwny sposób sprowadzały cudowne, jasne noce...

Maryjka stała w południe koło stołu i zawijała właśnie w jakąś chustkę garniec z barszczem i kuleszą, które niedawno ugotowała dla chłopców. Mychajło lub Sawa miał przyjść i zabrać jedzenie do zagrody. Iwonika miał wró-

cić dopiero po obiedzie, a ona sama nie miała czasu zanieść im jadła.

Właśnie przed chwilą spojrzała w okno, czy który z nich nie idzie. Zdawało jej się, że Mychajło, ale nie zobaczyła nikogo. Na dworze było mglisto i przez małe okienka mało co było widać. Spieszyła się dziś. Czekała sporo różnych zajęć. Prócz tego miała jeszcze pójść do wsi.

Była w samej koszuli, podpasana kolorowym paskiem bez ręcznika na głowie. Z siwymi, rozpełeczanymi włosami wyglądała nieco dziko. Nie miała dziś czasu nawet przyczesać się i zarzucić jakiejś chustki na głowę. Jednak jej delikatne rysy twarzy i jasne, spokojne oczy łagodziły wrażenie, wywołane zaniedbanym wyglądem.

Już od piątej była na nogach. Jedna robota goniła drugą, nie zostawiając ani jednej wolnej chwili, by zająć się sobą. Zresztą rzadko kto do nich zachodził i nigdy nie zwracała uwagi na to, jak jest ubrana.

Na dworze zaszczekał pies. Za chwilę otworzyły się drzwi i na progu stanął stary Onufry Łopata.

— Szczęść Boże, Mario.

— Daj Boże i wam, ojczulku. Wejdźcie bliżej.

Ale on nie ruszał się. Stał na progu, wsparł się oburącz o futryny i patrzył na nią w milczeniu.

— Mario, gdzie wasz Mychajło? — spytał wreszcie.

— W polnej zagrodzie. Właśnie czekam na niego, aby przynieść Sawę, aby zabrali sobie jedzenie. Mam iść do dobrużdzia z wełną i nie mam czasu zanieść im jeść. Który z nich powinien wnet nadejść.

Stary przebiegł wzrokiem po izbie i zatrzymał go na Marii. Twarz jego miała dziwny wyraz.

— W polnej zagrodzie, powiadacie?

— Aha.

Stary splunął.

— A jakże, w polnej zagrodzie — odpowiedział. — Leży zastrzelony w „sąsiedzkim” lesie. Idźcie tam i zabierzcie go sobie.



Maria odwróciła w jego stronę swą rozczochraną głowę i spojrzała na niego, zupełnie ogłupiała.

Co on plół, o czym on plecie? Co takiego? Czy nie dźwięczało to tak samo jak wtedy, kiedy Iwonika wrócił z komisji poborowej i zawołał do niej: „Mario, straciliśmy naszego syna”?

To było coś podobnego, ale nie całkiem go zrozumiała. Stała biała jak śmieć i wpatrywała się szeroko rozwartymi oczyma w jego twarz.

— Wasz Mychajło leży zastrzelony w „sąsiedzkim” lesie — powtórzył. — Idźcie i zabierzcie go sobie.

Teraz go zrozumiała.

Nie odrywając od niego oczu, wpatrywała się z jeszcze większym natężeniem, potem wolno podniosła obie ręce ku głowie, wczepiła palce we włosy i zaczęła krzyczeć.

Krzyczała tak strasznie, że krzyk ten przypominał ryk zwierzęcia, i krzycząc wybiegła na dwór.

Tak jak stała, pomknęła na miejsce tragedii.

Nie mógł jej dogonić. Leciała jak na skrzydłach. Przez ściernisko do polnej zagrody, a potem dalej. Skakała przez rowy jak sarna, a gdzie nie mogła przeskoczyć, przełaziła na czworakach, nie zatrzymując się nigdzie.

Po drodze opowiadał każdemu, kto pytał o straszny wygląd kobiety:

— Mychajło Fedorczuk leży zastrzelony w lesie.

— W którym lesie? — pytano.

— W „sąsiedzkim”. O, tam.

Każdy, kto to usłyszał, rzucał robotę i gnał do nieszczęsnego miejsca.

— Boże, Boże, Boże...

Las stał zamknięty w sobie i dufny. Siwe masy mgieł wisiały nad nim w przedziwnych kształtach, tu jaśniejsze, ówdzie ciemniejsze, usiłując rozbić nieprzyjazny mrok jego głębin. Jakby szedł z tej głębin chłodny oddech, wypierając do góry delikatną mgłę.

Kiedy Maria weszła do lasu, brodząc w opadłych liściach, ziemia wrogo zaszeleściła. Objął ją lodowaty chłód.

Głęboko w lesie, tam gdzie rozpierały się rozłożyste drzewa i bujne gałęzie, zwała się na ziemię.

Stary mówił prawdę... Tu leżał Mychajło...

Po chwili zebrała się już gromada ludzi. Krzyżowały się błyskawiczne pytania i odpowiedzi, w środku podnieconego tłumu ktoś stał i opowiadał:

Mieszka w sąsiedniej wsi. Pilnuje po części tego lasu. Właśnie rano szedł tędy. Na gałęziach leżała gruba, marnąca rosa.

Szedł i modlił się. Zawsze się modli, kiedy idzie rano przez pole i las. Ma już taki zwyczaj. Szedł, powiada, i modlił się, rozglądając się. Kiedy tak szedł, nastąpił nagle na coś twardego. Zatrzymał się, patrzy, a tu siekiera i kapelusz. „Co to może znaczyć? — myśli sobie. — Czy ktoś drzewo kradnie? Ale czemu bez kapelusza? I teraz, o tej porze?...” Zaczęło go to zastanawiać. Poszedł powoli dalej, cicho i ostrożnie, bo spadłe liście leżały na ziemi tak grubą warstwą, że noga grzęzła w nich i szeleściły jak żywe. A chciał zajść złodzieja, czy kto tam był, z tyłu. Nagle patrzy, a na ziemi leży człowiek. Podchodzi bliżej, ale tamten się nie rusza.

„Teraz się wysypiasz, jakeś już naszykował sobie drzewa” — pomyślał i obejrzał się, ale świętych drzew nie dostrzegł. Wtedy podszedł jeszcze bliżej do tego człowieka, patrzy, a on obrócony twarzą do ziemi, przykryty serdakiem, a koszula jego zakrwawiona aż po szyję.

— Ciężka tu ręka pracowała — kończył swoje opowiadanie. — Pobiegiem szybko do Onufrego Łopaty, on tu najbliższy sąsiad, niech popatrzy na nieboszczyka, może pozna, skąd on jest. Przyszedł Łopata, a z nim inni. Odwróciliśmy trupa, obejrzeliśmy go, no a dalej to już sami widzicie, co jest. Ciężką winę wziął na siebie ten, co to zrobił, bo to jeszcze młody chłopiec, a jak słyszę, bardzo porządny. Niech Pan Bóg przyjmie jego duszę do swego królestwa, niewypowiedanego.

Na wszystkich twarzach malował się głęboki przestrah;

jęczeli, wzdychali, załamywali w milczeniu ręce, a każdy próbował odgadnąć i dopytywał, kim jest zabójca.

— On się sam zdradzi, jeśli go nie odnajdą! — pawił dalej strażnik. — Las go nie wyda, bo on zawsze milczy. Ale kiedy już raz wyjdzie z lasu, wtedy spocznie na nim Boże oko i ludzka uwaga i wszystko wyjdzie na wierzch.

Podczas gdy ludzie, tłocząc się na miejscu wypadku jak w ulu, z oburzeniem i grozą rozprawiali i radzili, oglądając zabitego i nieszczęsną matkę to z współczuciem, to z ciekawością, Maryjka, popadając raz po raz w dziką rozpacz, czołgała się koło swego syna jak postrzelony zwierz. Krzyczała przeraźliwym głosem, stękała, jęczała i obmacywała ciało syna ze wszystkich stron.

— Mychajle! Mychajle! Mychajłyczku! Wstawaj!...

Unosiła jego głowę i opuszczała, bezwładną. Chwytała za ręce i opuszczała je. Obmacywała nogi i znowu wracała do głowy, wyglądając ciągle jakiejś pomocy.

— Kto to zrobił? Kto? Kto?! I za co? Za co? Umarł! Zastrzelony!... Już całkiem zeszytniał. Zimny jak lód. Twarz biała jak śnieg, cała koszula we krwi... On nie żyje... Ratujcie! Ratujcie!...

— Za co? Za co? Za co? — rozdzierał jej piersi straszny, przejmujący krzyk. Dusza rozszalała się z bólu, którym nabrzmiały był głos, drżące ręce dotykały ciągle drogiego ciała. Chwytała je, przyciągała do siebie, opuszczała bezwładnie i znowu obejmowała.

— Ludzie! On nie żyje!

Nowy, wstrząsający krzyk przeszył posępną ciszę lasu i jak błyszcząca stal utkwiał w sercach wszystkich zebranych, wywołując głośny płacz.

Tu i tam z twardej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie, a zgrubiałe ręce ocierały łzy, które jak w gryzącym dymie wydobywały się na wierzch i spływały niepostrzeżenie po twarzy.

Umarł...

Spojrzenie jej było martwe jak u trupa, straciła głos.

— Wstawaj... — błagała szeptem, natężając wszystkie

siły i pochylając się głęboko nad zmarłym. — Wstawaj, Mychajle!...

Zmartwiałe jej usta nie potrafiły wymówić nic więcej. Twarz jej zlodowaciała, zwała się bez pamięci na jego ciało...

Było to tego samego dnia po południu. Iwonika wracał do domu. Szedł najkrótszą drogą, wiodącą do wsi, by znaleźć się jak najprędzej w domu.

Szedł szybko, na twarzy jego malowało się zmęczenie. Po wyruszeniu z miasta ani razu nie odpoczywał. A tam, w mieście nic nie potrafiło go już zatrzymać, skoro tylko załatwił swoje sprawy.

Przenocował u pana i chociaż i pan, i pani namawiali go, by po załatwieniu interesów odpoczął jeszcze u nich z godzinę lub dwie, nie dał się skusić. Wróciwszy z banku, pożegnał się i ruszył w powrotną drogę. Ciągnęło go do domu.

Pełen był niepokoju, chociaż nie mógł znaleźć przyczyny. Dławiła go jakaś głucha trwoga wzrastająca w miarę, jak zbliżał się do ściernisk swej wsi. W małej torbie, przewieszanej przez plecy, niósł piękne jabłka i biały chleb dla Mychajła oraz oddzielnie zawinięte białe świeczki. Jutro przecież świętego Mychajła i trzeba będzie pójść do cerkwi.

Nogi jego potykały się o grudy ścierniska, jak gdyby jakieś niewidoczne łyka je krępowały i umyślnie zwalniały chód. Czuł na sercu gniotący ciężar... Poczuł się stary. Co by się tam nie mówiło, przecież nie jest już młody. Ot, jak mu się ciężko idzie. Nie tak jak dawniej. Nie czuł ziemi pod nogami. Ale tak to już jest. Człowiek z każdą godziną się starzeje.

I nie zdając sobie z tego sprawy, raz po raz ciężko wzdychał.

Ale oto znalazł się już na polach swej wsi. Miał za sobą większą część drogi, ino patrzeć, jak wyłoni się pański dwór i jego chata.

A teraz już tylko może kilkadziesiąt kroków i znajdzie

się przed swoim domem. Ale dziś mgła! Spowiała wszystko, i domy, i drzewa... ledwie w niej majaczą.

Zatrzymał się na chwilę prawie nieświadomie i zamyslił się. Czy wstąpić najpierw do chaty? Może Maryjka go oczekuje. Chce się pewnie dowiedzieć, czy wszystko dobrze załatwił; ona taka bojaźliwa...

Jego chata patrzyła na niego...

Stała cicha i martwa wśród nagich okalających ją drzew i patrzyła... Zwisająca nad polami i snująca się leniwie wokół niej lekka mgła czyniła tę pustą chatę jeszcze bardziej ponurą.

Drzwi od sieni stały szeroko otwarte, w sieni było ciemno, a okna czerniały w białych ścianach jak cztery klepsydry.

Odwrócił się.

Nie, nie będzie tam wstępował. Wolał pójść prosto do polnej zagrody, do Mychajła. Przyniósł mu jabłka i bochenek chleba; ciągnęło go najpierw do niego.

Ruszył zdecydowanie naprzód i po chwili miał już za plecami pański dom i swoją chałupę.

Przed nim rozciągały się znowu pola. Ale niewiele zwracał na nie uwagi. Gdzieś już niedaleko będzie chata Dokii. Jeszcze tylko ją minie, a potem zawróci dróżką w czyste pole, gdzie przyczaiła się jego zagroda.

Jesienna mgła omotała wszystko swym siwym oddechem; tonęły w niej, przeświecając białymi ścianami, porozrzućane tu i tam chatynki. Wpatrywał się w jej pustkę. Jak gdyby umyślnie kotłowała się ciągle przed nim gęstymi kłębami, czuł jej wilgotny dotyk na piersiach i twarzy, tak jakby chciała zasłonić wszelki widok na puste pole...

Miał oczy bystre jak orzeł, usiłował więc ją przeniknąć. Zagroda jego leżała tam, gdzie pola obniżały się w płaski kocioł. Za nią czerniały drzewa, a dalej, na prawo „sąsiedzki” las, który tak zawsze wyglądał, jakby czegoś oczekiwał...

Szukał teraz tych punktów.

Oczy jego od lat przywykły do nich, stanowiły swego

rodzaju punkt zaczepienia dla wzroku wśród rozległej równiny. Ale teraz nie mógł niczego dostrzec. Po dłuższym czasie napiętej uwagi zobaczył, że coś oddzieliło się od delikatnej tkaniny mgły. Było jeszcze daleko od niego, ale już coś rozróżniał, zdawało mu się nawet, że zaczyna rozpoznawać.

Coś wlokło się w kierunku pańskiego domu, a więc i jego chaty... Tak, na przodzie szli ludzie, pojedynczy mężczyźni i kobiety; we mgle odcinały się wyraźnie głowy kobiet w białych ręcznikach. Stąpali z powagą, a trochę z tyłu za nimi toczył się wolno wóz, zaprzężony w woły.

Co to takiego? Jego woły? Bure?

Szły wolno i poruszały łbami, jakby już z daleka kiwały do niego, a wóz ledwie włókł się za nimi. Wokół wozu znowu mężczyźni i kobiety. Widocznie coś wieźli...

Coś uderzyło go w plecy tak mocno, że aż się zachwiał i omal nie upadł. Odetchnął ciężko, a jego oczy wpiły się w ten obraz.

Nieświadomie przyspieszył kroku.

Pod nogami wyrastały nieprzyjazne mu, duże bryły ziemi, o które ciągle się potykał. Krok jego stał się zaciekle i nierówny. Wreszcie zatrzymał się koło wozu.

Nikogo nie pozdrowił. Nie dostrzegał nikogo. Jego też nikt nie przywitał. Nikt nie powiedział ani słowa, wszyscy byli jak porażeni. Bure zatrzymały się same, wszyscy ustąpili mu nieśmiało, w milczeniu, miejsca przy wozie.

Nastała głęboka cisza. Jakby każdy dźwięk zatrzymał się we mgle ze zdziwieniem...

Spojrzał...

Na wozie, biały jak ściana, leżał wyciągnięty jego syn. Ciężkie, krwawe milczenie...

Dobłą chwilę wpatrywał się w niego, potem podniósł rękę, pogładził jego młodą twarz, w której nie było już ani kropli krwi, odwrócił się nagle do ludzi i krzyknął:

— On nieżywy!

Jakiś głos padł na niego młotem.

— Nieżywy!

Dłonie jego zacisnęły się kurczowo, rozejrzał się błędnym wzrokiem i głowa jego zaczęła się silnie trząść.

Jakaś kobieta z rozwianym włosom krążyła bez przerwy, jęcząc, wokół wozu, jakby czegoś szukała. Z nieobecnym, jakby nadśluchującym wyrazem twarzy wystękiwała głuchym, ledwie słyszalnym głosem imię zmarłego.

Była to Maryjka.

Znowu chwila strasznego milczenia.

Nagle stary podniósł żywo głowę i wnikliwym spojrzeniem przebiegł po obecnych.

„Kto był zabójcą jego syna?”

— Gdzie Sawa? — spytał.

Wszyscy się obejrżeli. Sawy nie było.

Opuścił głowę na piersi i nie powiedział ani słowa. Twarz jego pożółkła, usta zdrętwiały, a serce jakby ustało.

Ktoś z tłumy westchnął ciężko, ktoś inny powiedział nabożnie, z naciskiem:

— Bóg też potrzebuje czegoś dobrego.

Kilka głosów powtórzyło te słowa.

Po chwili wszyscy w milczeniu ruszyli z miejsca. Powoli, ostrożnie bure ciągnęły swój ciężar.

Ojciec i matka trzymali ręce na głowie zmarłego, za nim wlokła się krok w krok ciężka cisza...

## XX

Koło chaty Iwoniki tłoczyli się ludzie. Żandarmi, Żydzi, mężczyźni i kobiety, obcy i swoi. Padały pytania i uwagi:

— Czy słyszał kto coś podobnego? Czy to jednak prawda? Ktoś Mychajła zastrzelił? Któż go mógł zastrzelić? Za co? On przecież nie miał żadnego wroga! Już kto, jak kto, ale on na pewno nie miał wrogów. Na całym Bożym świecie nie miał...

A potem:

— Gdzie Sawa? Gdzie jest Sawa?

Pytania te, jak czarne spłoszone ptaki, krążyły tam i z powrotem, podczas gdy zmarłego wniesiono do chaty, przebrano i ułożono na posłaniu.

Sawy nie było. Ale wnet nadszedł szybkim, lotnym krokiem. Ledwo tylko posłyszał straszną wiadomość, przecisnął się przez tłum przed chałupą i stanął przed martwym bratem. Rzucił się na niego i zaczął tak strasznie szlochać i lamentować, że co wrażliwsze kobiety podchodziły do niego i usiłowały uspokoić, aż wreszcie współczującymi i łagodnymi słowami odciągnęły go od zmarłego.

Tylko ojciec milczał. Ledwie że spojrzał na niego. Nie odstępował od zmarłego syna. Jakby oczekiwał, że jego blade usta rozchylą się i wypowiedzą jedno jedyne słowo, a potem niechby się ziemia otworzyła i znowu pożarła jednego jedyne.

Rana zabitego, umiejscowiona pod łopatką, zaczęła na nowo tak krwawić, że cała poduszka była poplamiona. Kiedy matka to spostrzegła — zajmowała się nim bez przerwy — kazała Iwonice podać drugą. Posłuchał, a ona — zazwyczaj słaba i delikatna kobieta — stała się, chyba z bólu, tak silna, że podniosła sama zmarłego do góry jak dziecko i również sama ułożyła go z powrotem. Nikt oprócz niej nie śmiał go dotknąć. Nikt! Nikt! Nie daj, Boże, żeby ktoś spróbował.

Kiedy Sawa zbliżył się znowu do brata i zaczął ponownie lamentować, Iwonika uniósł głowę, opartą dotąd na rękach, i nie spojrzawszy na chłopca powiedział do Marii bezdźwięcznym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Spadł na nas wielki grzech, Mario...

Ale ona go nie słyszała. Jakby postradała zmysły. Podchodziła i odchodziła od syna, mówiąc coś bez związku. Chwilami wpijała się oczami w zmarłego i gładziła pieszczotliwie jego ładną, spokojną twarz. Poza tym nie widziała i nie słyszała wokół siebie nikogo.

W izbie było sporo ludzi, wśród nich Dokia, stary Petro, Domnika i Onufry Łopata. Stali prawie nieruchomo



i szeptali między sobą, próbując odgadnąć, kto mógł dopuścić się tej strasznej zbrodni.

— Kto mógł być jego wrogiem? — szeptała przejmująco Dokia, górując nad wszystkimi swą wysoką, wyniosłą postacią. — Kto mógł być wrogiem takiej duszy? Czy kto z was, dobrzy ludzie, zna jakiegoś wroga Mychajła? Czy miał kiedykolwiek z kimś jakąś sprzeczkę? Czy kto miał żal do niego, kiedy szedł do wojska? Czy zawinił co komu?

Stary Petro uśmiechnął się gorzko i machnął ręką.

— Takiego drugiego nie będzie już w naszej wsi — powiedział z naciskiem. — To był aksamit, nie człowiek. Bez zółci. Ale ten — ciągnął z poprzednim uśmiechem na ustach, wieszczym i groźnym głosem, spojrzawszy znacząco na siostrę — ten, któremu on zawadzał, nie będzie miał spokoju ani na tym, ani na tamtym świecie! To się musi wydać, kim on jest. To jest takie okropne nieszczęście, że nie znajdzie dla siebie schowka na ziemi, a krwi niewinnej ziemia do siebie nie przyjmuje nigdy! Miarkujcie, dobrzy ludzie, co wam mówię, wspomnicie kiedyś moje słowa! Nie mówię tego na wiatr!

Domnika siedziała milcząco w kącie na niskim stołku, bez przerwy śledziła oczyma nieszczęsną matkę i kiwała żałośnie głową. To, co się stało, było straszne. Nie daj, Boże, żeby coś takiego mogło się jeszcze kiedykolwiek zdarzyć!...

Jej czarne oczy lśniły dziwnym blaskiem, jakby widziały przed sobą jakieś dziwne rzeczy, jakich inni nawet nie przeczuwali, ale usta jej były zaciśnięte, jakby się bała, że jedno imię, które raz po raz padało w toczących się rozmowach, wyrwie się przemocą i pociągnie inny dramat nieszczęsnych rodziców.

Ludzie unikali swoich spojrzeń. Bojaźliwie i trwożnie wyczytywali wzajemnie w swych oczach tajemnicę tego strasznego wydarzenia, ale za nic na świecie nikt nie ujawniłby na głos swych domysłów, tkwiących gdzieś, w najtajniejszym zakątku duszy, jeszcze w powijakach, w oczekiwaniu dalszego rozwoju akcji... Jakby coś nie-

widzialnego krążyło i objawiało wszystkim to samo, a potem, przykładając bladą dłoń do żywych ust, nakazywało głębokie milczenie.

Przed domem zebrało się chyba z pół wsi. Złożono w sądzie doniesienie i oczekiwano jutro komisji. Niemal każdy zastanawiał się, czym się to skończy. Szepty i przyciszone głosy zlewały się, jak falami opływając ze wszystkich stron małą chatynę.

Wystraszone, zmieszane, ale zaciekawione twarze cisnęły się do małych okiennych szyb, a tu i tam czerniały jak kretowiska pozrzucane na ziemię kapelusze. Zmarły był w chacie i chwila wymagała szacunku. W stajni ryczała trwożnie i przykro zapomniana krowa, a w małych sieniach chaty zapiał schowany gdzieś w ciemności kogut.

Ten i ów się modlił.

Modliły się też dwie babusie, siwe sąsiadki Maryjki, które krążyły po wsi jak zagubione cienie. Wiele już przeżyły i przecierpiały; jedynym ich pragnieniem było, żeby nie umarły bez gromnicy i bez spowiedzi..

Teraz wcisnęły się w najgłębszy kąt izby, by nikomu nie przeszkadzać, ale być przy tym, i wpatrzone smutnie w młodego zmarłego gorąco się modliły.

Jakby jakaś siła trzymała każdego tu, na miejscu. W izbie, pełnej ciężkiego zaduchu, panowała brzemienna oczekiwaniem cisza, a szept przebiegał po niej jak drgawki. Niekiedy ustawał zupełnie, by po chwili nasilić się i rozbić męczącą atmosferę. Maria postękiwała, rzucając głową to w jedną, to w drugą stronę, a Iwonika, przysunawszy się blisko do posłania zmarłego, z wspartą o dłoń głową, wpatrywał się nieruchomo w ukochaną twarz syna. Na pół przykryty czarnym serdakiem, leżał z białą jak śnieg twarzą, na której zakrzepła głęboka powaga.

Nie żyje!

Jego Mychajło nie żyje. Zastrzelili go. Pod lewą łopatką była rana. Znaleziono go w lesie z twarzą zwróconą do czarnej ziemi. Kapelusz leżał opodal, a wraz z nim i siekiera...

Poszedł pewnie do lasu, żeby narąbać drzewa, zdaje się, że było mu potrzebne na kołki do płotu — tak, coś medytował, kiedy oglądał płot — i tam ktoś zaczajony napadł go z tyłu. Jak ludzie przypuszczali, musiał jeszcze długo żyć, musiał raz jeszcze dźwignąć się z ziemi, poczołgać się kawałek dalej, bo kapelusz i siekiera leżały osobno, daleko od niego, może wołał też pomocy.

Musiał na pewno po napadzie podnieść się jeszcze. Był taki silny i zdrowy, że było nie do pomyślenia, by umarł zaraz na miejscu. Musiał żyć jeszcze jakiś czas...

Na czoło wystąpiły staremu duże, zimne krople potu. Pochylił się głęboko nad zmarłym. Zrobił to nieśmiało, kryjąc się z tym, bojaźliwie i niemal wstydliwie; szeptem spytał:

— Chciałeś się ratować, Mychajłyku? Wołałeś pomocy? Żyłeś jeszcze?

Potem jakby nożem w serce uderzyła go myśl: „Mnie nie było w domu. Był przykryty serdakiem... Kto go nakrył serdakiem?

Ktoś go musiał nim przykryć. To ten, co wpakował mu kulę pod łopatkę...”

Ciężko stęknął.

Poszedł do lasu po gałęzie, by naprawić ogrodzenie dla cieląt. Ten nieszczęsny las! Ale to, po co poszedł, to było cudze dobro.

To owo biedne ciele pociągnęło za sobą takie straszne nieszczęście. Gdyby nie zdechło, nie doszłoby do tego... Nawet by mu do głowy nie przyszło pójść do tego przekłętego lasu.

Pokiwał z rozpaczą utrzymaną w obu rękach głową, ale oczy jego pozostały suche.

Tak zawsze lubiał ten las, coś zawsze go tam ciągnęło, jak do domu, aż go zaciągnęło. Zaciągnęło... na wieki.

Czuł, jakby mu serce w pięść się zaciskało.

Czy poszedł sam do lasu, czy też z Sawą?

Odwrócił nagle głowę do ludzi i spojrzał na nich strasznym wzrokiem.

Nikt nie odpowiedział.

Zapomniał, że przecież z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Potem wstał, podszedł jak automat do Marii i z rzadko spotykaną u niego siłą uderzył ją pięścią w plecy.

Upadła na ziemię jak przełamana.

— Trzeba było patrzeć, z kim poszedł! — krzyknął bezdźwięcznym, drżącym głosem. — Byłaś w domu!

Wszyscy rzucili się jak gromada spłoszonych ptaków.

— Ojciec, co wy? Bójcie się Boga!

— Boga się nie boicie! Ona przecież niewinna!

— Dajcie żonie spokój, ona już idzie za synem.

Napomnienia i uwagi dolatywały ze wszystkich stron, krzyżując się nad jego głową.

Nie rzekłszy ani słowa, znowu usiadł koło zmarłego syna, ścisnąwszy głowę rękami jak przedtem. Owładnęło nim niewypowiedziane uczucie nienawiści i złości do żony. Ona była w domu. Przez cały ten czas była przecież w domu i mogła zapobiec nieszczęściu; on był w mieście, a jednak miał przeczucie, że stanie się jakieś nieszczęście. Ona winna! Gnało go do domu jak pożar. Byłby się rozchorował, gdyby musiał zostać dłużej. Jakby coś weszło w niego i gnało go z powrotem, tak że nie czuł ziemi pod stopami; nie darmo tęskniło i krwawiło jego serce. O, nie darmo, nie darmo, nie darmo!... Ot, co zastał!...

Maryjkę podnieśli. Ogłuszona, półprzytomna, skuliła się jak pies przy nogach zmarłego. Miała wygląd odstraszaający. Rozczochrana, z błędnym spojrzeniem, z bladą jak płótno twarzą, z wykrzywionymi konwulsyjnie ustami.

— Ja byłam w domu, a on był w zagrodzie — zaczęła po dłuższym, ciężkim milczeniu cienkim, słabym, niemal dziecinnyim głosem, więcej do siebie niż do ludzi. — Pod wieczór przyszedł tu i zjadł kolację, kuleszę z barszczem. Jadł i powiedział: „Pójdę dziś wieczorem do lasu przynieść trochę gałęzi”. Tak jakoś wesoło na mnie popatrzył i poszedł...

— I nie wrócił więcej! — doleciał szept z tego kąta,

gdzie stały siwe babusie i modliły się. — I nie wrócił więcej...

Iwonika, zdaje się, nie słuchał tego, co żona mówiła. Nie odwracając głowy spojrzał w bok. Tam stał on, jedyny teraz jego syn...

— Byłem u wróżki — dał się nagle słyszeć głos Sawy.

Wszystkie głowy zwróciły się ze strachem w jego stronę. Dopiero pierwszy raz się odezwał. Dotychczas nawet ust nie otworzył.

Iwonika i teraz nie spojrzał, ale na czoło wystąpiły mu zimne krople potu. Głos jego syna przejął go grozą. Lepiej by milczał i nie wypowiedział ani jednego słowa...

— O Boże, co Ty robisz! — wyrwało mu się nagle z piersi z dziką rozpaczą; głowa opadła bezładnie na kraj łóżka, a w piersi rozszalał się obłędny ból. To mówił on, jedyny teraz jego syn...

Sawa stał oparty o ścianę, z założonymi w tył rękami, wzrok jego myszkował po ziemi.

— Byłem u wróżki, a ona mi mówi: „Przyszedłeś tu i wypytujesz o ziemię, pole, o różne inne rzeczy, ale tobie nie wolno tu tracić czasu. Idź do domu, twój brat zabity! Leży w lesie”. No, tom zaraz tu przybiegł, a jeszcze po drodze powiedzieli mi, że Mychajło zabity.

Przy tych słowach podszedł do brata, rzucił się na niego i gorzko zapłakał.

— Czy Mychajło poszedł do lasu sam? — jak grom przeszył nagle powietrze głos starego Petra.

Chłopiec podniósł głowę, wzrok jego zaczął znowu ślizgać się po ziemi.

— Nie wiem! — odpowiedział równym, spokojnym głosem. — On poszedł z domu sobie, a ja sobie!

— Z polnej zagrody?

— Może i z zagrody. Nie wiem.

„Po północy szedłeś do Rachiry — pomyślała Domnika. — Wstawałam popatrzeć, dlaczego pies się tak rozszczękał. A to ty byłeś.”

— Boże ty mój, cóż to za księżycowa, jasna nocka była! — powiedziała Dokia, stojąca koło niej.

— Aby dobra duszyczka się nie błąkała — odezwały się pobożnie smutnym głosem babusie. — Tak już Pan Bóg dał.

Znów zapanowało milczenie. Nikt nie zapytał więcej ni słówkiem, nikt nie ruszał się z miejsca. Wszyscy jakby na coś czekali, jakby wrosli w ziemię, a chata nie ujawniała niczego. Od czasu do czasu ktoś ciężko westchnął, mącąc ciszę, a ledwie słyszalny jęk nieszczęśliwej matki przyciągał do niej wylękłe spojrzenia. Skulona bez przerwy targała palcami włosy.

Nagle przed chałupą wszczął się ruch.

Głosy nasilały się i wpadały do środka coraz wyraźniejsze, krzyżowały się jakieś pytania i odpowiedzi, a potem dały się słyszeć w sieni czyjeś kroki.

Za chwilę otworzyły się drzwi i do izby weszła Anna...

W paraliżującej ciszy zrobiono jej przejsście.

Szła pochylona całym ciałem w przód, ledwie się wlokła, z szeroko otwartymi, już od progu wpatrzonymi w zmarłego oczami. Twarz jej była blada jak ściana.

Zatrzymała się koło posłania, ale nie na długo. Wpiwszy się oczyma w zmarłego, jakby przyciągnięta, rzuciła się na niego w milczeniu. I tak została jak nieżywa.

Iwonika i Maryjka byli zaskoczeni.

Co to takiego? Co to miało znaczyć?

— Czego tu chcesz? Czego ty tu chcesz, Anno?... Słyszysz? Czego tu szukasz?

Oboje wołali tak zmieszani, raz po raz, próbując odciągnąć ją od zmarłego. W izbie powstało zamieszanie i gwar.

— Zabieraj się stąd! Odejdź! Czego tu chcesz?

Nawet się nie poruszyła. Była ciężka, jak martwa, i nie można jej było odciągnąć.

— Święty Boże, co to ma znaczyć? Czego ta tu chce! — krzyknęła matka.

W izbie znowu wzmogły się szepty i padały głośnie pytania.

Z kąta, gdzie stał Sawa, doleciał uszu Iwoniki zduszony śmiech.

W tym momencie dziewczyna podniosła głowę.

— Kto cię zastrzelił, Mychajłyczku? — zapytała z nieopisaną łagodnością i delikatnością w głosie, jakby była z nim sama w izbie, obejmując jego głowę rękami i wpatrując się boleśnie w jego twarz. — Kto? Kto usunął cię z tego świata, żeby mieć więcej miejsca dla siebie? Kto? Powiedz mi!

Potem ucałowała z pokorą jego ręce i kolana i przypadła twarzą do jego piersi; tylko na chwilę, po czym całym jej ciałem wstrząsnął konwulsyjny płacz. Zebrani zaczęli płakać razem z nią, a ten i ów zaczął się modlić.

— Patrzajcie, jak płacze! Zaraz krew jej tryśnie z twarzy. O Boże, co za straszne nieszczęście znowu się tu zważyło!

— Mówił: „Nie porzucę”, a porzucił! — krzyknęła dziko, zanosząc się płaczem i waląc głową o łóżko, aż odgłos poszedł po izbie.

Maria i Iwonika znowu podeszli do niej przerażeni. Odśloniła się przed nimi cała tajemnica nieszczęsnej dziewczyny, wstyd i strach przejął ich jednocześnie. Zwłaszcza Maria opamiętała się zdumiewająco szybko i zrozumiała. Trzeba było dziewczynę stąd zabrać. Za wszelką cenę. Nie śmiała plamić pamięci zmarłego. To niemożliwe, żeby on kochał tę dziewczynę, obiecał się z nią ożenić. To niemożliwe!

Do całego nieszczęścia jeszcze taki wstyd...

— Odejdź stąd, czemu rozpaczasz jak za swoim mężem?! — krzyknęła zachrypniętym głosem, tarmosząc rozpaczliwie z całej siły nieszczęsną.

— Ja wiedziałam!... Ja wiedziałam!... — krzyczała dziewczyna, unosząc zapłakaną twarz. — Wiedziałam, że stanie się jakieś nieszczęście. Sercem to przeczułam. To ono mi powiedziało, że on nigdy nie będzie mój. Czuło to i prawdę przeczuło. Ale my... myśmy się kochali... i on... i on... on chciał wam jutro wszystko powiedzieć. Prosić, byście pobłogosławili jego i biedną wyrobnicę... Przyznać się do wszystkiego. Jutro, w dzień jego patrona... Czekał

tylko na ten dzień. Jutro, jutro, na jego patrona... Wam, ojcze, i wam, matko... jutro... I zamilkł na wieki...

Znów spazmatycznie szlochała, przypadwszy do jego piersi.

Niemożliwe było oderwać ją od zmarłego. Objęła go obu rękami i kiedy próbowali go oswobodzić, ciągnęła go za sobą.

— Zostawcie ją... zostawcie ją, kumie, i wy, Maryjko! — wmieszał się Petro, wstawiając się za dziewczyną. — Tak jak on nie należy już teraz do was, tak nie należy już więcej i do niej. Zostawcie ją, niech płacze. Może on potrzebuje jej łez. I tak umarł bez gromnicy i spowiedzi.

Maria załamywała w milczeniu dłonie, Iwonika stał jak skamieniały... Dziewczyna płakała tak, że, zdawało się, szloch rozsadzi jej piersi, a głos jak struna urwie się na zawsze.

Wokół narastał szept, tu i tam wystrzelały z niego głosy, jak wiotkie, smutne kwiaty. Dokia i Petro opowiedzieli pokrótce rodzicom historię nieszczęsnych młodych, i o tym, jak nieboszyk miał nadzieję, że jego patron, święty Mychajło, dopomoże mu przekonać rodziców, żeby przyjęli do domu za synową biedną wyrobnicę.

— Chcieli się wam pokłonić... najpierw on...

Nagle zamilkli.

Dziewczyna podniosła znów głowę i obejrzała się.

Jej wielkie, ciemne, lśniące od łez oczy błysnęły jakoś dziko, objęła wnikliwym spojrzeniem obecnych, tak jak ojciec, kiedy przedtem szukał zabójcy swego syna.

Nagle dostrzegła Sawę.

Skoczyła jak lwica i rzuciła się na niego ze zwierzęcym krzykiem.

— Ty! — krzyknęła. — Ty!

Wpijając się paznokciami w jego ręce, przycisnęła twarz do jego ramienia i jęknąwszy z nienawiści, ugryzła go.

Sawa wrzasnął przestraszony i próbował się od niej uwolnić.

Ludzie rzucili się i odciągnęli ją od niego.



— Ty go zabiłeś! — wołała nabrzmiałym nienawiścią głosem. — Ty! Bałeś się, że nie dostaniesz ziemi, i zabiłeś go! Zabierzcie mordercę i zabijcie go, inaczej ja go zabiję! — szalała, wskazując na Sawę, który, zmieniony nie do poznania, z błędnym spojrzeniem, schował się za matkę, ciężko oddychając; twarz jego skrzywiła się do płaczu jak u małego dziecka, ciało przebiegały drgawki.

— To tyś go zastrzelił, mnie wystawił na pośmiewisko, a jego dziecko osierocił, zanim jeszcze na świat wyjrzało. Zabójco, morderco!...

Zabrakło jej nagle głosu i siły, zachwiała się. Ktoś pociągnął ją gwałtownie w tył i zatkał jej ręką usta.

Był to Iwonika. Matka rzuciła się do niej i podniosła rękę, żeby ją uderzyć, wstrzymała się jednak, jak porażona.

Dziewczyna spojrzała na nią.

— Mnie? — spytała, wpijając się błędnymi, pełnymi grozy oczami w twarz starej; niewypowiedziane wzgardliwy, niemal demoniczny uśmiech wykrzywił jej blade usta.

— Ciebie! — syknęła stara, opuszczając w tym momencie nieświadomie rękę.

Obie kobiety zmierzyły się lodowatymi oczyma.

Zaległa straszna cisza. Matka wyczuła instynktownie, że Anna odgadła jakąś prawdę. Straszną prawdę, od której przed chwilą świat przed nią zawirował, ale która poruszyła jednocześnie macierzyńską miłość.

Sawa był teraz jej jedynym, ostatnim dzieckiem. Jej wszystkim. Ona nie mogła go utracić! Za nic w świecie! Raczej tymi oto rękami dokonałaby dziesięciu zabójstw, niż jego miałaby stracić. Nigdy, nigdy! Niech nikt nigdy nie ośmieli się oderwać go od niej, bo inaczej!...

Zaczęła rzezić, jakby konała. Głowa jej opadła bezwładnie na ramię, zaryła palce we włosy. Czowała, że jest bliska obłąkania. Rozwarła się przed nią jakaś straszna przepaść. Jej syn mordercą... bratobójcą!... I jego też mieliby zabrać od niej... Ale to nie może być prawdą! To kłamstwo! Straszne, obłąkane kłamstwo!

— On był mój! — krzyknęła dziewczyna, wskazując na zmarłego. — A ten tu...

— Ty suko! — zasyczała matka uderzając ją mocno w twarz. — Zatlukę cię na miejscu, jeśli powiesz jeszcze choć słowo. Czego ty chcesz od niego, czemu pijesz naszą krew? I to kto? Zabiję jak gadzinę! Precz z mojej chaty! Precz na dwór!

— Zabijcie mnie tu, na miejscu, tu, koło niego, połóżcie mnie razem z nim do trumny! — krzyczała Anna, nie panując nad sobą z żalu, i potrząsnęła gwałtownie głową, tak że chustka i włosy opadły jej w tył. — Pochowajcie mnie z nim, zastrzelcie mnie, jak jego zastrzelili! Mnie teraz wszystko jedno, ale niczyjej krwi nie piję i nie kłamię. On mój, mój... a moje dziecko jest jego dzieckiem. Nie jestem rozpustnicą. Dobrodziej nam ślubu nie dawał, ale niech nas pochowa. Chcę pójść razem z nim do ziemi, połóżcie mnie z nim do ziemi! Do ziemi!...

Znowu zaniósła się szalonym płaczem i tylko raz jeszcze krzyknęła wśród łkań:

— Mychajło! Tyś mnie jednak porzucił!...

Jakby coś wyzwoliło się z krępujących więzów. Wszystkie kobiety zaczęły płakać, a Iwonika uderzył głową o łóżko jak młotkiem. Jakby utracił mowę.

— Mychajło znowu krwawi! — pisnęła Maryjka i rzuciła się do zmarłego.

— Jego krew mnie woła! — krzyknęła Anna. Pochyliła się nad nim, wlepiwszy w niego błędne oczy. — Kapie... krew kapie... — Wyszeptała. — Ożyła, kiedy mnie twoja matka nazwała suką...

Bez pamięci runęła na niego.

Świeczka, paląca się w głowach zmarłego, upadła, potoczyła się właśnie do nóg Sawy i tam została.

Iwonika zauważył to. Podniósł świeczkę, zapalił z powrotem i postawił na miejsce.

Potem wyszedł na podwórze i chwycił się za głowę... Dożył czegoś strasznego, ziemia czegoś strasliwszego jeszcze nie widziała.

Księżyc wszedł w spokojnym swym majestacie, oświecając dalekie, puste pola, tak że można było dostrzec każde źdźbło i każdy nagi krzak.

Niepewnie i lękliwie powlókł się cień za Iwoniką, szukającym samotności; plątał się jak błędny wśród stogów, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Raz obok niego, to znów za nim włókł się, majaczył i przekształcał cień, trzymając się mocno pięty starego człowieka. Nagle skurczył się błyskawicznie, jakby chciał w następnym momencie skoczyć mu na plecy i udusić go, ale on już sam rzucił się na kolana. Padł na ziemię i wzniosłszy obie ręce w górę, zaczął się modlić i bić pokłony.

Nie modlił się jednak słowami. Słowa zastygły mu lodem w piersiach i w mózgu, kiedy zobaczył swego starszego syna bladego i martwego na wozie, wiedząc tylko to jedno, że wielki grzech, którego się ciągle obawiał, spadł już na jego dom i że powodem był Sawa. Sawa kochał się z Rachirą, byli bliskimi krewnymi, a za to Bóg ciężko karze.

Co miało być dalej — nie wiedział. Jego nieszczęście było tak ogromne, że nie był w stanie sięgnąć myślą dalej.

Przez ziemię Sawa podniósł rękę na swego brata; tylko przez ziemię! Nie mogło być innego powodu. Obcy nie dokonał przecież tej strasznej zbrodni.

Jako jedynak spodziewał się dostać kiedyś wszystką ziemię.

Uderzył czołem o bruzdę. Oto czego dożył!

Po to pracował przez całe życie, zgarniał każdą grudkę ziemi, żeby jeden drugiego wpędził później do tej ziemi.

W szalonym bólu w jego wnętrzu wielkim krzykiem rozlegało się tylko jedno słowo:

„S a w a!”

Czy miał wystąpić przeciw niemu jako oskarżyciel? Przeciw własnemu synowi? Miał wystąpić i powiedzieć: „Oto morderca!”

On był teraz jego jedynym dzieckiem. A co byłoby potem?... Nie potrafił dalej myśleć.

Nic by mu już wtedy nie pozostało prócz wstydu...

On nie potrzebuje takich dowodów jak sędziowie (przejęło go chłodem... przecież jutro tu będą), żeby się przekonać, kto to zrobił. Jego serce wyjawilo mu imię zabójcy.

A może jutro nie wykryją i zabiorą go?...

Wszystko w rękach Boga. Ale wtedy niechby i Rachira z nim szła, i jej ojciec. To oni zmarnowali jego dziecko, namówili do wszystkiego, wiedział o tym dobrze. Oni — nikt inny!

Leżał krzyżem na ziemi, nie poruszając się. Nie mógł oderwać się myślami od tego.

Co ten Sawa narobił! Co on uczynił! I dlaczego właśnie jemu? Takiemu dobremu, młodemu, jego całej nadziei! Był dla niego wszystkim, a tamten wpędził go do ziemi.

Żeby był przeczuł, że Mychajła spotka tu coś takiego, nigdy nie zgodziłby się, by przychodził z wojska do domu. Ale cóż, chwili spokoju nie mieli, póki nie przyszedł. Smutek ciągle kroczył ich tropem. Kiedy tylko zaczęli rozmawiać, zawsze o nim, póki nie przyszedł. Tam daleko był od swego nieszczęścia, a jednak żadne z nich o tym nie wiedziało. Umieli narzekać i płakać, umieli tęsknić i przywoływać do siebie, a kiedy wreszcie mieli go u siebie... dopadło go nieszczęście i... teraz go mają! Świece mu teraz zaglądają w oczy. Pośród dnia i pośród nocy.

„Sawa!” krzyknęło w nim znowu i w sercu rozszalał się straszny żal. Jak przedtem Maria, tak teraz on wbił swe twarde, spracowane palce we włosy i targał je. Przyносиło mu to pewną ulgę.

Niech będzie, co chce, ale nie mógł wystąpić przeciw niemu. Nie, nie mógł! A może... może to nie Sawa? Może Hryhory albo Rachira? Któż to mógł wiedzieć?

„Sawa, Sawa!... — załomotał znów w jego sercu potężny głos. — On jeden tylko włóczył się ciągle ze strzelbą. On jeden tylko mógł być z nim w lesie”.

Długo tak leżał, pogrążony w ciężkiej zadumie, nasłuchując, jak w jego sercu szaleje burza. Nagle obudził go jakiś szelest. Podniósł się i rozejrzał. Koło stogów mignęło coś białego i znikło w pobliżu chaty. Wstał żywo, zasko-

czony. Co to mogło być? Czy jakiś ciekawy? Przez głowę przemknęła mu myśl, wywołując falę wściekłego gniewu.

„Rachira! — jak nożem dźgnęło go w serce. — To ona. Podkraǳła się tu nocą jak złodziejka, żeby zobaczyć, co się dzieje. To była jej sprawka. Teraz przyszła, żeby się tym nacieszyć”.

Na jednym ze stogów leżał gruby ǳąg. Porwał go błyskawicznie i rzucił się w tę stronę, gdzie mignęła mu postać.

Nie pomylił się. To była Rachira.

Wlaziła na płot oddzielający zagrodę od stogów. Lekko ubrana, w chustce na głowie, stała na płocie przy chałupie jak mara i przechylając się w stronę okna chciała jednym spojrzeniem objąć całe wnętrze chaty.

Czy coś widziała? Nie wiedział. W tej chwili nie interesowało go to. Chciał tylko bezszelestnie podejść i uderzyć ją ǳągiem po głowie, żeby nie ruszyła się więcej z miejsca. Nie udało mu się to jednak. Był tak wzburzony, że nie potrafił cicho się zachować. Rachira obejrzała się... i właśnie w momencie, kiedy podniósł ǳąg, wymierzając cios w jej głowę — skoczyła błyskawicznie z płota i dała nura w jego ogród. Tu już nie potrafił jej dogonić. Była szybka i zwinna jak kozica, a jego nogi były zmęczone i teraz jak podcięte.

Sapiąc, z bladą twarzą wrócił do chaty.

Przed progiem spotkał Annę. Petro i Dokia prowadzili ją pod ręce do domu. Głowa opadała jej bezwładnie, czarna chustka osunęła się i wlokła się za nią. Oczy miała przymknięte. Szło za nią mnóstwo kobiet. Wraz z nimi sunęła niedobra noc. Jedne wzdychały, inne ukradkiem się żegnały.

Takiego nieszczęścia żadna z nich jeszcze nie widziała.

I tak nagle to przyszło... Dlaczego? Kto tu był winien? Boże mój, przez kogo to? W ciągu jednej nocy spadło na dom i obiegło go takie nieszczęście!

— Zaczęło się od cielęcia — rzucił ktoś z grupy.

— Kto go tam wie, od czego... Jest tak, jak Bóg daje — dorzucił ktoś drugi.

— I nie dawało mu „toto” spokoju, ciągnęło go do lasu i mamiło, dopóki go nie zaciągnęło.

— A to jeszcze nie koniec... — uzupełnił smutnie pierwszy głos.

— Dajcie spokój, kumo, nie mówilibyście czegoś takiego. Co gorszego może się stać jeszcze? — pytał trzeci.

— A jak odnajdą mordercę?

I szeptem:

— Nie słyszeliście, jak Anna krzyczała, że to ten zrobił?

Jedna z siwych babuś przeżegnała się.

— Bądźcie cicho — wyszeptala ze zgrozą. — Ja nic nie słyszałam. Czy ktoś to słyszał?

— Nikt...

— Nikt... nik... — przeleciał zalękniony szept, przechodząc w ciężkie, półgłosne westchnienia. Nagle kobiety zbiły się z przestrachu w gromadkę. Sawa dogonił je i minął dużymi, pewnymi krokami. Szedł tak, jakby nie widział nikogo, bez pozdrowienia, bez jednego słowa, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Poszedł w kierunku karczmy i po chwili znikł...

— To był on, Sawa! — krzyknęła z przestrachem młoda kobieta.

— A jakże! Przesunął się koło nas jak słup. Boże, Boże!...

— Nie daj, Boże!... Nie daj, Boże!... Biednego ojca widzieliście? Siedział koło tamtego jak piorunem rażony. Co on też, biedaczysko, myśli? Mowę mu odjęło.

— A ona jakby dostała pomieszania zmysłów. I jak wygląda! Niech Bóg broni! Bez ręcznika na głowie. Zdaje się, że nawet o tym nie wie, że nie ma ręcznika na głowie.

— Nieszczęście odebrało jej oczy, od kiedy weszło do chaty. Ono krążyło tu już, a gdy się zbliżyło, straciła zmysły. Mówiła, że spieszyła się dokończyć jakąś robotę.

— Tak to już jest. Człowiek zawsze się spieszy, jak nadchodzi nieszczęście...

— Patrzcie, patrzcie... teraz Annę wprowadzają do chaty.

— Aha. Weszła. Co z nią będzie?

— Może starzy ją wezmą do siebie, Maryjka i Iwoni-ka? — odezwała się jedna z siwych staruszek. — Będą teraz mieli wnuka zamiast syna. Bóg nie zabiera tak, żeby czegoś w zamian nie pozostawić.

— Dobrzeście rzekli, kum! — powiedziała inna, roześmiewszy się.

— Maria przyjmie ją do siebie za to, że nazwała Sawę mordercą? Długo będzie na to czekać. I skąd starym do tego? A jakby wam, nie daj, Boże, wydarzyło się coś takiego, przyjęlibyście taką dziewczynę do chaty? Co prawda, jej dola już przekreślona, ale tak już widocznie musiało być! Stara wygląda jak pomyłona, ale tamta jeszcze gorzej...

— Nigdy bym się po nich czegoś podobnego nie spodziewała. I wszystko tak po cichu. Nikt nic nie wiedział, że się kochali. To się nie mogło dobrze skończyć.

— Niestety zawsze podkopuje się cichaczem.

— Ileż to razy wypytywali ją, z kim się spotykała, na kogo ma podejrzenie, ale ona milczała jak niemowa.

— Tak już chciało jej nieszczęście. Od samego początku tak chciało. A teraz niech Bogu podziękuję, jeśli będzie żyć. Myślicie, że jej to wszystko wyjdzie na dobre? Zdaje się, że jej miły pociągnie ją za sobą. Kiedy wyprowadzali ją z chaty, jej chustka zaczepiła się o klamkę i zatrzymała ją, a kiedy ją odczepiła, chustka powlokła się za nią jak chorągiew. Tak, tak.

— Ano. A widzieliście — spytała siwa babusia — jak zakrwawiła się pod nim poduszka, kiedy matka uderzyła ją i nazwała suką? Jego krew jeszcze żywa i jego dusza jeszcze się tu błąka. Patrzcie, jakie jasne światło zalewa pole. Szuka mordercy...

Ta i owa obejrzała się lękliwie, inna przeżegnała się. Niemal wszystkie wzdychały. Żadne usta nie wypowiedziały już słowa „Sawa”... To, co się stało, było tak okropne, że można było stracić rozum.

Ciągle powracały te same pytania.

— Skąd to nieszczęście? Dlaczego tak się stało? Kto

niał z tego odnieść korzyść? W całej okolicy nie było lepszego chłopca od Mychajła, a za dwa tygodnie miał wracać do wojska i nikomu by nie zawadzał.

Myśli nie mogły się uspokoić.

Jakby rozproszone nagłym wystrzałem, nie trzymały się kupy, lecz błąkały się lękliwie po różnych miejscach, zatrzymując się to wokół smutnej chaty, to wokół „sąsiedzkiego” lasu.

To tam się wszystko stało. Ale prawda wyjdzie na wierzch. Bóg nie ścierpi czegoś takiego. On dobry.

Las czerniał nieprzyjaźnie w mroku jesiennej nocy, która szła od głuchych ściernisk, owijając się coraz grubiej w gęstą ćmę, i jakby się cieszył pustką opuszczonych pól.

## XXI

Następnego dnia przyjechała komisja: dwaj urzędnicy sądowi i lekarz. Obejrzelі zwłoki i stwierdzili skrytobójstwo.

— Strzał — wyjaśniali — był oddany zupełnie z bliska. Wyglądało to w przybliżeniu tak: on pochylony odrąbywał gałęzie, a zabójca strzelił do niego z tyłu, z bliskiej odległości. Kula ugrzęzła głęboko w płucach, jednak gdyby miał natychmiast pomoc, mógłby być uratowany, zmarł w wyniku upływu krwi. Stwierdzono też, że czołgał się jeszcze kawałek od nieszczęsnego miejsca, wzywał być może pomocy, ale ponieważ nikt się nie zjawił, zważył się i zmarł...

Podczas śledztwa Iwonika siedział przy zmarłym jak skamieniały. W oczach jego nie zabłysła ani jedna łza. Wszyscy obecni mówili o nieznanym mordercy, rzucali na niego najcięższe przekleństwa i, zdawało się, byliby go rozerwali na strzępy, zwłaszcza kobiety. Tylko on jeden nie miał dla niego ani słowa. Nie nalegał nawet, by go



odnaleźć. Jakby postanowił poruczyć wszystko jakiejś nieznaney, niewidzialnej władzy, która by wszystko prowadziła, rozsądzała i zasądzała. Chciał umyć ręce od tej bolesnej sprawy.

— Twardy człowiek! — powiedział stary Petro do sędziego, wskazując nieznacznie na niego. — Nie uronił jeszcze ani jednej łzy, odkąd spadło na niego to nieszczęście. Ja bym na miejscu trupem padł. Ale serce go zabije. Bo niech nas Bóg broni przed tym, co on w sobie nosi!

Sędzia skierował na niego swe spojrzenie i powiedział tylko: — Niech Pan Bóg broni!

Komisja udała się do lasu na wizję lokalną. Wraz z nią poszło kilka osób, między innymi stary Petro i Sawa.

Rozmawiano o tym, z której strony napadnięto nieszczęsnego i z której strony mógł nadejść zabójca.

Las był nie tyle stary, co gęsty.

Obejrzano miejsce zabójstwa i omówiono wszelkie możliwe jego warianty.

To był wypadek zupełnie niezwykły. Chłopiec nie miał żadnych wrogów, cała wieś gotowa przysiąc na to. O samobójstwie nie mogło być mowy, bo strzał padł z tyłu.

Zabójstwo to było zagadką; rzadką i bardzo interesującą zagadką.

— Czy nie słysząc było wołania o pomoc? Nie słysząc było żadnych krzyków? Nie było w nocy nikogo w lesie lub w polu?

Nie było nikogo...

Zgłosiła się jakaś staruszka, wdowa.

Stara jest — mówiła — i nie powinna już grzeszyć, ale kiedy bieda człowieka przycisnie, to myśli tylko o tym, żeby było co do ust włożyć.

Potrzebowała chrustu. Nie ma pieniędzy, żeby sobie kupić chociaż kilkanaście polan, więc chodziła nocami, kiedy było jasno, do lasu, i zbierała chrust i suche liście, które pchała do worka i niosła na plecach do domu. Chrust i suche gałęzie sama sobie rąbała. Była biedna, sama na świecie, nikt się o nią nie troszczył.

Tej nocy poszła do „sąsiedzkiego” lasu. Noc była taka

jasna, tak bardzo jasna, że można było odróżnić każdą gałązeczkę na drzewie. A było tak cicho, że można by usłyszeć, jak chrząszcz lezie po liście.

Zbierała do worka liście. Szeleściły i trzęsły się, a może jej ręce tak się trzęsły, że dotykała cudzego dobra. Ten drżący szelest jakby mówił do niej: „Cicho, babo, cicho, ktoś może cię usłyszeć, może strażnik, a wtedy jużes przepadła...” Więc zachowywała się możliwie najciszej.

Nagle usłyszała strzał. Uderzył w ciszę leśną jak grom.

— Oj! — jęknęła i byłaby z przestrachu padła twarzą do ziemi, ale zaraz potem usłyszała wołanie o pomoc. Jakiś jeden, jedniusiutki głos wołał ratunku tak strasznie, że włosy się jej zjeżyły.

— Ratunku! Ratunku!...

Cały las napełnił się tym wołaniem. To pewnie gajowy strzelał do złodziei, co kradli drzewo — pomyślała sobie. — Złapał jakiegoś i teraz go bije. Porwała więc swój worek z liśćmi i trochę gałązek i zaczęła uciekać, na ile tylko pozwalały jej stare nogi. Czy jej kto uwierzy? Im szybciej uciekała, tym wołanie o pomoc stawało się głośniejsze i straszniejsze.

— Ratujcie!... Ratujcie!... — goniło ją ciągle.

I im szybciej ją goniło, tym szybciej uciekała. Nigdy w swym życiu nie zaznała takiego strachu jak tej nocy. Nigdy. A przecież żyje już bardzo długo. Włosy ma białe jak śnieg. Zdawało się jej, że gdyby gajowy dał jej tylko raz w twarz, padłaby zaraz na miejscu trupem. Była jak spróchniałe drzewo, które wystarczy kopnąć nogą, żeby się rozpadło. Bezgłośnie, samo z siebie.

No więc uciekała.

Kiedy wypadła już na pole, głos zgasł sam.

Iwonika tłukł pięścią o pięść w dzikiej rozpacz.

— Gdybyście byli wrócili, babusiu, to można by go było uratować! — krzyknął z niewymownym żalem do niej. — Gdybyście byli wrócili!

— Wyczuwał w pobliżu człowieka i jego głos biegł do was po ratunek. Boże, Boże! Mogliście uratować człowieka

od śmierci! — odezwał się Petro z nieukrywany wy-  
rzutem.

— Widocznie już Bóg tak chciał, już tak miało być,  
żeby on umarł — wyjaśnił poważnie Onufry Łopata.

— Żebym ja wiedziała, co się tam dzieje — odezwała  
się znowu babusia, bolejąc nad swoim zachowaniem się —  
tobym chodziła od chaty do chaty, zwoływałabym ludzi  
i na ratunek wysyłała. Alem myślała, że gajowy bije zło-  
dzieja, więc uciekałam, żeby samej nie oberwać. Oj, dobry  
i wielki Boże, przebacz mi mój grzech! Co ja narobiłam!  
Ludzkiej duszy nie uratowałam!

Potem zgłosił się młody chłopiec, rówieśnik zabitego.

— Miałem tylko sen — powiedział — ale chciałbym go  
opowiedzieć.

Pozwolili.

— Śnił mi się nieboszczyk. Niby mi gdzieś opowiadał,  
że jest żołnierzem w małym miasteczku, w jakim nigdy  
wojska nie było, i że chciał go zamordować ktoś, dla kogo  
on był zawsze dobry i serdeczny. „Chciał mnie pozbawić  
życia w bagnie, między żabami — niby mi tak opowia-  
dał — i kiedym się bronił, i wołał z całej siły ratunku,  
on krzyczał na mnie, żebym milczał. Żebyś już raz na  
całe życie zamilkł! — wołał. — Ale i tak nie otworzysz  
więcej ust. Ja jednak pozostałem żołnierzem i umrę  
już żołnierzem!”. Potem jakby wziął czarny serdak, ubrał  
się w niego, wziął na ramię kosę i poszedł. Odszedł, a ktoś  
tak głośno za nim zapłakał, że m się zbudził.

Iwonika patrzył na opowiadającego dręt看wym spojrze-  
niem, a kiedy tamten zamilkł, wrył się palcami we włosy.  
Bał się spojrzeć na kogokolwiek z obecnych. To było po-  
nad jego siły... Jeszcze odrobinę, a to imię zostałoby wy-  
mówione i wszystko by przepadło. Czuł, jak strach wy-  
cisnął mu na czoło krople potu.

Cała miłość dla zmarłego, która go przepełniała, z lęku  
o tego jedyne go żywego przeszła teraz na niego. Ode-  
chnąwszy głęboko, jakby odpierał kamień, który zwałił  
mu się na piersi, powiódł dokoła błędnym wzrokiem. Dla  
jego nieskomplikowanego, jasnego umysłu, dla którego

dotąd wszystko było proste i zrozumiałe, ta potworna historia była czymś, co mąciło mu rozum.

Odczuwał niewypowiedziany strach i niewypowiedzianą miłość. Strach o żywego i miłość do niego oraz miłość zmarłego i żal za nim.

I na próżno w tę prostą, piękną, harmonijną duwdzierała się nienawiść. Na próżno! Miłość była silniej i pokonała ją.

Uczepił się jednego i mocno się tego trzymał.

Wszystko od Boga. Taki już był jego los.

Czemu? Skąd? Dlaczego? Nie czuł się na siłach zasnąć nad tym właśnie teraz, w toku wydarzeń, które wstrząsnęły wszystkimi.

— On traci rozum! — szepnął stary Petro do Doktor, która właśnie nadeszła, wskazując Iwonikę.

— Kto by nie stracił? — odpowiedziała po prostu.

Stary lekarz, który popadł na chwilę w ciężką zadumę, podniósł głowę i wzrok jego spoczął na Sawie stojącym naprzeciw. Jakby się obudził. Co to było? Chłopiec blady jak kreda i trząsł się tak, że kolana tłukły się o siebie. Lekarz pomyślał o cholery. W tym czasie wybuchy cholery zdarzały się dość często. Jeszcze niedawno, kiedy chłopak tu siedł, wyglądał pogodnie i spokojnie, a na taką zmianę... Zaniepokojony podszedł do niego.

— Co ci jest, chłopcze? Boli cię co?

Chłopiec trzymał się obu rękami za brzuch i trząsł jak w febrze.

— Boli — wybąkał.

Lekarz z zaniepokojeniem zaczął go oglądać. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, a Iwonika skamieniała. Zbladł, oczy mu zabłyśły.

Nagle lekarz schylił się do nóg chłopca i pozostał w tej pozycji przez kilka sekund. Na jego białych wełnianych portkach dostrzegł kilka kropel krwi. Zmroziła go na myśl. Wyprostował się.

— Z czego to masz? — spytał, wskazując na plamę krwi.

— Z...z... zająca... — odpowiedział niezdecydowanie, drżąc na całym ciele.

— Z zająca? — spytał lekarz, zamieniając błyskawiczne spojrzenie z sędzią. — Ale plama jeszcze świeża. Kiedyś zastrzelił zająca?

Cisza.

— To już mam od dawna...

Sędzia obejrzał krwawe plamki.

Ludzie milczeli, słyhać niemal było, jak wstrzymują oddech. Wszystkie spojrzenia skierowały się na nieszczęsnego ojca. Siedział z tępym wzrokiem i bladą twarzą, na pniu, jakby oczekując kuli, która przeszyje jego pierś. Usta miał wykrzywione, jego przechylona głowa drżała.

— Plama jest niedawna. Prawie całkiem świeża.

— To pewnie z... kaczk... niedawno ją zarzynałem... i trzymałem między kolanami... — wyjąkał znowu.

Zaczęły się krzyżować pytania i odpowiedzi.

Czy miał strzelbę?

On nie, ale ojciec. Można pójść do polnej zagrody i obejrzyć ją. Nie miał jej w rękach już od kilku tygodni.

Gdzie był wtedy, kiedy jego brat szedł do lasu?

W oczach chłopca zjawiły się wrogie błyski. Potem zaczął się ślizgać rozbieranym spojrzeniem po ziemi, z miejsca na miejsce.

Nie było go wtedy w domu. Nic nie wie.

A gdzie był w nocy?

Nie nocował w domu. Był... u jednej dziewczyny.

Co to za dziewczyna?

W tym momencie stary poderwał się, jakby chciał odpowiedzieć za chłopca, powiedzieć jedno decydujące, ważne, najważniejsze słowo; jednak już w następnej sekundzie, jakby pokonany jakąś niewidzialną siłą, oparł się z powrotem o drzewo i opuścił ciężko głowę.

Rachira. Córka starego Hryhorego, który mieszka o tam, pod tym dużym lasem. To jego cioteczna siostra... jej tato to jego wujek.

— Stary to bandyta i złodziej! — nagle krzyknął twarzą do Petro. Nieznacznie szepnęła lekarzowi na ucho, żeby

przeprowadzić w jego domu rewizję, a potem oddalił się od zgromadzonych. Nie mógł dłużej patrzeć na Iwonikę.

A gdzie ojciec był tej nocy?

Stary podniósł się i pokłonił się nisko... Pokornie czy błagalnie? Jego pocziwe oczy patrzyły teraz błędnie.

— Nie byłem wtedy w domu — powiedział głucho. — Byłem w mieście. Zobaczyłem syna już nieżywego, kiedy go wieźli. Ale gnało mnie do domu i smutek leżał mi na piersiach kamieniem. Ja nic nie wiem.

Nikt nic nie wiedział? Nikt nie widział chłopca w nocy?

Stary przebiegł trwożnym spojrzeniem po twarzach obecnych.

„Czy ktoś coś powie? Jeśli on był wtedy gdzie indziej, to nie mógł być z bratem w lesie”.

Ale jego usta nie były w stanie wymówić ani słowa. Niech się dzieje wola Boża...

— Jeżeli ktoś coś teraz powie, będzie musiał zeznać to w sądzie pod przysięgą — ostrzegał poważnie sędzia.

Wystąpił jakiś mężczyzna.

Mieszkał daleko za wsią. I dość daleko od Onufrego Łopaty. Nie miał żadnych sąsiadów, mieszkał pośród lasów. Szył chłopom serdaki i wełniane portki na zimę. Sawa go zna dobrze, on też zamówił u niego robotę.

Tej nieszczęsnej nocy Sawa zjawił się u niego gdzieś około północy i prosił, żeby dał mu się czegoś napić. Był bardzo blady. I bardzo zmęczony...

Nagle wszystkie spojrzenia uderzyły w Sawę jak ostrza.

— Co mówił?

— Nic takiego. Prosił tylko o wodę i pytał, kiedy jego portki będą gotowe, a potem zaraz odszedł.

— I był blady?

— Tak, bardzo blady. Oddychał ciężko, tak jakby przez całą drogę biegł...

— Czy obaj bracia sprzeczekali się może przed tym nieszczęściem?

Po chwilowej ciszy pytanie to skierowane zostało do ojca.

— Nie. Mychajło był dobrym chłopcem i nigdy nie rozpoczynał kłótni.

— Ale dawniej, jeszcze dawniej...

— Dawniej czasem. Nieboszczyk prawił mu morały i dokuczał mu za to, że się kochał z Rachirą, bo to przecież jego cioteczna siostra. Ale zawsze po dobremu. W złości nigdy z bratem nie rozmawiał. Chciał z niego zrobić porządnego i dobrego gospodarza. Nie był mu wrogiem. Za co brat miałby mu coś takiego zrobić?

Nie powiedział: „zabić”...

Wszelkie dalsze pytania, stawiane młodemu, pozostawały bez odpowiedzi. Zaciął się w milczeniu... Uspokoił się i tylko od czasu do czasu burknął: „Nie wiem”.

Z pozostałych obecnych nikt już nie zgłosił się do składania zeznań.

Komisja ruszyła do polnej zagrody.

Za Sawą szedł żandarm, jako że był podejrzany.

W zagrodzie przeprowadzili rewizję. Szukano strzelby i innych rzeczy, które pomogłyby w wyjaśnieniu zabójstwa, od kiedy podejrzenie padło na brata.

Znaleziono wreszcie strzelbę. Była nawet nabita, jednak zapłon był całkiem zardzewiały. Było oczywiste, że strzelby tej nie używano już od dawna.

Rewizji dokonywano w sposób barbarzyński. Powyciągano na dwór wszystkie ule, które nieboszczyk sam tu poustawiał i opatrzył na zimę, i brutalnie je przetrząsano.

Sawa sam to robił z dużą energią i stanowczym wyrazem twarzy. Spodziewano się, że się znajdzie jakaś skrzwawiona odzież, jakaś broń... A może i jakiś list. Nie przebywał tu przecież stale i mógł otrzymać kiedyś jakieś pismo. Ale niczego podobnego nie znaleziono; tylko zeschnięte zioła, rozrzucone wśród rzeczy nieboszczyka wokół jego łóżka.

Iwonika zmieszał się, kiedy go zapytano, jakie znaczenie mają te zioła. Dostrzegł je w zagrodzie już przedtem. Nie mógł panom nic wyjaśnić. W pewnej jednak chwili jego wzrok niepostrzeżenie zatrzymał się z wyrzutem na twarzy syna, a usta jego wykrzywił gorzki uśmiech.

Przypomniało mu się, że Sawa miał zamiłowanie do ziół, wierząc w ich czarodziejską moc, i że nieraz dawniej obrzucał nimi brata.

Na zwrócone do Sawy pytanie, czy nie wie czegoś, odpowiedział krótko i węzłowato, że nic nie wie.

Przeszukali każdy kąt i przewrócili wszystko do góry nogami. Po godzinie polna zagroda przedstawiała smutny wygląd. Zupełnie opustoszała na opustoszałych polach. Została tylko jedna Sojka. Wyciągnąwszy się na całą swą długość i położywszy głowę na wysunięte do przodu łapy, leżała cicho, bez ruchu. Płakała. W martwej ciszy odczuwała instynktownie, że na zagrodę spadło jakieś nieszczęście. Podnosząc od czasu do czasu pysk do góry, węszyła coś w powietrzu i wyła. Żalodne, jęczące, pełne rozpacz i trwogi dźwięki niosły się daleko i szeroko; nie dosłyszane przez nikogo roztopiały się w ciszy.

Przeszukano jeszcze we wsi chatę Hryhorego i przesłuchano jego i jego rodzinę. Byli przecież związani z młodym chłopcem i buntowali go przeciw rodzicom zabitego.

Ale tamci o niczym nie wiedzieli. Twierdzili zgodnie, że nic nie wiedzą i nigdy Sawy do niczego nie namawiali. Wiedzieli tylko, że tej nocy Sawa nocował u nich i że rano od nich poszedł.

Rachira łągała w najohydniejszy sposób. Twierdziła, że przyszedł do niej już z wieczora i nie ruszał się z pieca. Rano prosto od nich poszedł do wróżki i wrócił stamtąd ze słowami, że jego brata zamordowano.

Przesłuchiowano również wróżkę.

Przyszedł do niej bardzo raniutko — opowiadała — chyba jeszcze było ciemno, i położył przed nią grudkę ziemi. „Powiedzcie mi z kart, do kogo należeć będzie ta ziemia?” — powiedział do niej, a ona wyczytała mu z kart: „Połowa do ciebie, a połowa do drugiego; ale koło twego serca nabiegła krew, aż czarna”. Na to on splunął przed siebie, zdaje się, że nawet na nią napluł, i nie wysłuchawszy jej do końca, odszedł.

Wypytywali w domu jeszcze matkę, ale nie można było z niej prawie niczego wydobyć. Trwożnymi, błędnymi



oczywiście śledziła ruchy obecnych i trzymała się stale w pobliżu syna. Ledwie tylko na krok się oddalił, krzyczała zaraz:

— Sawo, ty dokąd?

Kiedy się dowiedziała, że Sawę podejrzewają o zabójstwo brata, krzyknęła, a potem zaczęła lamentować.

Kto to powiedział? Kto? Sawa miałby to zrobić? To największe kłamstwo na świecie! Kto wpadł na taki szalony pomysł? Żeby rodzony brat zabił brata? On jest teraz jej jednym, jedynym dzieckiem i niechby ktoś śmiał podnieść na niego rękę! W tym momencie spojrzała straszonym, niemal zwierzęcym wzrokiem. Niechby się kto ośmielił zabrać go od niej! Jeszcze i jego jej wydrzeć?! Nie dość, że już jednego czyjaś przeklęta ręka wpędziła do ziemi, że już jednym ziemia się nasyci, to jeszcze i drugiego chcą jej wydrzeć i rzucić w paszczę kryminału?!

— Sawo!... Gdzie ty? — krzyknęła znowu. — Chodź tu, stań koło mamy i nie odstępuj mnie!

Żandarmom wprost groziła pięścią, a sędziom rzucała spojrzenia pełne nienawiści.

Ona wiedziała — narzekała — skąd się to wszystko wzięło. To od tej czarnej rozpustnicy, co rzucała się tu wczoraj na zmarłego jak jastrząb. To od niej pochodziło to kłamstwo. Dostanie ona jeszcze za swoje, to jej nie minie. Jedyne jej dziecko pchać do kryminału?

W tym momencie roześmiała się tak strasznie, że ludziom ciarki przebiegły po ciele.

— Anna sędziom nie mogła nic powiedzieć, bo leży chora — wstawił się Petro twardo za dziewczyną. Nie mógł już ścierpieć, że nieszczęsną ciągle niewinnie skąlowano.

— To niech się już nigdy nie podniesie z łóżka, jeśli ją tam rzuciło — krzyknęła nienawistnie.

Kiedy sędzia zapytał ją po raz drugi, czy Sawa był wieczorem i w nocy w domu, kłamała, że nie opuszczał chaty ani na chwilę. Zresztą ona nic nie wie. Nic... choćby ją tu na miejscu ubili — krzyczała nieswoim głosem.

Sawa, dowiedziawszy się, że na okres śledztwa w sprawie zabójstwa ma być zamknięty, skrył się za nią jak małe dziecko. Zbladł jak płótno i krzyknął żałośnie:

— Mychajle, Mychajle! Czemu zamiast ciebie ja nie leżę w trumnie?!

Potem schował się w małych, ciemnych sieniach i wyzierał stamtąd przez okienko na dwór.

Pod domem przeprowadzano sekcję zwłok jego brata. Byli przy tym tylko stary Petro i ojciec. Ojciec błagał rozdzierającymi serce słowami, żeby nie „kawałkowali” jego dziecka, żeby spuścili go do ziemi takim, jaki jest, ale nic nie pomogło. W końcu podporządkował się decyzji sędziów, uprosiwszy u nich jedynie zezwolenie, by mógł „własną ręką trzymać ciało dziecka”.

Hej, co to za siła była w tym ciele, które teraz krajali! Jakie ramiona, co za głowa! Stary lekarz miał już wielu ludzi w swych rękach, nigdy jednak nie widział jeszcze takiej siły i zdrowia. Ciało było jak dąb, głowa jak żelazo...

Sekcja wykazała, że chłopiec mógł być uratowany, gdyby ktoś zaraz przyszedł mu z pomocą. Był zbyt silny, jego młode ciało było zbyt odporne, by poddać się od razu zabójczej kuli, ale utraciwszy przytomność i nie otrzymawszy na czas pomocy, zmarł z upływu krwi. Zabito go przed północą. Ranek z swą pomocą przyszedł dla niego za późno.

Potężne, niedźwiedzie bary, co ot tak, dla zabawy, dla przyjemności brały na siebie największe ciężary, nie mogły oprzeć się ciężarowi śmierci.

Po raz pierwszy od śmierci syna Iwonika wybuchnął zdławionym łkaniem. Żona jego, jak opętana, tłukła w izbie głową o ścianę.

Oto, czego się doczekali od swego ukochanego dziecka.

Lekarz i sędziowie zajęci byli głową zmarłego i nie zwrócili uwagi na jedno. Nie zauważyli, jak przy obracaniu ciała wypadła z pleców jedna kula i jak ją błyskawicznie chwycił ojciec w obecności jedyne go tylko świad-

ka, Petra. Wpił się w nią pożądliwie i rozebrał ją. Była owinięta w szmatkę i omotana domową przedzą...

Zbladł śmiertelnie i zataczając się odszedł na bok.

Po chwili wszedł do sieni, gdzie pod okienkiem siedział skulony Sawa, przyglądając się obdukcji. Iwonika chwycił go żelaznymi rękami za ramiona i postawiwszy go jednym ruchem, jak pióro, przed sobą, zamachnął się straszliwie. Dwa razy cios przeciął powietrze, ciężka, karząca ręka spadła na twarz chłopca. Potem znów zaległa grobowa cisza. Stary człowiek, nie powiedziawszy ani słowa, powrócił do ciała starszego syna.

Lekarz i sędziowie nie dowiedzieli się o tym nigdy.

Sawę zabrali żandarmi. Podejrzenia przeciw niemu wzmogły się, musiał iść z nimi do sądu. Miał siedzieć w areszcie do czasu zakończenia przeciw niemu śledztwa.

Żandarmi bili go na własną rękę, próbując siłą wymusić na nim zeznania, jednak on milczał. Raz tylko, kiedy, uderzony kolbą, upadł na ziemię niby przełamany, krzyknął żałościwie, jak poprzednio:

— Mychajle, Mychajle! Czemu nie leżę w trumnie zamiast ciebie?!

Powlekli go do miasta.

Matka krzyczała dzikim głosem, rwała włosy z głowy i próbowała rzucić się na nich, jednak ludzie, którzy nie odstępowali od niej, powstrzymali ją. Iwonika stanął na progu jak skamieniały i patrzył za nimi w milczeniu błędnym wzrokiem. Po chwili jego głowa przechyliła się na bok i zadrżała. Zobaczył, jak jeden z żandarmów znowu uderzył chłopca po plecach. Z piersi jego wydobył się jakiś gardłowy, błagalny dźwięk, który miał znaczyć: „Nie bijcie go!”.

Potem chwyciwszy się obu rękami za głowę powlókł się do mieszkania.

Żona jego zemdląła po raz drugi.

Sędziowie szykowali się do odjazdu. Iwonika leżał u ich stóp. Wydali nakaz, żeby zmarłego za wszelką cenę po-

chować jeszcze dziś, więc błagał ich o pozwolenie, by pogrzeb mógł odbyć się dopiero jutro.

— Jutro, skoro świt... jak tylko pierwszy promyk padnie na ziemię, wyniesiemy go. Zakryjemy na wieki jego twarz, na wieki nas osieroci. Jutro przejdzie po raz ostatni przez pola, które pieścił swymi rękami. Na wieki zostawi po sobie w chacie puste miejsce, na wieki legnie w szarej ziemi...

Uniósł się, ucałował ręce i kolana panów, potem znów runął ciężko do ich nóg, dotykając ich raz po raz ustami i siwymi włosami. Ale odpowiedź była odmowna.

To było niemożliwe. Całkiem niemożliwe. Nie mogło być. Prawo nie zezwalało... Odtrącono jego szerniałe, stwardniałe w pracy ręce, które jak obręcze obejmowały ciasno ich kolana.

— Tylko do jutra... — błagał starczym głosem, rozrywającym serce — żebym nie odprowadzał do ziemi swego najlepszego dziecka po nocy. Żebym przekazał go innemu światu przy Bożym świetle, żeby go po raz ostatni pobłogosławiło, zanim ogarnie go wieczna noc i uśpi na wieki młode oczy...

I znowu to samo:

— Nie wolno!

W takim stanie zmarły nie mógł już leżeć w mieszkaniu, a tym bardziej przez całą noc, zwłaszcza że noce są teraz najdłuższe...

I znowu prośby...

Kto utracił dziecko w taki sposób jak on, a drugie... jedyne... żeby go w taki sposób z domu wywiedli?

— Sam nie wiem, jak to jest, że mnie jeszcze ziemia nosi. Bóg jeden wie, co będzie dalej... ale żebym mógł tylko swoje dziecko oddać ziemi w dzień. Zmarł bez gromnicy i bez spowiedzi! Taki jeszcze młody... Był prawdziwym słońkiem w mojej chacie. Nikogo ani na włos nie skrzywdził. Wszystko, co miał, idzie z nim do ziemi. Miałbym go chować w nocy? To przecież żołnierz...

W tym momencie urwał się jego chrapliwy głos. Zgięta z pokorą postać zwała się na nowo. I znowu

jego siwe włosy omiały ich stopy, których dotykały jego drgające usta, a teraz również i czoło dotykało tych nóg jak świętej ikony.

Kiedy chwilę później uniosła się siwa głowa i wyciągnęły ręce, by znowu objąć cudze kolana, po sędziach już śladu nie było.

Wówczas znów runął na ziemię... Usta jego wykrzywił straszliwy uśmiech, a oziębiałe spojrzenie wpiło się w ziemię.

— Bierz go! — zasyczał przez zęby. — Zabierz go i zrób z nim porządek! Moja praca i krew poszły w ciebie, a teraz zabierz i jego! — I przypadłszy twarzą do ziemi, gorzko zapłakał. — Nie uciskaj twego gospodarza... nie gnieć, święta caryco, nie bądź kamieniem dla swego młodego gospodarza, lekka mu bądź jak piórko, caryco ty nasza, piórkiem mu bądź!

...I szedł do ziemi taki płacz, jakim nieprędko zapłacze ludzka pierś, a szerniałe ręce ryły w niej konwulsyjnie, szukając ulgi...

— Włóżcie mu do trumny biały chlebek i słodkie jabłko — przykazywał Iwonika w godzinę później, oddalając się od domu chwiejnym krokiem; szedł do dobrodzieja, żeby ten przygotował się do pochowania syna jeszcze dziś wieczorem.

Zbliżała się noc. Cicho, niepostrzeżenie, w lekkim smętnym zmierzchu, by potem nagle rozkwitnąć głębiną niebios. Pierwszy wypłynął na nie rozświetlony aż do żaru księżyc, za nim ruszyły wszystkie gwiazdy. Przybrane w srebrne blaski drżały jakby czymś wzruszone i drżąc błyskały swym przepysznym bogactwem ku cichej ziemi.

Głębinne niebo stało w całej swej cudownej krasie.

## XXII

Przed domem Iwoniki panował tłok. Zebrali się tu ludzie chyba aż z trzech wsi — kobiety i mężczyźni, a ich półgłosny szept narastał falą opływającą małą chatynę.

Wóz, zaprzężony w pyszne woły i wyścielony najdroższym kilimem, czeka w pobliżu chaty. Mają na nim wieźć trumnę.

Bydłęta rzucają wokół dzikie spojrzenia. Nie są tak spokojne jak zwykle. Dokoła nich płoną światła, niemal wszyscy trzymają w rękach świece; w mroku nocy chwieją się blade, żółtawe języki za każdym ruchem idących.

— Światło Boże w górze, światło świec tutaj, no i pochowają chłopca jakby w dzień! — odezwała się Dokia. Błada, z wilgotnymi oczyma, jak caryca bez korony, krążyła poważnie między ludźmi, mając dla każdego słowa pociechy.

— Nie pamiętam piękniejszej nocy od tej — zauważyła jakaś staruszka, która, oparłszy się o ścianę chałupy, rozglądała się wśród ludzi, jakby chcąc starymi oczami przeniknąć wszystko na wskroś. — Czy pamięta kto taką noc?

— Tak samo było jasno, kiedy obaj bracia szli do lasu, ale wrócił stamtąd tylko jeden — powiedział jakiś mężczyzna drżącym, starczym głosem.

Obejrzała się. Jej błyszczące, jastrzębie oczy wbiły się w starą twarz mężczyzny. Znała go, ale nic nie odpowiedziała. Poznała po jego głosie, że lepiej o nic nie pytać.

— Pewien człowiek wracał późno z miasta i spotkał ich obu. Jeden z nich miał na plecach strzelbę. Była wtedy taka Boża nocka jak dziś!

Siwa staruszka obejrzała się. Czy prócz niej słyszał ktoś jeszcze, co on powiedział? Nie wiedziała. Nikt nic nie mówił.

Tylko stary Petro, który stał koło niej, rzucił:

— Niech Pan Bóg broni, niech Pan Bóg broni! — i schylił się nisko do ziemi.

Poszła za jego wzrokiem. On ujrzał duży krzyż, który postawili w tym momencie pod ścianą chaty.

— Chociaż ludzkie oko nie dostrzegło tego wszystkiego, ale widziała to ziemia i widziało niebo! — doszedł jej uszu szept. — Teraz trzeba modlić się za dwóch. Za te-

go, co tam w górze, i za tego, co tu pozostał. Obaj należą do ziemi. Ale tego będzie ona tak piec pod stopami, że miejsca nie będzie mógł sobie znaleźć. Wspomnicie moje słowa.

— Moja głowa już siwa i nic już nie pojmuje — odpowiedziała staruszka. — Powiedzcie to ojcu! Dlaczego nie zgłosiliście się przed komisją?

Para bardzo przestraszonych oczu spoczęła na niej.

— Ja miałem stanąć przed komisją i powiedzieć to? Ja, jedyny świadek? Czy mogę na to przysiąc, że jeden brat zabił drugiego brata, dlatego że ich spotkałem? Miałbym to zrobić ojcu? Czy ja nie mam sumienia? Kto by zdobył się na to, żeby zrabować ojcu jedyne jego dziecko? Nie wiem! Nikt nie chce brać na swą duszę kamienia! No bo to przecież tak: brat zabił brata, a ojciec jest im o b u ojcem.

— Broń Panie Boże przed czymś takim! — jęknęła staruszka.

— Ale kara go nie minie! Bóg sam na niego wskazał. Najlepszym świadkiem jest sam Pan Bóg. I nie na darmo dał wtedy taką jasną noc!

W tym momencie wyszła z chaty Dokia.

— Trumna już zamknięta — oznajmiła głucho. — Iwonika sam ją zamknął. Nikt nie śmiał jej dotknąć. Ten człowiek jak z żelaza.

— Ale rozum mu się pomieszał — powiedział stary Petro. — Nie odzywa się do nikogo ani słowa. A spójrzcie na jego oczy! Nikogo przed sobą nie widzi.

— On nawiedzony — dorzuciła starucha. — Jak ktoś milczy z takim ciężkim żalem na duszy, to, powiadają, Chrystus w niego wstąpił.

Ten i ów, słysząc słowo „Chrystus”, przeżegnał się.

— Dobrodziej śpiewają, odprawiają modły — informowała Dokia. — Czy to ty, Anno? — zwróciła się do dziewczyny cicho zbliżającej się ku grupce rozmawiających.

— Ja — odpowiedziała przeciągle bezdźwięcznym głosem.

Wszyscy w pobliżu obejrzelі się. Tu stała Anna. Zupełnie zmieniona.

Zaległo głębokie milczenie. Z chaty dochodził starczy, stłumiony głos dobrodzieja.

Setki oczu zwróciły się na dziewczynę. Ale ona nie widziała nikogo. Wbiła oczy w ziemię, głowa opadła bezwładnie na bok. Włosy, rozplecione na znak żałoby, spływały czarną falą po plecach. Ledwie trzymała się na nogach, a nikogo nie było koło niej, o kogo mogłaby się oprzeć. Stała osamotniona i jakby drzemała. Jej wychudła twarz była woskowożółta. Wokół ust zarysowały się dwie głębokie zmarszczki, które biegły od nozdrzy do kącików ust.

— Patrzcie, co się z niej zrobiło!

— I to przez jedną noc...

— Och, Boże!...

Obracała się powoli jak automat i poruszała głową tak ostrożnie, jakby niosła na niej wodę, ale to bezmierny ból tak paraliżował jej ruchy. Wydawało się, że zamarła w niej wszelka energia, wyciekło z niej wszelkie życie. Rozpacz dokonała nieodwracalnych spustoszeń.

— W nocy zrywała się ze snu i biegła do niego — szeptała Dokia staruszce do ucha. — Zupełnie się zatraciła. A dziś wstała z łóżka jak cień i jak cień się snuje. Matka jej jest tutaj! O, tam stoi koło bramy z moim mężem i pytluje. Wredna taka, z piekła rodem. Wstrętna baba. Kiedy się dowiedziała, że nieboszczyk uważał dziewczynę za swoją, byłaby ją zatłukła za to, że została z dzieckiem bez śladu. Ledwieśmy ją obronili. Jeszcze wczoraj zaraz z rana przybiegła i chciała ją bić. „A ty taka owaka! — darła się. — Coś ty narobiła!” Wieczorem, kiedy Anna leżała, przybiegła znowu. Całe szczęście, że Wasyl był w domu. Podniósł pięść i jak nie krzyknie na nią! Od razu ją gdzieś diabli wzięli. Ona chce, żeby dziewczyna domagała się od starych, by ją zabrali do siebie i zapisali Mychajłową część.

— Właściwie to mogliby to zrobić! Na ich domu ciąży wielki grzech — odpowiedziała starucha, wygrażając.



— Co wam strzeliło do głowy? — odrzekła Dokia. — Maria miałyby ją przyjąć, kiedy ona nazwała jej syna mordercą? Chyba nie znacie Maryjki. Iwonika może by i przyjął, ale ona za nic w świecie. A i sama Anna też by nie wytrzymała. Za każdym razem, gdyby tylko zobaczyła Sawę, podnosiłaby taki gwałt, jak wtedy, kiedy była komisja, i doprowadziłaby do tego, że Sawa przepadłby na amen. Mówiła mi, że sama go zabije, jeśli go nie ukarzą.

— Oj, Boże Ty mój, Boże!

— Ale patrzcie no tylko, co Maria robi!

Babusia i sąsiadki obejrzały się.

Z chaty wyszła chwiejnym krokiem Maria, a za nią stąpali Domnika i Ilia. Oboje nieśli na rękach mnóstwo różnych rzeczy: odzież, kilimy, bieliznę, pościel. Weszli między gromadę ludzi.

— Bierzcie to, dobrzy ludzie! — odezwała się nieszczęśliwa matka żalonym głosem. — Bierzcie wiano mego Mychajłyka i módlcie się za jego młodą, niewinną duszę. Módlcie się za niego i za to, żeby się znalazł morderca i żeby nieszczęsny Sawa nie marniał darmo w kryminale!

Głośno lamentując rozdawała rzeczy zmarłego syna.

Domnika patrzyła na to zazdrośnym okiem. Żal jej było pięknych, niekiedy zupełnie nowych rzeczy, chociaż Maria jej też nie skrzywdziła. Była tu przecież od dwóch dni gospodynią i nie przepuszczała żadnej okazji, by wynagrodzić siebie za swoje trudy.

Co prawda, to okropne wydarzenie przeżyła bardzo głęboko. Aż szerniała z żalu. Mimo całego jej egoizmu, była szczerze przywiązana do tej rodziny i całym sercem jej oddana. Krzątała się więc bez przerwy, przykładając ręki do wszystkiego, tam gdzie była potrzebna.

— W lesie odbędzie się stypa! — oznajmiała z powagą, wypychając z gromady to jednego, to drugiego przed gospodynię, która rozdawała rzeczy, uważając jednak, by dary trafiały tylko do rąk „kogoś porządnego”.

— Wszystkośmy tam z Ilią już przyszykowali. Zakłuliśmy wieprza, zarżnęliśmy kaczkę, ja przywiozłam z mia-

sta pięćdziesiąt bochenków chleba i sto bułek, a u mnie w piecu dopiekają się jeszcze kołaczki, oczywiście z mąki gospodarzy. Wszystkiego będzie pod dostatkiem, a trunksów też nie zabraknie. Iwonika chce, by było wszystkiego tyle, żeby ludzie najedli się na cały tydzień. W lesie ustawialiśmy na palach deski, poprzykrywaliśmy płótnem i obrusami. Zapraszam wszystkich po pogrzebie do lasu. Wszystkich. Kum Iwon i Maryjka wszystkich tam zapraszają na stypę. I ty, Anno, też przyjdź — zwróciła się łaskawie do dziewczyny, która rzeczywiście jak cień snuła się bezszelestnie między ludźmi. — Nie płacz, niebogo! To ci już nic nie pomoże! Teraz już wszystko minęło!

— Minęło... minęło... — powtórzyło kilka osób, które nie spuszczały dziewczyny z oka, śledząc ją bez przerwy.

Anna nie podniosła oczu. Nie płakała, dopiero kiedy Domnika wymówiła słowo „nie płacz”, po jej wychudzonych policzkach potoczyły się grube łzy.

Nie odezwała się jednak. Jakby rzeczywiście zamarła przez jedną noc.

— Umarł, a jak umarł, to i porzucił ją — dokończyła Domnika uroczyście i popłynęła dalej między ludzi.

— Stoi, jakby śmierć w nią wstąpiła — szepnęła z troską w głosie Dokia do sąsiadki. — Nie szkoda to dziewczyny? Biedne to od urodzenia, a jeszcze i od losu niczego nie ma! Boże miłosierny!

Anna rzeczywiście wyglądała tak, jakby już śmierć w nią wstąpiła. Jeszcze dzień przedtem zwrócona całą duszą ku dzisiejszemu świętu Mychajłowego patrona, oczekiwała nie tylko każdym nerwem, ale z całą powagą i całą swą istotą rozstrzygnięcia swego losu — a zamiast tego taki cios!

Była zupełnie rozbita i całkowicie bezradna w obliczu swej tragedii, upokorzenia i strasznego żalu.

Nikt, prócz Dokii, jej nie pocieszał i od nikogo nie otrzymała żadnej pomocy. Sama była wszystkiemu winna, jak złośliwie mówiono, więc co tu poradzić? Nie była przecież dla nikogo na tyle ważna, by ktoś miał zająć się poważnie jej dalszym losem. Nikt nie poczuwał się do

tego obowiązku. Miała przecież matkę i brata. Oni winni byli troszczyć się o jej przyszłość. Błakała się teraz między ludźmi, opuszczona, podglądana i obgadywana... Z rozpuszczonymi włosami, z palącą się świecą w ręku, wyglądała jak postać, która wyszła z grobu.

— Stań, córciu, przy mnie — przywołała ją Dokia do siebie. — Zaraz będą wynosić trumnę.

Zbliżyła się posłusznie, usta jej ściągnęły się do jakiegoś uśmiechu i zadrgały. Czy chciała coś powiedzieć? Nie wiadomo. Rozpacz odebrała jej głos.

— I ty tutaj także, ty suko?! — rozległ się za nią piskliwy, nieprzyjazny głos. — Marsz stąd!

Dziewczyna zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymało jej zawczasu żelazne ramię Dokii.

Była to Maria, która zobaczywszy nieszczęsną dziewczynę uderzyła ją w plecy i obrzuciła obelżywymi słowami.

— Zostawcie ją, Maryjko! Zostawcie ją. Przecież ona nic złego nie robi — uspokajało, prosiło i ostrzegało kilka głosów.

Nie trzeba było zresztą tego powtarzać. Maria nie zajmowała się już dłużej dziewczyną i szybko wróciła do chaty. Mieli rzeczywiście wynosić zaraz trumnę.

Anna oparła się milcząco o Dokię i zaczęła cicho płakać. Płakała bezgłośnie. Tylko od czasu do czasu wydobywało się z piersi urywane łkanie. Stojąca przy niej silna, energiczna kobieta rozszlochała się nagle głośno, a wszystkie kobiety wokół poszły jej śladem.

— Wynoszą go! — krzyknęła nagle Anna i, przedarłszy się przez tłum kobiet, rzuciła się bez pamięci naprzeciw trumny. Jakaś kobieta przytrzymała ją za odzież.

Czterej mężczyźni ostrożnie wynieśli przez wąskie drzwi trumnę i ustawili ją na wozie.

— O mnieś zapomniał, o mnie! — krzyczała rozdzierającym głosem i, wyciągnawszy ręce w kierunku trumny, runęła na ziemię. Dla słów „o mnie” wydobyła ostatnie siły, wszystkie swe siły przekazała wraz z tym słowem zmarłemu.

Matka jej rzuciła się do niej.

— Dopiero teraz otwierasz gębę, ty suko przekłeta?! — huknęła, podnosząc rękę do ciosu. — Czekaj, przyjdiesz ty do domu...

W tym momencie wyrósł przed nią stary Petro.

— Pójdiesz ty stąd, wiédźmo! — krzyknął z wściekłością — nie pójdiesz, to ubiję na miejscu! — I podniósłszy do góry swą dużą, ciężką pięść, pogroził starej przed nosem.

— Jaceś taki dobry, to ożeń się z nią — zasyczała złośliwie.

Straszna, żelazna pięść już miała wichrem spaść na nią, ale w ostatnim momencie stara uskoczyła błyskawicznie w tył.

Dokia i Petro podnieśli dziewczynę i zaprowadzili ją do domu.

Spojrzawszy na nią Dokia wiedziała, że teraz już Anna nie podniesie się z łóżka.

Niezliczone tłumy ludzi, wyruszywszy spod małej chatki, kroczyły przez opustoszałe pola, mężczyźni i kobiety z płonącymi świeczkami w rękach.

Noc była przepiękna. Odkryte głowy mężczyzn rysowały się wyraziście w księżycowej poświacie, podczas gdy kobiety z głowami owiniętymi w białe ręczniki przypominały setki lilii, wystrzelających smukło w górę.

Światło świec oświetlało od dołu każdą twarz. Rysowała się na nich głęboka powaga.

Za trumną szła nieszczęśliwa matka, prowadzona przez Dokię i Petra, oraz Iwonika, który stapał sam z odkrytą, pochyloną na bok głową, nie odrywając ani na chwilę oczu od trumny.

Wysoko migotały gwiazdy, rozsiewając swe światło w dolinie. Księżyc rozplomienił się świetliście.

Na polach daleko i szeroko panowała cisza. Pochodowi towarzyszył taniec dziwacznych cieni i lament dwóch płaczek. Od czasu do czasu rozdzierał ciszę rozpaczliwy krzyk na pół obłąkanej matki.

— Dokąd ty idziesz? Dokąd idziesz? — wykrzykiwała, załamując dłonie.

— Do ziemi idzie... w ciemną nockę idzie... nie wróci już nigdy!... — odpowiadały płaczki żalosnym, przeciągłym głosem, kiwając głowami, i dalej ciągnęły swoje.

— Nocą oddaję cię tamtemu światu!... Nocą porzucasz swego ojca! — krzyknął raz boleśnie Iwonika.

— Nie martwcie się, kumie. Pan Bóg dał taką nockę, że mak by można zbierać, a gwiazdy trzymają honorową straż — pocieszała Dokia.

— Już Pan Bóg tak dał! Pan Bóg już tak zarządził! — przytakiwał stary Wasyl z pijackim rozczuleniem, uczepiwszy się ramienia zrozpaczonego ojca.

— Bóg wie, co robi. Nie bierzcie sobie tego tak bardzo do serca, bo zmarły nie będzie miał na tamtym świecie spokoju — pocieszał ktoś.

— Nie będzie leżał sam. Na prawo i na lewo będzie miał sąsiadów, a w końcu i my do niego pójdziemy! — dorzucił inny.

— Za bardzo się roztkliwiał nad ziemią, dlatego go wcześniej zabrała — wybełkotał Wasyl.

— Mychajłyku! Mychajłyku! Coś ty zrobił swemu ojcu?! — w odpowiedzi na to wszystko z dziką rozpaczą zawołał Iwonika, zakrywając gwałtownym ruchem twarz.

Na rozstajnych drogach kondukt zatrzymał się, dobrodziej odczytał Ewangelię. Nastąpiła absolutna cisza, tylko jęki i smutne westchnienia błędziły to tu, to tam. Białe głowy kobiet pochyliły się z pokorą, a mężczyźni pokłonili się w ślad za nimi.

Po odczytaniu Ewangelii dobrodziej kazał podnieść trumnę i zabrać rozpostarty pod nią przepiękny, drogi kilim. Zwykle otrzymywał w podarunku takie kilimy dopiero po pogrzebie, tym razem jednak obawiał się, by jakiś wypadek nie sprzątnął mu sprzed nosa takiej kosztownej rzeczy, nakazał więc już teraz odnieść kilim do domu.

Iwonika zachnął się, jak ugodzony, na takie barbarzyń-

skie postępowanie, własnym oczom nie wierząc, a zebrani patrzyli na niego bez słowa.

— Już teraz zabierać kilim, i tym razem?

— Idźcie, idźcie, czego stoicie i gapiecie się?! — zgromił dobrodziej człowieka, który stał nieporuszenie, nie wiedząc, czy ma wypełnić polecenie, czy też nie.

— Dobrodzieju, zmiłujcie się, zostawcie kilim, on wam nie przepadnie — błagał Iwonika z niewypowiedzianą gorczyzą w głosie; serce rozrywało mu się z żalu.

Chciał jak najpiękniej pochować swego nieszczęsnego ulubieńca. Własną krew byłby wytoczył, gdyby to mogło podnieść uroczysty charakter tej smutnej chwili. Nic nie było dla niego dość kosztowne, dość piękne, czego by nie ofiarował z całego serca. Przecież dawał mu to już ostatni raz... Wszystko, czego wymagało prawo i stary obyczaj, wykonał dokładnie. Kto był ubogi, nie dawał, a kto mógł, dawał z całego serca. A tu zachłanny staruch, co stał już nad grobem, zdierał ostatnie przybranie spod trumny, żeby tylko dwie godziny wcześniej otrzymać je na własność.

— Ty możesz potem zapomnieć, Iwoniko — protestował starczym głosem — i jeszcze mi go nie dasz.

Iwonika aż jęknął z rozżalenia.

— Nie zapomnę, dobrodzieju, nie zapomnę, a Mychajło nie zabierze przecież z sobą do grobu. Zlitujcie się!

— Nie wtrącaj się do tego! Ciebie to nic nie obchodzi! Pochowam twego syna pięknie, z orszakiem, ale kilim odniesie się teraz do mnie, do domu! — odpowiedział energicznie stareńki dobrodziej i, skinąwszy na kilku ludzi, śledził z uwagą, jak w milczeniu wypełniali jego polecenie.

Maryjka uderzyła w płacz, a Iwonika bił pięściami po bokach. Nie powiedział już więcej ani słowa. Nigdy nie protestował przeciw poleceniom władz, ale kto go znał, ten wiedział, że był w tej chwili do głębi oburzony i wstrząśnięty. Wbił oczy w trumnę, a potem rozejrzał się błędnym wzrokiem po ludziach.

Wszystko się teraz przeciw niemu sprzysięгло.

Okolo dziesiątej wieczorem zatrzymali się na małym cmentarzu, który zapełnił się ludźmi. Świece dopalały się, filując.

Zbliżyli się do grobu. Wionął nieprzyjazną czernią. Była to straszna chwila. Postacie świętych na chorągwiach, pobladłe w poświęcie księżycy, patrzyły tępo w rozkopaną ziemię. Kilka kobiet wybuchnęło płaczem, mężczyźni rozglądali się z zakłopotaniem wokół siebie. Cichy jęk nie ustawał.

Potem krótki, smutny śpiew, powtarzane od wieków słowa, wygłoszone bezdźwięcznym, starczym głosem, stworzyły odpowiedni nastrój i porwały obecnych. Kiedy spuszczano trumnę w dół, targnął powietrzem przejmujący krzyk, który odbił się w piersiach obecnych ciężkim westchnieniem.

Tu i tam ludzie zaczęli klękać, zakrywając z żalu twarze. Podniósł się zewsząd taki jęk i płacz, jakby sama ziemia załkała.

Dopiero teraz go zabrakło. Dopiero teraz naprawdę go zabrakło!

Na trumnę gradem posypały się grudki ziemi, wywołując echo jak ostatnie pożegnanie zmarłego. Potem trumnę zasypali na wieki...

Matka klęcząc zanosila się szalonym płaczem, osłabionymi rękami raz po raz rozrywając odzież na piersi. Iwonika, przypadłszy twarzą do ziemi, tłukł o nią głową w zapamiętaniu. Tu już był kres wszystkiego. Wszystkiego, czego się spodziewał, czym oddychał, czym żył w dzień i w nocy — wszystko przepadło, przeminęło, zapadło się pod ziemię, poszło w jej głębiny.

Ludzie podnieśli go.

— Chcecie się zabić? — rozległy się głosy. — Bóg w wami! Przestańcie już tak rozpaczać!

Nie słyszał ich. Wpijając się nieprzytomnym z bólu spojrzeniem w grób, zawołał:

— Nie dla ciebie, synku, ona była, tylko ty dla niej! Chodziłeś po niej, uprawiałeś ją, a kiedy wyrosłeś i sta-

łes się jej godny, ona otworzyła paszczę i zabrała ciebie! Głupiś ty był, głupi!...

— Kumie, kumie kochany! Bóg z wami!

— Chodził, rozmawiał, pracował i zdawało mu się, że to dla siebie... Sługą jej byłeś, sługą!

Machnął ręką i odrzucił ludzi od siebie.

— A ono, co go ani widzisz, ani słyszysz, przyszło, a on rzucił wszystko i odszedł.

Wbił zgrubiałe palce we włosy i, wytrzeszczywszy oczy, patrzył dzikim, błędnym wzrokiem przed siebie na coś, co tylko on jeden widział.

— Nie śmieć się! — krzyknął naraz strasznym głosem, grożąc pięścią. — Nie śmieć się!... Dość, my twoi głupcy...

Ludzie wokół niego rozejrzeli się ze strachem, żegnając się.

— Rozum mu pomieszało...

Iwonika rozerwał odzież na piersiach i roztrącił tych, co znowu do niego przystąpili.

— Odszedł! — krzyknął przeraźliwie. — Chodź, Mario! On porzucił już ojca i matkę... Chodź!

Kilku mężczyzn, stojących w pobliżu, odwróciło się, wycierając dłonią oczy. Potem wzięli go mocno pod rękę i poprowadzili siłą do domu.

Świeczki pogasły. Księżyc i gwiazdy oświeślały teraz cmentarz. Ludzie wracali małymi grupkami do domu.

— Teraz już będzie sam nocował — powiedziała Dokia do siwej babusi, która w świetle księżyca wyglądała jak woskowa figurka i tylko oczy jej świeciły. — Jeszcze dwa dni temu nocował w polnej zagrodzie razem ze swoimi wołkami.

— Właśnie, było też odczuje, że go nie ma. Myślicie że nie?

— A ino. Ono zaraz ryczy, fuka i rozgląda się niepokojnie, kiedy poczuje śmierć koło siebie. A potem nie chce jeść początkowo z obcej ręki. Chroni nas, Panie Boże, przed nieszczęściem!

— Przedtem jechał syn na wozie. Zostawili go w ziemi,



a teraz jadą sami do domu, jak sieroty. A szernieli oboje jak ta ziemia, w którą ułożyli swoje dziecko. Czy nie wracają do chaty jak do pustego ula?

Tak gwarzyła Dokia z babusią i innymi ludźmi, wracającymi do domu. Większa ich część zrównała się z furą, wiozącą osieroconych rodziców. Skręcili teraz w kierunku „sąsiedzkiego” lasu, gdzie miała się odbyć stypa. Dobrodziej pojechał wcześniej, bo musiał się jeszcze przebrać.

— Przez pierwsze dni będzie im się zjawiał. Już tak jest zwykle, kiedy człowiek umrze nagle, a jeszcze do tego bez grómnicy. Pójdziecie na stypę?

— Nie wiem — odrzekła Dokia. — Zajrzę jeszcze do domu, co tam z Anną. Została z nią żona Onufryjowa.

— Odkąd żyję na świecie, jeszcze nie byłam na stypie w lesie, a do tego koło północy — powiedziała poważnie staruszka. — A mam już więcej niż osiemdziesiąt pięć lat. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło.

— Bo też coś takiego trafia się chyba raz na trzysta lat — dał się nagle słyszeć głos starego Petra, który wynurzył się obok siostry.

— Postawili tam dziś krzyż. Niech nieboszczyk wie, gdzie zatracił swoją duszę, jak będzie przechodził kiedyś lasem; a żywi niech wiedzą, w którym miejscu zmówić za jego duszę „Ojcze nasz”. Patrzcie, jaka noc! Boże, Boże, Ty już wiesz, co robisz!

Wyszli na pole i we wspaniałej księżycowej poświacie ukazał się im wyraźnie „sąsiedzki” las, polna zagroda i wszystko, co ich otaczało. Niebo było rozpięte nad ziemią łagodną głębią, a małe gwiazdki uśmiechały się srebrzyście. Nad lasami unosiła się niebieska, przezroczysta mgła.

— Starzy nie pojechali do lasu, lecz do domu. Dziś polna zagroda będzie sama pierwszy raz, od kiedy stoi na tym polu — zauważył ktoś.

— Będą w domu wspominać go bez świadków — powiedziała siwa babusia. — Patrzcie, ile oczu ma „sąsiedzki” las — dodała po chwili.

— A wszystkie oczy ogniste. To świeczki w lichtarzach i luczywa, co oświetlają stoły. Wyglądają z daleka jak ogniste kule. Kto by przypuszczał, że w tym lesie to się wydarzy.

— Już ja do niego krokiem nie stąpię, choćbym wiedziała, że zamarznię — powiedziała staruszka.

— A ja nawet na grzyby tam nie pójde, choćbym nigdy nie miała wziąć grzybka do ust — dodała jakaś młódka. — Niech Pan Bóg broni!

— I ludzie rzeczywiście prawie nigdy tam nie zachodzili — wyjaśniła Dokia.

— Chyba o północy po drzewo, jak babusia — kpił Petro. — W innym lesie człowiek na pewno nie dostałby takiej febry jak dziś w nim Sawa. Coś nieczystego musi się snuć w tym lesie, co człowiekowi rozum odbiera. Bóg wie, że tamtej nocy temu w głowie się pomieszało, tak że swą duszę zatracił na wieki...

— Nieboszczykowi była tam chyba śmierć przeznaczona — powiedziała babusia. — Maryjka mówiła, że on bardzo lubił ten las. Ciągłe go coś tam ciągnęło! Ale czego chciał od niego morderca?

— Któż może powiedzieć, czy zabójcy lepiej od zabitego? Nie daj, Boże, mieć na swoim sumieniu ludzką duszę.

Zamilkli.

Mignęły przed nimi cztery postacie, które zawróciły na leśną drogę w kierunku „sąsiedzkiego” lasu.

— Widzieliście, kto to był? — spytał Petro, mrugnawszy porozumiewawczo oczyma.

— Kto?

— Hryhory z żoną i z tą swoją gadziną. A czwarta, to ta pyskata, Anny matka. Jednej i drugiej bym kości policzył: tej pyskatej i tej czarnej. Jedno wam tylko powiem: kto maczał w tym palce, to maczał, ale ona na pewno! Patrzcie, zaprzyjaźniła się już z tą pyskątą, zwałchały się wiedzmy...

Dokia zawróciła do domu, inni poszli do lasu.

Na dworze światło księżyca, blask gwiazd, a w lesie języki świec i gorejące płomienie pochodni.

Czerwony poblask płonących smolaków kładzie się na grube pnie drzew i czarne gałęzie, rzucając ogniste, ruchliwe plamy na grubo zaścielającą ziemię opadłe liście. Leśną ciszę mącą ludzkie głosy, początkowo pojedyncze, niezwykle dźwięczne i nośne, potem zmieszane, narastające, przechodząc wreszcie w głośny gwar, który wdziera się w najdalsze, ciemne zakątki lasu.

Od pnia do pnia ciągną się długie deski, ponakrywane białymi obrusami i płótnem, uginając się od pieczywa, potraw i trunków.

Cisza leśna gdzieś się zapodziała. Wypłoszona obijającym się po lesie natrętnym gwarem, ruszyła na opustoszałe pola i tu się rozpostarła.

Nic jej nie mąciło.

Jedno pasmo mgły, równe jak rozciągnięty welon, snuło się nad cichym polem i wreszcie zatrzymało się. Z jednego okna przebijało słabe światło i welon mgły tu się właśnie zatrzymał.

W chacie nawet mucha nie bzyknęła.

Na łóżku leży śmiertelnie chora dziewczyna, a przy niej, opierając głowę na rękach, siedzi z poważną i z troskaną twarzą Dokia. Modli się.

Tu tylko jeden Pan Bóg może coś pomóc — snują się wśród modlitwy jej myśli. — Tylko jeden Bóg. Wiem to już sama po sobie...

### XXIII

W dziesięć tygodni później ziemia zeszywniała. Słońce skryło się za grubą osłonę, wolno, delikatnymi gwiazdkami opadały w dół płatki śniegu.

— Chrystus wstąpił w Iwonikę!

— Nawiedził go, zamknął mu usta, a wzrok odwrócił

od ziemi ku sobie. Wyrośli mu długie włosy i broda, a pochylona na bok głowa jakby poddała się całkiem cierniowej koronie.

— Boże, zmiłuj się nad nim!

Tak opowiadała ludziom siwa babusia, idąc przez wieś. Odpoczywała to przy tej, to przy innej chacie, opierając się na grubej lasce i z trudem oddychając. Ciężko było wlec za sobą stuletnie niemal nogi. W torbie na plecach ciążyła jeszcze jałmużna od Maryjki.

— Do nikogo słówka nie powie. Chyba czasem, rzadko, ale tylko to, co najpotrzebniejsze. Bardzo się postarzał, zgarbił się, wyrzekł się zupełnie wszelkich trunków. Choć nie pił nigdy, tak jak inni ludzie, a jednak się całkiem wyrzekł. Bóg jeden wie, co się dzieje w jego duszy. Czasem spłynie mu łza po twarzy; kiedy widzi, że ktoś zobaczył, szybko ociera ją rękawem. Jutro odbędzie się u niego piąty wspominkowy obiad. Codziennie wygląda swego Sawy, a Sawa nie wraca.

— A Maria?

— Maryjka rozmawia. Ile razy się odezwie, przeklina mordercę. Zzółkła jak воск. Zmarłego prawie nie wspomina. Wychodzi na to, że niby przez niego utraciła młodszego. Mówię wam, niech Pan Bóg zachowa, jak ona klnie! Gdyby się te jej przekleństwa spełniły, to nie trzeba by na niego kary Bożej. I żebyście wiedzieli, dobrzy ludzie, zupełnie nie ta sama. Nic od niej się nie usłyszy, tylko wciąż Sawa, Sawa i Sawa. Zatraca się w tym swoim żalu, ledwie że mu piersi nie podaje... Za parę dni mają iść oboje do sądu w sprawie Sawy. Słyszałam, że i Rachira także...

— A co się dzieje z Rachirą? — pytali ludzie.

— A co? Na stypie w lesie jadła jak zgłodniały wilk i tylko oczami strzelała na wszystkie strony. Nie widzieliście czy jak? Nikt do niej nie podszedł. Sami siedzieli. Kiedyś spotkawszy Marię niedaleko Domniłki śmiała jej się w twarz i krzyknęła: „Dobre były pierogi na stypie, mamuńciu!”. A niech ją! Bez żadnego wstydu to na świat przyszło. Nie po myśli matki powybieerali chłopcy syno-

we. O żadnej nie chce słyszeć. Jedna zła jak piekło, a Anna owdowiała, zanim jej wianek nałożono.

— Mówią, że ma bliźnięta...

— A ma. Podobno takie śliczne, że we wsi takich się jeszcze nie widziało. Biedaczka Dokia namordowała się z nią. A ta ją wciąż po rękach tylko całuje i płacze. „Mamo, moja dobra mamo!”, woła do niej i płacze.

— „Kiedy człowiek na nią patrzy, nóż by sobie z żalu wpakował”, mówił Petro, a przecież Petro nie byle co, a człowiek...

#### XXIV

Z polnej zagrody prowadziła wąska, zaśnieżona i słabo wydeptana ścieżka przez pola do carskiej drogi, która wiodła do miasta. Szła nią pewnego ranka Maryjka z mężem. Do sądu.

On szedł przodem, ona za nim. Szybkim krokiem, potykając się. Od czasu do czasu oglądał się za nią.

Biedna kobieta. Nigdy w życiu nie przestąpiła progów sądu, choćby w najbliższej sprawie, a teraz na stare lata postarało się o to ich dziecko.

„Boże, co Ty robisz?!” — wyrwało się raz z jego duszy bolesnym jękiem, przepełniając serce niewypowiedzianym żalem.

Nie miał ani jednej spokojnej chwili, od czasu kiedy zagnieździło się u nich nieszczęście. Męczyły go na przemian strach i miłość, i znowu strach. Gdy wspomniał Sawę, płakał niewidzialnymi łzami. Opłakiwał też zmarłego. Zdawało się, że nigdy nie kochał Sawy bardziej niż teraz, kiedy groziło niebezpieczeństwo utracenia go gorzej niż przez śmierć, kiedy jakaś straszliwa kara miała go odebrać od ojca na wieki. Stało się coś strasznego, a kiedy się już stało, tracił rozum wobec tego nieszczęścia.

I kto tu był winien? Kto był winien?

Przed oczami stanęła mu kudłata jak u psa głowa dziewczyny z głodnymi, błyszczącymi oczami.

Ona wszystkiemu winna!

Niechby mu tam nie wiedzieć kto i co mówił po tysiąc razy, on wie swoje. Ona była wszystkiemu winna. Były to skutki wielkiego grzechu. Syn jego złączył się z nią, z nią, która była prawie jego siostrą, a to nie mogło się Bogu podobać. Od tej chwili właśnie zaczęła zbliżać się kara, zniszczyła Mychajła i zatrzymała się teraz przed nim samym. Rachira wpędziła wszystkich w przepaść. Co teraz dalej będzie? Bóg jeden wiedział, co mogło być.

— Mario, uważaj! Wszystko to, co będziesz mówić, musisz zaprzysiąc. Niech cię Bóg broni, gdybyś fałszywie przysięgała! — odezwał się Iwonika po długim milczeniu.

— A jakże. Będę mówiła prawdę! — odpowiedziała żałośnie, próbując zrównać się z nim. Spadł duży śnieg, a ona ledwo trzymała się na nogach, ciągle więc zostawała w tyle. — Czego oni chcą od nas? Powiedzieliśmy już, że nic nie wiemy! Może Sawa wróci z nami? Nic przecież nie znaleźli, tylko kilka kropel krwi zająca. I za to pchać chłopca w taką biedę. Boże, zmiłuj się!

— Niczego nie znaleźli — potwierdził krótko Iwonika.

Nie rozmawiał z nią i nie dzielił się z nią dotąd swymi najtajniejszymi domysłami i myślami dotyczącymi mordercy. Po co? Ona i tak już na pół obłąkana z obawy o chłopca, a kiedy by się dowiedziała strasznej prawdy, zupełnie by oszalała. To już będzie na wieki pogrzebane tylko w jego sercu.

— Żandarmi mówili, że nic dotąd nie znaleźli, co świadczyłoby przeciw Sawie — ciągnął dalej z udanym spokojem. — Morderca był tak przebiegły i ostrożny, że zatarł za sobą wszelkie ślady, jakby skoczył wprost do wody. „Niczegusieńko”, powiedzieli. I chociaż jest podejrzenie, ale nie ma dostatecznych dowodów, to chłopca nie mogą skazać. Tak mówili. Słyszeli to od panów z sądu. Ale on może siedzieć jeszcze pół roku. Jest podejrzany, a dowodów mogą jeszcze szukać, kto wie, jak długo.

Na idealnie białej powierzchni z daleka wyglądali oboje jak dwa czarne punkty...

W sądzie zadawali im między innymi te same pytania co w domu: czy Sawa był w chacie, kiedy brata zamordowano?

Maryjka śmiertelnie zbladła, drżała na całym ciele i, wodząc przestraszonymi oczyma wokół siebie, powiedziała, że był w domu. Dlaczego nie miał być? Przecież mówi, że był. Na pewno był. Niech ją pokarzą, jeśli to nieprawda, niech ją zamkną na cały rok; chce zostać w kryminale, żeby tylko jej syna wypuścili na wolność.

Sędzia długo przyglądał się jej w milczeniu.

— Musisz przysiąc na to, co mówisz — powiedział.

Spojrzała błagalnie na męża.

— Iwoniko, czy nie tak? Czy on nie był w domu? — wybełkotała. — Boże miłosierny! Powiedźże, bo!...

Iwonika spuścił oczy.

— Nie wiem, Mario. Mnie nie było w domu!

Znowu rozejrzała się wokół, tym razem błędnym wzrokiem.

— Nie było cię w domu? — spytała i, uśmiechnąwszy się bezmyślnie, zamilkła.

Na stole obok krzyża zapalono świeczki.

— Podnieś rękę — wezwał sędzia.

Rzuciła się z lękiem w tył i spojrzała na niego z przerażeniem.

— Nie będę przysięgała! — krzyknęła i, cofnąwszy się przerażona, omal nie przewróciła sędziego.

Ten zerwał się i potrząsnął ją za ramiona. Cierpliwość jego wyczerpała się.

— Kłamliwe chłopskie nasienie! — zawołał pogardliwie.

Iwonika stał w milczeniu i płakał. Żadna obca ręka nie dotknęła dotąd jego żony!

— Nie będę, nie będę!... — przyciskała się jak oszalała do ściany.

Kilka minut później Iwonika wyprowadził ją na korytarz na pół zemdloną.

Gdy wprowadzono Sawę, Iwonika przeraził się. Wyglądał jak kościotrup. Wychudły, blady i wymęczony. Nie mówił prawie nic. Zobaczywszy ojca spuścił oczy i ani jedno słowo nie wyszło z jego ust. Milczał. Chyba że wymawiał słowo „nie”. Nie można było nic z niego wydobyć i wyprowadzono go z powrotem.

Iwonice serce się krajało na widok syna, musiał jednak milczeć.

Zrozumiał. Milczenie, zawzięte, uparte, głuche milczenie było jedynym sposobem ratunku. W nim tylko mogło wszystko na zawsze utonąć, mogło wszystko zgubić się bezpowrotnie.

Iwonika dowiedział się też w sądzie, że zmarły nie miał wrogów również w wojsku. Był przez kolegów lubiany i szanowany, przełożeni byli z niego zadowoleni. Znamien- na natomiast była u niego jedynie niezwykła odraza do broni, a szczególnie do strzelby.

„Już wtedy czuł, że gdzieś zwrócona jest na niego jakaś lufa — rozmyślał nieszczęśliwy ojciec — i opierał się ze wszystkich sił, jak mógł, a jednak musiał mieć z nią ciągle do czynienia. Jak mu musiało być okropnie! Syn chciał wyrwać się na wolność, ale on go zatrzymał! Grube koszarowe mury nie dopuszczały do niego śmierci. Zaczaiła się na niego w lesie i czekała cierpliwie, przez lata, jego przyjs- cia. W domu nie mieli spokoju, tak go chcieli wydostać z tych starych murów, a kiedy się wreszcie wyrwał i wró- cił, sam się na strzał wystawił...”

## XXV

Anna miała bliźniaki, dwóch chłopczyków.

Dokia postanowiła trzymać je u siebie do wiosny, a na wiosnę Anna miała umieścić je u ludzi, a sama pójść na służbę, żeby coś zarobić. Od tamtego dramatu jakby uro- sła, ale wyglądała okropnie: chuda, pożółkła, ze zwiędnię-



tą twarzą. Na jej ustach nigdy nie pojawiał się uśmiech. Znosiła ból z całą powagą swej głębokiej natury, przestała myśleć jednak o przyszłości. Istota jej jakby była nastawiona na tę straszną tragedię, która spowodowała nie mniej straszne cierpienia; były one teraz jedyną treścią jej młodej duszy. Rzadko kiedy zdarzało się, by noc jej przeminęła z suchymi oczyma. Nawet do snu wciskały się lzy, skrapiając ogniem jej duszę.

Pociągała ją samotność, jak ranną zwierzyńę. Wzdychała z ulgą, gdy zostawała sama, a gdy zobaczyła gdziekolwiek krzyż, padała na kolana i modliła się. Usta jej zbladły i ułożyły się w bolesny grymas, wygląd miała ponury, głos bezdźwięczny.

Umrzeć, umrzeć razem z dwojgiem dzieci — to było jej jedyne życzenie. W obliczu swego nieszczęścia była zupełnie opuszczona, bezradna i nie widziała żadnego wyjścia z tej sytuacji. I tak wlokła za sobą swe młode dni. Jedna tylko rzecz wywoływała w niej zmianę, poruszała ją i zapalała jej chmurne oczy. Było to imię mordercy.

Zdawało się, że na dźwięk tego imienia wracało jej życie i nerwy napinały się do ostateczności. W takich momentach zmieniała się w jakąś niemą, przyczajoną furję, która oczekiwała tylko odpowiedniej chwili, by rzucić się bezlitośnie na swą ofiarę.

Niemal zupełnie nie oddalała się od domu, kiedy jednak zdarzyło się jej pójść kiedyś do wsi, gdzie dowiedziała się, że Sawę z powodu braku odpowiednich dowodów winy mają zdaje się wypuścić na wolność, powiedziała:

— Nie minie go to, na co sobie zasłużył. Żeby mi tylko Bóg pozwolił wychować dzieci, żeby mi Bóg dopomógł!... — i odetchnęła pełną piersią. Nozdrza jej zadrżały, a oczy zabłysły taką nienawiścią, że strach było patrzeć na nią.

Czasami znowu, kiedy siadała przy dzieciach, czuwając nad ich snem, myśli jej płynęły w zupełnie inną stronę. Robiła sobie wyrzuty, że okazywała zmarłemu za mało miłości.

Oto zostawił jej dzieci, jedyne jej bogactwo, a co wzięł od niej do grobu?

Początkowo, kiedy zbliżał się do niej, jeszcze we dworze, rzucając jej jakieś dobre słowo, odbierało jej mowę. Napięta jak struna, milkła. Mimowolnie dokonywała się w niej gwałtowna zmiana. Jakaś niezrozumiała, brutalna siła wstępowała w nią, rozsadzała ją boleśnie, paraliżowała jej usta.

On mówił powściągliwie, a ona nie miała absolutnie żadnego prawa ujawniać swej miłości. Wyczuwała to wrodzonym kobiecym instynktem. Była tylko biedną wyrobnicą, na którą każdy spoglądał z góry.

A potem wszystko ułożyło się zupełnie inaczej.

Wszystko najlepsze, co miała w sobie dla niego, chowała na tę chwilę, kiedy zdobędzie prawo wejścia do jego domu, by stać się dla niego samym dobrem. Potem popłynęłyby już tak długo wstrzymywane słowa. To, co nakładało na jej usta żelazną pieczęć, budząc w nim wątpliwości, czy ona go kocha, znikłoby wreszcie samo. Nadzieja, że przyjdzie ta chwila, dodawała jej heroicznej siły, dzięki której z niezwykłą wytrwałością znosiła wszystkie przykrości swego położenia.

Potem, kiedy już mogła mówić, dzielił ich od siebie czas, a teraz zabrakło j e g o.

Niekiedy znowu rzucała się na swe dzieci i nieomal je dusiła z szalonej miłości. Obaj chłopcy byli podobni do niego. Nie mieli jej czarnych włosów, lecz jasne, jedwabiste włosy jego. Pożerała oczyma ich drobne twarzyczki i widziała ich już dorosłymi. Byli tacy, jak on, zupełnie tacy sami, nie mogła sobie inaczej ich wyobrazić.

A potem zatracala się w obłąkańczym płaczu.

Jego nie było! Jego nie było i nigdy już nie będzie na świecie. Mówił, że weźmie, a porzucił. Szalała z bólu, tłukła głową o dziecinną kołyskę i jęcząc wywoływała raz po raz jego imię.

Nie zaznawszy jeszcze szczęścia, musiała tracić rozum z żalu za nim. Było tak blisko niej, jutro, pojutrze miała się z nim zetknąć, a ono odwróciło się od niej na zawsze.

Pewnego razu udało się Dokii namówić ją, by poszła do Iwoniki i Marii. Poszła ich prosić, by przyjęli za swoje jedno z bliźnięt.

— Może będą chcieli wychować sobie jednego wnuka — radziła rozważna kobieta. — Nie można znać ich myśli. Może da Bóg, że przyjmą. Zostali teraz osieroceni i może dziecko złagodzi ich ból. Weź tego „starszego”, jest bardziej podobny do ojca.

Początkowo nie chciała nawet o tym słyszeć, ale później dała się namówić i poszła. Zrobiła to dla dzieci.

Iwoniki nie było w domu. Maryjka rzuciła się na nią jak tygrysica.

— Żebyś mi się więcej nie odważyła przekroczyć mego progu, ty rozpustnico jedna! — krzyczała. — Z kim innym zaczęłaś swoje igraszki, a na Mychajła zwalasz? Kto cię we wsi widział kiedy z nim? A Sawę kto nazwał mordercą przed całą wsią? Jak mi się jeszcze raz pokażesz na oczy, to psami cię poszczuję! A jak chcesz ode mnie chleba, to przyjdź na wspominkowy obiad. Wtedy i żebraków karmię!

Do głębi wzburzona, z twarzą bladą jak płótno i błędnym spojrzeniem wróciła młoda, upokorzona matka do domu i nie powiedziawszy ani słowa położyła dziecko...

Dokia, spojrzawszy tylko na nią, domyśliła się wszystkiego, nie zadawała jednak żadnych pytań. Bała się, żeby te zbielałe usta nie otworzyły się, tak jak bała się tych strasznych, gorejących, czarnych oczu.

Dopiero później dowiedziała się o wszystkim.

I nigdy już więcej Anna nie przestąpiła progu tej chaty, a kiedy spotykała Maryjkę, obchodziła ją z daleka.

Inaczej zachowywał się Iwonika. Nie wtrącał się do tej sprawy, wierzył jednak, że jego syna istotnie łączyło coś z tą dziewczyną, jak wierzył w jej uczciwość i dobroć. Dokia go przekonała. Kiedy więc spotykał Annę na drodze, sam ją zatrzymywał.

— Co u ciebie słyhać, Anno? Zdrowa jesteś? — pytał serdecznie, unikając jednak jej wzroku. Było mu jej bardzo żal. Jego biedny syn kochał ją, i jak tam już było, to było, spotkało ją jednak wielkie nieszczęście. Ale nic nie mógł dla niej zrobić.

Maryjka goniła ją jak psa, a poza tym to ona była najcięższym wrogiem Sawy. Obwiniając go publicznie o zabójstwo brata, jeszcze w dodatku odgrażała się, że sama wymierzy mu sprawiedliwość. Nie mógł więc jej w niczym pomóc, chyba żeby może dać jej kiedyś w tajemnicy przed żoną trochę pieniędzy. Na razie musiało zostać, tak jak jest. Był przy tym tak bardzo pogrążony we własnym nieszczęściu i w trwodze o drugiego syna, że nie był w stanie zajmować się cudzym.

W tej sytuacji Anna zdana była wyłącznie na siebie i nie mogła liczyć na żadną pomoc. U matki i brata nie pokazywała się. Nie chcieli nawet słyszeć o niej, od kiedy brat się ożenił, a matka przekonała się, że nie ma co liczyć na pomoc rodziców zmarłego.

Obcy też nie wszyscy okazywali jej współczucie. Nigdy zresztą nie cieszyła się specjalną sympatią kobiet i dziewcząt. Dzięki wieloletniemu przebywaniu w kulturalniejszym otoczeniu we dworze i korzystnemu wpływowi jego mieszkańców, pod względem intelektualnym i moralnym stała wyżej od swych wiejskich rówieśnic, a tego nie mogły jej wybaczyć nigdy konserwatywne, zacofane chłopki.

Dochodziła do tego jeszcze zawiść, która tłumiła współczucie dla niej. Niemal każda gospodyni we wsi, która miała córkę na wydaniu, liczyła na Mychajła, jako na przyszłego zięcia. Tymczasem okazało się, że jego wybór padł na ubogą wyrobnicę. Rozczarowanie było zbyt silne i nieoczekiwane, by nie miało pociągnąć za sobą następstw. On już wprawdzie nie żył i nie mógł ożenić się ze służącą, jednak za życia ją właśnie sobie wybrał i ją uważał za swoją przyszłą gaździnę.

Kiedy tylko rozmowa schodziła na jej temat, kończyła się zwykle słowami:

— Zawsze udawała taką świętoszkę, teraz ma, czego chciała! Gdyby była porządna, mogłaby w każdej chwili pójść do służby u pierwszego lepszego gospodarza, a tak niech już sobie sama radzi, jak może. Niech idzie do świekry!

Był właśnie wieczór wigilijny.

Sawa siedział jeszcze w areszcie śledczym i w wiejskiej chacie Iwoniki było cicho i smutno. Maryjka przesiadywała w niej sama, bo Iwonika przeniósł się do polnej zagrody. Stało koło niej nie wymłócone jeszcze zboże, w zagrodzie były pszczoły i nie można było zostawić tego wszystkiego na takim pustkowiu bez opieki. Swoje woły i inne młode bydło Iwonika sprzedał, żeby pokryć wydatki na pogrzeb i inne związane z tym nieszczęściem, a jedna krowa, która pozostała, była u Maryjki. Chciała ją mieć blisko siebie, stajnia w polnej zagrodzie stała więc głuchą pustką.

Było już późno wieczorem.

Pola były zawiane, na dworze szalała zamieć, wiatr pędził zaciekle śnieżne chmury i wszelki ślad nóg czy sań natychmiast ginął. Przejmowało lękiem i grozą. Daremnie wzrok się wysilał, żeby dostrzec cokolwiek, nic nie było widać. Chmury śniegu gnały w szalonym pędzie po białej powierzchni, zasłaniając wszelki widok.

Iwonika wyrżał na chwilę z szałas i rozejrzał się. Uderzyły go w twarz płaty mokrego śniegu.

Wrócił do szałas i przykucnął na ziemi przy piecu, w którym się paliło.

W polnej zagrodzie panowała cisza.

Sojka zaryła się z zimna w słomę, nie dając znać o sobie najsłabszym nawet dźwiękiem, a stajnia stała pusta. Pyszne woły ze swym mocnym, ciepłym oddechem znajdowały się Bóg wie gdzie, a pszczoły spały martwym snem w swych okrągłych chatkach, nie wydając najcichszego nawet bzykania.

On jeden ożywiał to wszystko.

Nigdy jednak jeszcze nie był tak samotny jak teraz, jak tego wieczoru. Kiedyś, gdy przebywał tu sam, mógł mieć zawsze nadzieję, że ktoś nadejdzie, chociażby Sawa, jeśli Mychajła nie było w domu, były też woły; teraz wie-

dział, że nikt do niego nie zajrzy... Komu by się chciało wypuszczać się w taką straszną noc do jego nory? Do jego pustelni? A on sam nie był potrzebny nikomu. Od czasu, jak stracił syna, stał się zupełnym odludkiem.

A samotność robiła swoje.

Wyrastał z niej głęboki, głuchy żal, który zżerał go i kradł mu spokój. Dzień i noc tłukło się w nim pytanie: „Dlaczego to wszystko się stało, co się stało? Dlaczego on jeszcze chodzi po tej ziemi?”

A potem znowu:

„Po co to się stało? Dlaczego? Dlaczego? Czy Bóg tak osądził? Czy Bóg tak chciał? Co Jemu z tego przyjdzie?”

Jego wielka pobożność i głęboka, szczerza wiara w Wyszłą Siłę narażone zostały na mękę zwątpienia, z którego w żaden sposób nie potrafił się wywikłać, bo nie potrafił wyjaśnić sobie sensu tej krwawej tragedii. Bóg potrzebował duszy Mychajła. Bóg też potrzebował czegoś dobrego. A Mychajło był dobry. Ale dlaczego odebrał mu syna w taki sposób? Dlaczego dla spełnienia tego niesłychanego uczynku musiała podnieść się ręka jego drugiego dziecka?

I dalej:

Krew, w jaką pograżył się Sawa ciałem i duszą, była straszną, ale czy nie było tysiąc razy straszniejsze to, co zaciągnęło go w tę krew?... Co to było? Skąd się wzięło? Czy była to jakaś siła? Czuł moc jakiejś nieznanej potęgi, ale jego dziecięca dusza nie dorosła jeszcze do tego, żeby zgłębić tę bezbrzeżną tajemnicę. Instynktownie i niejasno odczuwał istnienie jeszcze jakiegoś innego świata prócz tego, który znał.

Popadł w głęboką zadumę...

I powracało to samo: nieopisane cierpienia duszy. Cierpienia ślepeca. Świat ośleplł razem z nim. Mychajła już nie było. I już nigdy nie będzie. Leżał w ziemi, a teraz prze-walały się nad nim chmary śniegu.

Twarz jego wykrzywiła się. Począł szlochać jak dziecko. Łzy spływały obficie po jego twarzy.

Na to wychował swoich synów. Takie miał w tym roku Boże Narodzenie.

A ten drugi siedział zamknięty za murami i z każdym dniem coraz bardziej chudł i bladł. W tamtym roku wszyscy siedzieli razem w chacie, jedli kutię<sup>1</sup> i kolędowali. A on żartował i był taki wesół! A potem przyszli tu obaj i nocowali. Siedzieli do późna, o tu, na tym miejscu na ziemi, a on opowiadał i opowiadał...

W tym roku nikt z nim nie rozmawia...

Ciemność gęstniała, dogasający w piecu ogień oświeślał już słabo przedmioty w izbie. Migocące czerwono płomyki robiły się niebieskawe. Wzrastająca cisza i samotność brały go w swe niewidzialne objęcia.

„Tamtego roku o tej porze wyszedł zajrzeć do bydła — przypomniawszy sobie znów, myśląc ciągle o synu. — Teraz stajnia stoi pusta.”

„Żują...” — powiedział, kiedy wrócił ze stajni.

Jeszcze coś tam mówił i zaśmiał się. Był wesoły.

Dźwięk tego śmiechu i głosu miał żywo w pamięci... Aż stęknął z żalu w tej kąśliwej samotności. Zamknięta w jego chacie pustka i cisza dławili go, jakby wszelkie życie pożegnało się z tym zakątkiem ziemi.

A tam „na górze” jego stara żona siedziała sama i płakała. Była jak niespełna rozumu.

On płakał tu, a ona tam...

A kiedy on się urodził, cieszyli się, że będą mieli komu zostawić swój trud. Miał zająć ich miejsce — obaj mieli zająć, stać się takimi jak oni, uprawiać ziemię jak oni, a tymczasem...

Łzy bywają niekiedy krwawe...

Na dworze nieustannie szalała wichura. Ani jedna gwiazdka nie zabłysła na niebie, a śnieżne tumany gnały jak furie po rozległych, przywalonych śniegiem polach. Na ziemię spadła zła, niezwyczajna noc.

Wiatr targał drzwiami od stajni i uderzał w nie z wściekłością.

---

<sup>1</sup> Kutia — wigilijna potrawa z gotowanej pszenicy lub pęczaku, przyprawiona miodem, makiem, rodzynkami i orzechami.

Lasek za pełną zagrodą i lasy, co ciągnęły się dalej, „sąsiedzki” i inne, przebijały odrętwiałą ciemnią przez białą zamieć, ledwo widoczne wśród tej śnieżnej furii.

Iwonika siedział zatopiwszy palce we włosy. Płakał i rozmyślał.

„Jeden w ziemi, a drugi w kryminale... Oto, czego się doczekał po pięćdziesięciu latach życia!” — przesywało mu żalem duszę.

Zaczął wsłuchiwać się w wicherę.

„Ciężka noc! — pomyślał. — Jutro pola będą zupełnie zawiane i będzie musiał brnąć po kolana w śniegu, żeby się dostać do Maryjki.” Zawsze musiał sam przebijać się przez śnieg.

Całe snopy śniegu waliły w dwa małe okienka, szalejąc w dzikim tańcu wokół zagrody, jakby uganiały się za kimś. Wiatr dalej targał hałaśliwie drzwiami od stajni i nie zamierzał ustać.

Nagle Iwonika, nasłuchując uważnie, podniósł głowę. Poprzez zawieruchę dochodził chyba czyjś przeciągły, alarmujący gwizd. Słyszał go wyraźnie. Nasłuchiwał jeszcze uważniej, wstrzymując oddech, i nagle serce zaczęło mu walić. Powoli i mocno... Tak właśnie gwizdał Mychajło, kiedy wracał w taką nocną zawieruchę ze wsi do pełnej zagrody, zabłądziwszy we wścieklej zamieci... Odpowiadał mu wtedy gwizdem lub krzykiem, pomagając mu trafić do domu.

Nasłuchiwał przez chwilę z przerażonym wzrokiem. Czy gwizd się nie powtórzy?

Powtórzył się.

Długi, głośny...

Zrobiło mu się gorąco. Momentalnie zerwał się z ziemi i z obłędem w oczach wybiegł na dwór.

Wiatr targał jego siwe włosy. Nie zważał na to. Wpatrzywszy się w ogromnym napięciu w nocną zamieć, krzyknął tak jak za życia syna, ale tym razem oszalałym, niesamowitym głosem, w rozbałwanione śnieżnym szaleństwem pola:

— My-chaj-łooo! Twój ojciec t u t a j!



Kilka chwil później natarł na niego śniegowy bałwan, uderzył go silnie w piersi, porwał kawałek za sobą, zakręcił na miejscu i ciężko stękawszy pomknął dalej w ciemną noc...

Z rozwianym włosom stał stary ojciec przykuty do miejsca, ciężko dysząc, i patrzył z natężeniem w tym kierunku, gdzie pognął śnieżny bałwan.

Co to było? Co to było? Włosy stanęły mu dębem na głowie. Jęknawszy w jakimś nagłym szaleńczym przestachu próbował się przeżegnać...

Tu był Mychajło.

Całym swoim sercem, całą swoją duszą odczuł, że Mychajło był tu u niego.

On.

Przyciskał się do niego, porywał za sobą, wołał, jęczał i pognął, nieszczęsny, dalej, pędzony wichurą w nieznane bezświaty... Umarł przecież bez gromnicy. Przeżegnawszy się z trudem, załamał obie dłonie w pobożnej, rozpaczliwej pokorze.

— Boże miłosierny, zmiłuj się nad grzesznymi! Boże święty, odpuść nam grzechy! Królu niebieski, przyjmij nas w królestwo Twoje i odpuść nam nasze winy! Przyszedł do ojca, żeby go uwolnić, przyszedł, żeby rozbić jego samotność i jego rozpacz. Przyszedł do ojca, przypadł do ojcowskiej piersi, przyszedł pożalić się na swą ciężką, niewesołą, czarną dolę...

I jak stał, rzucił się na ziemię, bijąc pobożne pokłony. Następnie, przeżegnawszy się po raz ostatni, wrócił niepewnym krokiem do środka, niespokojnie oglądając się wokoło.

Bardzo zmęczony rzucił się na dawne miejsce na ziemię i z twarzą w dłoniach oddychał ciężko pełną piersią. Nie mógł przyjść do siebie po tym nieoczekiwanym przeżyciu, które tak nim wstrząsnęło. Przejęty tym snem na jawie, nie mógł odzyskać równowagi ducha.

Tu był Mychajło.

Niech mu zaprzeczą albo nie, niech mu wierzą lub nie, ale on był tutaj. Odczuł to swoją duszą. Przecież nie

był pijany (zarzekł się picia trunków zaraz po śmierci syna, żeby kiedyś nie zabiły jego duszy, przysiągł to sobie nawet w cerkwi), nie był senny ani nie zwariował. Odczuł jego obecność sercem. Wyczerpanie po spotkaniu z nim zważyło go z nóg, jakby je podcięło.

Spragnionymi oczyma omiótł izbę. Szukał świętej ikony.

Podświadomie, mimowolnie ciągnęło go ku potężnej, tajemniczej opiece, ku jakiejś sile, co rządziła, co mogłaby wlać w jego wzburzoną duszę spokój i harmonię.

Ujrzał ją. Oto tam wisiała. Mała, poczerniała, ukwiecona zeschniętymi chabrami i żółtymi goździkami, zwrócona była w jego stronę.

Ukląkł i jak dziecko złożyłwszy ręce do modlitwy, z całą pokorą i powagą, z całą szczerością i ufnością swej harmonijnej, prostej, teraz głęboko wzruszonej duszy utonął w modlitwie.

Północ dawno już minęła, a on ciągle klęczał i modlił się.

Za duszę syna, co błąkała się bez spokoju po ziemi i cierpiała niewinnie ciężkie męki, cierpiała pod ciężarem łez jego i jego żony i tonęła w nich aż na dnie piekielnych mąk...

I za swego zbłąkanego syna, co sprowadził na wszystkich straszne nieszczęście i oczekiwał wśród grubych murów ostatecznego rozstrzygnięcia swego zaprzepaszczonego losu...

O tej samej porze Maria siedziała w swej chacie.

Izba była słabo oświetlona. Na nakrytym stole leżały łyżki, stały miski z kutią i kompotem z suszonych śliwek, gorzałka z miodem, leżały zawijańce, orzechy, jabłka.

Maryjka w rozchełstanej koszuli, z rozczochraną głową siedziała na piecu i śpiewała. Śpiewała słabym, mdłym półgłosem, jakby kołysała dziecko do snu.

Umilkła.

Złożyła ręce na krzyż i schyliwszy głowę na piersi jakby drzemała.

A jednak nie drzemała.

Czekała na synów...

W chacie panowała głęboka, usypiająca cisza. Nikłe światelko małej, wiszącej na ścianie lampki słabo tylko rozjaśniało mrok izby.

Mimo to wszystkie przedmioty rysowały się w niej wyraźnie. Cała chata była odświętnie przystrojona i jakby na kogoś czekała. Od czasu do czasu dał na różne tony wiatr w kominie, bucząc niekiedy tak, jakby zagnieździł się tam rój trzmieli. To grała burza na dworze.

Nagle pies zaszczekał koło chaty. Ktoś zastukał do drzwi, a potem do okna. Drzwi były od wnętrza podwójnie zamknięte, bo Maria bała się bardzo, od kiedy zabrali jej syna.

Poderwała się i otworzyła szeroko oczy. Błędny, wystraszony jej wzrok przebiegł po izbie i zatrzymał się na suficie.

— Żandarmi idą! — jęknęła przerażona i skuliła się bojaźliwie.

Stukanie powtórzyło się.

Zaczęła się trząść, ale zlaźła z pieca i stanęła cicho na palcach w kącie między drzwiami i piecem.

To szli żandarmi. Uwzięli się na ich chatę. Już kilka razy niespodzianie ich nachodzili. Ale w jej chacie nie ma już niczego. Choćby nawet chcieli kogoś wyprowadzić, nie ma już nikogo. Chyba ją...

— Iwonika w domu? — zawołał ktoś z zewnątrz drżącym, bezdźwięcznym głosem.

Nie odzywała się. Trzęsąc się, przyciskała się do ściany, usta jak u dziecka skrzywiły się do płaczu.

Na chwilę zaległa chatę głęboka cisza. Dwoje wielkich, jasnych oczu błędziło po izbie, czegoś szukając.

Po jakiejś chwili dał się słyszeć głos już koło okna.

— To wy tylko sami w chacie, Mario?

Nagle wyprostowała się. Wyciągnęła szyję jak sarna i zwróciła do okna duże, błyszczące oczy.

— Czyj to głos? — spytała, dzwoniąc zębami.

— Przecież mój! Nie poznajecie?

— Nie. Czyj? Czy to ja w ostatnim czasie jeden głos słyszałam?

Jakby chwila namysłu, a potem:

— Mój głos stary.

— Wyście żandarm?

— O kogo jeszcze u was za dużo w chałupie, że pytacie o żandarmów?

— Pusta ona jak spróchniałe drzewo — odpowiedziała.

— A możecie po mnie przyszli? Nikogom nie zabiła i nic nie wiem.

— A Iwonika gdzie?

— W polu. Polna zagroda bez opieki. Nie można jej było tak zostawić. Nie wiecie, jacy to ludzie są?

— Chciałem sobie tylko fajkę zakurzyć... i pogadać dziś... stary jestem... — dał się słyszeć znowu głos.

Chwila namysłu i wahania.

— To... wejdźcie do chaty.

— Nie. Już nie pójdę. Naniosę śniegu. Może wstąpię jeszcze do Iwoniki, jeśli zdążę... Boże, co za zamieć!

Chwila oczekiwania.

„Żandarm... — szepnęła i przycisnęła się znowu z lekkim do ściany. — Tylko oni chodzą w takie noce po polach i po chałupach.”

— Wyście żandarm?

— Nie, Maryjko, nie żandarm. Mam siwe włosy. Nigdy nim, chwała Bogu, nie byłem, ale wam powiem, kim jestem. Teraz najlepsza na to pora. Nikt nie usłyszy i nikt nie zobaczy. A ja nie chcę, żeby ktoś słyszał. Żal mi was. Bóg jeden widzi, jak żal. Przeżegnajcie się, Maryjko. Ja ten, który coś widział. Ciężko mi z tym na duszy. Nie mogę z tym umrzeć. Kto wie, może już jutro włożą mi gromnicę w rękę, nikt tego nie może wiedzieć. Patrzcie, wasz Mychajłyk też się nie spodziewał, a teraz chodzi gdzieś po świecie i błąka się, bo zszedł bez gromnicy ze świata.

W chacie rozległ się bolesny krzyk.

— Nie lamentujcie, Maryjko! To już nic nie pomoże.

Tak już miało być i tak się stało. A to, com widział, to widziałem na własne oczy i muszę o tym powiedzieć, bo mi z tym bardzo ciężko na duszy. Chcę się tego pozbyć. Nie chcę być żadnym świadkiem, niech mnie Bóg broni! Mówię to tylko wam, bo mi z tym bardzo ciężko. Powieście o tym mężowi czy nie powieście, ale niech ja wam powiem i pozbędę się kamienia z serca...

Przycisnęła się do okna, nadstawiła uszu i napięła się jak struna.

— Coście widzieli? Mówcie! A możebyście jednak weszli do chaty? Zasypie was na dworze.

— Nie zasypie. Nie trzeba, byście mnie widzieli. Wystarczy wam to, co usłyszycie! Wtedy, co prawda, noc była jasna i pogodna, jak ja widziałem. Szli o b a j r a z e m...

— Mychajło! — krzyknęła przeraźliwie.

— On i ten, co go wyprawił na tamten świat. Młode to jak pszczoła, a już morderca!

— Mychajło! — krzyknęła znów Maria i zaczęła tłuc głową o ścianę.

— Nie rozpaczajcie, Mario. On już nie wróci do was. Słuchajcie, co wam powiem jeszcze. Ten siedł obok niego ze strzelbą na ramieniu. Siedłem z miasta i podkuśiło mnie wracać do domu przez las. Kiedy mnie mijali, Mychajło pozdrowił mnie, a ten błdził oczami po ziemi. Błady był, niech mu Bóg przebaczy, jeśli ma jeszcze przed sobą jakie dni! Ale kara go nie minie. Ano, więc ich spotkałem. Szli blisko siebie, Mychajło rozmawiał, a ten słuchał...

— Kto to był? Kto to był? — krzyknęła Maryjka, przycisnąwszy pobladałą twarz do szyby.

— Niech już sam Pan Bóg wyjawi wam jego imię, ja nie mogę. Dobrze, że wam to wszystko powiedział, bom nie miał spokoju. Bądźcie zdrowi!

— Sawa! — krzyknęła Maryjka nieswoim głosem i jak oszalała rzuciła się do drzwi. Tarmosiła nimi, szarpała, ale szło jej to niesporo.

— Nie przeklinajcie go za bardzo, wyście matka... — dał się jeszcze słyszeć ostrzegawczy głos, a potem mignął cień w drugim oknie i wszystko ucichło.

Maria zapomniała, że omotała klamkę jeszcze sznurem z dużym gwoździem koło zamka, obawiając się ciągle najścia żandarmów. Poza tym wiatr napierał na drzwi i wpychał je z powrotem do wnętrza, igrając z jej słabością.

Wreszcie roztworzyła je na oścież i wyrzała na dwór.

Snop słabego światła, który padł z izby przed próg, oświetlił kupę namiecionego śniegu przed sieńmi. Kilka śladów i nic więcej. Silny, porywisty wiatr bił ją kłującymi, lodowatymi igiełkami po twarzy i oczach, tak że musiała je przymknąć. Po chwili rzuciła się w stronę okna.

— Kumie!... — jęknęła.

Ale żadnego kuma nie było. Znikł, jakby się zapadł pod ziemię.

— Kumie, kto to był? Powiedźcie, kto i wejdźcie do chaty! — zawołała. Ale tylko wycie i świst wiatru były odpowiedzią na jej trwożne pytania.

Pobiegła kilka kroków poza chałupę na podwórze, nasłuchiwała i znowu wołała...

Ale nikt się nie odezwał.

Na czoło wystąpiły jej duże krople potu. Wróciła do chaty. Drzwi zatrzęsnęła za sobą tak mocno, że aż szyby zadzwoniły. Stała pośrodku izby jak skamieniała.

Kto to był? Kto to był? Ten, co widział ich obu razem i ten, co siedł obok Mychajła ze strzelbą, jego morderca...

„Niech już sam Pan Bóg wyjawí wam jego imię, ja nie mogę go powiedzieć” — zadzwięczały jej w uszach słowa nieznanego.

Skamieniała.

Znowu poczuła na czole pasmo ognia, który rozpełznął się żarem po skroniach i wokół ust.

— Sawa! — wydobył się omdlewający jęk. — Sawa go zabił!

Upadła na podłogę.

A po chwili:

— Nie, nie, to nie Sawa. Kłamał łotr! Bodajby do domu nie doszedł, bodajby dnia Bożego nie doczekał! O Boże, ratuj, ratuj, ratuj!

Podniosła ręce i zaczęła bić pokłony. Nie wiedziała dlaczego, dopiero po chwili sobie uświadomiła: żeby znalazł się zabójca. Ten, co zgładził jej dziecko z tego świata. Ten, co zatracił jednego, a drugiego krwią obryzgał. Żeby zjawił się przed nią, by mogła własnymi rękami rozszarpać go na kawałki. A jej syneczek, co pozostał teraz jeden, jedyny w pustej chacie i marniał niewinnie w więzieniu, żeby już wrócił...

Załamawszy konwulsyjnie dłonie, modliła się pospiesznie, oglądając się niespokojnie, z lękiem od czasu do czasu, kiedy śnieg bił w okna lub jęczały w zawiasach targane burzą drzwi.

Potem przyszło na nią głębokie zmęczenie. Popadła w półsen. Kiedy się ocknęła, lampa ledwo kopciła. Wyciągnawszy szyję, powiodła po chacie rozszerzonymi, szukającymi oczyma. W izbie było pusto i cicho, przy stole nikogo, jadło nie tknięte.

Jakby oprzytomniała. Zaszła w niej przedziwna zmiana.

Jej słaba natura oscylowała ciągle między miłością i nienawiścią, każde silniejsze przeżycie wytrącało ją z równowagi, nie umiała utrzymać siebie pośrodku drogi: w trzeźwej rozwadze albo w dobroci, która wszystko godziła.

I oto wyczuła w tej chwili po raz pierwszy swym macierzyńskim instynktem, że Sawa jest mordercą — i pierwszy raz obudziło się w niej uczucie nienawiści. Straszliwa, bezdenna, nieopisana nienawiść matki do syna.

Dzięki uśmiech bólu wykrzywił jej usta.

Zaczęła przeklinać.

Nie mówiła, lecz syczała. Obłądne, okropne przekleństwa, które, jakby same sobą przerażone, rozbiegały się po cichej izbie i wpełzały w gęstniejącą ciemność...

Na prośbę Maryjki Domnika obeszła wszystkie wróżki w okolicy, by dowiedzieć się czegoś o mordercy. Ale ani jedna nie mogła powiedzieć nic pewnego.

Ślepa wróżka w mieście powiedziała:

— Po co ta kobieta myśli tyle o jakimś chłopcu? On niewart tego! Zabił swego brata i jeszcze kiedyś ojca zabije, jeśli nie spełni jego woli. Ojcowską chatę ktoś ciągle obrzuca złym zieleń.

Usłyszawszy to, Iwonika uderzył Maryjkę drugi raz.

— Iwonika bił swoją żonę — oświadczała Domnika uroczyście niemal w każdej chacie, triumfując, że przynosi taką ciekawą nowinę. — Do czasu tego nieszczęścia Iwonika nawet palcem nie tknął swej żony. A teraz?

Ona była pierwsza, która dowiedziała się o tej niezwykłej historii. Ona umiała opowiadać nadzwyczajne rzeczy...

— A za co ją bił? — pytali.

— Żeby milczała, zamiast dowiadywać się po wrózkach.

— Ciężko mu, ale nie chce, aby obcy ludzie wiedzieli o jego nieszczęściu. Jeden syn zastrzelony, a drugi...

Nikt nie kończył, nikt nie mówił niczego pewnego, mimo że nie mieli wątpliwości, kto zabił. Ale też nikt nie ujawniał w słowach swego przeświadczenia. Każdy żałował tylko nieszczęsnych rodziców.

— Maryjka zanosła do Suczawy do świętego Iwana na dziesięć mszy, aby znalazł się morderca, a na osiem mszy do klasztoru w Dragomirnej, aby dosięgła go kara Boża. Ale kara go omija! — kończyła swoje rewelacje.

Przed Wielkanocą Sawa wrócił z więzienia. Wypuścili go na wolność, bo nie było przeciwko niemu dowodów.

Najpierw zaszedł do Rachiry i dopiero od niej poszedł



do rodziców. Wszedł do rodzinnej chaty późnym wieczorem.

Na jego widok rodzice rozplakali się.

Wrócił bardzo chudy — skóra i kości, wybladły jak płótno i jakby oniemiały. Jak gdyby tam, za murami zostawił mowę. Stał w kącie jak obcy i myszkował oczami po ziemi.

— Całkiem cię już wypuścili? — spytał lękliwie ojciec, któremu serce krajało się w piersiach na widok syna.

— Całkiem. Zostaję już w domu.

Jadł w milczeniu, nie odpowiadając prawie zupełnie na różne pytania rodziców, i poszedł spać.

Wraz z nim wstąpiło do chaty coś, co dławilo, coś obcego, ponurego. Nie wywołał uśmiechu ani na ustach matki, ani ojca. Ten, którego z taką rozpaczą i pożądaniem wyczekiwali, ten ich jedyny syn, był już tutaj, z nimi, a jednak wyglądało to inaczej, niż sobie wyobrażali. Wraz z nim weszło do chaty coś, co onieśmielało proste, chłopskie natury i przed czym się one wzdragały.

Co to było? Nie potrafili tego określić. Odczuwali to jedynie, przyginało ich to niewidzialnym ciężarem.

Nie kładli się spać do późnej nocy. Chłopiec leżał blady na posłaniu jak martwy i spał, a starzy — każde ze swego kąta — przypatrywali mu się w milczeniu. Każde z nich inaczej to przeżywało: ona — bezgłośnie, z zaciętymi ustami, jego piekły niewidoczne lzy.

Ten oto blady chłopiec, to zmarniałe, wygłodzone ciało z tą drobną, dziecinną twarzą — to był jego jedyny syn. A ten syn był bratobójcą. On, ojciec, wiedział o tym. I nawet jeśli nikt inny o tym nie wiedział, on wiedział. I tak już będzie do końca jego życia, do ostatniego tchu.

Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu, Sawa wybierał się do Rachiry.

— Dokąd chcesz iść? — spytała go matka, drżąc z trwogi o niego. Tak bardzo się o niego bała!

— Dokąd? Do Rachiry!

— Nie zapomniałeś do niej drogi? — spytała z niewypowiedziane gorzkim uśmiechem.

— Dlaczego miałbym zapomnieć? — odpowiedział z błyskiem w oczach.

— Bo ona winna całemu nieszczęściu...

Nie odpowiedział, wbijając wzrok w ziemię.

— Nie wyjdzie to na dobre! — ciągnęła matka surowym głosem. — Myśmy tu siedzieli, modlili się i płakali krwawymi łzami za tobą... liczyliśmy dni, kiedy wrócisz. A teraz, jak Bóg pozwolił ci znowu przekroczyć rodzielski próg, ty zwracasz się do niej? Sawo, Sawo, Bóg musi cię skarać!

Podniósł na nią oczy. Duże, błyszczące, a w tej chwili wspaniałe oczy.

— Mamo, byłem już wczoraj u niej. Najpierw poszedłem do niej, a dopiero potem do was. Żebyście wiedzieli...

Stara matka patrzyła na niego jak skamieniała.

— Już wczoraj? Najpierw do niej?

— Tak!

I znowu dokonała się w niej zmiana, taka jak w wieczór wigilijny, kiedy go pierwszy raz przekłęła. Milczała jednak. Pierwszy raz w życiu zabrakło jej słów dla wyrażenia tego, co czuła. Jej ruchliwe usta zmartwiały, zaniemówiły. Tak wtedy, jak i obecnie czuła, że nie ma już drugiego syna.

Coś strasznego wpęzło do jej serca i rozdzierało je. Coś strasznego, gorzkiego, niewyrażalnego. Zaciśnęła pięści, żeby uderzyć nimi kogoś w piersi, ale tego „kogoś” nie było.

— Myślicie, że dbam o waszą ziemię? — spytał, przerywając dławiące milczenie. — Nie potrzebuję waszej ziemi! Pójdę sobie z nią do Mołdawii.

I porwawszy kapelusz wyszedł z chaty.

Została sama jak ogłuszona. Z szeroko otwartymi oczami, z bladą jak ściana twarzą snuła się po chacie bez celu i sensu. Nie tykając się żadnej roboty, od czasu do czasu rozmawiała z kimś szeptem.

— Anna szaleje!

— Co z nią?

— Chce zabić Sawę...

— Boże, Boże!

— Rozpacz odebrała jej rozum...

Krążyło to we wsi z ust do ust. I była to prawda.

Gdziekolwiek go tylko zobaczyła — w polu, na drodze, we wsi — rzucała się na niego ze zwierzęcą furią i próbowała go udusić. Zapominała o otoczeniu, o wszystkim, widziała tylko jego. Goniła za nim jak tygrysica, sypiąc iskrami z oczu, i krzyczała:

— Ty morderco! Ty... ty!... zabiję cię!

Nieraz by się już z nim policzyła, gdyby nie miał szybszych od niej nóg.

I rzecz dziwna: tylko jej jednej bał się ten młody, milczący chłopiec. Bał się jej tak, jak można się bać jedynie dzikiego, niebezpiecznego zwierza. Aż jęczał, kiedy gnała za nim, półprzytomny ze strachu. Wiedział to i czuł. Ona jedna mogła tylko sprowadzić na niego nieszczęście. Nikt nic nie mówił, nie szkodził mu. Tylko ona jedna, jedyna. Ona była tu na ziemi karzącą go ręką. Wszystko inne umiał sobie podporządkować.

Po pierwszym jej napadzie zaczął chodzić do cerkwi.

— Jaki się święty zrobił — szeptali ludzie urągliwie. — Ale chyba nie na długo!

— Dlaczego? Może już żałuje...

— Dlaczego? Na Wielkanoc ojciec wziął go z sobą do cerkwi. Kiedy byli już blisko Hryhorowej chaty, odłączył się od ojca i jak ta maszyna pomknął przez cudze sady do dziewczyny. Stary został sam i ze wstydu mało się pod ziemię nie zapadł. Aż mu w oczach pociemniało. Widzieli to wszyscy gospodarze, co szli wtedy.

— To straszne! Rachira coś z nim zrobiła. Pewnie mu lubczyku dała i jakieś zioła. Robi wszystko, co ona chce...

— Boże, zmiłuj się! Ale Anna już go wyszykuje. Nie

na próżno przeżyła to wszystko. Widzieliście, co się z nią dzieje, kiedy go zobaczy? Niech Pan Bóg broni!

— Zostałaby morderczynią, gdyby nie uciekał! A zdawało się, że taka dobra.

— W człowieku jakby dwie dusze, z jednej w drugą się przerzuca...

Pewnego razu Anna pasła w polu bydło. Siedziała pod krzakiem leszczyny i karmiła jedno z bliźniąt, które wzięła ze sobą. Nagle zobaczyła idącego Sawę. Oczy jej zabłysły jak u dzikiego zwierzęcia. Położyła dziecko ostrożnie na ziemię na serdak, a sama na palcach próbowała go zająć od tyłu.

Czy wyczuł niebezpieczeństwo? Prawdopodobnie. Obejrzał się błyskawicznie, było już jednak za późno. Chwycała go obu rękami za szyję i zaczęła dusić.

Sawa krzyknął i rozpoczęły się zmagania. Straszne zmagania dwóch przeciwników.

Była zmieniona nie do poznania.

— Ja wiem, że to ty go zabiłeś. Ja! — krzyknęła, przy czym wszystka krew uciekła jej z twarzy. — Ja o tym wiem i chcę ci za to zapłacić.

Były to jej jedyne słowa.

Niewiele już brakowało, żeby rzuciła nim o ziemię, niewiele już brakowało, żeby go udusiła. Wstała w nią jakaś wściekła siła, spotęgowana przez nienawiść. On był jednak zwinniejszy od niej. Oswobodził prawą rękę i uderzył ją w piersi tak mocno, że się zachwiała i upadła.

Uciekł natychmiast. Chyba z pół godziny pędził bez przerwy z przerażoną i płacząco jak u dziecka skrzywioną twarzą.

W tydzień później umarły bliźnięta Anny. Wpadła w melancholię. Chodziła po wsi i po polach bez żadnego celu, z zaciśniętymi pięściami, nie widząc przed sobą nikogo.

W takim stanie zaszła pewnego razu do Maryjki. Dzień był słotny, bez przerwy padał deszcz. Maryjka siedziała z Iwoniką w chacie, przebierali jakieś nasiona.

Nagle weszła Anna.

Ubrana była w długi, czarny kozuch Dokii, na głowie miała czarną chustkę. Była chuda i blada jak воск. Nie mówiąc ani słowa stanęła przy drzwiach i wpatrzyła się w jeden punkt. Ręce zwisały w dół, pięści nie rozluźniły się.

Maryjka zerwała się i już chciała się na nią rzucić. Stanowiła przecież dla Sawy ciągle zagrożenie, była dla niego „karą Bożą” — jak ją nazywała. Nienawidziła jej tak samo jak Sawa. Czego tu chciała? Po co przyszła? Przecież zabroniła jej raz na zawsze przekroczyć próg jej chaty.

Iwonika powstrzymał ją.

— Nie widzisz, że ona nie wie, gdzie jest? — szepnął. — Jej oczy wpatrzone są w jakiś błędny świat. Spójrz na nią.

Mówił prawdę. Duże, czarne oczy nieszczęsnej patrzyły spokojnie, dziecinnie niemal przed siebie, nie dostrzegając otoczenia.

— Czego potrzebujesz, córeczko? — spytał łagodnie Iwonika. — Chlebka?

Spojrzała na niego spokojnie, obojętnie i z trudem otwierając blade usta powiedziała:

— Chlebka...

Maryjka podała jej kawałek chleba, który zaraz zjadła. Potem stała, rozglądając się po izbie. Na ścianach wisały pocerniałe, zadymione ikony, przybrane kwiatami i wyszywankami. Nad jedną z nich wisiała niebieska żołnierska czapka Mychajły. Przyglądała się przez chwilę wielkimi, pytającymi oczyma obrazowi i czapce. Dokonała się w niej gwałtowna zmiana. Jakby znów wstąpiło w nią życie, jakby odzyskiwała pamięć i przytomność. Rozejrzała się powoli i nieśmiało wokół siebie. Potem podeszła blisko do Maryjki i wpila się w nią oczyma. Stara cofnęła się z lękiem. Oczy młodej dziewczyny zamigotały tak dziwnie... Czyżby dostrzegła coś w twarzy starej matki? Czy uderzyło ją jakieś podobieństwo i wywołało wspomnienia w tym zmaconym umyśle?

— Sawa! — krzyknęła nagle nieswoim głosem. — Sawa go zabił!

I rzuciwszy się do drzwi pomknęła jak na skrzydłach przez pola.

Maryjka zbladła jak ściana. Zaczęła się trząść. Nie miała siły wymówić ani słowa.

W oczach Iwoniki pojawiły się łzy.

— Boże, ratuj! Boże, zmiłuj się! — zawołał z głębi swego pobożnego serca, załamując rozpaczliwie dłonie.

— Ona zwariowała! — odezwała się z trudem Maryjka.

— Rozpacz przesłoniła jej rozum — odrzekł Iwonika. — Widzisz, żono? — dodał po chwili. — A tyś ciągle nie wierzyła, że ona należała do Mychajła. Myślisz, że człowiek przez dobro traci rozum? Przez uciechy? Zgrzeszyliśmy, Maryjko! Tyś zgrzeszyła! Ja nie wiedziałem, dopiero Dokia mi powiedziała. Trzeba było przyjąć Mychajłowe sieroty, jak przynosiła i prosiła, żebyśmy przyjęli. Teraz już Pan Bóg zabrał je do siebie. Nie będą nam już nigdy ciężarem... dzieci naszego Mychajła! Nie będą, choćbyśmy o to Boga na kolanach dzień i noc błagali! Będziemy chowali dzieci Sawy i Rachiry... a dzieci Mychajłyka usunęły się nam na wieki z drogi...

I głośno zapłakał.

Potem obrzuciwszy ją rozżalonym spojrzeniem, jakby miał zamiar ją uderzyć, zerwał się i wybiegł na dwór.

Została sama. Siwa, siwusiénka.

Duża mucha przeleciała koło niej i uderzyła z brzękiem o szybę. Powiodła za nią tępo oczami.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Kochała przecież swoje dzieci. Strasznie je kochała. Własną krew by za nie oddała. A potem coś się stało... pomieszało się... i teraz ona jest winna. Chłopczyka Mychajłkowego przynosili tu do niej... tu oto, na tym progu jej podawali... prosili, by przyjęła za swoje, wychowała jako pamiątkę po nim, sobie na pociechę, a ona wygnała go, odegnała od tego progu. Mychajłowego chłopczyka...

Jezu Chryste!

Co się z nią działo? Czy jej rozumu brakło? Odebrało jej rozum? I rzucało ją to w jedną, to w drugą stronę, to do Sawy, to do Mychajła. Zatracała się w żalu i rozpacz za nimi. Kochała swoje dzieci. Kto może jej zarzucić, że ona ich nie kochała?

„Będziemy chowali dzieci Sawy i Rachiry... a dzieci Mychajłyka usunęły się nam na wieki z drogi” — podpełzało z serca do mózgu.

„Sawy i Rachiry...”

„Rachiry, Mario!...”

„Sawy!...” odpowiadało coś w niej.

„Sawa go zabił, Sawa! Nigdy nie będę ich chować! Prędeż mi ręce odejmie... Ach!”

Toczyła się w niej ciężka, bezgłośna walka. Nie wiedziała, co to było, cierpiała jednak piekielne męki.

„Za dwa lub trzy lata byłoby już dreptało koło was, byłoby już biegało za babunią” — usłyszała podsunęty przez pamięć głos siwej staruszki.

Tak! Zarzuciła jej to samo, co teraz jej mąż, ta bezzębna baba, co wszystko wiedziała.

T a m t a gryzła się i zamartwiała nieustannie... bo czym, sama sierota, miała wykarmić dwoje dzieci? Tak, Mario. Źleś zrobiła! Byliby sobie wychowali małego Mychajłyka... bo mówiono przecież, że ochrztili go Mychajłykiem...

Błąda jak ściana, spoglądała przed siebie w jakiejś dziwnej, zagadkowej zadumie. Nagle zerwała się, zarzuciła pośpiesznie na siebie kożuch i szybko wybiegła na dwór. Dopiero tu zaczęła się zastanawiać.

Gdzie jej szukać? Dokąd ona, nieszczęsna, pobiegła?

— Anno! — jęknęły jej wykrzywione usta z bezmiernym żalem, niemal błagalnie. — Anno, wróć!

Do oczu napłynęła jej struga łez, widziała wszystko jak przez mgłę.

Przed nią tylko pola się zieleniły. Po majowym deszczu pyszniły się swą zielenią, drzewa rozwinęły się, przystrojając się w jasną, delikatną zieleń oraz białe i różowe pączki kwiatów.

Wilgotny zapach majowego kwiecia rozchodził się w powietrzu i brał wszystko w swe władanie.

Ziemia tchnęła rozkoszą.

Wkrótce potem odwieziono Annę do szpitala. Wieś zobowiązała się ponieść za nią wszelkie koszty. Wraz z tym zapanował już, zdawało się, spokój we wsi. Po burzliwych wydarzeniach do poruszonych umysłów i serc powróciła równowaga.

Wszystko jakby dobiegało końca. Praca, ta szara, nieustanna, jednostajna praca położyła na wszystko swą pieczęć i zamknęła każdemu usta. Dzień po dniu wymagała swego czasu i przeznaczonych na nią sił, bez przerwy utrzymywała ręce w ruchu, przechodziła z jednej pory roku w drugą, nasilała się, zmniejszała i znowu wzrastała, zacierając niepostrzeżenie wszelkie wydarzenia, przeszłość i związane z nią wspomnienia.

Ale tak wyglądało tylko na zewnątrz. Co jednak naprawdę kryły ludzkie wnętrza? Tam nie zawsze płynęło wszystko jednostajnym, jednakowym nurtem...

### xxx

Od tego czasu minęło sześć lat.

Dalekie pola mieniły się różnymi barwami. Było w nich życie lub martwota.

W odwiecznym rytmie jesień napędzała masy smutnych mgieł, które ustępowały miejsca nieprzeliczonym gwiazdkom śniegu, te zaś wycofywały się przed zwycięską wiosenną zielenią. Zgodnie z niezmiennymi prawami przetaczał się w przyrodzie cicho i spokojnie niezmienny cykl.

Na polach ciągle jeszcze widnieje polna zagroda. Stoi, tak jak stała, może tylko nieznacznie obsunęła się w ziemię. Małe okienka mrugają w słońcu jak oczy staruszka, a w słotne dni płaczą dużymi, cichymi łzami.



Kręci się po niej tylko dwoje starych ludzi, Maryjka i Iwonika. Ona wyschła jak szczapa, on postarzał się przedwcześnie. Rozpacz czy ciężka praca tak pozbawiły ich sił? Chyba jedno i drugie. Nie utrzymywali z nikim stosunków i żyli zdaje się tylko dla swej chudoby i dla swej ziemi, ciągle pracując. Dni świąteczne wydawały im się za długie, dni robocze — za krótkie.

— Dla kogo oni jeszcze tak harują? — dziwili się ludzie. — Sawie wystarczy to, co ma, a im, starym, czego trzeba? Ciepłego pieca i trochę ciepłej strawy.

Oni byli jednak innego mniemania.

Na polach rzeczywiście praca nie ustawała. Wszystko szło na msze za duszę nieboszczyka syna. Dwa razy do roku odbywały się też wielkie wspominkowe obiady. Jeden na jesieni, a drugi na wiosnę, kiedy biednym ludziom było najciężej przeżyć. Stoły ugiwały się wówczas. Bogacze i biedacy, z daleka i z bliska posilali się ich chlebem. Cały swój trud postanowili przeznaczyć na ten właśnie cel i ten właśnie cel był jedyną siłą, która utrzymywała ich przy życiu i w równowadze.

Na Mychajłowej ziemi wzrastał ten chleb, dla Mychajła były przeznaczone te zagony. Niech się dzieje wola Boża.

Na tych obiadach nie bywali nigdy. Urządzała je zawsze Domnika z Ilią, a jeśli przyszli, to na bardzo krótko. Ona siedziała milcząca i patrzyła, jak ludzie jedzą i piją, a potem zrywała się, jak opętana, nakładała na siebie kożuch aż na głowę i biegła przez pola do swej polnej zagrody. Tam zamykała się w stajni, dopóki nie wrócił Iwonika i nie powiedział, że już po wszystkim.

On siedział też milcząco, załamywał od czasu do czasu ręce i tłukł pięścią o pięść, a potem gdzieś znikał, poleciwszy szeptem Domnice, by dawała na wszystko baczenie i żeby nikt nie odszedł stąd głodny.

Jego wielka pobożność i wiara umacniały się i podtrzymywały go, był zatopiony w nich swą całą łagodną istotą.

— Tak Bóg dał! — próbował pogodzić się z losem.

Nie szukał nawet jakiegoś innego wyjaśnienia tego najstraszliwszego wydarzenia w jego życiu. W swej prosto-

cie wyczuwał instynktem, że inne wyjaśnienie przyniosłoby mu tylko ból, a on nie udźwignąłby tego. Nie miałby sił, żeby to znieść.

— A ot — rozważał dalej — Sawa i w kryminale siedział, i był jakiś czas przy wojsku, zajmowali się nim sędziowie, spoglądał na mury, ludzie śledzili za tropami jego okropnego czynu, a mimo to żyje wolny. Co go chroni? Co rozpina nad nim swoje skrzydła?

Mychajło nie był taki jak on, inaczej się prowadził, a mimo to...

Dlaczego tak było? Bóg tak chciał...

Pytania takie niekiedy drażyły jego duszę do głębi, podcinały wiarę oraz wytrwałość w znoszeniu cierpienia, popychały do cerkwi i spowiedzi.

Najchętniej chodził na odpust na świętego Iwana Sućzawskiego; przeżywał tu jednak głęboką rozterkę.

Czy on sam nie jest winien temu okropnemu nieszczęściu? Czy nie był za dobry dla Mychajła, a za ostry dla Sawy? Od czasu do czasu dochodziło do niego, że był lepszy dla Mychajła niż dla Sawy, wydawało mu się jednak, że jego sumienie było czyste. Bóg jeden wie, w czym leży wina.

„Ja ciemny chłop, ojczy! Niech Bóg przebaczy mnie, grzesznemu! Robiłem, jak umiałem” — rozpoczynał spowiedź tak jak po stracie swego ukochanego syna. I wielka, wstrząsająca była skrucha tego cichego, niepokąźnego człowieka.

Spowiedź przynosiła mu ulgę.

Wracał pocieszony i zaprzęgał się znowu do jarzma szarej, jednostajnej, nieuniknionej pracy.

„Jeden dzień — mówił — jeden żal”.

Tak mijały mu dni. Tak już miało być do końca życia.

Celem jego było teraz dbać o duszę Mychajła, za spokój jego duszy karmić biednych, chlebem i solą wspomagać i przebłagać Boga za winę własną i Sawy...

Od roku Sawa się oddzielił. Ojciec dał mu we wsi połowę chaty i tam mieszkał. W napiętym milczeniu ocze-

kiwał tej chwili, kiedy ojciec da mu, jak się spodziewał, jego część i część przeznaczoną dla Mychajła. Ale ojciec, też milcząc, nie spełnił dotąd jego nadziei. Ani jednym słowem nie wyrzucał mu śmierci brata, ani jednym spojrzeniem nie przypominał mu o tej zbrodni. Jakaś ciężka, niewidzialna ręka zamknęła mu w tej sprawie usta na wieki. Tylko ziemią go nie nadzielił.

Tej czarnej, upragnionej, drogiej ziemi, bez której nie wyobrażał sobie życia, w której byłby grzebał dzień i noc, życie swoje dla niej wypruwał — nie dawał mu jej.

— Pracuj, jak ja pracowałem! — powiedział mu, wydzielając połowę chaty.

— Niech robi, jak ja robiłem! — odpowiadał ludziom, kiedy pytali go, czy nie wydzieli Sawie jego części, bo, jak się zdaje, chłopiec szykuje się do żeniaczki z Rachirą.

— Niech pracuje! Niech wie, jak to jest, kiedy człowiek niczego nie ma, a potem sam dorobi się tej ziemi!

I nie odstąpił ani na włos od swej decyzji.

— Ziemi? — szeptała Maryjka wykrzywionymi nienawiścią ustami, zanosząc się obłąkanym śmiechem. — Chyba po to, żeby legł z nią w ustach i żeby go na wieki zadławiła, jak mnie zadławił przez niego żal na tym świecie.

Potem z ust nieszczęsnej matki sypały się na głowę syna takie przekleństwa, że włosy jeżyły się na głowie i ciarki przebiegały po ciele.

Nienawidziła Sawy.

Cała jej dawna miłość do niego, która swego czasu pozbawiła ją rozumu, zmusiła ją do zapomnienia o nieszczęściu, nakazała wygonić nieszczęsną dziewczynę z sierotą z powodu trwogi właśnie o niego, zmobilizowała do szukania różnych sposobów ratowania go podczas śledztwa, która wreszcie doprowadziła ją do obłąkania — przemieniła się teraz w najstraszliwszą nienawiść.

Po swoim powrocie z więzienia Sawa całkiem jawnie okazywał rodzicom lekceważenie. Wydawało się, że jego miłość do dziewczyny wzmogła się w więzieniu w dwój-

nasób, a jednocześnie zanikły w jego sercu wszelkie inne uczucia. Słyszał i widział tylko ją.

Ledwie wpadł do ojcowskiej chaty, żeby spojrzeć na ojca i przynębioną matkę, i już szedł znów do niej.

Kiedy wracał po całodziennej pracy, matka wołała go na kolację.

— Zaraz dam kolację, Sawo! Tylko kuleszę postawię na krządek!

Ale nie chciał czekać. Machnąwszy ręką chwycił w milczeniu kapelusz i już był w drzwiach.

— Nie zaczekasz?

— Nie!

Nikt go nie pytał, dokąd idzie. Każdemu było wiadomo, dokąd wiedzie wąska ścieżka przez sad, a potem dalej pod las.

Od śmierci Mychajła spał w domu tylko dwie lub trzy noce w tygodniu, poza tym nocował u Hryhorego, u niej. Widoczne było, że w domu przebywał z największą odrazą i z przymusem.

— Chodzisz do Rachiry i chcesz się z nią żenić, a nie widzisz, że wydeptujesz mi ścieżkę do grobu! — wyrzucała mu kiedyś matka. — A moja siwa głowa nie ma nikogo prócz ciebie! Mychajłkowi kula przerwała życie, kto na stare lata zajmie się mną i ojcem, jak będziemy niedołężni? On już nie wstanie. Nie wstanie, żeby wyrwać cię ze szponów twojej doli!

Na to oczy jego zabłyśły wrogo.

— Przywołajcie go sobie wspominkowymi obiadami, jakich nie żałujecie za jego duszę, niech wam zaplecie wasz siwy warkocz, a mnie zastąpi drogę do Rachiry — odpowiedział drwiąco. — On zawsze was słuchał, spróbujcie! Chyba już dość karmiliście ludzi za jego duszę. Zabijaliście drób, zarzynaliście świnię, marnowaliście chleb, swój i kupowany w mieście, poiliście, czymście mogli. Czas, by nareszcie przyszedł wam za wszystko podziękować! A do mnie się nie wtrącajcie!

Te brutalne słowa wywoływały w jej sercu nienawiść, żal do niego wzrastał, czuła w sercu jad.

Im bardziej lgnął do dziewczyny, tym ostrzej ranił jej serce, tym głębiej dotykał jej duszy, która nie знаła niczego prócz miłości do niego i nie pożądała niczego prócz jego dobra. Całym swym jestestwem, wypełnionym tylko nim jednym, pragnęła mieć go przy sobie, jakby w nagrodę za wszystkie męki i bóle, mieć go ze wszystkim, całkowicie, jak małe dziecko. Trzęsła się nad nim i drżała ciągle o niego, ale on ledwie spojrzał w jej stronę.

W dodatku Rachira dręczyła ją ciągle. Gdziekolwiek ją spotkała, uśmiechała się złośliwie i rzucała jakieś obraźliwe słowo.

Pewnego razu Maryjka spotkała ją w polu i poczęstowała ją solidnymi kuksańcami.

— Zostawisz ty mi chłopca, wiedźmo? Długo jeszcze będziesz go lubczykiem poić i krew moją pić?

— Będę pić, dokąd mi się zechce! A wam nic do mnie! — wrzeszczała na całe pole. — Myślicie, że macie do czynienia z Anną, co jej się przez was w głowie pomieszało? Czekaście, tylko jeszcze trochę poczekajcie!

Potem za każdym razem, kiedy ją spotkała, klaskała w dłonie i złośliwie pytała:

— A co, Sawa siedzi przy was na piecu? Co? Bardzo się was przestraszył?

Więc kiedy tylko Maryjka spostrzegła ją z daleka, słabo się jej robiło i cała krew odpływała z twarzy. A jednocześnie buntowała się przeciw synowi.

To Sawa był winien, że musiała znosić to wszystko od tej rozpustnicy. To przez niego odtrąciła sierotę Mychajłową, którą Bóg zesłał jej na pociechę, a ona nawet spojrzeć na nią nie chciała. Przez niego została teraz zupełnie osierocona. Gdyby chciał, rzuciłby tę łajdaczkę, siedział przy ojcu i matce i strzegł ich, jak oka w głowie. Dziewcząt może mieć jeszcze dziesięć w życiu, ale ojca i matkę raz tylko Bóg daje. Miał tylko ich, a oni tylko nim żyli.

On był powodem wszystkich nieszczęść, wszystkich krwawych łez, jakie wylewała nocami. A oto jak on sobie poczyną. Jakby nie dostrzegał ich żalu i zgryzoty. Z żalu

już ziemi nie czuli pod stopami, a on był zły. Śmiał się i pogwizdywał, kiedy matka płakała.

Swoim lekceważącym postępowaniem otworzył jej oczy i zmusił do trzeźwego spojrzenia. Z czasem doszła do przekonania, że to on podniósł rękę na brata. Z czasem... Tam, w pustym polu, w polnej zagrodzie, która już do połowy zapadła się w ziemię, bez świadków i sędziów, w najgłębszej ciszy i samotności doszła do strasznego wniosku. Podczas cichych, wspaniałych księżycowych nocy, kiedy z rozwianym włosiem i wilgotnymi oczyma przemyślała każdy uczynek i postępek swego jedynaka.

Nie miała w sobie tyle bezinteresownej szlachetności, co jej mąż. Żądała dla siebie więcej. I przez to, że żądała więcej, doszła do tych smutnych wniosków.

„Zachciało mu się ziemi i dlatego Mychajło stał mu na drodze. Trzeba mu było ziemi dla Rachiry!” — mówiła sobie.

Pojedyncze słowa ludzi, które obijały się od czasu do czasu o jej uszy, wpadały teraz w jej serce jak rozżarzone węgle.

Czasami pytała go:

— Sawa, gdzie jest Mychajło? Przecież to ty poszedłeś z nim do lasu. Ja wiem!

Niemal rozkoszowała się wtedy jego wyglądem. Bładł, oczy jego rozszerzały się i wpatrywały się w nią z chłodnym błyskiem.

— Gdzie Mychajło?

— Czemuście go nie pilnowali? Poszedł tam, gdzie chciał. Nie trzeba było rozpaczać za nim, kiedy był w wojску. Teraz sami wsadźcie sobie nóż w serce, a nie innym! Ja nic nie wiem!

I znikał jej z oczu.

— Nigdy go nawet nie wspomni — rozmyślała gorzko. — Jakby nigdy nie miał brata!

Pamięć o bracie istotnie nie istniała dla Sawy. A kiedy czasami ktoś wspomniał o nim, był głuchy i niemy jak mur. Zacinał się i milknął za każdym razem. Tylko jego oczy migotały bojaźliwie, dyszał ciężko jak z wielkiego

zmęczenia, usta wykrzywiały się w bolesnym grymasie. Doprowadzał tym matkę do szału.

I tak ściągnął na siebie to, co musiało przyjść — nienawiść matki.

Cała jej miłość, jaka kiedyś wyrывała się ciągle ku niemu, całe jej uczucie dla niego, które kiedyś czyniło ją silną, odważną, bezwzględną, zmieniło się teraz w potężną macierzyńską nienawiść.

Zaczęła przeklinać.

Początkowo szeptem, rzadko — sama była przerażona swymi słowami, darła je jak szmatę na drobne kawałki; a potem z zapamiętaniem i jakąś obłąkańczą satysfakcją.

Chciała go widzieć z czarną ziemią w ustach i złożonymi na krzyż rękami. Albo żeby poszedł do wojska, tylko żeby tam był jak najdłużej, jeszcze kamieniem za nim rzuci. I żeby go jak Mychajła... jak Mychajła... na kawałki pokrajali i o samej północy pochowali! Czy słyszy?

Ma w życiu już tylko to jedno życzenie, nic więcej. Zna tylko tę jedną prośbę do Boga. I niechby wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy, którzy znali jej starszego syna, lubili go i szanowali, jak ona szanuje jego pamięć...

— To Sawa zrobił, Sawa! — żaliła się przed mężem.

Ale on milczał. Sam o tym wiedział już dawno. Od pierwszej chwili. Ale nigdy by jej tego nie powiedział. Nigdy, dopóki Bóg pozwoli im żyć razem. Nie chciał, by spadł na nią taki ciężar.

— Taka to już nasza dola i naszych dzieci! Nie płacz...

Czy był silniejszy w nieszczęściu? Bardziej odporny na ciosy losu? Mniej wrażliwy?

Ona Sawę znienawidziła, on jednak ciągle go kochał. Tajemnie, z pieczęcią na ustach, mimo wszystko kochał go i ubolewał nad nim. Ich obu kochał jednakowo wielką, bezgraniczną miłością. Pamiętał o zmarłym, a żywego opłakiwał w duchu niewidzialnymi łzami.

— Dlaczego odszedłeś od ojca? — pytał zmarłego.

A o żywym myślał: „Dlaczego on to zrobił, kiedy go tak kochałem? Chciałem przecież dobra dla nich obu!”

I odczuwał tylko niewymowny ból i żal. Ale nienawiść

nie miała przystępu do tej bezinteresownej, szlachetnej natury.

Ubolewał nad swą żoną, że stała się wcieleniem wszystkich nieszczęść i pocieszał ją, jak tylko potrafił.

Zaczęła unikać ludzi, z niechęcią odpychać od siebie tych, co zbliżali się do niej przyjaźnie, pogrążając się całkowicie w swym żalu, z którego nie było dla niej wyjścia. Czasami przypominała mu różnymi przejawami swej nienawiści Sawę, nigdy się jednak nad tym nie zastanawiał. Dostrzegał tylko z wielkim smutkiem, jak z jej, takiej kiedyś szczerzej i pełnej uczucia, duszy wyrastała coraz straszniejsza nienawiść do dziecka, która je ścigała, a w tej duszy słońce zaszło już na zawsze.

Wiedział o tym.

Wiedział, że nigdy już nie zajrzy do tej duszy słońce. Przepadło już w niej wszelkie światło. Na wieki oślepla!...

### XXXI

Chowaj się zdrowo i pracuj, jak ja pracowałem — powiedział Iwonika do Sawy przy rozdziale chaty i ogrodu.

— Będę pracował — odrzekł Sawa obojętnie.

Wkrótce potem ożenił się z Rachirą.

Żył z nią blisko dwa lata bez ślubu, ale dłużej nie można było zwlekać. Iwonika sam zdawał sobie z tego sprawę. Jednak ani on, ani Maryjka nie poszli na wesele.

A Sawa?

Mijał już szósty rok od śmierci brata. A on, jak mówią ludzie, nie ma wciąż spokoju. Jest bardzo nierówny, co chwila zmienia mu się nastrój.

Ludzie opowiadają:

Kiedy idzie do roboty, musi obejść kilka chat. Chodzi jak cbląkany. Zajdzie gdzieś do jakiejś chaty i powie coś takiego, że nie warto słuchać. Tu coś zagada, tam zajrzy do garnków, to znowu zaczepi dziewczynę, gdzie indziej



potrafi kogoś... i idzie do następnej chaty. Nikt go nie zatrzymuje i nikt nie zaprasza do siebie. Wszyscy go się boją, chociaż i zażartuje, i zaśmieje się. Bóg jeden wie — mówią — co się za nim wlecze.

Nie ma spokoju, chociaż ona jest przy nim. Powiadają: on zawsze był taki niespokojny duch, a że jej nie miał, chodził do niej; a teraz szuka czego innego. Ale kocha ją tak, że nie wolno jej niczego w domu palcem tknąć. Powiada, że nie trzeba mu niczego.

I tak żyją z dnia na dzień.

W polu czasami szału dostaje, jak zobaczy zająca. Rzuca wtedy wszystko, chociażby najpilniejszą i ważną robotę, nawet u siebie, i puszcza się w pogoń za nim. Powiada, że musi go mieć. Nie ma w nim żadnego wewnętrznego życia i żadnego ładu. A może takim był już od dziecka? Trudno powiedzieć. Nikt nie zapuszczał się w te zawiłości psychiki.

Czy był z Rachirą szczęśliwy?

Było tu coś zakazanego, coś mrocznego, przed czym się bronił. Wcisnęło się jednak siłą w jego młodą duszę, w jego ubogie życie wewnętrzne i kiedy zagarnęło je bez reszty — utracił to wewnętrzne życie. Ona wyssała z niego wszystkie szlachetne uczucia do ostatniej kropli, a utraciwszy je, utracił samego siebie.

W ostatnich czasach zaprzęta żywo jego uwagę postanowienie ojca. Ojciec zdecydował się wziąć do siebie syna swego brata, a Maryjka jakąś ubogą sierotę. Chcieli ich pożenić i osadzić na gospodarstwie, gdy kiedyś zostaną przerwane ich dni. Sprawa ta bardzo Sawę zaniepokoiła. Nie ma jednak śmiałości zbliżyć się do ojca i prosić, by zarzucił ten pomysł, bo jest dla niego niekorzystny i przekreśla całą jego przyszłość.

Coś groźnego i nieubłaganego stoi między nimi i zamyka im usta.

Przed tym jednym tylko musi się ugiąć; przed jakąś niewidzialną, żelazną siłą, chociaż nie wie, co to takiego.

Stary Onufry Łopata umarł i na jego miejsce strażnikiem w pańskim lesie został Petro.

Nie jest jednak sam. Jest z nim Anna. Ożenił się z nią.

Po czterech miesiącach pobytu w szpitalu wyleczyła się i przyjęła służbę w domu dyrektora szpitala. Była tam przeszło rok. Petro odwiedzał ją przy okazji kilka razy z siostrą i namawiał, by wróciła do rodzinnej wsi. Posłuchała go.

Po powrocie oddała Dokii wszystkie zarobione pieniądze i została u niej służącą.

Była cicha, małomówna i niezmordowana w pracy. O przeszłości nie wspominała nigdy. Gdy ktoś wspomniał kiedyś o jej nieszczęściu i jej zmarłym narzeczonym, była zmieszana, jakby nie mogła otrząsnąć się z czegoś. Nie odpowiadała, pochmurniała i nikt nie potrafił zrozumieć, co się z nią wtedy działo...

Pewnego razu Petro, wróciwszy z pola, gdzie przez kilka dni pracował z ludźmi i z Anną, oświadczył siostrze, że chce się z Anną ożenić.

Dokia przestraszyła się.

— Ty chcesz się z nią żenić? Na stare lata? Narazić się na śmiech? Nie mógł do tej pory znaleźć dziewczyny, no i kogo sobie wyszukał! Zdurniałeś na starość! Nasz ród z popów się wywodzi, a ona...

Petro machnął ręką. Zrozumiała, iż tym razem nie ustąpi.

— Żeby mi na starość nie było komu bielizny wyprać? — odpowiedział gorzko. — Jak ty zamkniesz oczy, to twoja Parasynka zajmie się tym? Idź, zapytaj ją teraz o jej męża, teściów, dzieci i gospodarstwo. A po drugie znasz przecież Annę, wiesz, jaka jest! Idź, stań z nią w polu do roboty, jak ja, mężczyzna, stałem z nią dzień w dzień przez cały tydzień, a wtedy zobaczysz, co ona warta. Stary już jestem, ale niewiele widział takich robotnic jak ona. Jak z żelaza. Pracuje i pracuje i jesz-

cze mogłaby pracować... Żebyś wiedziała, że się z nią ożenie!

Dokia zamyśliła się.

Mądra była i rozważna, rządziła wszystkim jak caryca, choć bez korony.

Nad tym trzeba było dobrze się zastanowić.

Brat mówił prawdę. Słów na wiatr nie rzucał. Powiedziawszy swoje uderzył pięścią w stół, podrzucił hardo głowę i wyszedł w milczeniu z chaty. To znaczy, że zrobi tak, jak powiedział.

Miał rację, kiedy mówił, że jak jej zabraknie, to chociaż jest obrotny, choć kawał chłopca z niego, stanie się bez niej zupełną sierotą. Nikt się nim nie zaopiekuje. Jej córka ma swego męża, swoje dzieci, gospodarstwo na głowie i inne kłopoty, więc gdzie przytuli głowę? Czy nie u Mendla na Hopplacu?

Co wart mężczyzna bez kobiecych rąk?

Glina.

A w dodatku na starość. A przecież nie są już oboje młodzi, ona i on. A Anna — co tam było, to było, ale przecież ona nie z tych, żeby niewarta była poszanowania. I ma złote ręce.

Ano, cóż robić? Niech ją już bierze. Tak już miało być. Już od samego początku. Za młodu nie mógł sobie nikogo dobrać i dopiero po tylu latach na nią się zdecydował, a ona od rozumu odchodziła, zanim doszła do kresu swej dziewczęcej doli.

Czyż ona, stara kobieta, może stawać temu na drodze? I czyby to coś pomogło?

Et!...

Iwonika mówił na weselu jej Parasynki, że wyprawi swemu Mychajłowi takie weselisko, iż nieprędko doczekają się we wsi takiego drugiego — no i wyprawił... Ale jakie?... Widzi wszystko jak na jawie, jakby to było dziś... jak tańczyli we dworze... jak Mychajło tańczył... jak Petro i Anna tańczyli... jak wszystkich porwał taniec i nawet ona rzuciła się z Iwoniką w to szaleństwo... I widział kto wtedy, co komu za plecami stało?

Ba!...

Niech się pobierają. Bóg to jeden wie, w czym dobre, a w czym złe.

I pobrali się. Już piąty rok żyją razem. Wszędzie ład i porządek. Ten ład, który stwarza usilna praca i zdrowy rozsądek. Petro odmłodził i jakby wyrósł. Pracuje, uganiania się, „majątek zbija na starość” — jak mówią żartobliwie ludzie.

Dobrze żyją z sobą. Ona bardzo dba o niego. Sumien-na i uważna, chodzi koło niego jak koło szkła, a Dokięszanuje jak rodzoną matkę. Dokia nic nie może jej zarzucić, bo wszystko u niej jak w zegarku.

Petro rzeczywiście zbija pieniądze, chociaż daleko mu tam do majątku.

Mają chłopczyka i wszystko robi dla niego. Postanowili posłać go do szkoły. Nie powinien przywiązywać się do ziemi — uradzili — bo czasami ona przynosi tylko nieszczęście. Nie wolno w nią wrastać. Nie każdego ona szczęściem nakarmi.

Stary Iwonika, kiedy dowiedział się o tym, poparł żywo ich zamiar. W tajemnicy przed Maryjką poszedł do notariusza i zapisał chłopcu najładniejszy zagon Mychajła. Niech kiedyś i uczony wspomni dobrym słowem jego nieszczęśliwego zmarłego syna...

Bardzo się przywiązał do tej poważnej, łagodnej młodej kobiety, która jak dobry anioł snuje się po chacie i podwórzu i zawsze ma dla niego dobre słowo, ile razy zajdzie do nich. Nazywa ją swoją synową i boleśnie się przy tym uśmiecha sam do siebie. Jej chłopczyka miodem gości i pieści go jak wnuka. To jedyny złoty promyczek na tych polach, który wywołuje od czasu do czasu uśmiech na jego ustach i którym rzeczywiście się raduje.

A Maryjka? Ta ponura, zdeptana przez ból Maryjka... Co się z nią dzieje?

Dostrzega ten złoty promyk, który z małej chatynki pada na duszę jej męża, ale wywołuje to tylko w jej sercu żal.

Noga jej nigdy nie przestępuje progu chaty, stojącej pod wesołym laskiem, nigdy też noga młodej poważnej kobiety nie zatrzyma się przy samotnej polnej zagrodzie.

I nic tu już nie da się załagodzić. Rozdzielił je żal matki i nigdy już nie ustąpi.

Czasem, kiedy rozbrykany chłopczyk zapędzi się za Iwoniką aż do zagrody, zobaczywszy go, stara czuje się jak na torturach. Wyciągnęłaby do niego rękę, przytuliłaby do osieroconego serca — jest jej jakiś serdecznie bliski, przypomina czymś ukochanego zmarłego syna... To wspomnienie wbija się w jej serce ostrym nożem. Kamienieje.

Odepchnęła kiedyś własnego wnuka od swego progu, odpędziła go razem z jego matką jak psa... byłby taki jak ten, ogrzewałby skostniałe z żalu serce i rozweselałby chatę...

Targał nią wówczas straszliwy żal.

Sama wszystkiemu winna. Ona sama.

Drżącymi rękami napełnia kapelusik dziecka łakociami, jakie można znaleźć w takiej polnej samotni — suszone owoce, orzechy, czasem i bułeczkę — i odsyła je do domu. Z zaniepokojonym i dziwnie zmienionym wyrazem twarzy każe dziecku szybko wracać do matki.

Wraca posłusznie drobnym kroczkiem uszczęśliwione, a nieszczęsna staruszka wznosi groźnie pięść i rzuca przekleństwa w stronę, gdzie mieszka ten, który winien jest jej nieszczęścia. Niech Bóg postąpi z nim tak, jak na to zasłużył.

Anna otacza swego chłopczyka pełną lęku i troski miłością, z głębi całego serca, które dosięgło dna cierpienia i ma tylko jeden, jedyny cel: wyprowadzić swoje dziecko na ludzi.

Jej dawna tragedia otworzyła jej oczy na świat, poznała życie. Pracuje i haruje od rana do nocy, by zdobyć środki do nauki dla syna, coś zmusza ją, by oderwać go od ziemi.

Będą z niego ludzie, jeśli ziemię porzuci!

Będzie innym człowiekiem niż ona, niż ci wszyscy, co ją otaczają, niż ci, przez których tyle się w swym młodym życiu nacierpiała i co ją przedwcześnie zламаło. Nie rozu-

mie jasno dlaczego, z jakiego powodu, jest jednak głęboko o tym przekonana.

Petro podtrzymuje ją w tym.

Mały chłopczyk z zamyślonymi oczyma swej matki przywrócił mu na nowo życie. Kiedy syn śpi, odgania od niego muchy, a jego ręce, duże, żyłaste ręce po prostu boją się dotknąć drobnego ciała, żeby nie zrobić mu krzywdy. Jest mu bardzo drogi. Zawojował już wszystkich. Ma w sobie coś, czym przykuwa do siebie i wiąże...

Spoczęły na nim nadzieje — jakieś nieokreślone, piękne, dumne nadzieje wszystkich cierpiących i upokorzonych. I on ma je spełnić...

*Czerniowce, 7 kwietnia 1901*

## POSŁOWIE

Początki twórczości Olgi Kobyłańskiej przypadają na okres, w którym literatura ukraińska ma już za sobą stuletni poważny dorobek. Nazwiska i dzieła twórców narodowej literatury ukraińskiej — I. P. Kotlarewskiego, P. Hułaka-Artemowskiego, H. Kwitki-Osnowianienki, E. Hrebinki, a przede wszystkim T. Szewczenki — znane są nie tylko na Kijowszczyźnie, Bukowinie, w Galicji i innych ziemiach zamieszkałych przez Ukraińców, ale również poza granicami Rosji. Wzbogacało ten dorobek współczesne Kobyłańskiej, następne pokolenie pisarzy, ukształtowanych na twórczości swych znakomitych poprzedników: Marko Wowczuk, Panas Myrnyj, Iwan Franko, Iwan Neczuj-Łewyćkyj, Osyp Jurij Fedkowycz, Iwan Karpenko-Karyj, Mychajło Staryćkyj, z rówieśników zaś autorki *Ziemi* — jej serdeczni przyjaciele: Łesia Ukrainka, Wasyl Stefanyk i Osyp Makowej oraz Mychajło Kociubynśkyj, Pawło Hrabowskyj, Łeś Martowycz, Marko Czeremszyna i inni.

Wszyscy wymienieni pisarze reprezentują w literaturze ukraińskiej nurt demokratyczny, postępowy, na twórczości niektórych (Stefanyk, Makowej, Łesia Ukrainka, Kociubynśkyj, z młodszych zaś — Teslenko, Wasylczenko) widać już wyraźne wpływy myśli marksistowskiej, swym rewolucyjnym przekonaniom niektórzy dają również wyraz w półlegalnej lub konspiracyjnej działalności społeczno-politycznej. Wyrośli z ukraińskiego ludu, dają w swej różnorodnej twórczości — w powieściach, poematach, wierszach, dramatach, a przede wszystkim w opowiadaniach, których mistrzem był Wasyl Stefanyk — realistyczny obraz ówczesnej wsi ukraińskiej, poruszając też problemy młodej, głównie ze wsi się wywodzącej, inteligencji ukraińskiej. Podobnie jak w ówczesnej literaturze rosyjskiej — w pisarstwie ich dominuje realizm krytyczny jako metoda widzenia i ukazywania świata, chociaż wielu z nich w początkach swej twórczości hołdowało i symbolizmowi, i naturalizmowi, i impresjonizmowi.

Ulegała im również Olga Kobylańska. Zanim jednak zaznajomimy się z jej twórczością, zajrzyjmy do jej życiorysu.

Olga Kobylańska urodziła się 27 listopada roku 1863 w karpackim miasteczku Hura-Humora na Bukowinie. Ojciec jej, Julian, był skromnym urzędnikiem. W jednym z listów Olga Kobylańska wspomina, że rodzina jej wywodzi się ze starej ruskiej szlachty. Pradziad jej był duchownym grecko-katolickim w Mykityńcach w Galicji, dziadek — gajowym u ojców bazylianów w Buczaczu, skąd po jego śmierci czternastoletni Julian „wywędrował w świat” i osiadł na Bukowinie.

Znamienne jest, że wszyscy Kobylańscy piszą swe nazwisko w polskim brzmieniu. Kiedy w pierwszym wydaniu *Ziemi* wydawca zamieścił nazwisko autorki w pisowni ukraińskiej: „Kobyłańska”, pisarka, przesyłając swe opowiadania do przygotowanego tomu nowel, zwraca się do W. Hnatiuka: „Proszę łaskawie dopilnować, żeby moje nazwisko drukować »Kobyłańska«, a nie »Kobyłańska«”. A w następnym liście wyjaśnia: „Pyta Pan, czemu nie chcę pisać się »Kobyłańska«, lecz »Kobyłańska«. Po prostu dlatego, że ani mój ojciec, ani mój dziad, ani cała rodzina Kobylańskich nigdy się tak nie pisała. Bardzo przykro uraziło mnie, kiedy zobaczyłam na powieści *Ziemia* zniekształcone nazwisko. Mego ojca to tak dotknęło, że powieści do dziś nie czytał, chociaż jest mu poświęcona (...) Polka ze mnie nigdy nie będzie, czy będę się pisać »Kobyłańska«, czy inaczej. Wydaje mi się jednak, że jeśli chodzi o nazwisko, to głos decydujący ma tu autor, a nie wydawca”.

A matka? Maria Kobylańska była — jak ją określa pisarka — „spolszczoną Niemką”, córką drobnego dzierżawcy, Józefa Wernera, który ożenił się z Polką, sierotą po powstańcu z roku 1831, Łucją; wychowywała się najpierw w domu hrabiego Gołuchowskiego, a potem w ziemiańskiej rodzinie Czyżów, gdzie poznała swego męża, pomocnika rządcy. Jej córka Maria natomiast wychowywała się u grecko-katolickiego proboszcza we wsi sąsiadującej z Dymką, gdzie jej rodzice zakupili mały folwarczek. Gdy wyszła za mąż za Juliana Kobylańskiego, na prośbę męża przeszła z obrządku rzymsko-katolickiego na grecko-katolicki. Mówiło się w domu zarówno po ukraińsku, jak po polsku i po niemiecku. Jak jednak wynika z licznych wzmianek Olgi Kobylańskiej, dominowały język polski i niemiecki. Relacje pisarki w tej sprawie nie zawsze są z sobą zgodne. Bo w swej autobiografii z roku 1921



wspomina, że najpierw nauczyła się czytać po polsku oraz że „z matką mówiło się po polsku i po ukraińsku”, natomiast w innym miejscu, sześć lat później pisze: „U nas w domu mówiło się po ukraińsku, a także i po polsku do czasu, dopóki nie stał się dla nas dostępny język niemiecki”. Znamienne jest, że pisarka korespondowała z rodzicami po polsku. W jej obfitej korespondencji (216 listów), która ukazała się w ostatnim tomie pięciotomowego kijowskiego wydania jej dzieł z roku 1963, znajduje się również jeden (jedyne w tym wydaniu) list do rodziców, pisany z Hadiacza na Kijowszczyźnie. Kobylańska przebywała tam u swej serdecznej przyjaciółki, Łarysy Kosacz-Kwitka, wybitnej poetki i rewolucyjnej działaczki ukraińskiej, piszącej pod pseudonimem Łesi Ukrainki, której matka, Olga Kosacz, była również znaną działaczką i pisarką (Ołena Pczółka). Otóż list ten pisany jest po polsku i po polsku też został wydrukowany we wspomnianym wydaniu. List pochodzi z roku 1899, kiedy pisarka miała już trzydzieści sześć lat. Kobylańska wtrąca też często w swych listach — pisanych po ukraińsku albo po niemiecku — polskie słowa lub całe zdania, pisane w polskiej transkrypcji.

Nieobca też jest jej polska literatura, którą czyta w oryginalnych wydaniach. W liście do Makoweja (1895) zawiadamia go, że niektóre pożyczone od niego książki odesła mu później, bo „Słowackiego chce przeczytać całego”. A w cztery lata później pisze do niego: „Miałam niedawno u siebie dzieła Przybyszewskiego. Jedno z nich jeszcze jako tako dało się czytać, ale drugie, *De profundis*, jest całkiem niemożliwe do czytania”. Nazwisko Przybyszewskiego często zresztą pojawia się w jej listach, do czego jeszcze powrócimy. Zanim jednak określi się jej świadomość narodową, trzeba stwierdzić, że jej stosunek do polskości i Polaków, mimo niewątpliwych polskich elementów jej biografii, był raczej obojętny. Zresztą zawsze oceniała ludzi i kształtowała swój stosunek do nich nie według ich narodowości, pochodzenia, wykształcenia czy pozycji społecznej, lecz na podstawie cech ich charakteru.

Posłuchajmy jej opinii o Polakach, zawartej w liście z roku 1905, pisany w Bad Nauheim (gdzie przebywała na kuracji) do W. Hnatiuka: „Mieszkam tu w willi p. Szczepańskiej i przebywam wśród samych Polaków — galicyjskich, poznańskich i rosyjskich. Co do galicyjskich, to odznaczają się tymi samymi cechami, co u siebie w domu, a które Panu aż

nadto dobrze są zapewne znane: Rusi nie ma. Wszystko, co Rusin, to chłop, a ruska mowa, to karykatura.<sup>1</sup> Inni są natomiast Polacy poznańscy i rosyjscy. To ludzie poważni, inteligentni i wykształceni (...) Zaprzyjaźniłam się tu z pewną starszą damą, rosyjską Polką, bardzo wykształconą, przyzwrotną i wybitną osobą. Z pomocą pewnego swego rodaka, który zna bardzo dobrze język ukraiński, chce przełożyć na polski i wydać w Warszawie któryś z moich utworów”.

W liście tym pisarka używa po raz pierwszy nazwy „ukraiński” na określenie swego ojczystego języka, zamiast stosowanego dotąd terminu „ruski”.

Sprawa terminologii nie jest tu bez znaczenia. Wymaga to jednak obszerniejszego wyjaśnienia.

Budzenie się odrębności i świadomości narodowej ludu ukraińskiego, a następnie wyraźne ukształtowanie się tej świadomości — głównie wśród wyrosłej z tego ludu młodej inteligencji — jest oczywiście znacznie wcześniejsze niż pojęcie „narodu ukraińskiego”. Na Bukowinie, w okresie, który nas tu interesuje, był to problem nie tyle chłopskich w olbrzymiej większości mas ukraińskich, uważających się za „tutejszych”, bukowskińskich, „ruskich”, co kształtującej się ukraińskiej inteligencji. W zależności od stopnia świadomości narodowej i rodzaju tej świadomości oraz stosunku do Rosji carskiej warstwa ta dzieliła się na „twardych”, „russkich”, czyli moskalofili, Rusinów z wyraźną świadomością odrębności narodowej, jednak nie zarażonych jeszcze bakcylem szowinistycznego nacjonalizmu, który dokonał później tylu spustoszeń w dramatycznej historii narodu ukraińskiego (reprezentowali oni nurt postępowy i demokratyczny; w odróżnieniu od „russkich” uważali się za „ruśskich”, a potem coraz częściej i powszechniej za Ukraińców) i wreszcie tak zwanych „miękkich”, nacjonalistów (czy może trafniej: „narodowców”). Ci ostatni uważali siebie za „prawowitych” Ukraińców z monopolem na ukraińskość i z pretensjami do przywództwa narodowego; wśród nich można już było dostrzec zarodki szowinistycznego nacjonalizmu, chociaż dotyczyło to tylko najbardziej hałaśliwych, bowiem wśród „miękkich” było wielu szczerych patriotów o szerszych horyzontach.

Interesującym komentarzem do tych wyjaśnień, ukazującym

---

<sup>1</sup> W liście tym, pisanym po ukraińsku, cytat ten napisany jest po polsku.

jednocześnie stosunek do owych zagadnień Olgi Kobylańskiej, jest jej list do Mychajła Pawłyka, pisarza i rewolucyjno-demokratycznego działacza ukraińskiego, z dnia 27 października 1894, a więc w początkach działalności pisarskiej autorki *Ziemi*. Donosząc mu o powstaniu w Czerniowcach „Towarzystwa ruskich kobiet na Bukowinie”, Kobylańska pisze:

„Główną inicjatorką jest p. Matkowska; ona niby zalicza się do starej partii<sup>1</sup>, jest to jednak kobieta bardzo tolerancyjna. Podaliśmy sobie ręce, by zebrać wszystkie Rusinki bukowinańskie i, zawiązawszy towarzystwo, ochronić nasze dziewczęta i dzieci, zwłaszcza najbiedniejszych klas, od rumunizacji, której ulegają coraz bardziej. Poglądy polityczne nie miały u nas odgrywać żadnej roli (...) Umowa była taka, że jeśli będzie większość Ukrainek, to towarzystwem zarządzać będą one, a jeśli będzie więcej »twardych« — to te będą rządzić. Chcemy uczyć dzieci po rusku oraz historii, której tu w szkołach nie uczą, krawiectwa itp. Kiedy przyszło do zebrania, to oprócz mnie nie zjawiła się ani jedna Ukrainka. Zamiast tego ukazał się znany Panu zapewne artykuł, w którym jakiś nieznany mi autor przedstawił to nasze towarzystwo w takim świetle, że aż wstyd, iż pisał to Rusin i patriota. Nie wątpię ani przez chwilę, iż przyczyna tego, że nie zjawiła się ani jedna Ukrainka, leży w machinacjach naszych »miękkich«. Dzięki im za to! Nie dostrzegają tu nic więcej, tylko ruble i ruble. Nie wiem, czy przestraszyli się jakiegś Moskwy tu, w Czerniowcach, gdzie z jednej strony Rusini rumunizują się, z drugiej niemczą, a z trzeciej polszczą, czy też przerazili się dwóch »s«<sup>2</sup>, że postąpili tak brzydko, dość że poderwali nam, kobietom, i naszemu towarzystwu kredyt (...) Bukowina rozkrzyczała się, że dotacja, którą otrzymało towarzystwo, jest rumuńska. A niechby była i chińska! Niechże nasi »miękczy« patrioci nie zapominają, że pieniądze te nie pójdą na dzieci rumuńskie, lecz nasze, ruskie (...) Swym brzydkim postępkami Ukraińcy zrazili mnie do siebie tak, że nie wstąpiłabym nigdy do towarzystwa, które oni by założyli, raczej do żadnego niż do takiego, w którym ślepy fanatyzm zabija w człowieku wszelkie szlachetne uczucia”.

Uważa się więc Kobylańska raz za Rusinkę, raz za Ukrainkę — chociaż równocześnie pisze o Ukraińcach „oni” — od-

---

<sup>1</sup> Moskalofili — przyp. tłum.

<sup>2</sup> „Russkich”, czyli moskalofili — przyp. tłum.

cina się jednak wyraźnie od ukraińskich nacjonalistów, tzw. miękkich. Ani wówczas, ani w ciągu swego całego długiego i pracowitego życia nie skłaniała się do żadnych skrajnych poglądów, obcy jej był ciasny partykularyzm i szowinizm. Czuła się mocno związana ze swoim narodem — tym nad Dnieprem i tym nad Dniestrem, w Galicji i na Bukowinie, czuła się współodpowiedzialna za kształtowanie jego charakteru, jego losu i jego przyszłości, bolała ją niewola i dyskryminacja, rozdarcie i zewnętrzny ucisk w równym stopniu jak dostrzegane wady narodowe, z którymi przez całe życie nie tylko sama walczyła, ale nakłaniała i wzywała do tego innych.

W liście do swego przyjaciela, O. Makoweja, nowelisty, publicysty i satyryka, zachęca go, by „strzelał do ruskiego społeczeństwa (...) ostrymi strzałami satyry jak Heine”. Przeciw czemu miał występować? „Przeciw ruskiemu serwilizmowi, przeciw tym, którzy tylko »w swojej chacie« są zakochani (ukraińscy nadgorliwcy), przeciw bezgranicznej głupocie i ordynarności ruskiej i przeciw małostkowości ruskiej natury”. Poza tym „przeciw manierycznej, bezwstydnej bezideowości naszej młodzieży i przeciw ślepotie na piękno i dzielność”.

Kochała swój naród i dlatego chciała go widzieć lepszym, piękniejszym. W liście do M. Kociubynskiego pisze: „Nie ma pan pojęcia, jak cieszy mnie każda wieść z Ukrainy.<sup>1</sup> Przykro mi tylko, że »Ukraińcy« nie kochają mnie tak, jak ja ich.”

Kijowską Ukrainę poznała w roku 1899, kiedy na zaproszenie swej przyjaciółki, Łesi Ukrainki, bawiła w majątku jej rodziców, uczestnicząc poprzednio w zjeździe ukraińskich archeologów w Kijowie. We wspomnianym już, pisanym po polsku, liście do rodziców czytamy:

„Na tym zjeździe archeologicznym my jak na tureckim kazaniu siedzieli (...) Hr. Uwarowa także czytała referat (...) Stocki jej wizytę składał i ona mówiła, że jej bardzo przykro było, że ministerstwo nie pozwoliło po małoprusku czytać referaty, że ona starała się wszystkimi siłami, aby dostać pozwolenie. O tem więcej ustnie powiem. Jeden uroczy rosyjski dyrektor muzeum imperatorskiego w Moskwie mówił, że im, uczonym Rosjanom, wstyd za postępowanie rządu rosyjskiego przeciw małoprusom.”

Podróż na Kijowszczyznę umożliwiła Kobylańskiej zetknięcie się z wieloma wybitnymi rewolucyjno-demokratycznymi pi-

---

<sup>1</sup> Naddnieprzańskiej — przyp. tłum.

sarzami i działaczami ukraińskimi, co miało duży wpływ na dalszą jej twórczość. Uczestniczyła nawet w pewnym konspiracyjnym zebraniu w mieszkaniu M. Staryckiego w Kijowie (z udziałem M. Kociubynskiego i T. Ryłskiego), na którym omawiano sprawę wydawania nielegalnej gazety ukraińskiej, ponieważ carska cenzura tępiła bezlitośnie wszelkie przejawy ukraińskiego patriotyzmu.

Jest na pewno jakimś paradoksem, że ta wybitna pisarka ukraińska pierwsze swoje utwory pisała po niemiecku, a nad językiem ukraińskim pracowała przez długie lata już jako dojrzała, znana również poza granicami Rosji — przede wszystkim w Niemczech i Austrii — autorka. Ukończyła zaledwie cztery klasy podstawowej szkoły niemieckiej w rodzinnym miasteczku Hura-Humora, języka ukraińskiego uczyła się prywatnie tylko przez trzy miesiące. Żadnych książek ukraińskich, poza starym, cerkiewnym kalendarzem, w domu ani w miasteczku nie było.

Po przeniesieniu się rodziców do nieco większej miejscowości Kimpolunga zaprzyjaźniła się z Zofią Okuniewską, późniejszą lekarką, oraz ze znaną pisarką, Natalią Kobryńską, i dopiero pod ich wpływem zabrała się na dobre do nauki ukraińskiego. Przez wiele jednak lat miała ciągle trudności w sprawnym posługiwaniu się tym językiem. Pierwsze swe opowiadanie pt. *Hortenza* napisała po niemiecku. Mając już za sobą niejaki dorobek, pisze przez dłuższy czas najpierw po niemiecku, a dopiero potem przekłada to na ukraiński, prosząc redakcje i wydawców o poprawianie „błędów gramatycznych i ortograficznych”. Kiedy zwrócono się do niej z pilną prośbą o nowe opowiadanie do jakiegoś almanachu, pisze je po niemiecku, wyjaśniając: „Po ukraińsku nie szłoby mi tak szybko, a nie miałam cierpliwości zastanawiać się nad każdym słowem, bo wszystko, co wpadło mi do głowy, wyrывało się szybko na papier”. A w liście do redaktora *Zorzy*, w której drukowała swe pierwsze utwory, czytamy: „Pisząc cokolwiek, muszę zawsze główne punkty notować po niemiecku i dopiero potem opracowuję to już po rusku. Szukając ruskich wyrazów, gubię myśli”.

W liście z roku 1891 do wspomnianego już Mychajła Pawłyka, pisany w całości po niemiecku, czytamy: „Ich will sie bitten mich nicht im vorhinein zu verurteilen, dass ich als Ruthenin deutsch schreibe”. Tak pisała ukraińska pisarka do

ukraińskiego pisarza. W tym samym liście czytamy jeszcze: „Nigdy nie wydoskonałam się (w ruskim języku), dlatego w przyszłości będę pisać tylko po niemiecku”.

W tym właśnie pierwszym, „niemieckim” okresie powstaje szkic *Poeci* (w formie dialogu). O jego walorach świadczy fakt, że Iwan Franko przekłada go na ukraiński i drukuje w redagowanym przez siebie we Lwowie *Literacko-Naukowym Almanachu*.

Paradoksem jest fakt, że zanim Kobylańska stała się znaną pisarką ukraińską, była już popularną autorką nowel na olbrzymim obszarze językowym, posługującą się mową niemiecką. Jej też zasługą jest wprowadzenie na tym terenie innych współczesnych pisarzy ukraińskich, których celniejsze utwory sama na niemiecki tłumaczyła i o druk ich w czasopiśmie niemieckich lub o wydania książkowe sama zabiegała.

Powróćmy jednak jeszcze do biografii pisarki, osobiste jej życie splota się bowiem silnie z jej twórczością.

Uderzająca jest niezwykła pracowitość pisarki, nieugięta wola w kontynuowaniu dzieła pisarskiego w warunkach wręcz dramatycznych, w okolicznościach, które wielu innych załamałyby i zniechęciły; ale dostrzega się też jej wielki dramat osobisty, wynikający z nieustannego stykania się bogactwa jej uczuciowości z oschłością lub obojętnością ludzi, ku którym kierowała swe uczucia, swe zaufanie, swą dziecięcą niemal wiarę.

Pisarskie osamotnienie splotało się ze świadomością poważnych, przez całe niemal życie uzupełnianych braków i luk w wykształceniu. Do końca życia była samoukiem, chłonącym wszystko, co było możliwe w jej zasięgu.

Ten głód wiedzy omal nie popchnął jej do małżeństwa z człowiekiem starym, wybitnym uczonym i dziwakiem, prof. Wroblem, by — jak wyznaje w swej autobiografii z roku 1903 — „móc się przy nim dalej kształcić, bo słyszałam, że ma dużą bibliotekę”. Tę znamiennej dla niej, niefortunnej, a na szczęście niedoszłej przygodę wykorzystała — jak i wiele innych własnych przeżyć — w powieści *Przez kładkę*.

Jej listy do przyjaciół i znajomych zawierają nieodmiennie tę samą prośbę o taką lub inną książkę, której nie można dostać w Kimpolundze czy w Czerniowcach (dokąd jej rodzina przeniosła się w roku 1891 po przejściowym dwuletnim pobycie we wsi Dymki).

Najpierw marzyła o karierze malarskiej, nie mając jednak warunków do kształcenia się w tym kierunku, nie wyszła poza udatne dyletanckie próby. Potem chciała zostać aktorką. A kiedy zaczęła po kryjomu pisać pensjonarski dzienniczek, odkryła w sobie powołanie literackie.

Jałowa i szara rzeczywistość była jednak bardzo odległa od tych pięknych, dziewczęcych marzeń. Miała sześcioro rodzeństwa, pięciu braci i starszą siostrę (była czwartym z kolei dzieckiem), a że siostra wyszła wcześniej za mąż, matka ciągle chorowała, ojciec zaś — po przejściu na emeryturę — przebywał przeważnie na swym zupełnie nierentownym gospodarstwie w Dymce — opieka nad całym domem należała do jej obowiązków. Ten dom, a raczej ciężka, codzienna, szara praca — to nieustający dramat jej twórczości. Przez całe życie ma bardzo niewiele czasu na pisanie, o czym często wspomina z rozgoryczeniem w listach do przyjaciół.

Już w roku 1891, u samych początków kariery pisarskiej, w liście do M. Pawłyka skarży się: „Często myślę o tym, że ta codzienna domowa, babska robota uczyni mnie z czasem zupełnie niezdolną do myślenia i pisania”. W cztery lata później: „Matka ciągle leży chora, cała domowa robota spoczywa na mnie i nie mam nawet chwili czasu na odpoczynek (...) Ciągle tylko gotuję i zamartwiam się, że czas upływa mi tak głupio, bez pożytku dla mnie i dla innych”. Gromadzona długo, hamowana gorycz czasami tylko wyzwała się w buncie, a niekiedy w rozpaczliwym krzyku: „Ja nie mogę dłużej tak żyć, panie Makowej! Kto mi zwróci wszystkie te chwile, w których mogłabym pisać?! A wiem, że teraz bym pisała! Tyle sobie obiecywałam po tej jesieni, a teraz żyję od rana do nocy jak maszyna, bez pióra! Ja nie mogę, nie mogę, nie mogę!” (List do O. Makoweja z roku 1897). W rok później w korespondencji ze swym czeskim przyjacielem, wybitnym etnografem, Fr. Řehořem, skarży się znowu: „Czasu do pisania mam bardzo mało (...) Wszystko muszę w domu robić sama: zamiętam, gotuję, gospodaruję (...) Niekiedy jestem z tego powodu bardzo rozdrażniona, no ale cóż, niczego tym nie zmienię. Wiodę życie ciche i monotonne. Nie chodzę na żadne bale i zabawy, bardzo rzadko do teatru, rzadko na koncerty, chociaż przepadam za muzyką (...) Nie podróżuję zupełnie, nie byłam dotąd w Pradze ani Wiedniu, ani w Kijowie; najdalej, dokąd jeździłam, to do Lwowa, ale już od sześciu lat i tam

nie byłam (...) Nie spotykam się ani z literatami, ani z naukowcami”.

Sytuacja domowa nie zmienia się również po ośmiu latach. W liście z roku 1900 do bułgarskiego pisarza i tłumacza, Petko Todorowa, pisze: „Mam dla siebie zaledwie dwie godziny dziennie! Może Pan sobie wyobrazić, ile ja mogę w tej sytuacji pisać. A jednak bez literatury nie potrafię żyć. Pisanie potrzebne mi do życia jak powietrze. Czasami sama sobie się dziwię, że w tych warunkach w ogóle piszę”.

Poza tym przez całe życie nękają ją choroby — jej najbliższych, a potem jej własna. Bolesnym ciosem, po którym długo nie mogła się dźwignąć, była śmierć jej matki (1906). Potem umiera jej najmłodszy, najukochańszy brat Włodzimierz, śmierć zabiera następnie owdowiałą siostrę, drugiego brata i w końcu ojca. Wszyscy mieszkali wraz z nią, w czasie choroby musiała ich pielęgnować, a przy tym zarabiać na utrzymanie swoje i całej prawie rodziny (bo i studiującym braciom pomagała). Prócz tego trzymało się „na stacji” uczniów lub uczennice, by związać jakoś koniec z końcem.

Zarobki pisarskie były nędzne. Pewne światło rzuca na to list pisarki do O. Makoweja, redaktora czasopisma społeczno-literackiego *Bukowina*, w którym Olga Kobyłańska drukowała swe nowele, a miała też już w dorobku pierwszą powieść *Człowiek* (1895): „Teraz przechodzę do drugiej sprawy, którą bardzo a bardzo przykro mi poruszać. Chciałam Pana zapytać, czy to rzeczywiście rzecz niemożliwa, żeby *Bukowina* płaciła za przysyłane jej i drukowane w niej utwory i płaciła na przykład także i mnie? Proszę mi wierzyć, że pisałabym chętnie za darmo, ale muszę przecież nad sobą pracować, a nie otrzymuję od nikogo żadnych środków na to i zdana jestem wyłącznie na siebie. Zarabiać u Niemców pieniądze, a u Rusinów zdobywać sławę — dodaje z goryczą — to o wiele łatwiej powiedzieć niż zrealizować”.

Ilustracją tego są jej perypetie z niemieckim wydawcą przygotowanego przez nią tomu *Kleinrussische Novellen*. W liście do przebywającego wówczas w Berlinie P. Todorowa prosi go, by zainteresował się, jak jej książka idzie w berlińskich księgarniach. Wydawca nie zapłacił jej dotąd ani grosza, twierdząc, że w ciągu czterech lat sprzedał zaledwie dziesięć egzemplarzy, tymczasem według informacji, które zebrała, sprzedanych zostało dotąd około tysiąca.



I z własnymi wydawcami też bywały kłopoty. Posyłając w roku 1901 swą powieść *Ziemia* do lwowskiej Ukraińsko-ruskiej Spółki Wydawniczej Kobylańska żąda za arkusz drukarski dwadzieścia pięć reńskich. Odpowiedzią była propozycja wydania powieści bez zapłacenia honorarium, na co autorka *Ziemi* pisze: „Sami chyba rozumiecie, że nie mogę oddać bezpłatnie tak dużej powieści (...) Jednak ze względu na stan finansowy wydawnictwa i ponieważ zależy mi na książkowym wydaniu, zgadzam się na 15 złotych reńskich od arkusza drukarskiego”. Jednak i tych warunków wydawnictwo nie przyjęło. Ostatecznie powieść została wydana nakładem Literacko-Naukowego Almanachu, gdzie najpierw była drukowana w odcinkach w roku 1902. Autorka otrzymała za *Ziemię* około czterysta reńskich. Sześciotygodniowy pobyt pisarki w Bad Nauheim, dokąd musiała wyjeżdżać aż cztery razy, bez większego zresztą rezultatu leczniczego, kosztował ją pięćset reńskich.

O ówczesnej sytuacji materialnej pisarzy ukraińskich wiele mówi następujący fragment listu Kobylańskiej do Makoweja (1898): „Pisał do mnie Hnatiuk<sup>1</sup> i prosił, bym się zajęła zbieraniem składek na literatów. Odmówiłam. Niech uwolnią chociaż samych literatów od tej przyjemności”.

Kłopoty finansowe nie opuszczały Kobylańskiej niemal do końca życia. Ale nie tylko one ją trapiły. Głęboko i dramatycznie przeżywała przez wiele lat swą nieodwzajemnioną, pełną oddania i wierności miłość do wymienianego tu wielokrotnie Osypa Makoweja.

Długo wmawia w siebie, że tylko on ją rozumie, bezgranicznie mu wierzy i ufa, nazywa go swoim „Resonanzboden”<sup>2</sup>. On jest dla niej wyrocznią we wszelkich sprawach. Istotnie jako pisarka wiele mu zawdzięcza, zaopiekował się jej pierwszymi pracami, pomagał, zachęcał, uczył, no i najważniejsze — drukował.

Poznali się przypuszczalnie w roku 1894. Ona miała wówczas 31 lat, on — 27. Ta różnica wieku, z biegiem lat niewątpliwie coraz bardziej się uwydatniająca, musiała też mieć jakiś wpływ na ich wzajemne stosunki. Ujawniają ją listy pisarki.

---

<sup>1</sup> Włodzimierz Hnatiuk (1871—1926), wybitny ukraiński uczony, etnograf, językoznawca, historyk literatury, od r. 1924 członek Akademii Nauk USRR, utrzymywał przyjazne stosunki z O. Kobylańską i korespondował z nią.

<sup>2</sup> Rezonator.

Utrzymywali ożywioną korespondencję, w ciągu blisko dwunastu lat (1895—1906). Spośród 174 zachowanych listów we wspomnianym tomie korespondencji zebranej znalazło się ich aż 62 (prawie jedna trzecia wszystkich zamieszczonych listów).

Redakcja tego tomu opuszcza — i słusznie — fragmenty odnoszące się do spraw bardziej intymnych, ale nawet z tego, co pozostało, przebija wielkie, wierne uczucie, często i gorzkie, i urażona duma kobieca, a niekiedy rozpacz.

W liście z 15 października 1897 czytamy: „Pisze Pan, że pański los chce, by siedł Pan samotnie przez życie. Niech Pan idzie. Nie mam odwagi namawiać Pana do czegoś przeciwnego (...) Ambicja nie pozwala mi na to. Ale i ja pójdę samotnie. Szłam dotąd, pójdę i dalej. A żyć i tak długo nie będę”.

Istotnie, szła samotnie przez życie, żyła jednak długo, bo jeszcze 45 lat. On natomiast sprzeciwił się swemu „losowi”: ożenił się w roku 1905 z kobietą młodszą od niego o lat trzynaście i był z nią — jak wynika z jego autobiografii — szczęśliwy. O. Kobylańska w liście do Łesi Ukrainki z 22 grudnia 1908 pisze: „Makowej jest nieszczęśliwy. Ożenił się z bardzo pospolitą kobietą. Chciałby za wszelką cenę znów zbliżyć się do kogoś, ale ten ktoś już nie chce”.

Jest już wtedy od pięciu lat ciężko chora: ostry reumatyzm, ciężka choroba serca, częściowy paraliż lewostronny...

Zanim jednak dojdzie do ostatecznego rozstania, dziesięć lat wcześniej — w okresie przejściowej depresji Makowej, kiedy zwątpił w sens swej pracy publicystycznej i literackiej i chciał ją porzucić, Kobylańska pisze: „Jeśli chce Pan zostać prostym robotnikiem, rębaczem, będę Panu nosić siekiere, by Panu ulżyć (...) Nigdy nie będę Pańskim »wrogiem« (...) Jeśli coś nas dzieli, to dlatego, że tyle pozostało do powiedzenia, czego mówić nie wolno... Mnie usta zamyka ambicja, Panu — rozum”.

Mimo że po kilku latach wyzbyła się już wszelkich niemal złudzeń co do wspólnej ich przyszłości, w roku 1903 zwraca się do P. Todorowa: „Pisze Pan, drogi Przyjacielu, że może już przebolełam swoją »duchową przygodę«. Nie. Odpowiem, jak powiedział raz Heine: »Was ich liebe, liebe ich für immer«<sup>1</sup>. Tylko że uczucia nie mogą trwać w jednakowej postaci. Nie jestem już tą sprzed dwóch lat. Nie ma we mnie

---

<sup>1</sup> „To, co kocham, kocham już na zawsze”.

już tej bezgranicznej ufności do ludzi co dawniej i zbyt często to odczuwam, »dass die Dichter die einsamsten Menschen sind«<sup>1</sup>.

Więc ciężka, wyczerpująca, beznadziejna w swej monotonii i bezproduktywności praca w domu, brak czasu na pisanie, ciągle choroby i śmierci najbliższych osób, ciągła walka o byt, o chleb codzienny dla najbliższych i dla siebie, różne przykrości ze strony własnych rodaków, częste zawody wobec ludzi, do których zwracała się z całą serdecznością, wyczerpujące nerwowo i psychicznie stosunki pisarki z Makowejem, wreszcie własna ciężka, nieuleczalna choroba — wszystko to wywoływało przejściowe, ostre, niekiedy długotrwałe depresje, załamania.

Oto ślad tych stanów w niektórych jej listach.

W roku 1898 pisze do Fr. Řehořa: „Nieraz już jestem tak zmęczona życiem, że chciałabym zasnąć i nigdy się nie obudzić”. A w cztery lata później: „Nie mogę więcej pisać. Wszystko mi obrzydło. Moja wiara w ludzi rozprysła się. Ta wiara, co mnie pchała do ludzi, jak dziecko do kwiatów. Mam teraz takie uczucie, że jestem wewnątrz pusta jak ul. Wpadam w mistykę. Zaczynam wierzyć w duchy — i to moja jedyna »rozrywka«. Nie mogę ani czytać, ani pisać — wokół mnie pustka i próżnia — chciałabym umrzeć (...)”

A do M. Pawłyka w roku 1906: „O sobie napiszę tylko tyle, że od czterech czy pięciu lat noszę cierniową koronę i chyba będę ją nosić aż do śmierci”.

Skąd więc czerpała siły do tego, by żyć i tworzyć, by przez blisko pół wieku nie tylko nosić „cierniową koronę”, ale i pełnić twardą służbę pisarską? Czy wiara była tą nie wysychającą, stałą siłą napędową, utrzymującą ją w aktywnym stosunku do życia?

Odpowiedzi na to szukać należy raczej w twórczości Kobylańskiej niż w pozostawionych w listach prywatnych śladach życia osobistego. W pierwszym okresie twórczości inspiracja religijna jest widoczna, i to zarówno w licznych opowiadaniach, jak w powieściach (m.in. również w *Ziemi*). Jedno jest pewne: nie lubiła i nie chciała o tych sprawach rozmawiać i zwierzać się nawet najbliższym przyjaciółom. Jeśli wspomina o swym stosunku do religii, do wiary, jest bardzo powściągliwa.

---

<sup>1</sup> „Ze pisarze są najbardziej samotnymi ludźmi”.

W autobiografii z roku 1903 wspominając, że za najlepszą ze swych dotychczasowych nowel uważa *Pod gołym niebem*, dodaje: „Pisałam ją techniką czarno-białą z tendencją do mistycyzmu”. Wraca do tego w autobiografii z roku 1922: „Mam skłonności do mistycyzmu — po mojej mamie i babce. A i ojciec też skłaniał się w tym kierunku”.

Wiadomo, że rodzice jej byli religijni. Dzięki staraniom jej ojca została zbudowana w Kimpolundze cerkiew grecko-katolicka. Ojciec też wyrzucał jej często niechętny stosunek do duchowieństwa, chociaż wiadomo na przykład, że przyjaźniła się z proboszczem grecko-katolickim z Wyżnicy, O. Bobkewyczem, nie cierpiała natomiast własnego proboszcza, Kosteckiego. W jednym z listów (1899) pisze do Makowej: „Kosteckij dał niechętnie świadectwo moralności<sup>1</sup>, mówił — ba, nawet zarzucił ojcu, że nie chodzę do cerkwi. Chodzę wtedy, kiedy mogę. Nie umiem modlić się, gdy jest dużo ludzi”. I dalej w tym samym liście: „Chociaż jestem trochę bezbożna, przestrzegam Świąt Wielkiejnocy i Bożego Narodzenia i bardzo je lubię. Ogarnia mnie w te Święta jakiś podniosły nastrój — chciałabym wtedy, żeby wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni”.

A w liście do Eugenii Barwińskiej z roku 1906 czytamy: „Obraz świętej Bogarodzicy, który dostałam od Pani w ubiegłym roku, wisi u mnie w mieszkaniu nad moim łóżkiem”.

Najbardziej wymowny jest jednak jej list do O. Makowej z 3 stycznia 1903: „Posyłam Panu dwa listy. Jeden: Apostoła Jana do Koryntian<sup>2</sup> o miłości, drugi od zwykłej śmiertelniczki do kogoś jej bliskiego. O liście św. Jana nie ośmielam się od siebie nic więcej powiedzieć, bo to, co w nim jest — jest tak wielkie, głębokie, piękne i wieczne, że lepiej nie sposób to wyrazić. Dlatego chcę Pana prosić, żeby Pan zawsze nosił go przy sobie (...) Jestem pobożna, Panie Makowej, ale nie na modłę Kosteckiego. Pismo święte fascynuje mnie, znajduję w nim więcej pereł niż w nowej literaturze z jej kultem »koguciej i kurzej miłości«. Proszę tylko nie myśleć, że jestem na drodze do dewocji. Dewotką nie będę nigdy. Prócz Kellera czytałam ostatnio dwie piękne książki świeckich i postępowych autorów o nauce Bożej i oni właśnie zwrócili moją

---

<sup>1</sup> Potrzebne pisarce dla uzyskania stypendium — przyp. tłum.

<sup>2</sup> Autorce oczywiście chodziło o Pierwszy List św. Pawła do Koryntian. Rozdział XIII.

uwagę na wiele przepięknych rzeczy. List do Koryntian zaraz sobie odpisałam i znam go prawie na pamięć. Trzeba go odczytywać codziennie, każdego dnia odkrywamy w nim bowiem coś nowego i pięknego”.

Jedno jest pewne: całe życie pisarki jest świadectwem ewangelicznej miłości do ludzi, całe jej pisarskie dzieło jest tej miłości widowym wyrazem i pięknym pomnikiem. To było na pewno jednym z istotnych źródeł jej twórczości, jej witalności, jej siły. Ta miłość pomaga jej w przełamywaniu częstych depresji i przeciwności.

Zanim jeszcze dotknięta została ciężką chorobą, pisze do O. Makoweja: „Chcę żyć sto lat i być zawsze bardzo zdrowa”. Żył lat siedemdziesiąt dziewięć, połowę życia przechorowała. Ale właśnie w tym okresie powstała większość jej powieści i opowiadań. Przykuta przez tygodnie i miesiące do łóżka, po dwudziestu trzech latach takiego stanu pisze w roku 1926 do Olgi Hamorak-Łewyckiej: „Mam jeszcze bardzo dużo do napisania. Proszę tylko Boga, żeby pozwolił mi pożyć jeszcze kilka lat, bym mogła napisać wszystko, co zamierzyłam. Mam chore serce, paraliż lewej strony nie pozwala chodzić dłużej niż pół godziny dziennie, do tego ciężki reumatyzm i troska o chleb powszedni”. W trzeciej kolejnej autobiografii z 1927 czytamy: „Trzymam się, na ile pozwalają mi siły, i nie poddaję się. Mój literacki program jeszcze nie wypełniony. Dokąd? Myślę, że do ostatniego tchu”.

Pisarka dotrzymała słowa. Pisała do ostatnich niemal godzin swego życia, już w radzieckiej Ukrainie — chociaż datująca się jeszcze z roku 1929 i postępująca choroba oczu, jak i pozostałe dolegliwości utrudniały jej w dużym stopniu pracę, która w tych warunkach była heroizmem.

Musiała pisać.

W autobiografii z roku 1922 pisze, że była dzieckiem o niezwyklej fantazji i bogatej wyobraźni. Wymyślała różne historie i opowiadała je następnie domownikom jako własne sny. Kiedy miała lat piętnaście, zaczęła systematycznie swe spostrzeżenia i przeżycia zapisywać w dzienniczku. Przepisywała też „porywające poezje niemieckich liryków, ukraińskie pieśni i czasami polskie ballady”.

„W mojej duszy — wyznaje w pierwszej autobiografii — kotłowało się i roilo, nie wiedziałam, co z tym począć; i późną nocą, kiedy byłam pewna, że żadne oko mnie nie śledzi, siadałam i pisałam — niekiedy aż do wschodu słońca. Boże!

Jakie wielkie i święte były dla mnie te noce, które mknęły tak szybko jak ptaki i ulatniały się”.

Potem przyszła lektura — nieuporządkowana, bez wyboru. Czytała wszystko, co wpadło jej w rękę, nawet uniwersyteckie podręczniki jej braci. Kiedy wreszcie w Czerniowcach zdobyła skromny dostęp do bibliotek, zaczęła dokonywać selekcji, lekturą przestał rządzić przypadek. Piszac później o tym okresie, wyznaje: „Największy wpływ mieli na mnie Turgieniew i Dostojewski, Gottfried Keller, E. Marlitt i Heine”. Wiadomo też, że czytała Szekspira, którego często cytuje.

Jest jednocześnie bystrą obserwatorką, wnikliwym psychologiem. Świat zewnętrzny i wewnętrzny — to dwa równoległe bogate źródła artystycznego tworzywa.

„Niemal każda nowela moja — pisze w roku 1922 — zawiera coś w sobie z prawdziwego życia, podobnie jak i moje większe opowiadania i powieści. Również i własne przeżycia odgrywają niemałą rolę w mej twórczości”.

„Pisałam, kiedy kochałam, pisałam, kiedy cierpiałam, kiedy widziałam krzywdę wyrządzaną zarówno ludziom, jak zwierzętom, ptakom i kwiatom, pisałam, kiedy przejęłam się wielką ideą wyzwolenia kobiety, ideą socjalizmu, ideą patriotyzmu — jakie umacniała we mnie Łesia Ukrainka” — wyznaje pisarka po latach. A w początkowym okresie swej twórczości zwierza się: „Każda śnieżynka, każdy piękny wieczór, każda chmurka są mi natchnieniem do pisanía”.

W swej twórczości nie poddaje się jednak biernie nastrojowi, potrafi je z dużą dyscypliną pisarską przetworzyć artystycznie tak, by spełniały służebną funkcję wobec idei utworu.

Jak wspomniano na wstępie niniejszego szkicu, w pierwszym okresie swego pisarstwa podlega naciskowi różnych, nie zweryfikowanych jeszcze świadomie wartości, dzieł, nazwisk, konwencji czy nawet manier pisarskich. Intuicyjnie jednak wybiera wzory najlepsze.

Jej poglądy estetyczne i artystyczne przechodziły różne ewolucyjne stadia, kształtowały się wolno — zawsze jednak zmierzwały w kierunku realistycznego humanizmu. Broni się przed zarzutami symbolizmu, naturalizmu, dekadentyzmu. Ma od początku świadomość służebności i społecznej funkcji literatury, kiedy jednak niecierpliwi i skrajni działacze polityczni żądają od niej pisarstwa na doraźny użytek, odpowiada w jednym z listów (1895): „Nie chcę służyć dwu panom — tendencji i poezji”.

W liście do Fr. Řehořa pisze: „Pyta mnie Pan o kierunek mojej twórczości. Nie potrafiłabym Panu jej scharakteryzować, ale absolutnie nie zaliczam się do »zolistów« i tej szkoły wulgarного realizmu, która jeszcze i teraz odzywa się w twórczości różnych pisarzy. Wyznam pogląd, że artysta czy pisarz powinien opisywać »wybraną« rzeczywistość”.

A właśnie nacjonalistyczni krytycy postulowali „wulgarny realizm”, wietrząc w każdej próbie wyjścia poza fotograficzną odbitkę życia, w każdym formalnym nowatorstwie — mistycyzm, dekadentyzm itp. W roku 1902 wiele wrzawy narobił artykuł S. Jefremowa pod tytułem „W poszukiwaniu nowego piękna”, zamieszczony w wydawanym po rosyjsku w Kijowie czasopiśmie *Kijewskaia starina*, w którym zarzucał Kobylańskiej, Chodkiewiczowi i innym ukraińskim pisarzom uprawianie „czystej sztuki”, odchodzenie od „życiowej prawdy”; w *Ziemi* doszukał się mistycyzmu, dekadentyzmu i innych „izmów”. W obronie zaatakowanych bezpodstawnie pisarzy, jak i przeciw wulgaryzowaniu zadań literatury wystąpili wówczas zdecydowanie Łesia Ukrainka, M. Kosacz, M. Moczulskyj, W. Kocowśkyj, a przede wszystkim Iwan Franko.

Echa tego artykułu znajdujemy w liście O. Kobylańskiej do O. Makoweja: „Zarzuca mi mistycyzm w *Ziemi* — pisze o Jefremowie. — Ale gdyby on wiedział, jak poważną i głęboką rolę odgrywają w życiu naszego chłopca mistycyzm, sny, wróżby itp., może by nie napadał tak na ten mistycyzm. Będzie on miał zawsze swoje miejsce wśród ludzi, dopóki będą istnieć. Wszystkie realizmy i naturalizmy odegrały już swoją rolę i spełniły swoje zadanie w literaturze. Zrobiły wiele i dobrego, i złego, a teraz przyszedł czas na »Zurück zur Seele«<sup>1</sup>. Kultura na tym na pewno nie ucierpi. A co do mnie, to nigdy dekadentką nie byłam i nie będę, bo wszelki dekadentyzm jest mi przeciwny. Nie zachwycalam się nigdy żadnymi Przybyszewskimi czy Huismanami”<sup>2</sup>. A w liście do M. Kociubynskiego, z tego samego czasu, oburza się: „Zrobili ze mnie jakąś symbolistkę i Bóg wie co! Pisząc, nie myślę nigdy o żadnych kierunkach”.

Swoje *credo* pisarskie dojrzałego już twórcy zawiera Kobylańska w liście do O. Makoweja z 6 stycznia 1903: „Według

---

<sup>1</sup> Dosłownie: „Powrót do duszy”, tu — w znaczeniu powieści psychologicznej.

<sup>2</sup> Georg Charles Huisman (1848—1907) — francuski pisarz naturalista.

mnie poeta i pisarz ma nie tylko »fotografować«, ale i wychowywać, i prowadzić dalej. Jeśli będziemy naszym czytelnikom ukazywać jedynie postacie przeciętne, a nie modelować i komponować piękniejsze i silniejsze wzorce przyszłości, to będziemy zawsze stać w miejscu”.

W tym samym liście raz jeszcze uderzy w partykularyzm i ciasnotę horyzontów części pisarzy ukraińskich, wypływające z fałszywie pojętego patriotyzmu, raz jeszcze ukłuje przeciwników nieszczęsnym Przybyszewskim: „Proszę nie myśleć, że *Rundschau'y* są mi milsze niż *Literacko-Naukowy Almanach*. Czytam *Almanach* z przyjemnością, ale nie mogę zamykać oczu i na obcą literaturę (...) Myślę, że Rusinom na pewno nie zaszkodzi wytknąć nos poza Galicję i Ukrainę (...) Mówił mi niedawno Łukjanowycz, że Jackiw<sup>1</sup> napisał podobno obrzydliwą książkę. Nic tylko brudy, brudy i jeszcze raz brudy. Na to nikt nie zwraca uwagi, ale gdyby ktoś z nas chciał przełożyć Maeterlincka, Rusini podnieśliby zaraz gwałt! Ale do wszelkich możliwych i niemożliwych Przybyszewskich modlą się, bo »przemawia do ich duszy«. Proszę mi jednak powiedzieć, kto z Rusinów zna np. Gottfrieda Kellera?”

Kobyłańska jest pisarką postępową od zarania swej pracy publicystycznej i literackiej. Początkowo ulega wprawdzie Nietzschemu, szybko jednak pozbywa się tego balastu zarówno pod wpływem takich demokratyczno-rewolucyjnych, postępowych pisarzy i działaczy, jak M. Pawłyk, Łesia Ukrainka, O. Makowej, W. Stefanyk i in., jak i dzięki starannie już dobieranej a często przez tych właśnie przyjaciół sugerowanej literaturze.

O jej bardzo wczesnych zainteresowaniach filozoficznych świadczy list z roku 1891 do M. Pawłyka, w którym prosi go o pożyczenie książki F. Langego *Die Geschichte des Materialismus und Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart*<sup>2</sup>. Korresponduje z Karolem Kautskym (w latach 1907—1909, a więc w najbardziej postępowym jego okresie), który drukuje jej utwory w redagowanym przez siebie głośnym czasopiśmie socjaldemokratycznym *Neue Zeit*. Pierwszą swą powieść pi-

---

<sup>1</sup> M. J. Jackiw (1873—1961) — pisarz ukraiński, był w młodości impresjonistą.

<sup>2</sup> Friedrich Albert Lange (1828—1875), niemiecki filozof i historyk filozofii, neokantysta, autor głośnego dzieła *Historia materializmu*.



sana po ukraińsku (*Królewna*) posyła do redagowanej przez M. Pawłyka postępowej *Prawdy*, mimo że miała możliwość wydrukowania jej w konserwatywnym *Narodzie*. W załączonym do redaktora liście zaznacza: „Pismo to reprezentuje interesy, jakie od dawna uważałam za godne poparcia, dlatego zależy mi na tym, by mój pierwszy pisany po rusku utwór był drukowany właśnie w nim”.

W działalności społecznej walczy o równouprawnienie kobiet, wysuwając bardzo śmiały i postępowy jak na tamte czasy program. Odnajdujemy go zarówno w jej publicystyce, jak i w pierwszych powieściach: *Człowiek* i *Królewna* oraz w licznych opowiadaniach.

Uwzględniając warunki, w jakich żyła i pracowała, dorobek pisarski Olgi Kobylańskiej ilościowo i jakościowo jest imponujący. Osiem dużych powieści, dwadzieścia kilka „szkiców” (jak sama autorka określa swe krótkie opowiadania, „obrazki z życia”), około dwadzieścia dłuższych nowel, liczne artykuły, eseje itd. O olbrzymiej, do dziś się utrzymującej poczytności tej pisarki świadczą zarówno liczne wznowienia, jak i znaczne ich nakłady.

Najwięcej, bo aż dwadzieścia wydań miała powieść *Ziemia*. Łącznie osiem powieści: *Apostoł Czerni*, *Sytuacje*, *Człowiek*, *Królewna*, *Ziemia*, *Niobe*, *W niedzielę rano*, *Przez kładkę* miało dotąd w języku ukraińskim i rosyjskim 66 wydań, (w tym 32 w wydaniach zbiorowych). Dłuższe opowiadania (*Niekulturalna*, *Przyroda*, *Melancholijny walc*, *Juda*, *Za miedzę*, *Bitwa*, *Wiejski bank*) miały również po kilka oddzielnych edycji.

Ponadto ukazało się dotychczas dziesięć wydań dzieł zbiorowych; w tym najobszerniejsze i najlepiej przygotowane redakcyjnie i edytorsko *Dzieła* w 5 tomach, wydane w roku 1963 przez Derżawne Wydawnictwo Chudożnoji Literatury (Państw. Wyd. Lit. Pięknej) w Kijowie, zawierające obok wszystkich powieści i najlepszych nowel i opowiadań również niemal pełną zachowaną korespondencję pisarki, z której to korespondencji tak obficie korzystano w niniejszym szkicu. Trzeba też dodać, że jedynie dwa pierwsze wydania zbiorowe ukazały się poza Związkiem Radzieckim — pozostałych osiem wyszło w Kraju Rad, głównie w USRR, mimo że pisarka przebywała — jak wiadomo — poza jego granicami i dopiero w roku 1940 weszła do rodziny pisarzy radzieckiej Ukrainy.

Krytyka radziecka w różnych okresach różnie oceniała jej

twórczość, taka ewolucja ocen i poglądów krytyków była jednak nie tylko jej udziałem. Można by tu przytoczyć wiele sądów entuzjastycznych, były też i głosy surowej krytyki. Pozostaje jednak faktem, że zainteresowanie krytyki radzieckiej, zarówno ukraińskiej, jak i rosyjskiej, było zawsze i jest do dziś bardzo duże. Jest to jakąś miarą i wartości jej dorobku, i jej poczytności. Wystarczy powiedzieć, że bibliografia dotycząca jej twórczości obejmowała w roku 1960 (dane na podstawie Słownika Bibliograficznego *Ukraińscy pisarze* — Kijów 1963) blisko 80 pozycji, dotyczących zarówno poszczególnych utworów, jak i pełnych syntetycznych monografii o całokształcie twórczości. Z tych 80 pozycji aż 66 wyszło spod pióra krytyków radzieckich. Obok obszerniejszych prac i monografii Babuszkińa, Kowałenki i in. w roku 1958 ukazała się zbiorowa, ponad 200 stron licząca, praca pt. „Olga Kobyłańska. Artykuły i materiały” — jako 27 tom *Naukowego Wydawnictwa Uniwersytetu Czerniowieckiego*.

Liczne były jubileusze oraz akademie na jej cześć, najuroczyściej obchodzony był jednak jubileusz pięćdziesięciolecia jej pracy pisarskiej w roku 1940 w całym Związku Radzieckim (jako że Bukowina należała już wówczas do ZSRR), a w szczególności na Ukrainie.

Powiązania Kobyłańskiej z radzieką Ukrainą są zresztą dużo wcześniejsze. Drukowano tam jej utwory, pisarka korespondowała z wydawcami i kolegami po piórze, otrzymywała liczne listy od radzieckich czytelników jej książek. Rząd radzieckiej Ukrainy przyznał też pisarce stałe stypendium, radzieckie wydawnictwa zaś przekazywały jej honoraria za liczne wydania i wznowienia jej utworów.

Zrozumiałe więc, że żywiła dla Ukrainy wdzięczność, a odzieleni od niej granicą rodacy byli jej bliscy. Dlatego też z taką radością powitała przyłączenie Bukowiny, dając temu wyraz w licznych artykułach i adresach powitalnych, zamieszczanych w radzieckich czasopismach i dziennikach „Pozdrowienia z zielonej Bukowiny”, „List do robotników radzieckiej Ukrainy”, „Do Prezydium Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy”, „Kwiat kultury rozkwita”, „Marzenia pisarza spełniły się”, „Pieśń wolności”, „Słowo wzruszonego serca”, „Pozdrawiam was, dzielni bracia”, „Zdobytego szczęścia nie oddamy nikomu” — oto niektóre tylko tytuły tych artykułów sędziwej, siedemdziesięciodziewięcioletniej pisarki.

Zmarła wkrótce po wydrukowaniu ostatniego jej artykułu w czasopiśmie *Literatura i Sztuka* — 21 marca 1942 roku w Czerniowcach.

Twórczość jej znana jest w całym Związku Radzieckim, w Niemczech, Austrii, Czechosłowacji, Bułgarii. Nieznana jest tylko w Polsce, z którą łączyło ją tyle więzów.

Sama raz tylko tłumaczyła z polskiego na niemiecki. W roku 1898 pisze do O. Makoweja: „Przełożyłam Kolessie<sup>1</sup> jeszcze przed trzema czy czterema laty jedną naukową rozprawkę z polskiego: »Związki ukraińskich pieśni ludowych z poezją Bohdana Zaleskiego«”. Podobno były też drukowane w polskim przekładzie z niemieckiego dwa jej opowiadania. Pisze o tym w liście do Fr. Řehořa (1898): „W polskim piśmie *Gazeta Polska* były drukowane w roku 1897 dwa moje opowiadania: *Chłop* i *U świętego Jana*, przełożone z wiedeńskiej *Neue Revue*”.

Nie udało mi się dotrzeć do tych opowiadań. W każdym razie poza nimi nie ma u nas żadnego śladu twórczości jednej z najwybitniejszych pisarek ukraińskich, dziś zaliczanej już do klasyki ukraińskiej literatury. Powieść *Ziemia* to być może nie najwybitniejsze jej dzieło, chociaż — jak sama pisze — zawsze ją wysoko ceniła, jest ona jednak reprezentatywna dla realistycznego nurtu jej twórczości i chyba będzie bliska naszemu czytelnikowi.

ST. EDWARD BURY

---

<sup>1</sup> Ołeksandr Kolessa (1867—1945) — ukraiński poeta, literaturoznawca i-etnograf, w młodości rewolucyjny działacz, przed wojną profesor ukraińskiego języka i literatury Wydziału Filologii U.J.K. we Lwowie.